

Tanith Lee

Mroczne dusze

Tom II Krwawej opery

Personal Darkness

*Piterowi Lovery,
Ojcu Chrzestnemu Scarabeidów*

*A teraz widzisz ile trzeba zabiegów,
żeby pozostać po tej stronie lustra.*

Lewis Carroll

Dziewczyna w strugach deszczu.

Tim obserwował ją od prawie dwudziestu minut. Miał zamiar umyć samochód, ale deszcz pokrzyżował mu plany. Stał w oknie pokoju zwanego przez matkę salonem, a przez ojca uparcie bawialnią, i patrzył na wodę płynącą ulicą. Nie zastanawiał się, czy pada również na wsi, dokąd jego rodzice wyjechali na weekend. Cieszył się z ich nieobecności. To była jedyna myśl, jaką im poświęcał.

W strugach deszczu jego minimetro błyszczało jak cynowa puszka. A po drugiej stronie jezdni, wśród mokrych drzew, stała dziewczyna.

Robiła wrażenie wysokiej, choć po dokładniejszym przyjrzeniu się doszedł do wniosku, że to tylko niezwykła szczupłość dodawała jej wzrostu. Płaszcz przeciwdeszczowy, ściśnięty w talii paskiem, nie ukrywał jej zachwycającej figury. Czarne jak smoła, przemoczone długie włosy okrywały ją do pasa. Twarz miała bladą, usta czerwone, a oczy podmalowane na czarno.

Timothy sądził, że jest niewidoczny za firanką. Mimo to miał wrażenie, że ona czeka na jakiś znak z jego strony.

Wreszcie po dwudziestu pięciu minutach zdecydował się: uchylił firankę i pomachał ręką. Równie dobrze mógł być duchem. Nie zareagowała.

— Pieprzona ślepotą — powiedział do siebie.

Miło było powiedzieć coś takiego w tym pokoju, salonie–bawialni, nie mając za plecami wściekłej matki. W pracy również musiał się ciągle pilnować, bo pan Cummings miał zwyczaj przeciskać się między rzędami komputerów jak jadowita stonoga. „Masz wykresy, Timothy? Pan Andrews czeka”. I dodawał, zionąc cuchnącym oddechem nad ramieniem Timothy’ego: „Powinieneś wyrażać się przyzwoicie. Nie życzę sobie tutaj plugawego języka”.

Timothy zapomniał o matce i panu Cummingsie. Zagadkowa dziewczyna przechodziła przez jezdnię prosto w jego stronę. Doszła już do samochodu, minęła słupki bramy. Miała duże stopy i nosiła cudaczne buty. Później znalazła się na schodkach.

Tim odwrócił się od okna. Rozejrzył się po dużym pokoju o ścianach obitych aksamitem według pomysłu matki. Wszędzie stały meble i leżały bibeloty poukładane przez jego rodziców. Czekał.

Dzwonek do drzwi zadzwonił. Timothy poczuł się dziwnie: zawstydzony, zaskoczony, zagrożony? Zaraz jednak pomyślał, że to dziecinna reakcja i a nuż przytrafi mu się coś niezwykłego.

Otwierając drzwi od razu się uśmiechnął, żeby wiedziała, że mu się podoba. Była fantastyczna. Żałował tylko, że deszcz rozpuścił jej makijaż. Strój też miała dziwny. Płaszcz przeciwdeszczowy wyglądał z bliska jak znaleziony na śmietniku. Uśmiech chłopaka nieco ostygł.

— Cześć! — rzucił zaczepnie.

— Pan Watt? — zapytała dziewczyna.

— To nie tutaj.

— Owszem — głos dziewczyny brzmiał wyraźnie, ale monotonicznie i bezbarwnie jak zepsuta pozytywka. — Pani Watt mieszka tu.

— Nigdy o kimś takim nie słyszałem.

— To ten dom — upierała się. — Mieszka ze swoją córką Liz. Z Liz i Brianem — dodała.

Timothy'emu coś zaświtało. Czy ludzie, od których tatuś kupił ten dom w zeszłym roku, nie nosili takich właśnie imion? Kiedy interes został ubity, wszyscy stali się bardzo przyjacielscy.

— To pewnie byli ci ludzie, którzy mieszkali tutaj przed nami. Wprowadzili się stąd.

Dziewczyna patrzyła wprost na niego. Jej oczy były czarne i do tego wymalowane czarnym tuszem. Nigdy nie widział białej dziewczyny o tak ciemnych oczach. Nawet Murzynki takich nie miały.

— Wyjechali — stwierdziła dziewczyna. Głos jej załamał się, jakby pełen żalu.

— Obawiam się, że tak.

Wyglądało na to, iż uboga, pogrążona w kłopotach matka wysłała córkę z domu. Od razu rzucało się w oczy, że dziewczyna musiała żyć w fatalnych warunkach. Z dziur w starych botkach sterczały strzępy rozmiękłej gazety. Na ramieniu miała popękaną plastikową torbę.

— I co teraz zrobisz? — spytał Timothy.

Stała i patrzyła na niego, a za nią deszcz lał, jakby nigdy nie miał przestać.

Za jego plecami stał otworem bladożółty dom, ze wszystkimi pokojami do dyspozycji jak na wyciągniętej dłoni. Wolny przez sobotnie popołudnie i sobotnią noc oraz całą niedzielę aż do dziesiątej wieczorem, do powrotu rodziców.

— Może wstąpisz na chwilę — zaproponował. — Musisz być przemoknięta do suchej nitki.

Nie zawahała się, ale i nie podziękowała. Weszła wprost do holu, a wielkie lustro ukazało jej ciemne odbicie ponad więdnącymi kwiatami. Drobiazgowa zazwyczaj matka Tima zapomniała przed wyjazdem wyrzucić bukiet.

Pomyślał o niezwykłych istotach z filmów grozy, które trzeba było samemu zaprosić, żeby przekroczyły próg. Myśl ta nie trwała dłużej niż sekundę. Dziewczyna zdjęła płaszcz. Dziurawy, wyszarzały podkoszulek miała wepchnięty w kusą czarną spódniczkę. Płaszcz przemókł na wylot i mokre ubranie przylegało szczelnie do ciała. Była chuda jak szczapa, ale miała duże, piękne piersi z małymi, figlarnie sterczącymi sutkami. Czarne włosy w mokrych pasmach sięgały bioder, woda kapiała z nich na podłogę. Ekscytująca obietnica ziściła się. Był podniecony.

— Przyda ci się ręcznik — stwierdził.

Zostawił ją na dole i wbiegł po schodach. W garderobie, gdy nie mogła go zobaczyć, uniósł kciuk na szczęście. Potem spiesznie wrócił z wielkim, puszystym ręcznikiem. Na wszelki wypadek wołał nie zostawiać jej samej zbyt długo.

Przeszli do doskonale wyposażonej kuchni. Kiedy zrobił herbatę, dziewczyna oświadczyła, że jest głodna. Niechętnie wsadził dwie kromki do opiekacza. Usiadła na wysokim stołku z włosami zawiniętymi w ręcznik. Makijaż nadal spływał czarnymi strużkami po jej policzkach. Jednak intensywna czerwień warg pozostała nienaruszona, nawet po tym, jak dosłownie wchłonęła grzanekę. Wypadało zaproponować drugą porcję. Zgodziła się skwapliwie.

Zdał sobie sprawę, że jeżeli mieszkała w prymitywnych warunkach, to chyba jest brudna. Jej ciało nie wydzielало nieprzyjemnego zapachu. Deszcz musiał ją trochę splukać, ale to nie wystarczało.

— Pewnie zmarzłaś. Czy chciałabyś się wykapać?

— Chętnie.

Do wanny w kolorze awokado napuścił gorącej wody. Dolał trochę drogiego, pieniącego się płynu do kąpieli. Zawsze lubił jego zapach, choć ostatnio doszedł do wniosku, że jego matka jest już za stara, aby go używać. Wciąż jednak uważał, że powinien obdarowywać ją nim na Gwiazdkę.

Zaproponował dziewczynie swój podkoszulek. Przyjęła i poszła do łazienki. Miał nadzieję, że w swojej ohydnej plastikowej torbie trzyma zmianę bielizny. Nie mógł użyzyć jej bielizny matki, posunąłby się za daleko.

Chciał zobaczyć ją odświeżoną i porządnie umytą. Gdyby prezentowała się odpowiednio, mógłby ją zabrać na kolację do włoskiej restauracji.

Wyglądała cudownie, gdy wróciła z łazienki. Umyła i wysuszyła włosy. Zmyła i ponownie nałożyła makijaż. Włosy wyglądały jak jedwabne frędzle, a czarny podkoszulek uwydatniał biust, choć nie przylegał tak ściśle jak jej własny szary łach. Nie wiedział tylko, w co ją obuć. Teraz stała boso. W przeciwieństwie do wielu dziewcząt miała ładne stopy. Pewnie obcięła paznokcie u nóg, tak jak zrobiła to z długimi paznokciami u rąk. Jedne i drugie pomalowała krwistoczerwonym lakierem.

— Wyglądasz wspaniale — stwierdził Timothy. — Przedtem byłaś troszkę... Co się stało? Uciekłaś z domu?

— Tak — odpowiedziała bez zająknięcia.

— Będziesz musiała wrócić.

Mając dwadzieścia dwa lata, czuł się bardziej odpowiedzialny niż ona. Poza tym musiał się jej pozbyć do niedzielnego wieczoru.

— Nie mogę — powiedziała dziewczyna.

Dotąd nie uważała za stosowne się przedstawić, chociaż on powiedział, że ma na imię Tim.

— Oczywiście, że możesz. Wiem, że rodzice bywają okropni, ale czasami przydają się na swój sposób.

Przyglądała mu się uważnie. Teraz, w oprawie starannego makijażu, jej oczy stały się jeszcze bardziej zachwycające. Wyglądała jak piosenkarka. Żałował, że Rob nie może rzucić na nią okiem. Przez chwilę rozkoszował się perspektywą opowiedzenia przyjacielowi wszystkiego o dziewczynie.

Potem zaprowadził ją do salonu na dżin z tonikiem.

— Będziesz musiała wrócić. Jeżeli chcesz, możesz do nich zadzwonić. Powiedz, że jesteś u przyjaciółki, albo coś w tym rodzaju. Dzisiaj możesz tutaj zostać na noc. Jest mnóstwo miejsca.

Pomyślał o rzuceniu się z nią na swoje wąskie łóżko. Bogu dzięki, był zaopatrzony we wszystko co trzeba. Jak mawia Rob: nigdy nie wiesz, kiedy ci się poszczęści.

Dziewczyna, choć niewysoka, miała bardzo proporcjonalną budowę. Siedziała na sofie, a jej długie nogi widoczne były aż po szczyty ud. Ich nagość nasuwała grzeszne myśli. Żadnych zbędnych włosów, żadnych rajstop. Może żadnych majtek?

— Nie mogę wrócić — powtórzyła.

— Daj spokój. Nie dramatyzuj. Dlaczego nie możesz?

— Mój ojciec — zaczęła, pijąc swój dzin powoli, miarowo, jak lemoniadę w upalny dzień. — Mój ojciec wykorzystał mnie.

Timothy, wstrząśnięty, odstawił swoją szklankę.

— To znaczy, że... Co chcesz przez to powiedzieć?

— To znaczy, że spał ze mną.

— Jezu, to wstrętne.

— Tak.

Timothy zabrał obie szklanki i nalał po solidnej porcji dzinu z tonikiem. Musi pamiętać o uzupełnieniu zapasu. Kupi coś u Vineya.

Kiedy wręczała dziewczynie drinka, siedziała skromnie, bez ruchu, jakby to, co powiedziała, zupełnie nie było istotne.

— Czy twoja matka wie? — zapytał, a gdzieś w głębi współczucia czaiła się lubieżna ciekawość. Dziewczyna została naruszona i to w trudnych do zaakceptowania okolicznościach. To czyniło ją mniej godną pożądania. I jednocześnie znacznie bardziej.

— Tak, matka wie. I babka też.

— Czy nie starały się go powstrzymać?

— O, nie.

Mówiła bardzo rzeczowo. Nagle powiedziała, jak gdyby chcąc wynagrodzić mu troskę i uwagę, którą jej okazywał:

— Mam na imię Ruth.

— Ach, tak.

Czy nadal chciał podjąć ryzyko zabrania jej do włoskiej restauracji? Nie widział innego wyjścia. Nie miał zamiaru gotować. Tymczasem dziewczyna zdążyła już pochłonąć dwie porcje tostów, paczkę

herbatników i trzy jabłka z patery na owoce. Jej nogi... trzeba znaleźć jakieś dzinsy. Mogłaby też włożyć jego stare trampki sprzed kilku lat. Jak na mężczyznę miał zawsze małe stopy.

Może kłamała na temat swego ojca?

Miała nie więcej niż siedemnaście lat. Dziewczęta chętnie fantazjują. Przypomniał sobie Jean, która opowiadała, że przespała się z Davidem Bowie.

* * *

O dwa lub trzy drinki później, kiedy zastanawiał się, czy koniecznie musi czekać, aż zjedzą kolację, Ruth zmieniła temat. Powiedziała grzecznie, że chciałaby obejrzeć dom. Wydawało się, że drinki nie zrobiły na niej najmniejszego wrażenia.

Pokazywanie domu znudziło go. Nie mógł być z niego dumny, bo niczego nie uważał tu za własne. Nawet swojego pokoju.

Ale kiedyś mieszkała tutaj pani Watt, który była chyba jedyną jej znajomą.

Ruth obejrzała doskonale wyposażoną kuchnię ze zmywarką, skomputeryzowaną pralką, rzędami błyszczących noży, wyciskarką do soków i innymi rzeczami. Potem salon-bawialnię z porcelaną wyeksponowaną w kredensie, z wielkim telewizorem, z numerami „Homes and Gardens” rozrzuconymi na stoliku do kawy i z kącikiem muzycznym. Stereo było najwyższej klasy, chociaż matka Tima czasami tylko słuchała fragmentów „Jeziora łabędziego”, tacy kompozytorzy, jak Dvořák czy Beethoven niewiele ją interesowali.

Dzięki nadmiernej gorliwości sprzątaczkii mała jadalnia błyszczała aż do przesady.

Na górze Timothy pośpiesznie pokazał Ruth sypialnię i gabinet ojca. Dom niegdyś rozbudowano i pokoje miały różną wielkość. Część z nich nie była wykorzystana. Pokój Timothy’ego był duży, z osobną łazienką. Tu Ruth zatrzymała się, rzuciła okiem na plakaty i poświęciła nieco uwagi gramofonowi oraz kolekcji płyt zespołu LEVEL 42. Wystrój pokoju został niedawno zmieniony, lecz nie według pomysłu Tima. Decydowała matka, bo sam nie wiedział, czego właściwie chce.

Ruth wyjrzała przez okno wychodzące na ogród i stwierdziła prawie bez związku z sytuacją:

— Tam jest drzewo cedrowe.

Widocznie pani Watt wspominała o drzewie.

Nie zostało powiedziane nic więcej.

Wrócili na dół i Tim zastanawiał się, czy pokazać Ruth także swój samochód. Doszedł jednak do wniosku, że i tak zobaczy wóz, kiedy będą wychodzili. Czas naglił. Odczuwał niepokój pożądania, ale i głód. Wczesna kolacja, a potem długi, wspólny wieczór. Mógłby kupić wino i przynieść kasetę wideo. Coś, co się jej spodoba.

Wydawała mu się uderzająco dziecinna i łagodna.

Pożyczył jej džinsy i trampki, a także zaproponował perfumy z tej samej serii co płyn do kąpieli. W pokoju rodziców poczuł przyptyw odwagi. Zapiął duże, złote klipsy matki na mlecznobiałych uszach Ruth. Zdjęła je zaraz z osobliwym wyrazem twarzy.

Kolejna chwila niepewności. Przyszła do niego obdarta jak Cyganka, ale kim była wcześniej? Czy jej ojciec, może zresztą wymyślony, wykorzystujący ją seksualnie, obwieszał córkę–nałożnicę wschodnimi jaspisami i bezcennymi perłami?

* * *

Niebieski samochód (ten kolor rodzice uważali za odpowiedni dla chłopca) zawiózł ich do Monte Doro, restauracji, która na szczęście w soboty była otwierana o szóstej.

Stoliki nakryto obrusami w kolorze rudym i jabłkowiezielonym. Nad nimi wisiały żyrandole z butelek perriera. Klientów było jeszcze niewielu. Kierownik sali podszedł spieszenie zapalić świecę na ich stoliku.

Timothy cieszył się, że wziął ze sobą kartę kredytową. Ruth zaczęła kolację od sałatki z pomidorów, sera mozzarella i grzybów. Główne danie stanowił kurczak zawijany w szynkę, polany sosem śmietankowo-winiakowym i ugarniowany młodymi ziemniakami, brokułami i marchewką. Dziewczyna miała też ochotę na deser: krem z orzechami laskowymi i wiśniami. Potem kozi ser i ciasteczka. Timothy przywykł do dziewcząt wiecznie dbających o figurę. Widocznie Ruth do nich nie należała, albo też chciała nadrobić czas spędzony Bóg wie gdzie.

Do kolacji wypili butelkę frascati, a drugą Tim zabrał ze sobą, regulując rachunek kartą kredytową.

Wracając jechał ostrożnie. Wiedział, że wypił sporo, ale droga była krótka, a on uważał się za dobrego kierowcę. Drinki nie zrobiły na nim wrażenia, zresztą do kolacji wypił tylko lampkę wina.

Wybrał kasetę „Pogromca smoków” i sądził, że film spodoba się Ruth. Jego zdaniem te wszystkie krajobrazy i animacje były zupełnie bez sensu, ale spodziewał się, że końcowa scena miłosna podziela na jej wyobraźnię. W końcu była przecież młodą dziewczyną.

Ku jego zaskoczeniu wyglądało na to, że smok zainteresował ją bardziej.

Gdy siedzieli na sofie przed wielkim telewizorem, Timothy objął ją niepostrzeżenie ramieniem. Wyczuł napięcie. Nie spodobało się jej, kiedy główny bohater zaatakował smoka.

— Zranił go — powiedziała niskim, chrapliwym głosem. — Zrzuć go i zabij! — dodała po chwili. Nie dopuszczała myśli, że to smok ma zginąć. Kiedy tak się stało, jej ramię pod delikatnie gładzącą dłonią Tima stwardniało jak żelazo.

Gdy para na ekranie zaczęła się całować, próbował zrobić to samo, ale Ruth stawiała opór, więc nie nalegał.

— Woląłeś smoka — powiedział, gdy film dobiegł końca.

— Był piękny!

— A jak by ci się podobało, gdybyś padła jego ofiarą?

— Porozmawiałabym z nim — odparła Ruth pouczającym tonem. — Magowie wiedzą jak to robić, a ten człowiek nie umiał. Wszyscy ludzie są głupi. To straszne.

Timothy otworzył nową butelkę wina. Ku jego konsternacji Ruth zapytała, czy może zjeść pomarańczę. Przestraszył się, że alkohol nadmiernie zaostriżył jej apetyt, a potem może ją mdlić. Jednak ani po pierwszej, ani po następnej pomarańczy nic takiego się nie stało.

— Wiesz — zaczął znów, sadowiąc się obok — jesteś przepiękna. Naprawdę. A twoje włosy...

Pozwoliła je pogłaskać, potem przeniósł dłoń na jej ramię. Mimo to kiedy przysunął usta do jej warg, powiedziała:

— Dziękuję, nie.

Timothy wyprostował się.

— Nie jestem twoim ojcem. Powinnaś zapomnieć o tamtej historii.

— Nie, wcale nie muszę.

— Och, Ruth!

Z ulicy dobiegł warkot samochodu, lwy wracały do legowiska. Znał ten odgłos, lecz wydawało mu się to niepodobieństwem. Jednak nie, usłyszał jak samochód zajechał na miejsce za minimetrem.

Oni nie mogli... Mieli wyjechać na cały weekend. Nie!

Oczy Timothy'ego mimo woli omiotły pokój. Porozstawiane szklanki z resztkami dżinu, wino, skórki z pomarańczy porozrzucane obok talerza, kaseta wideo... Ruth. Pachnąca perfumami matki, bosa, z uszminekowanymi na czerwono ustami, ze szkarłatnymi paznokciami. Czarna jak noc.

— O, kurwa! Pierdolone gówno!

Kroki na schodach.

Szmer głosów.

Klucz w zamku.

— Timothy?

Rycerz w szkarłatnej zbroi klęczał przed tarczą herbową. Obok niego płynął błękitny, szklany strumień, a z tyłu rozciągał się szmaragdowy zagajnik, pośród którego płonęła wieża. Okno przypominało kartę tarota. Rzuciło refleksy na całą powierzchnię okrągłego, porysowanego stołu stojącego poniżej. Rysy układały się w słowo, ale nie był to wyraz angielski.

Dom był spokojny. Panował tu upał. Gdy przymknęła oczy, ciepła cisza, kolorowe światło, zapach kurzu i pyłu, pszczelego wosku, pajęczyn i wilgoci, cały ten zamknięty w czterech ścianach świat przywoływał z pamięci pierwszy dom.

A teraz wszystko się zmieniło. Stało się inne, ale jednocześnie zostało takie samo. Choć bez przesady, tak dalece tylko, jak było to do zniesienia czy też może jak było konieczne.

Obserwowała ich, patrzyła, co robią. Po to się urodziła, ale nie mogłaby z całą pewnością stwierdzić, czy brała w tym udział. Wciąż była widzem, świadkiem Scarabeidów, do tego sprowadzała się jej rola.

Rachaela stała pod błękitno–czerwono–zielonym oknem i słuchała.

Pojawił się cichy dźwięk, zaledwie rozpoznawalny. Delikatny letni wietrzyk kołysał wysokimi sosnami i dębami na błoniach. Prawie tak spokojny jak odgłos morza.

Potem zabrzmiał niewyraźnie silnik samochodu przejeżdżającego drogą poniżej domu, gdzie kończyły się błonia. Tam nie było dużego ruchu, czasami ktoś przechodził i zazwyczaj spoglądał na budowlę stojącą wśród drzew. Był to spory budynek o dziwnej niezdecydowanej architekturze, z wieżyczkami i witrażowymi oknami. W każdym oknie wstawiono kolorowe szybki, wszystkie prowadzące do domu drzwi były podwójne jak komory próżniowe. Oprócz otoczonego wysokim murem ogrodu znajdowała się tu i cieplarnia. Jak w pierwszym domu, z trzech stron rozciągał się las.

W dole za drogą rozrzucone były jakieś duże zabudowania, a za nimi skupisko mniejszych. W dalszej perspektywie widniało jedno z licznych podlondyńskich osiedli ze swoimi pubami, sklepikami, biblioteką i urzędami. Wieże kościółków wznosiły się w górę. W niedzielę słychać

było odległy głos dzwonów, a furgonetka z lodami ogłaszała swój przyjazd, grając „Srokę złodziejkę”.

Michael i Cheta robili codzienne zakupy w sklepach tego właśnie osiedla, gdzie byli prawdopodobnie uznawani za parę ekscentrycznych cudzoziemców.

Książki przynoszone z biblioteki były zwracane punktualnie. Tak samo kasety i płyty do aparatury Erika. Kasety przynoszono z wypożyczalni „Bonanza Videos”. Lubili wideo, szczególnie filmy grozy i horrory. Te ostatnie oglądali z tak uduchowionym wyrazem twarzy, że przypominali jej skupione szare chomiki.

Wiele rzeczy wyglądało zupełnie inaczej niż przedtem. W pierwszym domu nie było żadnej telewizji. Za to tutaj znalazło się aż kilka odbiorników. Największy przycupnął w salonie. Erik, Sasha i Miranda mieli każde po jednym aparacie w swojej sypialni. Odbiornik dostali w prezencie także Michael i Cheta, a jeden zainstalowano w pokoju Rachaeli. Dali jej również wieżę, żeby mogła słuchać muzyki, i wideo, którego nigdy nie używała. Równie rzadko korzystała ze swojego telewizora. Jeden albo i wszystkie pozostałe odbiorniki były stale włączone.

Teraz mieli elektryczność.

W kuchni wyłożonej kremowo–czarnymi kafelkami, tam gdzie niegdyś królował antyczny, zardzewiały magiel, stały nowoczesne urządzenia: zmywarka do naczyń, automatyczna pralka, kuchenka elektryczna, robot wieloczynnościowy, lodówka. W spiżarni królowała olbrzymia zamrażarka skrzyniowa, do której służący wkładał wielkie półcie mięsa i tusze dużych ryb.

Dom nie był tak obszerny jak poprzedni.

Tamten miał więcej łazienek, przylegały do każdej sypialni, a ponadto na każdym piętrze jedna stała otworem dla wszystkich. Łazienki były białe i wypełniały je drobne, staroświeckie przedmioty. Stały w nich wanny z nogami w kształcie lwich łap i mosiężne prysznice w edwardiańskim stylu. W oknach miały szachownicę z zielonych szybek. Rachaela odkryła, że i okno w łazience, i to w pokoju otwierają się. To musiało być urządzone specjalnie dla niej. Miała widok na otoczenie: falującą przestrzeń porośniętą drzewami, stoki przypominające pradawną puszcę, polany, na których tylko od czasu

do czasu pojawiał się jakiś przechodzień, rzucający spojrzenie na dom. Nocą czasami pohukiwała sowa.

Podrapany stół w salonie.

Rachaela usiadła przy nim, ale nie dotknęła zarysowań.

Czy próbowała zrozumieć ich, Scarabeidów, czy tylko siebie?

* * *

Usadowiona pod drzewem, opierając się o nie plecami, Rachaela obserwowała Scarabeidów, którzy przeżyli, gdy dom wypalił się do fundamentów. Stanęli małą, luźną grupką w bezpiecznej odległości. Ich ubrania były osmalone dymem i ponadpalane. Widziała nagie, kościste jak u wiedźmy ręce, nogi w poszarpanych dzinsach ukazujących staroświecką bieliznę, wylażącą gdzieniegdzie osmoloną koronkę.

We wnętrzu domu spłonęła cała reszta: Livia, Anita, Unice, Jack, George, Teresa, Stephan, Carlo i Maria. Wraz z nimi spaliły się też martwe już ciała Anny, Alice, Doriana i Petera. Najpierw zostali ogłuszeni młotkiem przez Ruth, a potem serca ich przeszyto drutami do robótek i kołkami na wampiry. Był tam także Adamus, ojciec i dziadek Ruth. Piękny, czarnowłosy Adamus, zawsze zimny jak lód, a teraz rozgrzany do szpiku kości przez ogień. Wisiał na linie. Samobójstwo. Ruth, trucicielka i morderczyni, podpaliła dom świeczką i uciekła przed żarem. Nosila na sobie znamię Kaina, siniak na twarzy, ślad w miejscu, gdzie uderzył ją Adamus.

Trudno było odpędzić od siebie obraz uciekającej Ruth. Równie trudno jak pozbyć się innego jej wizerunku — dziewczyny z sukience koloru krwi, w dniu, w którym Scarabeidzi zaręczyli ją z Adamusem, jej ojcem i dziadkiem, a ich imiona zostały zapisane w księdze.

Ruth nie była gotowa, nie dość dorosła, miała dopiero jedenaste lat. Musiałaby poczekać na spełnienie się związku. Tymczasem Adamus stracił dla niej całe zainteresowanie, zniknął znów w ciemnej wieży, żeby samotnie grać na fortepianie. Wtedy Ruth w swym rozczarowaniu zwróciła się przeciwko nim wszystkim.

Scarabeidzi byli wampirami. W każdym razie wierzyli, że są. Ona zabiła ich we właściwy wampirów sposób — drutami do robótek. A kiedy zobaczyła wiszącego Adamusa, podpaliła dom.

Ruth była demonem. Czarno–biała, groźna piękność. Siła ciszy. Rachaela zawsze to wiedziała i czuła przede wszystkim zadowolenie na widok Ruth znikającej w cieniu otaczającym blask ognia.

Kiedy płomienie wygasły, została już tylko ciemność. Wszyscy, którzy ocalili: Erik, Sasha, Miranda, Miranda, Michael i Cheta stanęli w tym mroku.

Scarabeidzi nigdy nie wychodzili z domu w świetle dnia. Jedynie Michael i Cheta, ale okutani i w okularach przeciwsłonecznych.

Ciemność zaległa ziemię jak rozpacz, ale przecież potem musiało wzejść słońce. Co stanie się wtedy?

Słońce wzeszło.

Patrzyli w górę na jaśniejące niebo nie ze strachem, lecz z gorzkim smutkiem. Znali się i to wszystko, co ich czekało, widzieli już wcześniej przez swoich dwieście czy trzysta lat życia. Przemoc i nędza. Wygnanie. Tyrania słońca.

Usłyszała, jak Miranda powiedziała twardo:

— Musimy iść do wioski.

Potem Michael podszedł do Rachaeli, a jego czarne, przymglone oczy zdawały się rozjaśnione przez światło dnia.

— Panno Rachaelo, idziemy do wsi.

Podniosła się znudzona. Miała drobne poparzenia na całym ciele, jak gdyby pokąsała ją setka zjadliwych, maleńkich bestii. Chciało się jej krzyczeć.

— Dobrze. Jak oni...

Lecz Michael już odwrócił się tyłem.

Opuścili strefę żaru jak rozbitkowie ocaleni z katastrofy samolotu. Poszli tą ścieżką co zwykle. Czy tędy odeszła Ruth?

Przeszli brzegiem skały wzdłuż zarośli janowca, obok sosnowego zagajnika. Mewy krążyły im nad głowami, ptaki buszujące w zaroślach odfruwały, gdy się zbliżali.

Wydawało się, że dobrnięcie do drogi zabrało im godziny. Scarabeidzi weszli na nią lęklivo w odludnym miejscu. Rachaela przypomniawszy sobie o samochodach, które mogły tędy przejeżdżać, ale nie spotkali ani jednego.

Na drodze zaczęła widzieć ich lepiej.

Poruszali się wyprostowani, lecz widocznie wycieńczeni. Twarze mieli okopcone i poczerniałe od żaru. Spod nadpalonych ubrań

wyzierały fragmenty bladych, starych ciał. Okazało się jednak, że żadne z nich nie jest poważnie poparzone, chociaż tkaniny a nawet włosy były nadwęglone. Wyglądali niesamowicie, trochę komicznie i to było w jakiś sposób groźne. Naprawdę nie wiedziała dlaczego. Czuła się jak dziecko, które może zgubić się dorosłym i stracić poczucie bezpieczeństwa.

Bzdura. Nie była przecież dzieckiem. Przekroczyła już czterdziestkę. Nie wyglądała na tyle, no, może na dwadzieścia osiem, dwadzieścia dziewięć lat. Adamus, młody i piękny, przypuszczalnie był po siedemdziesiątce. To również wydawało się śmieszne.

Raz potknęła się i upadła na kolana. Nie czekali na nią, ale posuwali się naprzód tak powoli, że dopędziła ich z łatwością.

Miranda chyba płakała. Jeśli tak, robiła to bardzo cicho, ocierając raz po raz twarz kawałkiem nadpalonej tkaniny. Erik maszerował naprzód, wykonując powolne ruchy jak żołnierz we śnie. Sasha ledwie się poruszała. Michael i Cheta sprawiali wrażenie najbardziej rześkich. Trudno ich było zresztą w jakikolwiek sposób określić. Wszelkie takie próby, nawet dokonywane na własny użytek, okazywały się beznadziejne. Nie pasowali do niczego, nie przypominali niczego, byli skazani na zagładę.

Nagle Miriam upadła.

Scarabeidzi — Miranda, Erik i Sasha zebrali się wokół niej, ale nie schylili się. Erik powiedział:

— Miriam...

Nie poruszyła się.

— Michaelu!

Michael od razu podszedł i wziął Miriam na ręce. Wyglądała jak stara, drogocenna lalka. Miała na sobie sukienkę śliwkowej barwy ponaszywaną paciorkami, które odbijały światło słoneczne i błyszczały radośnie.

Kroczyli dalej. Michael niosący Miriam, Cheta flegmatycznie stawiająca kroki, maszerujący Erik, Miranda i Sasha kuśtykające, jak gdyby we śnie. Rachaela szła za nimi, potykając się.

Ani jednego samochodu. Czy samochód przyniósłby jakąś pomoc? Bardziej prawdopodobne, że kierowca przycisnąłby gaz do dechy i odjechał czym prędzej.

Pola przegradzały sielankowo zielone, gęste żywopłoty.

Minęli miejsce, gdzie kiedyś stała farma, którą później rozebrano. Dwie czy trzy czarne wrony poderwały się z ziemi.

Z każdą chwilą Rachaela oczekiwała, że Erik, Sasha i Miranda osłabną i upadną.

Słońce nie tykało ich ciał, tak jak nie zrobił tego ogień, ale w jakiś sposób czyniło ich przezroczystymi jak upiory, chociaż było to tylko złudzenie wzrokowe. Imaginacja. Rachaela czuła się słaba i wstrząśnięta.

W końcu dotarli na szczyt wzgórza. Przed nimi rozpościerała się wioska, nowa osada, nie istniejąca tu przed dwunastu laty. Zeszli w dół obok majątku, którego budynki pomalowano na brązowo.

Ignorując domy mieszkalne i zamknięte jeszcze o tej porze sklepy, Scarabeidzi w milczeniu skierowali się do nowo wybudowanego pubu pod szyldem „U cieśli”.

We wczesnym słońcu wyglądał jasno i świeżo. W skrzynkach pod oknami kwitły pelargonie, a przy drzwiach stały drzewka laurowe. Na górze wisiał kolorowy szyld przedstawiający wesółych mężczyzn uderzających młotkami.

Michael postawił Miriam na ziemi, podszedł do bocznych drzwi i nacisnął dzwonek. Czekali na cichej ulicy.

Rachaela przypomniała sobie, jak kiedyś, dawno temu przyszła do tej wioski, równie wcześnie, i zapukała do karczmarza z jakiegoś innego, nędznego pubu. Nie zachował się przyjaźnie.

Michael zadzwonił tylko raz.

Po chwili ktoś otworzył drzwi. Był to młody mężczyzna. Mimo iż wyrwany ze snu, zdążył zadbać o swój wygląd. Włosy miał przczesane, włożył też srebrno-zielony szlafrok i skórzane pantofle na nogi.

— Zdarzył się wypadek — powiedział Michael.

Mężczyzna spojrział. Na widok Scarabeidów zamrugał oczami.

— Trzeba zawiadomić policję.

— Nie. Wynajmiemy tutaj pokoje. Będziemy potrzebować dostępu do telefonu.

— No, słuchajcie — powiedział z uśmiechem srebrno-zielony. — W porządku, ale chodzi o to, że jest bardzo wcześnie.

Miał miłą londyńską wymowę. Nadal się uśmiechał. Chciał jak najlepiej. Uprzejmie traktował klientów i potrafił ograniczyć się do

trzech dżinów z tonikiem co wieczór. Nie spodziewał się nonsensownych sytuacji, zwłaszcza o szóstej rano.

— Musimy wejść — odezwał się Michael i zabrzmiało to grubiańsko. Sięgnął do kieszeni i wyciągnął zwitek banknotów — dwudziestki, pięćdziesiątki. Młody człowiek otworzył usta ze zdziwienia.

— Na miłość boską...

— To — stwierdził Michael — jest konieczność.

Czy Rachaela nie powiedziała tak samo dawno temu? Czy to odniesie skutek? Czy ten mężczyzna widział Miriam leżącą u stóp Sashy na drodze?

Teraz wyglądał na rozzłoszczonego.

— Och, w porządku. Dobrze. Tylko postójcie tu chwilę. Zaraz otworzę.

Scarabeidzi cierpliwie poczekali. Nie okazali zuchwalstwa ani niepewności.

Drzwi do pubu otworzyły się.

— Wejdźcie prędko. Proszę bardzo.

Stali teraz w wysokim wnętrzu. Sztuczny ogień z wielkich kłód w przestronnym kominku. Stara porcelana, być może wykonana w ubiegłym tygodniu.

— Zamówimy szampana — powiedział Erik.

— Posłuchajcie teraz — zaczął młody człowiek. — Ja nie mam, to znaczy, wy nie możecie...

Erik nie dodał nic więcej.

— W pokoju — powiedziała Sasha do stojącej obok Mirandy, której ciemne oczy wyglądały jak zapomniane jeziora.

Młody człowiek zauważył, że Michael niósł teraz kobietę poparzoną i osmoloną ogniem tak samo jak pozostali. Niósł ją twarzą do dołu, nie dawała oznak życia.

— Potrzebujecie lekarza.

— Nie — zaoponował Erik. — My chcemy szampana.

Pokoiki były tandetne i niewielkie. Belki na suficie nie wyglądały na autentyczne. Sztuczne kwiaty ufarbowane na szkarłat i bordo sterczały z wazonów.

Michael położył Miriam na łóżku, a pozostali usiedli w tym samym pokoju. Nie mówili nic. Michael zapłacił mężczyźnie, a ten przyniósł im niechętnie dwie butelki markowego szampana w kubelku z lodem.

Wyszedszy za gospodarzem Michael skorzystał na osobności z telefonu. Do kogo dzwonił?

Rachaela dostała kieliszek szampana.

Wypiła go i łzy napłynęły jej do oczu. Wytarła je ręcznikiem z łazienki. Wszyscy pili. Wszyscy oprócz Miriam.

Miriam leżała na perkalowej narzucie spokojna i martwa.

* * *

Po południu zaczęły się dziać różne rzeczy.

Scarabeidzi zostali sami z szampanem i Miriam, ponieważ Rachaela wreszcie wstała i poszła do pokoju, który Cheta przeznaczyła dla niej. Tu leżała na łóżku, śniąc dziwny sen pełen alkoholu i strachu.

Gdy zegar z poruszającymi się pastuszkami stojący w jej pokoju wybił czwartą, obudził ją lekki ruch na korytarzu.

Wstała i wyszła. W drzwiach pokoju, gdzie była Miriam i pozostali, stał mężczyzna prowadzący pub. Miał na sobie luźne, wymięte, płowe spodnie, włoskie buty oraz niebieską koszulę i ładny krawat. Był błądy jak kreda i nawet z daleka Rachaela mogła dostrzec, iż cały drżał.

— Błagam was, zrozumcie, że nie wiedziałem. Przepraszam. Musicie mi uwierzyć.

Rachaela wyszła na korytarz, czując puszysty dywan pod bosymi stopami. Wyglądała na świeżo wyrwaną ze snu, z burzą nie uczesanych, czarnych włosów i brudną twarzą popstrzoną plamami popiołu.

Odwrócił się ku niej z przerażeniem w oczach.

— Staram się wytłumaczyć — powiedział. — Musiałem się wydać niegrzeczny i nieuczynny. To dlatego, że mnie tak niespodziewanie obudzono. Czy teraz mogę coś zrobić? Może przygotować coś do jedzenia? A może państwo czegoś potrzebują? Czegokolwiek?

Był przerażony. Nie potraktował ich odpowiednio. Wyglądało na to, że ktoś mu to wyjaśnił. Kto i dlaczego?

Bał się, iż obraził Scarabeidów.

Rachaela wzruszyła ramionami. Z okrucieństwem patrzyła, jak plątał się w wyjaśnieniach i pocił. Miranda podeszła do drzwi i powiedziała łagodnie:

— W porządku, młody człowieku. Niech pan się nie martwi. Mamy wszystko, czego potrzebujemy.

Rachaela wróciła do pokoju. Wykąpała się, umyła twarz i włosy. Woda w wannie stała się ciemna. Zapach dymu tak zakorzenił się w jej nosie, że miała wrażenie, iż nigdy go się nie pozbędzie. Jednak wyglądało na to, że oparzenia są prawie zagojone.

Gdy siedziała zawinięta w ręcznik, rozległo się stukanie do drzwi i weszła Cheta. Przyniosła nowe ubranie, które pasowało doskonale: majtki, biustonosz, halkę, rajstopy, bawełnianą spódnicę i jedwabną bluzkę, wszystko w odcieniu owsianki. Była też elegancka puderniczka, ołówek do oczu i pomadka. Takie, jakich Rachaela zawsze używała. Na dodatek zauważyła też dezodorant, pastę do zębów, waciki, szczotkę i grzebień oraz kosztowny szampon. Pożałowała, że użyła hotelowego mydła, szczotki do zębów i zestawu do paznokci.

Wyszła ponownie o wpół do szóstej i skierowała się do sąsiedniego pokoju. Poszli sobie. Wszyscy. Miriam również. Nawet nie słyszała kiedy.

Poczuła, jak ogarniają panika. Stała na środku pokoju zaniepokojona jak osierocone dziecko.

Jednak Miranda (była przekonana, że to właśnie Miranda) zostawiła jej wiadomość w hotelowym notatniku.

„Poszliśmy z Miriam. Wrócimy przed zmierzchem”.

Opuścili gospodę w pełnym słońcu. Może teraz to nie miało znaczenia. Może nic nie miało dla nich znaczenia z wyjątkiem Miriam.

Zasłony w oknach były zaciągnięte, to fakt.

Rachaela wróciła do siebie i zaraz pod jej drzwiami zajechał wózek obsługi. Jedzenie było najlepsze, jakim pub dysponował. Awokado w sosie cytrynowym, stek z zieloną sałata, truskawki i wino. W wazoniku żywa róża.

Ku swojemu zdumieniu miała wilczy apetyt. Jadła łapczywie, nawet palcami. Gdy skończyła mięso, ukryła twarz w dłoniach i zaszlochała. Sama nie wiedziała dlaczego. Miała ponad czterdzieści lat. Nie chciała więcej widzieć Ruth. Adamus był diabłem, jej wrogiem. Scarabeidzi byli nienormalni.

Wrócili po zachodzie słońca. Usłyszała ich z daleka, jak dziecko w pustym domu.

Oni również mieli na sobie nowe ubrania, współczesne, o ponadczasowych fasonach. Wyglądali jak byłe gwiazdy filmowe, cali w czerni.

Rachaela szła wzdłuż korytarza i wtedy poczuła ten zapach. Woda kolońska i perfumy, i o wiele od tamtych silniejsza woń popiołów i ognia.

Byli tam, gdzie znów coś się paliło.

Wtedy zdarzyła się rzecz dziwna i osobliwa. Miranda wyciągnęła ramiona jak biały, kryształowy ptak usiłujący pofrunąć. Rachaela postąpiła krok do przodu, w jej ramiona. W korytarzu nowoczesnego pubu zaszlochały wspólnie jak siostry w antycznej tragedii.

Nikt im w tym nie przeszkadzał. Ani Sasha, ani Erik, ani Michael, ani Cheta.

Z dołu dolatywały odgłosy odświętnej zabawy. Osiedle przyszło do pubu na posiłek i drinka, żeby przepędzić ciemność.

Lecz Scarabeidzi sami byli ciemnością, a Rachaela przyłgnęła do nich. Tylko na chwilę. Tam. Tamtej nocy.

Amanda Mills weszła pośpiesznie do swojej sypialni.

Na pierwszy rzut oka wszystko wyglądało normalnie. Szafy ubraniowe z tekowego drewna, włochaty dywan, wyściełane krzesło i zasłony były nietknięte. Jej uwagę przyciągnęło jednak łóżko.

Podeszła do niego bliżej. Narzuta i poduszeczki były w takim stanie, w jakim je zostawiła. Mimo to odsunęła je. Na prześcieradle nie zauważyła nawet zmarszczki.

Amanda obwąchała pościel ostrożnie, starannie. Wyczuła znajomy, łagodny zapach płynu do płukania bielizny, nic więcej.

Jej szczupłe ramiona nieco się rozluźniły. Nie do końca. Skierowała się do pokoju Timothy'ego.

Przy toalecie coś ją zatrzymało. Na błyszczącej powierzchni, koło słoika z kremem i buteleczek, leżała para klipsów. Na pewno ich tam nie zostawiła. Czyżby to ta upiorna dziewczyna?

Ukończywszy dość dawno czterdzieści lat, Amanda Mills lekko siwiała. Jej ułożone w fale włosy były sklezione lakierem. Zachowała szczupłą sylwetkę dzięki starannej diecie. Miała na sobie sukienkę bez rękawów w modnym kolorze écru, którą nałożyła do kolacji w hotelu; elegancki naszyjnik pobrzękiwał przy każdym ruchu.

Nad stolikiem unosił się mocny zapach jej perfum. Dziewczyna musiała ich użyć.

Amanda sprawdziła pudełko z biżuterią. Wypełniały je kosztowne drobiazgi, na pierwszy rzut oka nie brakowało niczego. Nie zaglądał tu złodziej, albo nie trafiła mu się okazja.

Przy drzwiach Timothy'ego nie zawahała się nawet na chwilę. Jego łóżko wyglądało jak zwykle, z wyjątkiem dni kiedy słała je sprzątaczką. Rozłożone, z rozrzuconą pościelą, zawsze było gotowe do użytku. Jednak podchodząc bliżej, Amanda Mills nie wyczuła zapachu podebranych jej perfum ani śladu długich czarnych włosów. Nie było też owej specyficznej woni mężczyzny, której nigdy nie lubiła.

Być może nic się nie wydarzyło. Wrócili wystarczająco wcześniej, aby temu zapobiec.

Clive zepsuł ich weekend, zniszczył całą radość. Piątkowy wieczór był przyjemny, prawie romantyczny. Spacer po hotelowym ogrodzie,

kolacja przy blasku świec. Wypiła trochę za wiele wina i czuła się nieźle, prawie odmłodzona, ale w wielkim hotelowym łóżku Clive zachowywał się jak zwykle. Leżała zirytowana, słuchając jak chrapie. Odgłos ten dźwięczał jej w uszach, nie mogła zasnąć.

Sobotni poranek był w zasadzie w porządku, chociaż on robił zwyczajowe uwagi na temat jej wyprawy po zakupy. Jakby miał prawo narzekać, że ona dba o swój wygląd. Potem ostrzegła go, żeby nie jadł pieczeni wołowej na obiad. Ciemne mięsa są ciężkostrawne, a w jego wieku trzeba już zachować pewien umiar.

Całe popołudnie miał zwarzony humor, wspominał swoją młodość i czasy zanim ją poznał, jak gdyby to był złoty wiek jego życia.

Amanda Mills czekała na kolację. Hotel miał w jadłospisie wiele zdrowych potraw jarskich oraz sałatek własnej kompozycji prawie równie świetnych jak te, które przyrządzała w domu, choć naturalnie nikt nie doceniał jej wyrobów.

Clive wybrał sobie panierowaną cielęcinę. Nie zareagowała ani słowem. Wzięła ze sobą środek na niestrawność.

Gdy przyniesiono zamówienie, Clive spróbował potrawy i natychmiast odłożył z hałasem sztućce. Niecierpliwym gestem wezwał kelnera.

— Ta cielęcina jest do niczego.

Kelner wyraził zdziwienie, i to był jego błąd. Inni konsumenci przyglądali się im z rozbawieniem, a Clive Mills mówił tak głośno, że płomienie świec przygaszały od jego oddechu.

Cielęcina została zabrana, a Clive czekał niecierpliwie.

Amanda siedziała, wpatrując się w swoją pyszną sałatkę, i nie była w stanie jej tknąć.

Kelner wrócił, ale sytuacja się nie zmieniła. Ta sama cielęcina, teraz już zimna. Gdy Clive wybuchnął, jego żona wstała i opuściła lokal.

Pół godziny później, kiedy znaleźli się w swoim pokoju, doszło do kłótni. Co, jej zdaniem, miał zrobić? Grzecznie zjeść obrzydliwą cielęcinę? Po pierwsze nie powinien decydować się na coś, co mu nie służyło. Poza tym jeżeli w domu dawała mu rzeczy, które mu nie smakowały i mimo to zjadał je, mógł też zjeść spokojnie poza domem to, co mu podano.

Gdy w końcu spakowali swoje rzeczy, Clive zapłacił rachunek głośno komentując, że za taką cenę można oczekiwać odpowiedniego jedzenia. Wreszcie wyszli.

Jazda była długa i upłynęła w milczeniu poza chwilami, kiedy Clive głośno przeklinał innych kierowców.

Gdy stanęli na schodach, Amanda dostrzegła promień światła przez szparę w zasłonach. Tam był Timothy. Bogu dzięki! Będzie mogła opowiedzieć mu o okropnym zachowaniu jego ojca. Choć Timothy zwykle udawał, że nie słucha, czuła, iż opowie się po jej stronie. Kiedy był małym chłopcem, tak bardzo ją kochał. Czasami ją denerwował, musiała to przyznać, ale dzieci już takie są. Gdy był starannie ubrany, wyglądał wspaniale. Z taką uległością trzymał ją za rękę.

Po chwili zawołała go po imieniu. Wybiegł na korytarz. Właśnie w wazonie obok lustra zauważyła zwiędnięte kwiaty, ale wyraz twarzy Timothy'ego kazał jej zapomnieć o nieświeżym bukietcie.

— Jesteśmy — powiedziała Amanda. — Twój ojciec urządził scenę w hotelu. Nie było sensu zostawać tam dłużej. Za wiele jak na jeden weekend.

— Nie ma sprawy — powiedział Timothy.

— Co się stało? — spytał Clive.

— Stało? — powtórzył Timothy.

Przyjął taką pozę, jakby starał się udawać, że bawialnią nie istnieje.

— Jest u ciebie któryś z twoich kumpi — domyślił się Clive.

Amanda poczuła falę strachu. Puszki po piwie na dywanie, może papierosy.

— W porządku — stwierdził Clive — chyba pójdę do siebie. Twoja matka pewnie zechce sobie ponarzekać.

Amanda przeszła obok Timothy'ego. Nie próbował jej zatrzymać, ale odsunął się na bok jak śnięty.

— Kto to jest? — zapytała Amanda.

Dziewczyna siedziała na kanapie, bosa, z czerwonymi paznokciami. Wyglądała na dwadzieścia lat, jak wszystkie, które skończyły trzynaście. Jej twarz była bez wyrazu jak kiepski portret. Wyglądała odpychająco z tą burzą granatowoczarnych włosów.

— A... to jest Ruth, mamó — uśmiechnął się Timothy, a oczy miał jak z galarety. — Pamiętasz? Spotkałem ją kilka miesięcy temu na przyjęciu u Jake'a. Przyjechała odwiedzić swoją babkę — wykonał coś

w rodzaju piruetu. — Spotkaliśmy się u Marksa i Sparksa. Zjedliśmy kolację.

— Cieszę się, że ktoś zjadł kolację — skomentował Clive.

— Ruth — powiedziała Amanda.

Dziewczyna nie zareagowała. Nie odezwała się nawet słowem. Jej czarne oczy przenosiły spojrzenie z Timothy’ego na Amandę i Clive’a, przyglądając się im, kiedy mówili. Gdy Amanda wypowiedziała jej imię, dziewczyna popatrzyła na nią. Jej spojrzenie było jak obiektyw kamery. Czy brała prochy?

— No cóż, Ruth — powiedziała chłodno Amanda — jak się masz?

— Timothy — powiedział ojciec — to trochę za wiele. Wracamy i zastajemy tu dziewczynę, o której nigdy nie słyszeliśmy i której nie znaliśmy wcześniej.

— Opowiadałem wam o Ruth kilka miesięcy temu — zaproponował Timothy. Brzmiało to bardzo szczerze, nawet przesadnie szczerze, jak zawsze gdy kłamał.

Amanda zwróciła się w stronę drzwi. Poczowała coś w rodzaju uderzenia krwi.

— Idę na chwilę na górę — powiedziała. — Clive?

Lecz mąż nie dołączył do niej. Jak czołg w garniturze usadowił się na dywaniku przed kominkiem obok bukietu ostów, który nieco go zasłaniał.

Mimo to, gdy wyszła z pokoju syna, natknęła się w przejściu na swego męża. Stał i patrzył na nią z lekkim uśmiechem.

— Figlował? Nie myłę się?

— Nie bądź nieokrzesany — skwitowała, zamykając drzwi.

— Co to znaczy: nieokrzesany? Cóż ja takiego powiedziałem? Zapytałem cię tylko...

— Sądę, że nie.

— Nie, nie miał czasu. Pojawiliśmy się dla jego dobra i obroniliśmy jego czystość.

— Jak można być takim nierozważnym. Chcesz, aby sprowadzał do domu dziwki z ulicy, żeby z nimi sypiać?

— No i kto tu jest nieokrzesany? — Mills na próżno czekał na jej protest. Westchnął.

Zastanawiał się, czy dziewczyna była dziwką, czy też pozostawała pod wrażeniem Tima, jego słów, samochodu i włoskiej kolacji, którą zjedli, podczas gdy on sam wrócił do domu głodny.

Clive czuł się swobodnie, wysoki i ciężkawy w swym drogim garniturze w odcieniu fioletu, liliowym krawacie, ale bez chusteczki, o której jego żona twierdziła, że jest wulgarna. Miał co do tego wątpliwości. Widywał prezenterów telewizyjnych prowadzących dzienniki z chusteczką w kieszonce, a ona zawsze zwracała mu uwagę. Denerwowała go bawialnią z „Loo”, białym mięsem i rybami, nowomodnymi sałatkami, nie kończącymi się opowieściami o własności społecznej i zaparciach. Amanda. Kiedyś na pierwszy rzut oka wyglądała sympatycznie. Teraz ścisła dieta upodobniła jej twarz do trupiej główki i doprowadziła skórę na ramionach do zwiótczenia. Był zbyt taktowny, żeby jej o tym mówić. Odwrotnie niż ona, bo ona lubiła krytykować.

Ta cholerna cielęcina. Żałował, że ją zamówił. Mógł wziąć jakieś dietetyczne danie, wtedy wszystko potoczyłoby się inaczej.

A Tim? Co można o nim powiedzieć? Musiał już mieć jakąś dziewczynę, przecież chyba nie jest prawiczkim.

Ruth zachowywała się dość dziwnie, gdy Clive mówił do nich podniesionym głosem. Tim zaczerwienił się, ale ona była nieczuła jak ogórek. Nie, może bardziej niż ogórek, jak gładkie, zimne winogrono.

W tym wszystkim pełno było niedomówień. Być może Tim opuścił coś istotnego w swych pośpiesznych wyjaśnieniach.

Amanda zeszła na dół i, stojąc na schodach, prawie wykrzyknęła w przestrzeń:

— Nie podoba mi się to wszystko! Głupia dziwka.

— Będzie musiała zostać na noc — powiedział Clive. — Ta dziewczyna.

Amanda spojrzała na niego, jakby powiedział, że się z nią rozwodzi.

— Jest po jedenastej. Widocznie jej babka musiała pójść do szpitala. Nie ma się gdzie podziąć.

— Chyba w to nie wierzysz?

— No, cóż. Może i nie, ale nie można wyrzucić nastolatki o północy na ulicę.

Amanda zeszytniała. Poszła do sypialni, a po chwili rozpoczęła inspekcję od narzuty w pokoju gościnnym.

Matki robią się zazdrosne, gdy ich synowie okazują zainteresowanie innymi kobietami.

Gdyby gorliwiej zajmowała się Clive'em, pewnie nie byłaby aż tak drażliwa.

* * *

Amanda siedziała w łóżku, z twarzą błyszczącą od kremu, czytając jakiś artykuł w czasopiśmie. Clive leżał w dłońmi zaplecionymi nad głową, wpatrując się w sufit.

— Naprawmy to, dobrze?

Amanda nie zareagowała.

Clive pomyślał o czarnowłosej dziewczynie, tam, w pokoju gościnnym, pod narzutą. Nie miała na sobie piżamy. Może spała w podkoszulku. Może nie miała nic na sobie. Może Tim...

Potem zaczął myśleć o jutrzejszej kolacji. Amanda pewnie już zaczęła ją szykować. Wyobraził sobie rybę wyjętą z najnowszej zamrażarki, grzyby i marchew przygotowane, aby puściły sok. Jutro zastanie ją błyskającą nożem, siekającą drobno sałatkę. Ryba jak zwykle będzie mieć pełno ości. Będzie równie oścista jak sama Amanda.

Dziewczyna miała szczupłe ciało, ale duży biust.

Myśleć o czymś innym...

— Wiesz co, Mandy, nigdy nie kłóćmy się przed snem.

Amanda pośpiesznie przeglądała pismo. Denerwował ją. Zepsuł jej weekend. Pozwolił, żeby dziewczyna została na noc. Dziewczyna.

— Ach, zew natury — powiedział Clive z poczuciem winy.

Poszedł do łazienki. Odkręcił kran w wannie koloru jesiennych liści, który zamienił wodę w krew. Stał w niej i myślał o dziewczynie śpiącej nago. Wyobrażał sobie, jak otwiera drzwi i wchodzi bezgłośnie, a ona budzi się i patrzy na niego w półmroku jego imaginacji. „Cicho” — mówi wesoło, kładąc sobie jego rękę na piersi.

Onanizował się gwałtownie, podniecając się myślami, aż wytrysnął wprost do bieżącej wody w higieniczny, bezgłośny sposób. Potem wytarł się ręcznikiem i zakręcił kurki.

Sypialnia była pogrążona w mroku. Postawił nogę na brzegu łóżka. Jego własna sypialnia, a nie znał jej zbyt dobrze. Amanda leżała jak

kamień, udając, że śpi. Wiedział, że tak nie jest, bo przez sen zawsze chrapała.

Obudziła się o siódmej. Na zewnątrz zalegała gęsta, letnia mgła. Gdy podeszła do okna, zobaczyła fragment ściany pubu, dalej widziała drogę. Stała i patrzyła, dwoje dziwnych, błyszczących oczu spoglądało poprzez mleczny tuman. Z mgły wyłonił się ciemny kształt. Później jeszcze jeden. Dwa czarne rolls-royce'y przyjechały drogą i zatrzymały się na dole.

Dwadzieścia minut później nadeszła Cheta ze śniadaniem z miejscowej kuchni.

Scarabeidzi zaczęli się krzątać.

O wpół do dziewiątej Cheta i Michael wsiedli do drugiego rollsa. Erik, Sasha, Miranda i Rachaela usadowili się w pierwszym. Szyby były zaciemnione.

Przystojny właściciel pubu podszedł szybko do drzwi samochodu. Przyniósł im kosz z jedzeniem i kilka butelek szampana, zbytecznych w podróży. Tak rozpaczliwie zabiegał o ich względy, że Rachaela zastanawiała się, czy nie rzucić mu patyka, żeby mógł zaaportować.

Scarabeidzi nie interesowali się nim specjalnie. Byli uprzejmi i nieobecni duchem.

Kierowca samochodu był tylko cieniem za przydymioną szybą i nie przeskadzał im w rozmowie. Rolls przypominał luksusowy karawan.

Rachaela zastanawiała się, czy będą ze sobą rozmawiać: Erik, Sasha, Miranda i ona sama. Jednak zaraz zasnęła.

To była długa podróż. Zatrzymali się raz w południe i potem dopiero pod wieczór. Witają ich za każdym razem inny, szaro ubrany mężczyzna, i prowadził do oddzielnej, schludnej salki, gdzie jedli lunch lub spóźniony podwieczorek. W czasie posiłków Scarabeidzi kłócili się i wcale nie przejawiali zdrowego apetytu, który przypisywała im Rachaela. Może powodem był smutek, a może niedogodności podróży.

Rachaela także czuła niepokój podczas posiłków.

I ona była Scarabeidem.

— Dokąd jedziemy? — zapytała na drugim postoju.

— O wszystkim pomyślano — odparł Erik.

— Na jakiś czas zatrzymamy się w hotelu — wyjaśniła Sasha.

— Wszystko będzie dobrze — dodała uspokajająco Miranda. Kiedyś lubili rozmawiać, ale teraz stracili swą wewnętrzną spójność. Byli jak kawałki duszy rozprysniętej w przestrzeni.

Nikt nie powiedział nic więcej.

Po podwieczorku, tak samo jak po lunchu, wrócili do samochodów. Nikt nie tknął szampana ani koszy z jedzeniem.

Przez ciemne, zielonkawe szyby zaglądała jasność dnia. Widzieli długie odcinki szosy to pnącej się w górę, to znów opadającej. Drugi samochód jechał za nimi, ale obydwaj stanowiły jakby jedność. Może Michael i Cheta zostawali z tyłu na wzniesieniach, ale Rachaela nic takiego nie dostrzegła.

Kolejne wzgórza pojawiały się na horyzoncie. Drzewa wyrastały na poboczu. Słońce zachodziło brązowym blaskiem na szybach.

Scarabeidzi wydawali się mali, smutni i osamotnieni.

Nigdy nie winili Rachaeli za to, że pozwoliła na ucieczkę Ruth z poddasza, na którym ją zamknęli. Nie powiedzieli, że pożar domu i śmierć w płomieniach to była jej wina. Jak się wydawało, rozpoznali w Ruth demona.

Ani słowem nie wspomnieli o Adamusie.

Gdy w zaciemnionych oknach nastąpiła noc, Rachaela nie spała. W milczeniu dotarli do hotelu.

* * *

Hotel zbudowano w XVIII wieku. Jego wieżyczki wychylały się z otaczających budynek kasztanowców, błękitnych modrzewi i cisów. Dziesięciometrowa araukaria rozpościerała swą koronę nad ogrodem.

Miało się wrażenie, że prócz nich i niewidocznej służby nie było w hotelu nikogo.

Scarabeidzi zajmowali szeroką, krętą przestrzeń, obejmującą mniej więcej pół piętra. Pokoje były urządzone w osiemnastowiecznym stylu, utrzymane w tonacji brązu, migdałów i wody z Nilu. Z okien zwisały ciężkie zasłony, ale w pewnych porach dnia tu i ówdzie przebłyskiwało światło słońca.

Wśród tych złotych przedmiotów Scarabeidzi zachowali pewien rytualny nastrój. Rzucili wyzwanie słońcu. Teraz mogli go unikać, lecz jak wszystkie niebezpieczeństwa nie mogło przemknąć nie zauważone.

Zegary w pokojach wskazywały dokładny czas.

Rachaela nie zadawała Scarabeidom żadnych pytań.

Odpoczywała. Czytała książki i posyłała po następne. Sypiała do późna, a czasami jeszcze po południu uciniała sobie drzemkę. Wieczorami siadywała przy oknie, obserwując księżyc wędrujący przez park.

O świcie gołębie gruchały na araukarii. Kiedyś lis przebiegł wśród krzewów. Wtedy pomyślała o Ruth, choć lepiej było nie przypominać jej sobie. Rachaela poniechała tej myśli.

Jestem Scarabeidem.

Tak naprawdę nie wierzyła w to, lecz nie była w stanie ostatecznie odrzucić tej prawdy.

* * *

Lato przechodziło w jesień.

Rachaela zastanawiała się, czy Scarabeidzi zamieszkali tu na stałe. Przemysliwała o wyjeździe, lecz nie wiedziała dokąd.

Co się stało z jej mieszkaniem w Londynie? To było zbyt skomplikowane. Dni płynęły jak zwiędłe liście, żółknące i opadające na wietrze.

Przebywanie w hotelu niszczyło poczucie czasu, chociaż wewnątrz budynek był nowoczesny. W pokojach grzejniki czekały na nadejście chłódów.

Chłody niebawem nastąpiły.

Wiały ostre wiatry, a drzewa traciły liście. Araukaria była teraz jak pajak ze ściśniętymi odnóżami. Trawa zbłękitniała od mrozu.

Obsługa hotelowa miała tylko jedno zadanie: dostarczać im czystą pościel, ręczniki, mydło, posrebrzane talerze, kieliszki i szklanki.

Każdego dnia pojawiały się świeże kwiaty, dobrane stosownie pod kolor pokoi. Błękitne irysy, lśniące lilie, żółte róże, nierzeczywiste kwiaty o nieznanym nazwach.

W łazience Rachaeli były szampony, odżywki, woski, emulsje, peelingi, perfumy, olejki, kremy i żele.

Rzy miódowego papieru do pisania leżały w orzechowym biurku w jej pokoju. Także koperty i dwa rzędy znaczków pocztowych na listy lotnicze oraz wieczne pióro. W bibliotece stały encyklopedie,

słowniki, dzieła Szekspira, Trollope'a, Dickensa, Jane Austen i George'a Elliota. W drugiej — eleganckie wydania współczesnych powieści i opowiadań.

Nie brakowało również aparatury stereo z radiem, odtwarzaczem i kasetami z muzyką współczesną i klasyczną.

Oprawiona w cielecą skórę książeczka okazała się przewodnikiem po hotelowej bibliotece i taśmotece.

Erik, Sasha i Miranda włączali telewizory i siedzieli przed nimi, wpatrując się w nie w samotności.

Rachaela nastawiła muzykę. Wyszła do ogrodu. Nie spotkała nikogo w rosarium ani wśród krzewów przyszyżonych w kształt pawy i piramid, ani wśród drzew.

W niektóre poranki z odsłoniętej ścieżki wśród rododendronów zauważała, że otwiera się przed nią widok na rozległe pola, turkusowe dale, a czasami przestrzenie bez kształtu i koloru jak ze snu.

Nie wiedziała, gdzie są. W każdym razie gdzieś z dala od morza.

— Spędzicie tu całą zimę? — spytała Sashę.

— Tak — odparła Sasha — dom nie jest jeszcze gotów.

Dom. Czy go odbudowali? Rachaela nie mogła zdobyć się na odwagę, żeby o to zapytać.

Każdy ze Scarabeidów miał swój oddzielny pokój, telewizor, radio i książki. Rachaela czuła się jak dziecko. Melancholia i bezpieczeństwo — nie mogła w inny sposób określić swego nastroju. Zagubienie w tęsknocie.

Na Boże Narodzenie Michael i Cheta udekorowali ściany jemiołą. Obsługa przysłała choinkę ubraną złotymi bombkami i czerwonymi kokardkami.

Wieczorem podano kolację. Głównym daniem był nie indyk, ale wielki, pieczony udziec z sosem i owocami na gorąco, po tego kapusta z rodzynkami, tłuczone ziemniaki oraz coś, co przypominało wyglądem czarne kielbaski, a na deser słodki pudding. Pili ciemne wino z omszałych butelek w wiklinowych koszyczkach.

Gdy posiłek dobiegł końca, Erik zaintonował modlitwę. Przynajmniej Rachaeli wydawało się, że jest to modlitwa. Padały słowa w obcym języku — rosyjskim, rumuńskim albo jeszcze innym. Michael i Cheta stali i mamrotali w odpowiedzi. Rachaela siedziała w milczeniu.

Potem Sasha, Miranda i Erik ofiarowali sobie nawzajem upominki. Były to drobne przedmioty: haftowane chusteczki, porcelanowe figurki pozawijane w bibułkę. Cheta i Michael także otrzymali niewielkie pakuneczki, ale ich nie odwinęli. Rachaela też została obdarowana, kiedy przysłała jej kolej. Niepewnie trzymała w dłoniach małą paczuszkę. Nie sądziła, że będą prezenty, i sama nie przygotowała żadnego.

— Wiecie, że na to nie zasługuję.

— Oczywiście, że zasługujesz — odparła Miranda.

— Nie, wcale nie. Jestem waszą klęską.

— Nie mów o tym — przerwała Sasha. — Przynajmniej dziś wieczorem.

— Odwiń papier — polecił Erik.

Nie wyglądali tak jak zwykle. Każde z nich przebrało się w sposób, mający odzwierciedlać odrębną osobowość. Strój Sashy wyrażał jej gwałtowność, Erika władczość, Mirandy łagodność.

Rachaela odwinęła biały, lśniący papier. W środku był srebrny pierścień z wypolerowanym rubinowym sercem. Kamień był bardzo stary i najwidoczniej bezcenny.

— Nie możecie mi tego podarować.

Twarz Mirandy ściągnęła się spazmem nadchodzącego płaczu. Rachaela poczuła, jak ścisną ją się serce. Sasha zmarszczyła czoło.

— Należał do Anny — powiedział Erik. — Miranda zabrała go z domu.

Rachaela nie odczuwała nacisku z ich strony. Do niczego jej nie zmuszali. Przeminał Adamus, ciemny grot ich namiętności, ciągłość i nasienie rodu.

Pierścień był tylko prezentem.

Nałożyła go na mały palec, bo nie pasował na żaden inny. Może kiedy będzie już stara...

— Jest piękny...

Ruth uwielbiałaby ten pierścień. Twarde, zimne srebro i rubin jak krew.

Erik wstał, Michael i Cheta zaczęli sprzątać ze stołu, zostawiając tylko wino. Telewizor nie został włączony.

Coś miało się wydarzyć.

Erik, który przedtem przewodniczył modlitwie, teraz zaprowadził ich do okrągłego stolika stojącego pod jednym z zasłoniętych okien.

Michael przygotował cztery krzesła dla Erika, Sashy, Mirandy i Rachaeli. Później Cheta rozłożyła na stole koło z kart. Były zrobione z cieniutkich deszczulek, a na każdej widniał namalowany znak. Po chwili Rachaela zorientowała się, że były to litery nieznanego jej alfabetu.

Michael postawił na środku stolika odwrócony puchar i wycofał się.

Razem z Chetą zaczęli gasić ozdobne kinkiety w jadalni.

Zapadła ciemność.

Miał zacząć się seans.

— Nie możecie mnie w to wciągać — zaprotestowała Rachaela.

— Musimy — stwierdziła Sasha. — Anna życzy sobie tego — dodała zaraz.

Anna. Chyba matka Adamusa, czyli babka Rachaeli. I Ruth. Anna z sercem przebitym drutem do ręcznych robótek.

— Ale ja nie mogę — powiedziała Rachaela. Czekali.

Gdy nie podeszła, a nawet nie wstała, Erik położył na pucharze wskazujący palec prawej ręki. Po nim Sasha i Miranda. Krąg Scarabeidów zacieśnił się, a ostatnia lampa zgasła.

Krzesło zatrzeszczało, gdy Michael siadał w rogu koło Chety.

Rachaela położyła jednak swój palec na szkle obok palców Erika, Sashy i Mirandy.

Nastąpiła chwila skupienia i oczekiwania.

Nie poskutkuje. Bo niby dlaczego powinno?

Kielich zadrżał i zaczął się poruszać.

To oni nim poruszają.

Być może widzieli w ciemnościach panujących w pokoju, ale Rachaela nie mogła prawie nic zobaczyć. W końcu jakoś zdołała dostrzec szkło, biały przedmiot wędrujący po lśniąącym stoliku.

No, dobrze. Pozwólmy im się tym bawić, jeżeli sprawia im to przyjemność.

Puchar wskazywał słowa, ale ona nie potrafiła ich zrozumieć. Erik wypowiadał je w innym języku, choć nie w tym, w którym przedtem wygłosił coś w rodzaju modlitwy. Później Miranda coś mruzczała. Imię? *Stefan?*

Puchar rzucił się naprzód.

Zadrzał, jak gdyby wibracjami pochodzącymi z odległości tysięcy kilometrów.

Niczego sobie nie wyobrażaj.

Adamus pił jej krew w ciemnościach. Leżał na niej, ciało na ciele, tak dawno temu. Adamus.

Coś ścisnęło Rachaelę za gardło jak szloch lub początek orgazmu.

Nie może zostać zmuszona do posłuszeństwa. Już nie.

Puchar poruszał się z piskiem.

Podniosła rękę, a kielich przesunął się po stole, jakby czerpiąc energię z jej dłoni.

Pozwoliła palcom opaść z powrotem na brzeg naczynia.

Scarabeidzi byli teraz spokojni, słyszała tylko ich skupione oddechy.

W pokoju pojawiło się światło. Ktoś zapalił lampę? To nie była lampa. Znajdowała się za nisko.

Nie tracąc fizycznego kontaktu z pucharem, Rachaela rozejrzała się. Przy ścianie żwawo zabłysnął ognek. Zaraz pojawił się drugi, jak powoli podkręcany gazowy płomyk. Lampa na suficie, na środku pokoju, pękła z głuchym brzękiem. Szkło rozprysło się po dywanie.

Scarabeidzi nie zwrócili na to uwagi.

Nagle odezwało się stukanie i szum wody, najwidoczniej z łazienki na korytarzu. Z każdego kąta rozlegały się odgłosy strachu.

Ciężkie uderzenia, niewyraźne głosy. Hotelowy salonik ożył. Dywan falował, obrazy się rozkołysały.

To nie może być realne. Energia duchów. Poltergeist.

Jedno z krzeseł rozdarło się jakby rozplątane mieczem. Sprężyny i wyściółka unosiły się do góry i opadały jak puch z dmuchawca.

Puchar znieruchomiał.

Rachaela drżała. Ani ze strachu, ani z emocji; czuła, że coś z niej uchodzi.

Zdjęła dłoń z pucharu, wstała i podeszła do stołu jadalnego. Michael już tam na nią czekał, nalewając kieliszek wina. Bezwiednie roześmiała się. Ku swemu zdumieniu usłyszała śmiech Sashy, gwałtowny i spazmatyczny. Później obie zamilkły.

Rachaela stała przy uprzątniętym stole, na którym było tylko wino. Patrzyła, jak Scarabeidzi wychodzą po kolei z pokoju.

Cheta zapaliła lampę. Powoli, powoli źródła energii przestawały promieniować.

— Całkiem spore zniszczenia — powiedziała Rachaela do Michaela.
— Mam nadzieję, że obsługa posprząta wszystko, nie zadając pytań.
— Tak, panno Rachaelo.

Zegar z brązu stracił wskazówki. Odpadły i wylądowały na podłodze. Tarcza była pusta. Rachaela pamiętała wszystkie zepsute zegary w domu Scarabeidów. Zegary, które śpieszyły się albo szły do tyłu.

Kiedy wróciła do swego pokoju, stwierdziła, że obrazy pospadały ze ścian, a lustro rozprysnęło się, tworząc lśniący dywan na podłodze.

W łazience panował potworny bałagan. Żele i szampony eksplodowały, kurki z kranów poodpadały, woda tryskała na sufit, a później w niewytłumaczalny sposób traciła impet, żeby spływać łagodnie do wanny i sedesu. Pasta do zębów wiła się esami–floresami jak biały, długi wąż.

Rachaela patrzyła na to bez strachu i zdziwienia.

W szufladzie biureczka papier i znaczki zamieniły się w konfetti. Otworzyła mały przybornik do szycia. Dwie igły skrzyły się wokół siebie jak sprężyny.

Na stoliku przy łóżku pozostały nie zniszczone, pokryte rosą kwiaty. Pąki rozwinęły się szeroko jak skrzydła motyla, rozsiewając czysty, mocny aromat.

Ruth nie spała w podkoszulku.

Wcale nie spała.

Pokój gościnny Millsów urządzony był w kolorze kawy z mlekiem. Ściany miały lekki odcień różu. Przy kawowej umywalce wisiał śmietankowy ręcznik, a mleczna lampa stała obok beżowego łóżka. Na nocnym stoliku leżały czasopisma. Szafa na ubrania była pusta. Białoróżowe stopy Ruth spoczywały spokojnie na czekoladowo-białym dywanie. Patrzyła na nie.

Siedziała na łóżku nieruchomo, do czasu aż ustały wszystkie odgłosy ludzkiej aktywności. Potem zgasiła lampę i pozwoliła swym oczom przywyknąć do ciemności. To było łatwe, pochodziła przecież ze Scarabeidów.

Po ciemku wyszła z pokoju i ruszyła wzdłuż korytarza, szczupła i zwinna jak łasica. Zeszła na dół.

Słaba, nieziemska poświata latarni ulicznych majaczyła przez szyby drzwi wejściowych.

Ruth nie potrzebowała tego światła, żeby znaleźć kuchnię.

Pokryta kafelkami podłoga była zimna. Urządzenia i meble wyglądały niesamowicie.

Ruth sięgnęła do wieszaka umieszczonego wygodnie nad miedzianym młynkiem do kawy i wybrała najdłuższy, najostrzejszy nóż.

* * *

Dziewczyna siedząca po przeciwnej stronie stołu była ubrana w czarną sukienkę do kostek. Włosy miała zebrane wysoko i spięte diamentową spinką. Gdy kelner postawił przed Clive'em cielęcinę, wskazała na nią i powiedziała chłodno:

— Nie może się pan spodziewać, że mój mąż zje coś takiego. To jest z gumy.

W tym momencie drzwi się otworzyły. To nie było wejście do restauracji, tylko do sypialni. Clive pomyślał, że pewnie Amanda wraca z łazienki. Zawsze musiała mieć pewność, że udało jej się go obudzić.

Jednak nie, Amanda chrapała leciutko po drugiej stronie łóżka. Przez sekundę Clive'owi przyszło do głowy, że Tim wszedł, tak jak to robił w dzieciństwie, szukając ukojenia po nocnym koszmarze. Czasami chłopiec nalegał, żeby pozwolili mu położyć się razem z nimi, co było okropnie uciążliwe.

Oczywiście to nie mógł być Tim.

Clive podniósł się na łokciu i przechylił w kierunku nocnej lampki. Nagle zobaczył tuż przed sobą dziewczynę Tima niby długowłosa cień.

— Co... — zaczął Clive.

— Nie — przerwała mu miękko dziewczyna, więc nie dokończył swego pytania. Potem pochyliła się do przodu, zamachnęła się ramieniem i podcięła mu gardło.

Clive wydawał straszliwe odgłosy, ale dławił się krwią, która głużyła dźwięki. Wydawało się, że chrapie podczas drzemki. Najprawdopodobniej dlatego Amanda nie obudziła się, tylko mruknęła coś z irytacją przez sen.

Gdy zalany krwią Clive opadł na łóżko, Ruth obesła je dookoła. Uniosła podbródek Amandy i dokładnie rozkroiła. Nóż był wystarczająco ostry, żeby ciąć mięso i surowe warzywa, więc łatwo poradził sobie z szyją pani Mills. Możliwe, że Amanda obudziła się tuż przed śmiercią, lecz jeżeli nawet tak było, to i tak o wiele za późno.

Nic nie zakłóciło panującej w domu ciszy.

Ruth stanęła w ciemnościach, patrząc na swe dwie ofiary.

Nauczyła się zabijać dzięki filmom grozy. Nie wymagało to wielkich umiejętności, jedynie decyzji i siły, a tego miała pod dostatkiem.

Millsowie nie byli wampirami, więc nie potrzebowała przebijać ich kołkami.

Ona oczywiście była wampirem, przecież pochodziła ze Scarabeidów.

Napiła się najpierw krwi Amandy pożądliwie, łapczywie. Potem powróciła na drugą stronę łóżka, do Clive'a. Gdy nasyciła się krwią obojga, przeszła lekko przez pokój, cicho zamykając za sobą drzwi.

Na korytarzu panowała bezosobowa cisza właściwa nowoczesnym domom, w których ogrzewanie jest wyłączone, a kąty nie kryją żadnych tajemnic. Nie można było tego porównywać z murami starych domostw, które jak śpiące zwierzęta mościły się zasypiając, tykały, mruczały, wzdychały.

Ruth doszła do drzwi Timothy'ego i otworzyła je. Pamiętała dokładnie rozkład pokoju, ale na wszelki wypadek wołała jeszcze raz dokładnie spojrzeć.

Timothy leżał na wznak. Gdy weszła, uniósł ciężkie powieki.

Pomyślał, że śni. Ale to nie był sen. Chryste, ona wymknęła się z pokoju, żeby przyjść do niego. Uważał, co prawda, że jest pociągająca, ale dał za wygraną. Po klęsce, jaką zakończył się wieczór, nie miał już na nic nadziei.

Rozbudził się zupełnie i usiadł.

— Zamknij drzwi — syknął do dziewczyny.

— To bez znaczenia — odparła Ruth.

— Jezu, nie podnoś głosu.

Uliczna latarnia przeświecała przez zasłony, dając mu możliwość przyglądania się dziewczynie, choć było ją widać niezbyt dokładnie. Teraz, gdy przesunęła się w jego kierunku, zdał sobie sprawę, że trzyma coś w ręce.

Co to może być?

Znajdowała się już blisko niego, kiedy zrozumiał, że to nóż kuchenny, na dodatek mokry.

Instynkt kazał mu wyskoczyć z łóżka. Stopy zaplątały się w puchową kołdrę i potoczył się po dywanie. Zanim zdołał poderwać się na nogi, dziewczyna obróciła się i spadła na niego.

Timothy krzyknął.

Wrzasnął głośno i dramatycznie. Dzień był deszczowy, a okno zamknięte. W domu nie pozostał nikt, kto mógłby go usłyszeć.

Kiedy spróbował zrzucić ją z siebie, zraniła go w ramię i rozorała twarz, zanim nóż rozdarł mu szyję. Osunął się na pastelową ścianę, brudząc ją swoją krwią.

Ruth łyknęła jej tylko odrobinę. Nie była już spragniona. Zostawiła nóż obok Timothy'ego. Przestała go potrzebować.

* * *

Dochodziło dziesięć po trzeciej, gdy Ruth w kuchni na dole smażyła sobie jajka na teflonowej patelni.

Przedtem jednak przeszła przez dom, ostrożnie penetrując te miejsca, które mogły być dla niej interesujące. Zapaliła kilka świec, by łatwiej było przeszukać szafy i szuflady.

Z komody Amandy Ruth wzięła dużą, brązową zamszową torbę na ramię. Zapakowała do niej różne rzeczy. W szafie Amandy znalazła paczkę nie używanych bawełnianych fig i kilka par rajstop w celofanowych torebkach. W pokoju Timothy'ego leżały nowe dżinsy i trzy czarne, gładkie podkoszulki. Nie interesowały ją bluzki mające jakiegokolwiek zdobienia. Natknęła się na skórzaną kurtkę Timothy'ego. Okazała się nieco za duża, ale ostatecznie nadawała się dla niej. Zatrzymała też trampki.

Bizuteria Amandy nie miała dla Ruth żadnego uroku. Ani książki, ani muzyka, na jaką trafiła w tym domu, nie wydawały jej się atrakcyjne.

W portfelu Clive'a odkryła zwitek banknotów, a gdzie indziej kupkę jednofuntowych monet. Zignorowała plastikowe karty kredytowe i stertę drobniaków na tacce. W biurku Timothy'ego też znalazła trochę dziesięcio- i dwudziestofuntowych banknotów, a prócz tego bezużyteczne drobne i karty Visa. Jeżeli Amanda miała pieniądze, to musiała je gdzieś dobrze schować.

Ruth wzięła z salonu jeden niewielki przedmiot. Zielone, szklane jabłko.

Z dużej łazienki zabrała pastę do zębów, dezodorant Amandy, nie rozpakowaną kostkę mydła, trochę chusteczek, waty i owalne lustro. W kuchni Ruth zapaliła wszystkie światła i przede wszystkim przygotowała sobie kanapki z pełnoziarnistego chleba i połówki kurczaka na zimno z lodówki, dodając pikle do przybrania. Jedzenie zapakowała do plastikowych torebek i razem z litrową butelką coli wsadziła do pudełka śniadaniowego.

Wreszcie naląła sobie dużą porcję dżinu i dołąła toniku.

Nie mogła znaleźć bekonu, ale wrzuciła trzy jajka na olej słonecznikowy przeznaczony do smażenia, podsmażyła pięć pomidorów i otworzyła sobie jeszcze puszkę fasoli. Przyglądała się kiedyś Emmie Watt, potem Checic i Marii, a jeszcze później również innym, podczas gdy dawno temu przyrządzali sobie jedzenie. W ten sposób poznała podstawy gotowania. Tak samo nauczyła się metod zabijania.

Zjadła śniadanie biorąc sobie na koniec paczkę daktyli i ostatnie jabłko z patery na owoce. Wypiła trochę soku pomarańczowego, a pełny kartonik wsadziła do swojej torby.

Jeszcze nie nastał dzień, ale już zaczynało świtać.

Jaskrawe uliczne latarnie za oknami stały jak na posterunku, niczego nie widząc.

Ruth wzięła z kuchenki patelnię ze stygnącym olejem. Założyła na rękę żółto-brązową rękawicę ochronną i poszła po zapalki leżące na kuchennym blacie. Zapaliła zapalną i wrzuciła ją do oleju.

Patelnia zapłonęła słabym, błękitnym płomieniem.

Ruth wyniosła swoje nowe ubranie i torbę do holu. Potem wróciła po patelnię.

Weszła do jadalni i dotknęła niebieskim ogniem siedzeń krzesel i frędzli u lamp.

Wyszła, zostawiając drzwi otwarte i udała się do salonu. Rozlała płynący tłuszcz na sofę, chlapnęła na zasłony i do kominka.

Nic więcej nie było trzeba. W każdym pomieszczeniu słabe początkowo zarzewie rozpałało się coraz bardziej. Ogień był szybki.

Ruth znowu wyszła do holu.

Tam zawahała się chwilę. Potem podeszła do kwiatów umierających przed lustrem i im także ofiarowała pocałunek płomieni. Wytrysnęły w górę piękne, błękitne i szafranowożółte, jakby do kwiatów znów wróciło życie. W lustrze ukazała się Ruth jej własna twarz w płomieniach.

Odstawiła wciąż palącą się patelnię na dywan w holu.

Zdjęła rękawicę Amandy, włożyła kurtkę i podniosła torbę.

Dom, który niegdyś należał do Emmy, wypełniały teraz odgłosy pęknięcia tkanin, cichych trzasków i sapań ognia.

Ruth wyłączyła światło w holu. Jasność ognia wzięła górę, pradawna i piękna, taka jaką pamiętała.

Otworzyła frontowe drzwi i znalazła się na zewnątrz. Zamknęła je delikatnie i zeszła po schodkach.

Przy końcu ulicy obejrzała się.

Dom jeszcze nie stał w płomieniach, tylko połyskiwał, migotał, jak gdyby pełen trzepotania żółtych skrzydełek. Jednakże jego jasność zaczęła gasić światła ulicznych latarni.

Fałszywy świt.

Wiosna zawitała do hotelu falą soczystej zieleni, ukazującymi się na trawnikach krokusami i pierwiosnkami oraz narcyzami pod drzewem araukarii. W różanym ogrodzie hasały wiewiórki. Olbrzymie kasztanowce były obsypane kwieciami, które wyglądało jak wyrzeźbione z jaspisu.

Scarabeidzi podnieśli głowy, jakby rozbudzili się ze snu zimowego.

Pewnego ranka w okolicy ozdobnie strzyżonych krzewów Rachaela spotkała Erika.

— Bywały ogrody podobne do tego — powiedział. — Kiedyś. Zabrzmiało to tak, jak gdyby te tutaj, pieczołowicie pielęgnowane, stanowiły iluzje lub wspomnienie.

Poszli razem w dół, nad staw, gdzie jak upiorna ektoplazma pływał żabi skrzek.

— Wkrótce przeniesiemy się do domu. Długo musieliśmy na to czekać.

— Czy masz na myśli dom nad morzem? — spytała.

Erik zapatrzył się w dal na poranny tętniący życiem krajobraz.

— Nigdy tam nie wrócimy — powiedział. — Już nigdy.

Więc nie chodziło o dawny dom.

— To jakiś nowy dom — raczej stwierdziła, niż spytała.

— Oczywiście, stary budynek, ale w Londynie.

Jej zdumienie graniczyło z przerażeniem.

— Tylko... tylko, czy spodoba wam się w nim?

— Będzie nasz. Będzie należał do nas.

— Czy to znaczy, że i ja jestem brana pod uwagę?

Spojrzał na nią.

— Na to wygląda. Czas zaciera znaczenie uczynków.

— Nie, niczego nie zaciera, ale jeżeli już o tym mówimy, to była wasza wina. Scarabeidów. Wydanie mnie za Adamusa i poczęcie Ruth...

— Nie mów o Ruth.

W jego tonie nie było gniewu, mówił głosem pozbawionym wyrazu.

— W Londynie powinnam was opuścić.

— Życzymy sobie, byś pozostała z nami. Czyż jest inne wyjście?

— Ja... my musimy zastanowić się nad tym.

Erik skinął głową. Spojrzał w głąb stawu. Przewidywane życie drgało, pływając pomiędzy liśćmi nenubarów.

Po chwili zostawił ją, znikając wśród krzewów wystrzyżonych jak piramidy.

W tydzień później na podjeździe przed hotelem zatrzymały się dwa olbrzymie rolls-royce'y.

Scarabeidzi odjechali w południe, a Rachaela razem z nimi. Opuuszczając hotel czuła się wyprowadzona z równowagi.

Jej myśli nieustannie powracały do zimowego poranku. Poranku po seansie. Wyszła do ogrodu, a kiedy wróciła, wszystko było tak jak dawniej. Czarodzieje zrobili idealny porządek: oczyścili ściany, zawiesili obrazy i przytwierdzili lustra oraz krany w łazience na dawnych miejscach. Nawet papier listowy, igły i pasta do zębów znalazły się tam, gdzie powinny.

Tutaj, w hotelu, byli bezpieczni. Nie musieli lękać się samych siebie.

A ona była jedną z nich, lecz czy naprawdę? W świecie zewnętrznym chciała być sobą.

Podróż nie okazała się tak długa, jak Rachaela oczekiwała. Rollsy pędziły autostradami w kierunku stolicy i przed zachodem słońca dotarły na miejsce.

Na tle rozżarzonego nieba, którego jasności nie były w stanie przytłumić przyciemnione szyby samochodów, zobaczyła osiedle. Drzewa i szerokie połacie łąk w samym środku aglomeracji, dziki łąd we wnętrzu butelki.

Zaskoczyła ją stosunkowo nieduża odległość. Patrzyła na Erika, Saszę, Mirandę, Michaela i Ghetę. Poniżej, u stóp domostw ludzi zamożnych, lecz widocznie nie aż tak bardzo bogatych jak Scarabeidzi, leżała jedna z dzielnic Londynu ze swoimi sklepami i domami towarowymi, bibliotekami, lokalami, wieżami kościołów. Zadymione centrum górowało nad tym wszystkim, lecz Londyn był stary i nie należało o tym zapominać.

Ten dom wcale nie przypominał poprzedniego, choć był podobnie wykończony. Tylko okna zdobił wzór z rombów zamiast cytatów z biblii.

Kolumny w holu podtrzymywały postaci cudownych kobiet o różoworudych włosach, odzianych w długie suknie i dzierzących w

dłoniach harfy. Schody rozdzielały się na półpiętrze, by biec w górę wzdłuż dwóch ścian. Witraż pośrodku przedstawiał minstreli i flamingi.

Nikt ich tu nie powitał. Rollsy odjechały. W każdym pokoju zainstalowano aparaturę i telewizory. W wielkim głównym holu u stóp schodów, utrzymanym w biało–złotej tonacji, stał telefon koloru kości słoniowej.

Rachaela podeszła śmiało i podniosła słuchawkę. Usłyszała sygnał. Lecz do kogo miałyby zadzwonić?

Miranda podążyła za nią do pokoju. Jej obecność onieśmiała Rachaelę od czasu, kiedy szlochały w swoich ramionach.

— Spójrz, Rachaelo, na pewno przypadnie ci do gustu.

Pokój był w odcieniu gołęzim. Miękka, słodka szarość wzbogacona barwą bursztynu. Łóżko i krzesła na tle głębokiej zieleni sosen widocznych za oknem. Dalej biała łazienka z zabytkowym wykończeniem i szmaragdowym oknem.

Okno, które nadawało charakter pokojowi, przedstawiało jasną kobiecą postać o złotych włosach i skrzydłach, która wznosiła ręce do fruujących wokół niej gołębi. Okazało się inne niż tamto ukazujące „Kuszenie”, Ewę, jabłko i węża. Okno nowego pokoju było świetliste, romantyczne i nie zawierało żadnej symboliki, być może. Stało otworem.

— Okno — powiedziała Rachaela.

— Możesz wyjść i rozejrzeć się po okolicy — odparła Miranda.

W drzwiach pojawiła się Sasha.

— Musisz uważać w nocy — stwierdziła. — Na nietoperze.

Absurdalność uwagi, że skrzydlate stworzenia z podań o wampirach znajdują się w sercu Londynu, sprawiła, iż Rachaela roześmiała się głośno. Potem, tak samo jak kiedyś, dołączyła do niej Sasha. I jeszcze Miranda.

Wszystkie trzy zanosily się od śmiechu.

— Czy kolory ci odpowiadają? — spytała Miranda.

— Tak, tu jest cudownie.

— Zostań.

Jak gdyby Rachaela zawsze miała wolny wybór.

Oczywiście, teraz już miała.

Scarabeidzi usidlili ją. Sprawili, że mieszkała z nimi. Zawsze tak uważała. Mimo to w rzeczywistości zaprosili ją. To również stanowiło pułapkę w ich sieci. Adamus czekał na nią. Czyhał wewnątrz sieci. Uwiódł ją. Z tego związku powiła Ruth. Później sieć rozdarła się w strzępy.

W hotelu grywała w szachy z Erikiem. Uczył ją, choć nigdy właściwie nie pojęła reguł. Zaintrygowały ją figury: rzeźbione królowe i królowie w czerni i bieli, gońcy i wieże, skazane na zagładę pionki.

W nowym domu zachowali ten zwyczaj.

Zwykle rozkładali szachownicę na stole. Dlatego nie rozpoznała go na początku. Pewnego razu spała długo w ciągu dnia. Gdy pod wieczór zeszła na dół, zastała Chetę czyszczącą stół. To był mebel z hotelu, którego użyli w trakcie seansu. Zadrapania na jego powierzchni układały się w osobliwy wzór.

Cheta stanęła z boku.

Rachaela patrzyła z góry na powierzchnię stołu.

Pucharek użyty w trakcie seansu wyrzył na blacie drogę w swej wędrówce od litery do litery. Teraz poznała przyczynę, dla której zachowano stół. Rysy tworzyły obce słowo.

— Cheto — odezwała się Rachaela — co to znaczy?

— Żegnajcie — odpowiedziała od razu Cheta.

Potem przyniosły szachownicę z figurami i ustawiły ją na słowie Pożegnania.

Kiedy Cheta odeszła, Rachaela została sama w pokoju.

Kolacji u Scarabeidów nie było można się spodziewać wcześniej niż za godzinę. Światło wciąż jeszcze wpadało przez wspaniałe okna wychodzące na mury ogrodów, róże i malownicze wzgórza. I przez okno nad stołem, gdzie rycerz klęczał na tle lasu i płonącej wieży.

„Żegnajcie”.

Teraz w mgnieniu oka dostrzegła ich prawdziwą siłę. Och, tak. Wreszcie.

Oni mogli rozkazywać rzeczom, żywiom i ludziom. Samochody we mgle, przestronny hotel, ten dom przygotowany na ich przybycie.

Jak ómy o lampę tŁukli się w nawałnicach życia. Sine, wielkie ómy o oczach z obsydianu. Potężna nawałnica i mali, tak bardzo mali Scarabeidzi.

W sobotę rano, zwykle około pół do jedenastej, przychodził mleczarz. Julie Sawyer czekała na niego, dlatego nawet podczas odkurzenia i słuchania głośno grającej muzyki dosłyszała pukanie.

Kłopot z mleczarzem polegał na tym, że jeśli nie zdołał pobrać należności w sobotę, wracał w niedzielę o szóstej rano. Wtedy zaczynało się walenie do drzwi i awantura. Julie zawsze starała się uniknąć tych nieprzyjemności, ale czasami zdarzało jej się w sobotę zapać. Terry naturalnie był w tej kwestii bezużyteczny, naciągał tylko mocniej kołdrę na głowę i wciskał twarz w poduszkę. Teraz spał w większym z dwóch małych pokoi na piętrze. Choć Julie hałasowała jak tylko mogła, w głębi serca doskonale wiedziała, że ani muzyka disco, ani elektroluks nie są w stanie go obudzić, nawet gdyby czyściła dywanik przed jego łóżkiem i odkurzała mu nad uchem. Mogła też spowodować niezły hałas podczas sprzątania łazienki. Nierytmiczne stukanie butelek z szamponem i płynami do kąpieli, kaskady wody walące się do wanny i zgrzytanie rezerwuaru nie robiły na nim najmniejszego wrażenia.

Sobota była jedynym dniem, który mogła przeznaczyć na sprzątanie, chociaż czasami wołała zająć się zakupami, pójść do pralni samoobsługowej czy wyjść gdzieś z Terrym. Dzisiaj jednak musiała odwalić czarną robotę, ponieważ Terry zaprosił Blackie'ego. Cieszyła się na jego wizytę, ale miały przyjść też Lucy i Jenny. To wzbudzało w niej zawsze mieszane uczucia. Zwykle, kiedy wszyscy się już rozkręcili, nie było tak źle. W rzeczywistości nawet to lubiła. Choć z drugiej strony...

Na głos kołatki, bo dzwonek od dawna nie działał, Julie wyłączyła odkurzacz i odgarnęła z czoła krótkie czarne włosy. Była szczupła i mała, ale miała duży biust i duże stopy. Nosiła poplamione dżinsy i bawełnianą koszulkę. Pozwoliła muzyce dalej grać swoje uspokajające brzdęk, brzdęk, brzdęk i z portmonetką w ręce wyszła do wąskiego holu.

Przez matową szybę w drzwiach nie mogła dostrzec niczego. Czy ten skurczybyk już poszedł?

Julie z impetem otworzyła drzwi. Na progu stało mleko. Nie było ani śladu po przywożącym je wózku. Przeoczyła mleczarza, niech to szlag trafi!

Przed frontowymi drzwiami, za tarasem, był skrawek zielska i skrzynka na śmiecie. Pośrodku tego niby-ogródka stała dziewczyna mniej więcej o dziesięć lat młodsza od Julie, z szopą czarnych włosów.

— Pani Watt?

— Nie — odparła Julie stanowczo.

— Tak — stwierdziła dobitnie dziewczyna — ona tu mieszka z córką.

— Pomyliłaś domy — powiedziała Julie Sawyer. Wykonała gwałtowny ruch kciukiem w kierunku domku w następnym szeregu. Paznokcie miała obgryziona. — Spróbuj zapytać u niej, ona może wiedzieć. Zbudź pukaniem starą krowę i zabierz jej trochę czasu.

Julie miała zamiar zamknąć drzwi, ale dziewczyna postąpiła naprzód. Nosila niezłe ciuchy, szczególnie skórzana kurtka była fajna.

— Przyjechałam z bardzo daleka.

— Naprawdę? Cóż, nigdy nie słyszałam o żadnych Wattach.

— Przyjechałam do Londynu, a potem tutaj.

— Musieli ci dać zły adres.

— To jest ten dom.

— Nie — powiedziała Julie, starając się, aby zabrzmiało to stanowczo — nie jest.

Podsuwane do góry okno otworzyło się nad ich głowami.

Terry z ziemistą twarzą i włosami w tłustych, potarganych strąkach wyrzwał na zewnątrz. To, czego nie był w stanie dokonać warczący odkurzacz i rytmicznie hucząca muzyka, sprawiły głosy za oknem.

— Co się, kurwa, dzieje?

Julie spojrzała w górę rozdrażniona.

— Ona źle trafiła.

Terry przetarł oczy i spojrzał na dziewczynę.

— Nie, wcale nie — uśmiechnął się. — Kogo ci potrzeba, kotku?

— Pani Watt.

— Obawiam się, że nie ma tu żadnej pani Watt. Zrób jej jakąś kawę, Julie. Damy sobie z tym radę — zwrócił się do dziewczyny. — Odcedzę tylko kartofelki i zejść na dół.

Julie zeszywniała. Jej matka zwykła mówić o ojcu: „On traktuje mnie jak służącą”. Julie nie użyłaby tego słowa, ale wszystko sprowadzało się do jednego: cholerny facet kazał jej robić tej dziwce kawę. Jak gdyby nie miała nic innego do roboty!

— Lepiej już wejdz — powiedziała.

— Dziękuję — odrzekła dziewczyna, prześlizgując się tuż obok niej i przekraczając próg.

Miała na imię Ruth, co wydobyl z niej Terry między kolejnymi kubkami kawy.

Odkurzacza stał na samym środku taniego dywanu w jaskrawe wzory. Czwarci, cichy współbiednik, surowo odsunięty, którego nikt oprócz Julie nie raczył widocznie dostrzegać. W kuchni, z której wchodziło się do jedyne go przechodnie go pokoju na parterze, wczorajsze brudne naczynia wysypywały się ze zlewu.

Terry wyszorował sobie zęby i spryskał twarz zimną wodą. Jak zwykle rano wyglądał blade, co Julie kiedyś niebacznie uznała za interesujące.

Tymczasem on i ta Ruth wrąbali całą paczkę ciastek z kremem i wzięli się do czekoladowych miśków, które Julie zawsze oszczędzała.

Ruth przybyła gdzieś z prowincji, znad morza. Pani Watt ją zaprosiła. To było wszystko, co powiedziała o sobie, albo raczej dała z siebie wyciągnąć, gdyż Terry szybko przejął pałeczkę, opowiadając Ruth o nudnym biurze, w którym pracował z nieciekawymi ludźmi. Mówił także o wakacjach nad oceanem, planach wyjazdu za granicę z Julie i Blackie'em oraz o spotkaniu z nowymi przyjaciółmi, które urządzali dziś wieczorem.

Muzyka przycichła. Terry ją przykręcił, ponieważ wyglądało na to, że Ruth w niej nie gustuje.

— Jeszcze trochę kawy? — zaproponował.

— Wiesz, gdzie jest — powiedziała Julie. — Myślę o czajniku. Wstała i podeszła do okna wychodzące go na tyły domu, żeby wyrzucić na kępę chwastów. Na końcu ogrodu rosła jabłonka, a na niej siedział kot, czarno-biały jak sroka.

— Nakarmiłeś kota? — dopytywała się Julie.

— Nie — rzucił Terry, któremu przerwano wynurzenia na temat kornwalijskiego jabłecznika.

— Znowu był u sąsiadki. Przechodzi przez płot.

- Kogo obchodzi, co wyrabia ten cholerny kot.
- Babsko daje mu jeść. Wiesz, jaka ona jest.
- Dzięki temu oszczędzamy na karmieniu.
- Pewnego dnia otruje go — stwierdziła Julie, jakby przeczuwając

kłopoty.

Podeszła z powrotem do wieży i podkreśliła muzykę bardzo głośno.

— Lubię, jak gra, kiedy pracuję — powiedziała Julie.

— Ale teraz nie pracujesz, prawda?

— Muszę skończyć odkurzanie. Poza tym zostały naczynia do zmycia. I łazienka. Pościel też muszę zmienić.

— Babska robota nigdy nie ma końca.

— Masz cholernie dużo racji.

— Więc zostaw to.

— Nie mogę, bo przychodzą twoi kumple.

— Właśnie, przychodzą — powiedział Terry. Popatrzył na Ruth i uśmiechnął się kusząco. — Chciałabyś zostać na przyjęciu?

— To nie jest najlepszy pomysł — zaproponowała Julie.

— Ależ tak — odrzekł Terry. — To znakomity pomysł.

— Jestem pewna, że Ruth musi dotrzeć do pani Watt.

— Przecież ona nie ma pojęcia, gdzie szukać tej pani Watt.

— Mogłabyś zadzwonić do niej, prawda, Ruth?

— Nie mam numeru telefonu — powiedziała dziewczyna.

— Czy to nie dziwne? — spytała Julie.

Terry zrobił minę do Ruth.

— Nie przejmuj się Julie. Przejdzie jej.

— Mogłabym przynieść książkę telefoniczną, żeby poszukać numeru — zaferowała żwawo Julie.

— Musieli zmienić — odpowiedziała Ruth, bynajmniej nie zmieszana. Terry zrobił jeszcze kawy, a Julie włączyła odkurzacz. Krążyła po pokoju, a potem dookoła Ruth. Dziewczyna nie poruszyła się, jedynie oderwała stopy od podłogi i trzymała je w powietrzu do czasu, aż maszyna przesunęła się dalej. Potem Julie zajęła się schodami i robiła przy tym dużo hałasu. Następnie przeszła do sypialni i do pokoju na górze. Terry nazywał go swoją „norą”. Było to ciasne pomieszczenie, które udało mu się zagrabić porozrzucanymi ciuchami, nie dokończonymi modelami samochodów, tanimi wydaniem sensoryjnych książek i puszkami po piwie. Tutaj także pisywał krótkie,

fantastyczne opowiadanka. Kiedy się poznali, jego talent wzbudził podziw Julie, lecz teraz już nie zaprzętała sobie głowy tym, co wypisywał Terry. Wciśnięte w róg pokoju stało polowe łóżko, które również domagało się posłania.

Julie posprzątała łazienkę. Udało jej się odnaleźć wszystkie szczoteczki do zębów i zaprowadzić ład na półce pod lustrem.

Terry chyba zwariował, żeby zapraszać tę panienkę na wieczór. Już od miesięcy uzgodnili, że najlepiej będzie zabawić się bezpiecznie. Mieli swoich stałych przyjaciół, a ta Ruth — co właściwie o niej wiedzieli?

Czy do Terry'ego można było mieć zaufanie? W jego biurze była dziewczyna imieniem Sherry i wcale niewykluczone...

Julie posłała łóżka.

Kiedy zeszła na dół, Terry nadal rozprawiał, a Ruth ciągle słuchała. Siedziała na dwuosobowej sofie w czarnym podkoszulku i džinsach, Terry zaś na podłodze przy elektrycznym kominku. Jego kubek zostawił mokry ślad na obudowie, na dywanie walały się okruchy herbatników.

W czasie kiedy Julie zmywała, Terry wyszedł kupić wino i parę puszek piwa Carlsberg.

W kuchennych drzwiach pojawił się kot i Julie wpuściła go do środka.

— Pewnie teraz muszę cię nakarmić.

Otworzyła puszkę z kocim jedzeniem i postawiła na podłodze. Zwierzę zbliżyło się do pokarmu i jadło, stojąc z ogonem przyciśniętym bojaźliwie do podłogi. Ruth stanęła w drzwiach kuchni.

— Macie kota?

— Tak.

Kuchnia nie była duża i Julie miała nadzieję, że Ruth nie wejdzie do środka. Ocierałyby się o siebie w ciasnocie, a w tym Julie nie gustowała. Kot wybawił ją z kłopotu. Najpierw wyjrzał zza kuchenki, a potem podszedł wprost do Ruth.

— Jak się wabi? — spytała dziewczyna.

— Mohawk — odparła Julie.

Kota nazwał tak Terry. Wtedy to imię wydawało jej się oryginalne, ale było typowe i głupie.

Ruth nie zawołała go jego imieniem. Zamiast tego pochyliła się, przyklękła i pozwoliła zwierzęciu obwąchać swoją dłoń. Kot ocierał się o jej palce, może znalazł w nich coś fascynującego.

Mordkę miał czarną jak węgiel z jedną białą plamką, jakby ktoś chlapnął mu farbą na czoło. Oczy barwy dojrzałej cytryny jarzyły się żółto.

— Ciemni oni byli i złotoocy — powiedziała Ruth.

— Słucham?

— To Ray Bradbury — wyjaśniła Ruth. — Marsjanie w opowiadaniu...

— Aha — zbyła ją Julie. — Terry czytuje fantastykę.

Ruth nie odpowiedziała. Podniosła kota i trzymała go w ramionach; policzek przy gładkim, lśniącym grzbiecie.

Julie poczuła lęk, taki sam, jaki żywiła w stosunku do tej Macdonald, kobiety z sąsiedniego domu. Tej, która uskarżała się na muzykę i stale podkradała Mohawka. Julie pomyślała, że musi częściej zamykać kota w domu. Ale wtedy zwierzę będzie fajdało do wanny.

W końcu Julie z agresywnym „przepraszam” przepchnęła się obok Ruth i podeszła do wieży. Wybrała jedną z najbardziej hałaśliwych taśm, włączyła i podkręciła potencjometr do oporu.

Kiedy rozległ się rytmiczny łomot, podrygiwała przez chwilę zgodnie z taktem, jednocześnie stukając w drewniany stół stojący obok sofy.

Potem rozejrzała się wokół, ale Ruth już nie było. Dziewczyna wyszła z kotem przez tylne drzwi do zachwaszczonego ogródka.

* * *

Zazwyczaj podczas weekendów pani Macdonald zaszywała się u siebie na jak długo się dało. To były momenty, w których wzrastało jej poczucie zagrożenia, szczególnie wieczorami, kiedy po sąsiedzku głośno grała muzyka i przychodzili hałaśliwi goście. Od domu Julie Sawyer i Terry Purvisa oddzielała ją tylko drewniana furka. Łączyła obie działki i prowadziła do ogródka na tyłach siedziby pani Macdonald. Ogródki przylegały do siebie.

Kiedy robiła się ładniejsza pogoda, pani Macdonald nie pokazywała się tam w czasie weekendów. Julie i Terry często wychodzili na

zewnątrz, a czasami robili to także ich znajomi. I jeszcze wynosili ze sobą magnetofon.

Od czasu do czasu jeden typek, na którego wołali Blackie, wyrzucał przez ogrodzenie pani Macdonald puszkę po piwie.

Dzisiaj sąsiadka zaryzykowała ukradkowe wyjście z domu, ponieważ kot wypił całą wodę wystawioną przez nią dla ptaków.

Kiedy wracała ścieżką między hortensjami, spojrzała ponad niskim płotem i zauważyła czarnowłosą dziewczynę z czerwonymi ustami, która stała, trzymając w ramionach kota.

Pani Macdonald zawahała się. Dziewczyna trzymała kota z czułością, aż miło było spojrzeć. Julie Sawyer, nie wspominając już o Terrym Purvisie, nigdy nie obchodziła się ze zwierzątkiem tak delikatnie.

Dziewczyna patrzyła na nią.

— Pani nazywa się Macdonald — powiedziała.

Kobieta znów poczuła strach. Próbowала zrobić srogą minę, ale skończyło się na nerwowym grymasie. Miała sześćdziesiąt pięć lat, wyglądała jednak na dużo starszą. W skrytości ducha uważała, że wykończyło ją sąsiedztwo tej Sawyer i Purvisa. Dom stojący za nimi po drugiej stronie był pusty. Szkoda. Drugi rozjątrzony sąsiad mógłby wspierać panią Macdonald.

— Pani karmi tego kota — powiedziała dziewczyna. — Wysłałam ze względu na hałas — dodała.

Hałas, nazywała to hałasem. Nie tak jak Julie, muzyką. Nawet teraz można było słyszeć ten łomot bez trudu.

— Więc to nie jest w twoim stylu — zagaiła ostrożnie pani Macdonald.

— Och, nie. Ja lubię Prokofiewa, Rachmaninowa i Mozarta. Kot mrucał. Pani Macdonald wyciągnęła rękę nad niskim ogrodzeniem i pogłaskała jedwabistą główkę zwierzęcia, które zamruczało głośniejszym zadowoleniem.

— Kiedyś ją zapytałam, czy nie mogłaby nieco ściszyć. Ale odmówiła — powiedziała w tonie zwierzenia.

— Nie znam ich — wyjaśniła Ruth. — Szukałam pewnej pani, która mieszkała tu przedtem.

Udręczone serce pani Macdonald zgubiło rytm. Przed Julie i Terrym w domu obok mieszkała jej przyjaciółka, pani Weeks. Zmarła

biedaczka pewnego letniego popołudnia, siedząc w swoim cichym ogródku.

— Pani Weeks? — zapytała z nadzieją.

— Nie. Pani Watt — rozczarowała ją dziewczyna.

— Och, kochanie. Wygląda na to, że źle zapamiętałaś adres.

— Tak.

— Może nie powinnam — pani Macdonald zarumieniła się, a jej pomarszczona, woskowa twarz nabrała czerwonej barwy — chyba to nieładnie z mojej strony. Tak, z pewnością nie wypada tak mówić, ale skoro ty nie znasz bliżej panny Sawyer i pana Purvisa, to może się okazać, że nie jest to towarzystwo, które by ci odpowiadało.

W tym momencie przestraszyła się okropnie. Przecież młoda brunetka mogła kłamać. Mogła być postrzelona tak jak Julie i powtórzyć sąsiadom, co o nich mówiła pani Macdonald.

— Zresztą to nie moja sprawa — wycofała się pośpiesznie.

— Pani karmi tego kota — stwierdziła po raz drugi Ruth.

— Tak, kotka jest śliczna. Wołają na nią jakoś śmiesznie, ale ja nazywam ją Wiktoria. Jest taka podobna do mojej ostatniej kotki — Wiktorii—Rodzynka. Ona była tłusciutka i miała takie lśniące futerko. Ta jest raczej chuda. Ale i tak jesteś moją Wiktoria, prawda, kiciu?

Kot, zawołany swym drugim imieniem, wysliznął się wężowym ruchem z ramion Ruth i wylądował na płocie. Wygiął grzbiet i uniósł ogon niczym maszt.

Nagle muzyka runęła na cały ogródek jak winda z zerwanej liny.

Przez otwarte drzwi słychać było głosy Julie i Terry’ego.

— Kurwa, gdzie ona jest?

— W tym cholernym ogrodzie.

— Och, ja tylko... — wybąkała pani Macdonald. Odwróciła się na pięcie i pobiegnęła ciężko do drzwi swego domu.

Mohawk—Wiktoria patrzyła w niebo na lecącego wróbla.

Terry przyniósł rybę i chipsy. Powiedział Ruth, ile kosztowała jej porcja i dodał, iż oczekuje, że dołoży się także do wina.

Ruth otworzyła swą dużą torbę i bez ociągania wręczyła mu dziesięciofuntowy banknot.

— Och, zaraz ci znajdę resztę — powiedział Terry, ale nie znalazł.

Ruth nie upominała się. Może miała zamiar zrobić to później?

Terry spędził popołudnie, według określenia Julie, „robiąc się na bóstwo”. Kiedy skończył, łazienka ociekała wilgocią, a na podłodze kłębił się stos brudnych ręczników. Terry poszedł do ogródka z leżakiem i przenośnym magnetofonem, żeby wysuszyć włosy na słońcu. Puścił tę samą muzykę, którą lubiła Julie, i wkrótce zasnął. Julie wyszykowała się później i poszło jej to piorunem. Zeszła na dół o szóstej w krótkiej zielono–pomarańczowej sukience i zielonych butach na bardzo wysokich szpilkach. W uszach miała kolczyki w kształcie słońca z promieniami. Wyglądało na to, że zaakceptowała obecność Ruth. Zaproponowała dziewczynie kąpiel. Ruth zgodziła się.

Woda nie grzeszyła wysoką temperaturą, ale było to wystarczająco ciepłe popołudnie. Zamknięcie drzwi, a potem przekręcenie klucza w zamku nastroczało mnóstwo trudności, jednak Ruth wyszła z nich zwycięsko. Małe okienko było pozbawione wszelkich zasłonek, więc powiesiła na nim swój podkoszulek.

Julie usiłowała znaleźć kota, kręcąc się po ogródku na swych wysokich obcasach. Chciała zamknąć go w domu, żeby potem, kiedy przyjęcie się rozkręci, nie musiała martwić się, że ulubieniec poszedł do sąsiadki. Kiedy przychodzili goście, kot zwykle chował się w szafie.

Julie nasunęła się pewna myśl, która nieco ją pocieszyła. Wiedziała, że Lucy miała ochotę na romans z Terryem. Z pewnością nie spodoba się jej obecność Ruth. Blackie’emu nowa dziewczyna też nie przypadnie do gustu. Ruth nie była ładna i za bardzo cycata. Blackie nie lubił w tym rejonie szczególnej obfitości u dziewcząt. Sam to kiedyś powiedział.

Kota nigdzie nie było i Julie dała za wygraną. Wróciła do domu, przechodząc obok śpiącego Terry’ego. Jego suche już włosy lekko falowały. Będzie wyglądał całkiem przystojnie aż do wieczora. Może wszystko jest jak trzeba. Gdyby tak otworzyć wino wcześniej? Przez chwilę żałowała, że nie namówiła Terry’ego do ostrzyżenia trawnika.

W kuchni pojawił się kot. Dojadał resztki karmy z puszki, ale Julie nie czekała aż skończy. Złapała go i zaniósła do sypialni. Tam Mohawk od razu wskoczył na parapet.

Ruth stała w drzwiach „nory” Terry’ego. Rozglądała się, jakby czegoś szukając.

— Miałaś przyjemną kąpiel?

— Tak, dziękuję.

— Szkoda, że nie masz ubrania na zmianę.
Ruth wydawało się to wcale nie przeszkadzać.

Tego lata na peryferiach zaryczał smok.

Dźwięk przypominał odgłos motocykla, ale nie dobiegał z dali, od strony drogi. Rachaela wstała i podeszła do okna. Otworzyła je i koncert Rachmaninowa stał się niesłyszalny.

Późne popołudnie kładło się brązowym cieniem między wzgórze. Słońce jak wielki lśniący nagietek świeciło nisko spomiędzy dębów i sosen, oświetlając przestrzeń na lewo od okna.

W dole, gdzieś w gęstwinie drzew, przetoczył się grzmot, potem jak gdyby stracił na sile, by nagle wybuchnąć hukiem.

Poprzez niewielką przecinkę przesunęła się ciemna plama, a gdy słońce padło na metal, można było dostrzec błyski.

Wreszcie ukazał się mechaniczny pojazd wtaczający się na wznórze coraz bliżej i wyglądający w miarę zbliżania się coraz dziwniej.

Z przodu maszyna przypominała motocykl, którego przednie koło i kierownica osadzone były na wydłużonych teleskopach. Tylne części przywoływała w wyobraźni przedziwny powóz, w jakim Kopciuszek pojawia się na balu. Tyle że dynia, z której został wyczarowany w bajce, musiałaby być kruczoczarna. Ciężkie, tylne koła — dużo większe od przedniego — wyglądały jak wymontowane z samochodu. Całość uzupełniało coś, co świeciło jak kolorowa latarnia.

Jeździec tego dziwaczного wehikułu był ubrany w czarną skórę nabijaną ćwiekami i kolcami, i rzucał srebrzyste błyski. Słońce oświetlało długie pasma białych włosów.

W pobliżu domu motocykl przeistoczony w powóz stanął dęba. Na kierownicy umieszczona była końska czaszka. Zatoczył koło, a poprzez huk silnika dobiegły piskliwe dźwięki, jakby okrzyki przestraszonych papużek.

Wehikuł dojechał do ściany budynku i zatrzymał się pod oknem Rachaeli. Tu znieruchomiał. Hałas zamilkł.

Jeździec podniósł się i stanął w rozkroku nad siedzeniem. Miał na sobie mnóstwo łańcuszków, sprzączek i pierścieni.

Dwuosobowe siedzenie pojazdu za jego plecami wyścielał aksamit w śliwkowym kolorze. Kręciły się tam nie jeden, ale aż dwa Kopciuszki. Były to prawie identyczne laleczki. Miały na sobie skórzane spodniczki

i czarne opaski na piersiach zakrywające nie więcej niż szerokie wstążki. One również skrzyły się od srebrnych ozdób. Jedna miała długie, złote loki, a sploty drugiej błyszcząły bardziej odcieniem rdzy. Świetlik w tyle pojazdu okazał się małym witrażem mieniącym się makową czerwienią, zielenią mięty, purpurą i błękitem.

Jeździec podniósł głowę w stronę Rachaeli i roześmiał się piskliwie.

— Miłośnicy koni! — krzyknął. — Cukier dla wierzchowca!

Pamiętała, że w przeszłości zawsze łatwo nawiązywali kontakt.

Odnajdywali nic porozumienia jak dwie krople deszczu spływające po szybie i łączące się w jedną. Teraz też.

Gdy zbiegła po schodach w kierunku holu, byli już tam Michael i Cheta, Sasha i Miranda. Erik stał pod jedną z wielkich białych kolumn, których rząd ciągnął się wokół ścian. W jasnym salonie zapomniany telewizor bełkotał sam do siebie.

Silnik czarnego wehikułu zagrzemiał, gdy dziwny pojazd zajechał przed front domu.

Michael szybko podszedł i otworzył drzwi.

Światło ściemniało, nabierając barwy słodowego piwa. Ukazał się skórzany jeździec połyskujący swymi błyskotkami. Za nim dwa piękne Kopciuszkii w małych czarnych botkach i srebrno-stalowych bransoletkach wokół kostek.

Przybysz stał w holu i rozglądał się.

Nikt się nie odzywał.

— Oto jestem, wbrew wszystkiemu — powiedział na koniec oschle. Jego twarz nie była młoda, jak mogłaby to sugerować szczupła figura i nieopanowane gesty. Z oblicza tego starego chłopca patrzyły czarne oczy Scarabeidów obramowane rastafariańską fryzurą. Paciorki wplecione w białe kosmyki miały takie kolory jak witraż z tyłu wehikułu.

Na rękach lśniło kilka pierścionków: srebrne czaszki, miecze, gwoździe i róże — motywy podobne jak na skórzanym stroju.

Piersi zdobił srebrny łańcuch o kształcie koleczugi, a w poprzek żeber biegł napis z liter-płomieni. Gdy się poruszał, można było odcyfrować: „Wypalony”.

— Wuj Camillo — powiedziała Miranda.

— Mirando — skłonił się nad jej głową. — Sasho, Eriku, Michaelu, Cheto — spojrzał w górę schodów — i Rachaelo we własnej osobie.

Pył czasu i przeżyć przysypał ich jak warstwa popiołu. Ale jego postać i oczy były pełne życia. Czyżby wrócił z ramion śmierci?

Złoty Kopciuszek za jego plecami leciutko zachichotał, a druga rdzawozłota laleczka oświadczyła:

— Cami, chcę do toalety.

— Czy możesz pokazać panie Lou i panie Tray miejscowe wygody? — zwrócił się do Chety.

Zanim któryś z Kopciuszków zdążył się ruszyć, Miranda płynąc powoli przez hol dotarła do Camilla i spokojnie objęła go ramionami.

— Tak bardzo się cieszę — powiedziała. — To jest cudowne. Potem podeszła Sasha, a Erik ostatni ze wszystkich. Dotknęli Camilla, błyszczącego pancerza, zasupłanych włosów.

Camillo zniósł to mężnie. Był synem marnotrawnym. Zawsze. To musiała być jego stała rola.

— Chodźcie, wyjdźmy przed dom — powiedział. — Musicie zobaczyć mój trójkołowiec. Nie można pozwolić mu czekać, piękny rumak.

— Czy mogłybyśmy skorzystać z toalety? — zapytał Chetę miedzianowłosa Kopciuszek.

Cheta poszła z obydwiema laleczkami w stronę korytarza na parterze, gdzie znajdowała się łazienka.

Camillo wyszedł z domu w bursztynowy cień i cała trójka, Erik, Sasha i Miranda podążyła za nim. Rachaela doszła jedynie do ganku.

Obserwowała jak Camillo demonstrował trójkołowiec Scarabeidom. Pomiędzy rączkami kierownicy tkwiła spalona końska czaszka. Z oczodołów spoglądało dwoje oczu z kryształowego szkła. Patrzyły uporczywie. Korpus upstrzony był srebrnymi rozetami i płomykami ognia namalowanymi zieloną farbą. Pojazd wyglądał jak potwór.

Camillo uruchomił kompaktowy odtwarzacz umieszczony jak ołtarz nad aksamitnym siedzeniem. Głęboki dźwięk organów sączył symfoniczną muzykę o gotyckim brzmieniu, ale w rytmie rocka.

— Stokroteczko! Stokroteczko! — powiedział Camillo, a przy jego butach dźwięczały ostrogi. — Powiedz, proszę!

* * *

Odbyła się uroczysta kolacja złożona z pieczonych kurczaków nadziewanych pomarańczami i nasączanych miodem. Podano je z ziemniakami *duchess*, kasztanami i szparagami. Zasiedli do stołu o północy.

Camillo był czarną owcą, jakby kiedyś powiedzieli Scarabeidzi. Jadł tylko ziemniaki i szparagi. Lou, ciemniejsza i miedzianowłosa, i Tray, ta złota, wcale nie jadły. Dziobały tylko widelcami w talerzach, wyraźnie nie mając apetytu.

To było rozkoszne dzieciaki, nie więcej niż dwudziestoletnie. Miały równomiernie opalone ciała, bez białych śladów, wyglądały złościście jak miodowe kurczaki. Ubranie Lou było ponaszywane cekinami, a Tray pomponikami. Na przegubach rąk i kostkach nóg nosiły srebrne ozdoby i kwiaty z kości. Usiadły po obu stronach Camilla.

Rachaela pomyślała o historii, według której Camillo zabił swą oblubienicę. Wyobraziła sobie przez moment jej szyję jak złamany kwiat i tryskającą wokół krew. Lecz tamto zdarzyło się przed wieloma laty; teraz szyje dziewcząt zdobiły jedynie sznury paciorków, a Lou dodatkowo miała tatuaż przedstawiający różę.

Wspomnienia przytłumiły radość, ale terazniejszość i tak była darem losu.

Wrócił do nich.

Co go tu sprowadzało?

Tego nie powiedział.

— Och, Cami, czy mogę dostać jeszcze jeden Pink Squirrel? Camillo wstał i zmiksował cocktail o nazwie Różowa Wiewiórka dla dwóch nieskazitelných, miniaturowych piękności. Scarabeidzi siedzieli wokół stołu jak otwarte kwiaty. Z apetytem spożywali obfity posiłek.

— Czyż kości nie są śliczne? — zauważyła Tray, gdy kurczak został spalaszowany.

Camillo nosił w prawym uchu kolczyk w kształcie srebrnego węża pożerającego księżyc. Może to nie był księżyc, tylko czaszka?

Nie padły żadne pytania. Ani żadne odpowiedzi.

Camillo i jego damy poszli na trzecie piętro. Ich pokój mieścił się w jednej z przedziwnych wieżyczek.

Dochodziła czwarta rano.

Erik zasiadł, aby zagrać w szachy z niewidzialnym przeciwnikiem.

— Jak udało mu się przeżyć? — zapytała Rachaela.

- Trwamy — odparł Erik. — My trwamy wiecznie.
- Nie. Nie zawsze.
- Muszę ci przyznać rację.
- W takim razie jak to się stało?
- Pewnego dnia sam nam to powie.
- Dlaczego go nie zapytałeś?
- A ty? Przecież mogłaś sama go zapytać, Rachaelo.
- Zbyłby mnie.
- Zapewne — potwierdził Erik.

Miranda i Sasha poszły do swoich pokoi, a może tylko do innej części wielkiego domu.

Rachaela musnęła dłonią elegancki telefon, który nigdy nie zadzwonił.

- Czy wy możecie przetrwać śmierć? — dopytywała się daremnie.
- Widziałaś, jak umieramy.

Czuła się zmęczona, jej ciało nie nawykło do tak długiego przesiadywania. Pragnęła spać całą noc, wstawać późno i drzemać w ciągu dnia.

— Powiedziałaś, że odejdę i może to jest właściwy moment. Macie z powrotem Camilla. Czy on sypia z tymi dwiema dziewczynami? A jeżeli tak, to czy on może... czy jest płodny? — zapytała, odczekawszy chwilę.

Erik nie udzielił żadnej odpowiedzi. Rachaela przypomniała sobie małomówność Scarabeidów na tematy seksualne. A przecież był to klan, który uznawał sypianie syna z matką, ojca z córką.

Lou i Tray zapewne zażywają pigułki, a Camillo jest już stary.

Rachaela także poczuła się stara, wysuszona, a jednocześnie dziwnie niedojrzała, dziecko wśród starszych krewnych.

— W każdym razie — stwierdziła — znalazł coś do ujeżdżania.

Camillo to wyrzutek. Dał Rachaeli klucz od poddasza, gdzie zamknięto Ruth. Chciał, żeby została wypuszczona. Posługując się tym kluczem, Rachaela pozwoliła uciec swojej córce.

Wiedziała, że Camillo spalił się na popiół.

Wyobraziła go sobie leżącego w łóżku między dwiema dziewczynami wessanymi weń jak pijawki i omiatającymi go złotem swych loków.

Poczuła się o wiele starsza od Camilla.

Słońce ciągle jeszcze wisiało nad ulicą, co zapowiadało, że przez następną godzinę będzie jasno. W pobliżu nie było nikogo. Na wąskim spłachetku ogródka przed opuszczonym domem, obok siedziby Julie i Terry'ego, ciemne maki wystrzeliły spomiędzy płyt starego betonowego chodnika. Pokrzywy wokół pojemnika na śmieci przed domem Julie wyglądały dorodnie. Spokojne otoczenie zakłócały jedynie efekty dźwiękowe. Wieża ryczała dostatecznie głośno, żeby było ją słychać piętnaście domów dalej.

Joseph Black i Jennifer Devonshire szli ulicą. On był odziany niedbale, a nawet niechlujnie. Za to ona miała na sobie różową, kwiecistą sukienkę mini i aż dwadzieścia bransoletek. Niosła torbę z butelką wina.

— Nadchodzimy — powiedział Blackie, wpychając się przed nią w furtkę. Uderzył kołatką w drzwi i wrzasnął przez skrzynkę na listy: — To jest napad!

Terry, w pomarańczowej koszuli i bardzo niebieskich dżinsach, podszedł i otworzył.

— Spóźniliście się.

— Nic nie jechało.

— A gdzie Lucy?

— Przeziębiona — wyjaśniła Jenny.

— Mówi, że zimno jej wyskoczyło. Zmartwiony? — Blackie uśmiechnął się do Terry'ego i lekko szturchnął go pięścią w pierś.

— Nie — odparł Terry, ale wyraz jego twarzy przeczył słowom. Weszli do środka i ze wszystkich stron otoczył ich hałas.

Wyglądało na to, że czują się w nim jak ryby w wodzie. Rozluźnili się i spojrzeli wokół zyczliwie. Rozkwitli jak rośliny skąpane w deszczu po upalnym dniu.

— Oto ktoś nowy — zaanonsował Terry.

Ruth siedziała na sofie w swym czarnym podkoszulku i dżinsach. Dostała kieliszek wina, ale wypila je i teraz trzymała już tylko puste szkło.

— Kto to jest? — Blackie spojrział na nią z zainteresowaniem.

— To jest Ruth. A to Blackie.

— Cokolwiek ci o mnie mówili, na pewno jest prawdą — zadeklarował.

— Cześć — przywitała się Ruth, ale nie usłyszeli jej.

W przeciwieństwie do całej reszty miała problem z przekrzykiwaniem muzyki. Wzięła ze swojej torby trochę waty i włożyła sobie do uszu.

— Gdzie są oszalamiające trunki? — spytał Blackie.

Pojawiła się Julie. Wyszła z kuchni z butelką wina i dwoma kieliszkami. Jeden był dla Jenny, a drugi dla Lucy, która nie przyszła.

— Gdzie jest Lucy?

— Złapała opryszczkę — wyjaśnił Blackie.

— Nie kłam — ofuknęła go Jenny.

Terry wyjął z lodówki piwo i przyniósł puszki do pokoju. Obaj z Blackie'em otworzyli je, rozbryzgując wokół zawartość.

Julie napełniła kieliszek Jenny, potem swój. I, niechętnie, naczynie Ruth.

— Kim jest Ruth? Skąd się wzięła? — dopytywała się Jenny. Brunetka w czarnym podkoszulku przyglądała się jej bacznie. Może czytała z ruchu warg?

— Lepiej spytaj Terry'ego.

— Och!

Z wieży rozległ się trzask i nastąpiła cisza głośniejsza i bardziej dominująca niż poprzedni hałas. Taśma dobiegła końca.

— Dajcie jakieś reggae — polecił Blackie. Zakręcił biodrami i zamachał rękami w nieudolnej imitacji powabnych ruchów.

— Coś na luzie.

Julie pośpiesznie wybrała taśmę ze swoich zasobów i włożyła do magnetofonu.

— Patrz, ptaszek ciągnie jak gąbka — powiedział Blackie, gdy znów zabrzmiała muzyka. Ruth miała ponownie pusty kieliszek.

— Masz apetyt na piwo, kotku?

Ruth powiedziała coś, czego nie było słyhać.

— Co? — zapytał Blackie.

Wyciągnęła rękę, a on żartobliwie włożył jej w dłoń swoją puszkę Carlsberga. Ruth wręczyła mu puszkę z powrotem.

— Nie chciała pić po tobie — wyjaśnił Terry. — Bardzo słusznie. Bóg wie, co mogłaby złapać.

Poszedł do wąskiej kuchni i wyjął z lodówki następne piwo, wkładając w zamian cztery nowe puszki.

Kiedy wrócił, Blackie siedział na sofie obok Ruth.

Julie i Jenny tańczyły w takt muzyki, nie zwracając uwagi na siedzącą parę. Wysokie obcasy Julie zaplątywały się w dywan, ale impreza nie rozkręciła się jeszcze na tyle, żeby je zdjąć.

— Zgadnij, z jakiej jestem branży? — mówił Blackie do Ruth.

Dziewczyna spojrzała na niego.

Boże, jakie ona ma oczy, pomyślał Terry, jak jakaś Greta Garbo. I czarne jak smoła.

Ruth nie zgadła.

— On naprawia samochody — powiedział Terry.

— Tak — potwierdził Blackie. — Nie mam na co narzekać. Właśnie tak poznałem naszą Julie. Zająłem się nią. Teraz nie mają już samochodu. Stary Terry go wykończył, prawda?

— To pieprzony hamulec — Terry wypił swoje piwo. — Zawsze coś w nim nie grało. Nigdy porządnie go nie zrobiłeś. Był jeszcze gorszy, odkąd położyłeś na nim swoje łapy.

— Tajemnica moich sukcesów — powiedział Blackie.

— Swoją również wykończyłeś. A teraz mojego morrisa — powiedział Terry. — Całą Kornwalię przejechałem tym wozem.

— Tak, tak. Eleganckie miejsce pod nazwą Mysia Dziura — kpił Blackie.

— To się pisze Mowsel — zaproponował Terry.

— Oooh — powiedział Blackie. — Ty i twoje Mysikiszki.

Podniósł wzrok na Julie i Jenny. Poruszały się niezgrabnie na płaczącym im się pod nogami dywanie.

— Dalej, dziewczyny! — zachęcił je. — Ruszcie trochę ciałkiem.

Julie spojrzała na niego figlarnie, ale nic nie powiedziała.

Blackie wzruszył ramionami. Wyjął paczkę papierosów i dużą złotą zapalniczkę. Pokazał ją Ruth.

— Widzisz? Prezent od wdzięcznego klienta. To jest gość.

Włożył sobie do ust papierosa, pstryknął i żółty płatek płomienia wystrzelił w górę. Zatrzasnął zapalniczkę.

— Zobacz, jest wygrawerowana: „Od B. dla B.” To dla mnie.

— Tylko w to nie wierz przypadkiem — wtrącił się Terry. — Sam to zmajstrował, albo ktoś zapomniał w samochodzie i nasz Blackie sobie wziął.

Popiół spadł Blackiemu z papierosa, ale chytrze wtarł go w dywan swoim ciężkim, czarnym butem. Julie chrząknęła, przestała tańczyć i podeszła do kominka. Zdjęła z gzymsu popielniczkę i postawiła na stole obok Blackie'ego.

— Lepiej użyj tego.

— Z całą pewnością. Wszystko, czego pani sobie zażyczy.

— Przyniosłeś towar? — zagadnął Terry.

— Możliwe.

— Gdzie go masz?

— Spokojnie, człowieku — mitygował go Blackie. — Mam go tutaj. Poklepał się po biodrze.

Ruth wstała.

— Wiesz, gdzie to jest? — upewnił się Terry.

Ruth wyszła z pokoju. Terry nie odrywał od niej wzroku.

— Niezła dupcia — powiedział Blackie.

— Nie gadaj zbyt wiele. Na moje oko całkiem dobra.

Ruth weszła na schody, widoczna przez otwarte drzwi salonu. Terry wodził za nią wzrokiem, póki nie zniknęła.

— Ja chyba też pójdę na górę — zakomunikowała Jenny, przerywając taniec.

Julie ponownie napełniła winem swój kieliszek. Blackie roześmiał się.

Ruth stanęła wewnątrz mikroskopijnej łazienki, próbując zamknąć drzwi.

— Czy mogę wejść? — zawołała Jenny i wepchnęła się do środka, odpychając Ruth. Przecisnęła się koło niej. Ruth stała zablokowana na półmetrowej przestrzeni między wanną a ścianą.

— Nie przejmuj się drzwiami. Nigdy nie można ich zamknąć. Faceci nie przyjdą, kiedy my jesteśmy na górze. Muszę się wysikać, bo skonam. Czy masz coś przeciwko temu, żebym skorzystała pierwsza? — uniosła swą różową spódniczkę, opuściła białe majtki i usiadła na sedesie.

Ruth zamarła. Poprzez łoskot muzyki dał się słyszeć plusk. Odwróciła się i wyszła z łazienki.

Przez otwarte drzwi sypialni widoczne było łóżko zasłane pościelą w szare i czerwone trójkąty. Czarno-biały kot przycupnął w nogach łóżka, uszy położył po sobie, oczy miał szeroko otwarte.

Ruth weszła do pokoju i klękła obok zwierzęcia. Pogładziła je po futerku i pocałowała między uszami.

Kot podniósł się, podszedł do szafy i poskrobał w jej drzwi. Ruth otworzyła je, a zwierzątko śmignęło do środka. Dziewczyna zostawiła drzwi uchylone.

Ubikacja została splukana.

Jenny wyszła z łazienki i stanęła w drzwiach sypialni.

— Julie ma powyżej uszu tego kota w swojej szafie — rzekła i zaraz zapomniała o kocie. — Chciałabym mieć naprawdę duży dom, a ty? Trzy albo cztery sypialnie i basen. Długo znasz Terry'ego?

— Nie — odparła Ruth.

— Jest całkiem niezły — zaopiniowała Jenny. — Lepszy niż ten cały Blackie.

Ruth stała na tle masywnego łóżka okryta swoimi długimi, długimi włosami i cicha. Było w niej coś, coś... dziecinnego?

— Ile ty masz lat? — zapytała Jenny, marszcząc brwi.

— Nie twój interes — odparła Ruth.

— O, myślisz, że będziesz świetna. Tak myślisz — powiedziała Jenny ze złością. Odwróciła się i poszła na dół schodami z brzękiem bransoletek.

Ruth zerknęła na łóżko. Brzeg puchowej kołdry był odwinieity.

Na dole wszyscy roześmiali się. Ruth uważnie spojrzała na podłogę, jak gdyby mogła przez nią zobaczyć czubki ich głów.

Okolo dziewiętej, kiedy wypili już sporo, Jenny i Julie zostały wysłane do hinduskiej restauracji po zaopatrzenie.

— No, dalej. Jesteście wyzwolone. Nie potrzebujecie, żebyśmy prowadzili was za rączkę — dogadywał Blackie.

— Przynieście jeszcze trochę piwa — dodał Terry.

Ruth nie zaoferowała dziewczętom swojego towarzystwa.

Kiedy Jenny i Julie wyszły, mężczyźni zaczęli zachowywać się jak spiskowcy. Chichocząc przysiedli na podłodze. Któryś potracił puszkę z resztką piwa, pozwalając mu się rozlać. Ruth spoczęła na sofie z resztką wina.

— Zapalmy sobie — zaproponował Blackie. — Zanim wrócą. Wyciągnął bibułkę do papierosów, nieco tytoniu, celofanowe zawiniątko z jakąś substancją pachnącą słodko i przypominającą trawę. Zrobił byle jak uformowanego, brązowego skręta.

Mężczyźni zapalili go i przekazywali sobie nawzajem, wdychając dym głęboko i przymykając oczy. Dziwny zapach, rodem ze starożytnych świątyń, rozszedł się po pokoju.

Pozostałą połówkę skręta Terry zaproponował Ruth. Dziewczyna potrząsnęła głową.

— No, śmiało. To dobry towar.

— Nie, dziękuję.

— Dzięki temu poczujesz się lepiej.

— Może ona już czuje się wystarczająco dobrze — zauważył Blackie. Otworzył puszkę piwa, pokazując jej ostrą krawędź. Głos mu się rozmazywał, powieki opadały. Wyglądał na sennego.

Terry przejawiał więcej energii. Ponownie wyciągnął skręta w stronę Ruth.

— Nigdy nie paliłaś? Pokażę ci, jak się to robi!

— Przestań się wygłupiać i daj go tu — mruknął Blackie.

— Cholera, to ja wyłożyłem forszę — sprzeciwił się Terry.

— Ale ja to, psiakrew, zdobyłem.

Terry oddał skręta Blackie'emu, który skończył go.

— Dziewczyny wyniuchają, kiedy wrócą — powiedział Terry, zaniepokojony jak niegrzeczny, mały chłopczyk, który czytał w łóżku przy latarce.

Dziewczęta, kiedy wróciły, też były podkręcone. Czekaając najedzenie w restauracji wypity kilka dzinów. Jenny zachłystywała się pochwałami pod adresem hinduskiego kelnera, który bardzo jej się spodobał.

— Och, jakie ten chłoptaş miał oczy! Jak gwiazdy!

— Ale nie takie piękne jak Ruth — powiedział Terry. Uniósł dłoń dziewczyny i pocałował; ani nie cofnęła ręki, ani nie wyglądała na zadowoloną.

Julie podniosła zgniecioną puszkę i zaniósła do wiadra na śmieci w kuchni.

Z otwartych aluminiowych pojemników rozszedł się egzotyczny zapach i wypełnił pokój. Tym razem Julie zwróciła się do Ruth o pieniądze za kurczaka „tikka”, którego przyniosły dla niej.

Nie uzupełniały już zapasu piwa, tylko kupiły dwie butelki wina.

Julie i Jenny jadły swoje curry z krewetek, a Terry dziobał widelcem jagnięcinę à la passanda. Blackie, który zamówił mieszane mięsa z rusztu, ziemniaki „bhajee” i curry z warzyw, rozstawił naczynia po całym dywanie. Maczał pieczywo w gęstych sosach, chlapiąc na wszystkie strony.

Wszyscy jedli z apetytem, a muzyka, teraz już naturalna jak powietrze, dudniła ignorowana przez wszystkich.

Jenny wytarła usta i palce jednorazową chusteczką i spojrzała na Terry’ego.

— Czy chciałbyś zobaczyć mój nowy biustonosz?

— Czarna koronka — zaryzykował Terry.

— Błąd — odparła Jenny. Wstała, chwycając się odrobinę, otworzyła suwak u sukienki i ściągnęła ją przez głowę. — No i co o tym sądzisz?

Nie miała wcale biustonosza, jej piersi patrzyły na nich brązowymi oczami sutek. Jenny potrząsnęła piersiami, które zachybotały się zachęcająco.

— A jaki stanik nosi nasza Julie? — spytał Blackie. Wyjął bibułkę i wśród lepkich, pustych naczyń zajął się kleceniem następnego skręta.

— Będziesz musiał zgadnąć — odparowała Julie. — Nie jestem pewna, czy naprawdę cię to interesuje.

— Może i nie — pokiwał głową Blackie. — Założę się, że mała Ruth nosi niezły staniczek.

— Cóż — powiedziała sceptycznie Jenny — idę o zakład, że nie uda ci się go obejrzyć.

Blackie przypalił sobie skręta swą złotą zapalniczką „Od B. dla B.” i zaciągnął się, jakby wykonywał ćwiczenia oddechowe. Potem podał papierosa Jenny.

— Ruth mi sama pokaże. Prawda, malutka? — spojrzał w górę na dziewczynę i odsłonił zęby w uśmiechu.

Ruth spojrzała w dół, na twarz Blackie’ego. Jej oczy były jak ciemność dalekich świątyń gdzieś na Wschodzie. Ciemność głębsza niż gęsty mrok bez neonów, który zapadł w pokoju. Terry patrzył na jej

długie, wysmarowane tuszem rzęsy. Uświadomił sobie, że co najmniej od pół roku nie czuł nic takiego do dziewczyny.

— Ruth, ty zostań tutaj — powiedział, czując, że język płacze mu się w mieszaninie smaków: curry i haszu, piwa i wina, i lodowato słodkiego, bezdennego aromatu pożądania. — Ty zostaniesz ze mną.

Ruth wstała. Blackie też podniósł się z podłogi.

— Blackie, ty pipo — powiedziała głośno Julie.

— Masz stuprocentową rację — zgodził się Blackie.

— Nie używajcie pieprzonej sypialni — krzyknęła Julie.

— Użyjemy łóżka polowego — zapewnił uprzejmie Blackie.

Terry spróbował wstać. Jenny pociągnęła go z powrotem. Opadł na dół, a Jenny położyła rękę na jego rozporoku pożądliwie i władczo.

Bum! Bum! Bum! Muzyka dudniła w całym domu, aż budynek wpadł w rezonans jak statek kosmiczny. Bum! Bum! Bum!

Blackie wszedł do „nory” Terry’ego pierwszy i włączył światło. Zasłony były zaciągnięte. Usiadł na polowym łóżku. Podskoczył raz, żeby sprawdzić sprężyny. Potem rozpiął spodnie. Jego uwolniony penis wyskoczył jak z procy.

— Rozbierzmy się — zaproponował Blackie. — A potem chodź i spróbuj tego. Będzie miało smak curry. Poczekaj, a sama się przekonasz.

Ruth zamknęła za sobą drzwi.

Stała w małym pokoju, patrząc na Blackie’ego i jego kutasa. Twarz miała bielszą niż ryż, który jedli niedawno, a wargi były szkarłatne, co stanowiło cudowne uzupełnienie. W jej oczach błysnęło coś, jakby okrutny żart... ale czy ktoś to mógł zauważyć?

Ruth przebiegła lekko dłonią po stole Terry’ego wśród książek i zużytych puszek. Wzięła pióro marki Biro ze ściągniętą nakrętką.

Blackie nie zainteresował się piórem. Wszystko działo się w zwolnionym tempie. Patrzył na zbliżający się do niego powoli podkoszulek. Ruth była dziewczyną odpowiednio zbudowaną, nie tak jak to chuchro, Julie, dwa piegi, nic więcej.

Ruth powoli, bardzo powoli podeszła Blackie’ego. Mężczyzna chwycił brzeg podkoszulka i zdążył go podnieść ledwie o centymetry, gdy szybko i precyzyjnie dźgnęła go, wbijając pióro w tchawicę.

Terry i Jenny odbyli stosunek na dywanie. Oczekiwali, że Julie przyłączy się do nich, lecz ona nie widziała niczego zabawnego w dokładaniu im uciechy, gdy nikt nie troszczył się o nią.

Teraz Jenny spała na wznak na podłodze odziana jedynie w buty i bransoletki. Terry miał już najprawdopodobniej dość. Wyjął polaroid i błyskając sześćdziesięciowatowym fleszem fotografował Jenny z włosami unurzanyymi w naczyniach po curry.

Julie poszła w kierunku drzwi.

— Pozwólmy tym dwojgu skończyć. Temu bękartowi i tej krowie — urągał Terry.

— Dla mnie niech zgniją. Idę zrobić siku — stwierdziła Julie.

— Cholerna dziwka — powiedział Terry. Może miał na myśli Ruth? Tamci z pewnością nieźle hałasowali na górze, tocząc się po podłodze. Przynajmniej tak można było sądzić po sposobie, w jaki trząsał się sufit nawet przy tak głośnej muzyce.

Julie wyszła z pokoju i wspięła się na schody. W połowie przystanąła, żeby zdjąć swoje zielone szpilki. Pozwoliła jednemu butowi spaść z powrotem do holu, a drugi zaniosiła bezmyślnie w stronę łazienki, porzucając go pod drzwiami.

Siedząc w łazience nasłuchiwała. Z „nory” nie dochodziły nawet szepty.

Ten Blackie. To był ostatni raz, muszę przerwać te spotkania. Jeśli chodzi o nią, to tak z ręką na sercu, nigdy tego nie lubiła. I jeszcze Terry. Przesadził z piciem. Rano będzie chory. I ten cholerny mleczarz. Przyjdzie o szóstej. Cóż, może poczekać.

Julie spuściła wodę i wyszła z łazienki. Kiedy podeszła do schodów, zgasło światło. Julie zakłęła, a wtedy Ruth dźgnęła ją w gardło jednym z jej cienkich, wysokich obcasów. Podobnie jak Blackie, Julie szarpała się i próbowała uwolnić od obcego ciała. W końcu umarła.

* * *

Terry włączył następną taśmę. Usiłował podkręcić potencjometr, ale natrafił na opór: wskaźnik doszedł już do górnej granicy. Nie mógł zrozumieć, dlaczego stara mamuśka Macdonald skarżyła się, to naprawdę nie było aż tak głośno.

W pokoju panował nieład, Julie będzie wściekła. Terry czuł lekkie mdłości, musiało być coś nieświeżego w curry.

Kiedy weszła Ruth, sfotografował ją polaroidem. Podskoczyła, gdy flesz eksplodował. W ręce trzymała jeden z butów Julie. Był to ten, który leżał w holu u podnóża schodów.

— Mam cię.

Ruth zwróciła się ku niemu.

— Jesteś dziwką — pod Terryem drżały nogi.

Ruth rozpruła mu szyję od ucha w dół metalową końcówką obcasa Julie. Terry zaskowyczał. Gdy padał, fotografia wysunęła się z aparatu. Leżał na podłodze, próbując wstać. Szyję miał mokrą, ale nie bolała go. Widział Ruth. Pochyliła się i podniosła magnetofon ze stołu. Uważnie, precyzyjnie i z olbrzymią siłą upuściła sprzęt prosto na jego głowę.

Kiedy Terry znieruchomiał, Ruth wzięła jedną z pustych puszek po piwie. Oddarła wieczko w taki sam sposób, jak widziała, że zrobił to Blackie. Podeszła do śpiącej Jenny.

* * *

Wypuściła Wiktorię z szafy i nakarmiła ją w kuchni. Muzyka już nie grała i kotka wyszła całkiem chętnie. Obwąchała ciało Julie leżące na podeście, a potem zwłoki Terry'ego. Trupy nie wzbudziły w niej szczególnego zainteresowania. Ruth nakarmiła zwierzę, a potem zaniósła z powrotem na górę. Kotka usiadła na brzegu wanny, gdy dziewczyna zmywała z siebie krew.

Łóżko w sypialni wyglądało na czyste. Spały tam razem, kotka na poduszce, a Ruth z policzkiem opartym o jej miękkie futerko.

Rano Ruth długo leżała, wstała dopiero około południa. Nakarmiła kota przedostatnią puszką kocięj karmy. Sobie zrobiła wołowego hamburgera, fasolkę i prażone chipsy. Zapasy Julie nie grzeszyły obfitością.

Mleczarzowi nie udało się jej obudzić. Wcale go to nie zdziwiło, często nie mógł podnieść z łóżka Julie i Terry'ego.

Ruth najpierw najadła się, a potem sprawdziła, czy w domu nie znajdzie się coś, co mogłoby jej się przydać. Wzięła kilka podkoszulków Julie i Terry'ego, a także niewielką ilość banknotów, na które natknęła się w szufladzie.

O drugiej Ruth ze swoją torbą na jednym ramieniu, a Wiktoria na drugim wkroczyła do „nory” Terry’ego. Za pomocą zapalniczki Blackie’ego i kartek z opowiadaniem fantastycznym autorstwa gospodarza wzniciła ogień.

Kot patrzył w płomienie. Dziewczyna zamknęła drzwi do pokoju i wyszła z domu. Zwierzę zostawiła pod progiem pani Macdonald. Ogród oddzielający siedzibę sąsiadki stanowił bezpieczną odległość od pożaru. Ruth, zanim odeszła, nacisnęła dzwonek przy drzwiach.

Po chwili zobaczyła z perspektywy ulicy, jak pani Macdonald otwiera, a Wiktoria wpada jak bomba do jej sieni.

Z domu Julie i Terry’ego zaczynał już wydobywać się dym, lecz na razie pani Macdonald go nie zauważyła. Później miała powiedzieć, że zdziwiła się, bo zwykle w niedzielę przed jedenastą od sąsiadów zaczynał dobiegać hałas uważany przez nich za muzykę.

Wieża wybuchła na najwyższej kondygnacji o trzeciej i spadła do pokoju na dole, zrzucając po drodze wszystko, co pozostało z Blackie’ego i Julie, na tani dywan, który w tym momencie już płonął. Do tego czasu pani Macdonald z mrużącą Wiktoria w ramionach wezwała straż pożarną.

Nad cieplarnią rozpościerał się taras wyłożony brzoskwiniową terakotą. Ozdabiał go posąg kobiety w drapowanej szacie z kamiennym koszykiem na ramieniu. Latem z koszyka zwieszały się kwiaty czerwonych i różowych pelargonii.

Z tarasu do ogrodu prowadziły schody o sześciu stopniach.

Ogród otaczały wysokie mury z cegły w kolorze sepii porośnięte wistarią, bluszczem, powojnikiem, mchami i porostami, a także pnączami o sercowatych liściach i dziwacznych pędach. Ponad murem widać było gęsto rosnące drzewa pobliskich zagajników. Wewnątrz także rosło wiele drzew. Ogród był stary, zaniedbany, ciemny i gdzieś tam pozapadany. Słońce przedzierało się jedynie w dwóch czy trzech miejscach, które stanowiły jasne plamy, kontrastujące z ciemnymi chaszczami.

Lou i Tray spoczywały na tarasie w wygodnych leżakach. Ich złote ciała, nasączone olejkiem do opalania, lśniły metalicznie. Obie miały na sobie skąpe czarne bikini. Kostium Lou ozdobił wąski, skośny pasek na staniku, a pępek Tray otaczał mały tatuaż przedstawiający kwiat orchidei. Zmieniły kolor włosów. Widocznie Camillo pozwolił im pojechać do fryzjera albo nawet sam je zawiózł do odpowiedniego zakładu. Złote loki Tray były teraz przetykane białymi pasemkami, a Lou miała kędziory różowo-czerwone, jak kobiety na witrażach w oknach holu. Właśnie czarnym lakierem malowały sobie nawzajem paznokcie u nóg, a potem zdobiły je srebrnymi wzorkami przy pomocy specjalnego szablonu.

— Cześć, Rach — powitała ją Lou.

— Czyż tutaj nie jest prześlicznie i ciepłutko? — powiedziała Tray.

Wewnątrz domu Scarabeidzi zgromadzili się w salonie przed telewizorem, żeby, jak to czasami mieli w zwyczaju, oglądać razem dziennik telewizyjny.

— Cami jest tam, na dole — wskazała swą nieskazitelną dłońią Lou.

Tray uśmiechnęła się do niej, pokazując idealne zęby. Każda z tych dziewcząt była skończona pięknnością, jakby zostały wymodelowane z jakiegoś drogiego kruszcu lub zrobione na zamówienie jak trójkołowiec Camilla. Ich skóra była bez skazy, figury odpowiadały ideałowi co do

centymetra, włosy zaś były lśniące i jedwabiste. Lou miała oczy piwne, a Tray szarobłękitne. Wyglądały tak, jakby nie podlegały żadnym fizycznym prawom i nie mogły zbrzydnąć ani zestarzeć się.

Dwie piękności coraz bardziej wrastały w dom. Czasami nawet oglądały telewizję razem ze Scarabeidami. Mimo to żyły zamknięte we własnym, idealnym świecie jak w doskonałym śnie, rządzącym się własnymi prawami. Wyglądało na to, iż są przekonane, że Camillo jest reżyserem filmowym lub podstarzałą gwiazdą rocka. Ponieważ były laleczkami, spodziewały się, że często będą na uboczu, przyzywane wtedy, gdy zajdzie potrzeba.

— Masz śliczne włosy — powiedziała Tray, gdy Rachaela przechodziła przez taras. Dla nich wyglądała na trzydzieści parę lat, a więc swój najlepszy okres, z ich punktu widzenia, miała za sobą. Tray była miła i naprawdę hojna w obdarzaniu komplementami.

— Dziękuję ci.

Rachaela zeszła po schodkach na dół.

Poszła ścieżką w gąszcz dębów i dotarła do czegoś, co wyglądało jak grób w lesie. Rosła nad nim wysoka jabłonka, dziś już pochylona i bezowocnie zdziczała. Taras i dom stały się niewidoczne. Fontanna o kształcie skrzyconej ryby wyrastała z omszałej, kamiennej misy. Odrobina wody ciągle jeszcze kapiała z pyszczka ryby, ale na jej głowie tkwił teraz słomkowy kapelusz przybrany emaliowanymi wisienkami.

Camillo siedział na ziemi ze skrzyżowanymi nogami, obserwując ją.

W przeszłości zawsze umiała go odnaleźć. Teraz też go znalazła.

— Nie mogę wstać. Za stary jestem — oznajmił Camillo.

Jak zwykle odziany był w swoje skóry. Napis na podkoszulku widoczny pod łańcuchem–kolczugą głosił: „Dziki”.

— Czas już, żebyś mi powiedział — stwierdziła Rachaela.

— Powiedział ci? Co? Jakie robisz wrażenie?

— Jak przeżyłeś.

— Czy podoba ci się kapelusz ryby? — spytał Camillo. — Znalazłem go na wyprzedaży. Jak dla kobiety o wiele za dobry.

— To ty dałeś mi klucz, dzięki któremu wypuściłam Ruth. Oni nie chcą rozmawiać na jej temat. Spaliła dom. Czy mówili ci o Miriam? — powiedziała.

— Nie mówią mi o niczym. Jak zawsze.

— Teraz jesteś zmartwychwstały, Camillo. To stanowi różnicę. On już nie wyglądał jak Camillo, nie z tą rastafariańską fryzurą przetykaną koralikami. Jego stare ręce były muskularne jak stal. Porastające je włosy miały również kolor stali.

Odkąd tu przybył, stał się bardziej introwertyczny. Zamykał się, a dziewczyny wysyłał same do miasta z kieszeniami pełnymi pieniędzy. Mogły czesać się u fryzjera i kupować sobie niezliczone ilości prawie identycznych, czarnych strojów w miniaturowych rozmiarach. Także srebrne ozdoby na swoje złote ciała oraz ich jedyne pożywienie, jak się wydawało: torby chipsów i lody.

W pokoju, na górnym piętrze domu, Camillo puszczał utwory takich zespołów jak „The Sisters of Mercy”, „Carter U.S.M.” czy „Iron Maiden”. Rachaela słyszała dalekie dźwięki muzyki jak pomruk morza w jaskini.

Czasami polerował swój trójkołowiec w wielkim pomieszczeniu gospodarczym za kuchnią, a czasami szedł pojeździć na nim ze swoimi dziewczynami. Końska głowa, zatknięta na środku kierownicy, została kiedyś wypalona do kości.

Rachaela sama nie wiedziała, dlaczego tak bardzo chciała usłyszeć historię jego ucieczki. Może dlatego, że dla niej Camillo w jakiś przedziwny sposób łączył się w pamięci z Adamusem. Przecież nie istniała żadna możliwość, żeby powieszony i strawiony przez płomień Adamus mógł uniknąć śmierci i powrócić którego dnia.

— Tutaj po zmierzchu nie otwiera się drzwi. I bardzo słusznie. Londyn zawsze był dżunglą — powiedział Camillo.

To zdarzyło się, zanim opowiedział jej historię swej ucieczki. W pewnej chwili wolała, żeby przestał. Myślała, że mógłby umrzeć. Miał prawie trzysta lat. Może był tylko zupełnie szalonym staruchem, zdrowym aż do nieprzyzwoitości, jak pozostałe w domu trzy szare chomiki oglądające telewizję.

— Byłem na plaży, poszedłem tam, żeby rozpaścić ognisko — opowiadał.

Jego słowa przyciągnęły uwagę Rachaeli. Spojrzała na niego.

— Po co?

— Ognisko. Stos. Jak wtedy, kiedy kremowano Sylviana.

Scarabeidzi palili swoich zmarłych. Dla kogo był przeznaczony ten ogień? Dla Ruth? Pamięci Anny? A może dla siebie samego?

— Mów dalej — powiedziała.

— Panna Ewa spadła z drzewa.

— Kapelusz pasuje do ryby. Potrzebowała jakiegoś przybrania.

— Potem zobaczyłem, że dom się pali. To była wizja.

— Jak płonące miasteczko, z którego twoi rodzice uciekli na saniach.

— Nie, inna. Tamto wyglądało jak źle zaaranżowana scena z kiepskiego filmu. Obserwowałem dokładnie, dopóki wszystko nie zawaliło się. Wszystko. Potem wstał świt.

— Dlaczego nie przyszedłeś z plaży?

— Nie mogłem. Opłakiwałem swego konia na biegunach. Ona go spaliła — odparł.

— A Scarabeidzi? Po nich nie płakałeś?

Camillo wydał z siebie swój charakterystyczny wysoki chichot. Jak zwykle nie mógł zbyt długo pozostawać w stanie równowagi psychicznej.

— Później wdrapałem się na górę. Nikogo nie było. Przeszukałem ruiny, znalazłem jakieś dziwne rzeczy. Pamiętasz mojego rumaka? Znalazłem głowę. Teraz mój rumak zdobi motor.

Wstał i podszedł do ryby. Wyjął z kieszeni pomadkę i uszmkinkował okrągłe, rozwarte wargi.

— Słodki buziaczek — skomentował. — Jak Tracy. Gdzie poznałem Lou i Tray? Do tego dojdziemy później. Co o tym sądzisz? — zapytał, odstępując od ryby.

— Jest urocza.

— Opuściłem zgliszcza i poszedłem brzegiem morza. Wędrowałem całymi dniami. Raz schwytałem królika, żeby go zjeść. Jednak nie mogłem go zabić, był tak bardzo żywy. Uciekł mi i opowiedział innym, że stary wuj Camillo ugryzł go, ale one w to nie uwierzyły. Żywiłem się trawą. Pewnego wieczoru zauważyłem coś na plaży. Zszedłem na dół, a tam płonęło ognisko. Zgadnij, na kogo trafiłem?

— Na ludzi — odpowiedziała Rachaela.

— Do plaży prowadziła droga. U jej krańca obozowało dziesięciu motocyklistów, podobnych do rycerzy w czarnych skórach. Motocykle błyszcząły w blasku ognia.

Rachaela ujrzała oczami wyobraźni ognisko, stalowe rumaki, czarno odzianych mężczyzn i Camilla podpatrującego ich jak upiorny dzieciak.

— Powiedzieli do mnie: „Witaj dziaduniu!” — opowiadał Camillo. — Jestem za stary, żeby być waszym dziadkiem — odparłem. Te słowa sprawiły, że zaczęli się śmiać. Poczęstowali mnie piwem i pasztetem wieprzowym, i zapytali, czy skądś uciekłem. Kiedy potwierdziłem, znów się roześmiali i powiedzieli: „Dobrze się urządziłeś, stara cipo!” Spałem na plaży, a rano jeden z nich zabrał mnie na swój motor. Pojechaliśmy do najbliższego nadmorskiego miasteczka, hałasując przez całą drogę. Byli jak kozacy. Na ich widok wszyscy uciekali, a drogi pustoszały. Młode dziewczęta oglądały się za nimi.

Camillo schował szminkę do kieszeni.

— Poszliśmy do pubu na steki — powiedział dalej. — Wywiązała się bijatyka. Walczyłem po stronie kozaków. Byli zaskoczeni. Kiedy wyszliśmy, powiedzieli: „Ten stary przyk nieźle sobie radzi”. Spytałem mnie, jak mam na imię, i potem już zawsze mówili do mnie „Camillo”. Później zdobyłem trochę pieniędzy i zrobiłem z nich bogaczy. Kupili mi maszynę i zostaliśmy najlepszymi przyjaciółmi. Nie będą bogaci zbyt długo. Takich nie trzymają się pieniądze. Alkohol i te ich czarne, stalowe rumaki...

Rachaela nie pytała o pieniądze. Scarabeidzi mieli władzę nad finansami, coraz bardziej przekonywała się o tym. Opowieść brzmiała jak bajka, podobnie jak ta pierwsza, o ucieczce saniami. Najprawdopodobniej obie były prawdziwe.

— Kolor szminki harmonizuje z barwą wiśni — zauważył Kamillo.

— Tak.

— Lou i Tray spotkałem na koncercie. Oczywiście nie był to koncert Prokofiewa. Przyczepiły się do mnie jak wdzięczne kwiatuszki do powykręcanej, kolczastej, starej gałęzi. Myślą, że jestem upadłą gwiazdą. Czy ja z nimi śpię? Co myślisz o tym, Rachaelo?

— Lubisz ujeżdżać, cokolwiek zobaczysz — odparła zimno Rachaela. — Dlaczego nie Lou i Tray?

— Świetnie. Teraz możesz już odejść — odparł Camillo.

— Myślę o tym — zaczęła wolno.

— O twoim dawnym lamencie, że opuścisz nas wszystkiej zabierzesz niegrzeczną Ruth i uciekniesz?

— Ruth zniknęła.

— Jak demon. Odeszła, zanim poddano ją egzorcyzmom — dopowiedział Camillo.

— Czy ty wierzysz, że ona... — zaczęła Rachaela niepewnie.

— Nie, zresztą nie chcę rozmawiać o Ruth ani o tobie. Kiedy dowiedziałem się, że jestem ostatni, że oni są tutaj, w tym domu, wróciłem do nich, do Scarabeidów. My zawsze wracamy, nawet jeśli odchodzimy. Niech to będzie dla ciebie lekcją.

* * *

Lou i Tray opalały się na tarasie, a szara kamienna kobieta górowała nad nimi ze swoim koszykiem.

W salonie Scarabeidzi skończyli oglądać dziennik. Po wiadomościach w programie był amerykański film, mężczyzna zwiślał ze stупiętrowego drapacza chmur, ale nie spadł.

Dom nie stwarzał pozornie jakichkolwiek ograniczeń. Można było bez kłopotu wejść i wyjść.

* * *

Rachaela wyszła z domu.

Dzień był gorący, niebo blade i zakurzone jak w Indiach. Szła, mijając wspaniałe domy z frontonami wspartymi na drewnianych słupach, o oknach z wykuszami, garażami na kilka samo— chodów i szerokimi trawnikami cieszącymi oko żywą zielenią. Potem weszła w uliczkę bliźniaczych willi, gdzie dzieci bawiły się hałaśliwie w przydomowych ogrodach, a samochody napełniały powietrze zapachem przypalonych ciastek migdałowych.

W centrum handlowym były cukiernie, butiki, kwiaciarnia i salon fryzjerski o dźwięcznej nazwie „Lukrecja”, do którego zapewne uczęszczały filigranowe piękności Lou i Tray.

Rachaela szła wzdłuż chodnika pełnego błyszczących punkcików podobnych do diamentów. Samochody mijały ją z warkotem, ludzie przechodzili, a ich letnie ubrania kryły gorące ciała. Psy tak wyszczotkowane, że aż błyszczące chłodziły się, wystawiając truskawkowe języki. Dzieciaki szalały na rowerach.

Czy będzie chciała spędzić poza domem cały dzień? „Dzień”, tak kiedyś brzmiało jej imię. Od jak dawna zamykała się w domu za oknami o barwach landrynek? Kolory witraży wsączały się w pokoje do

tego stopnia, iż miało się wrażenie, że są tam nadal, choć okna były zasłonięte.

Jak zachowałby się ten policjant na rogu, czy wiedziałby co zrobić, gdyby podeszła do niego i zapytała: „Czy ja jestem ze Scarabeidów?”

Kiedyś podsłuchiwała strzępek rozmowy między Lou i Tray. Mówiły o tym, że Cami został zatrzymany na obwodnicy, ponieważ nie miał na głowie kasku. Na poboczu drogi zaczęła się awantura. Nagle patrol dostał przez krótkofalówkę jakieś polecenie, strzęp informacji, tajemniczą wiadomość. Policjanci zaraz wycofali się i przeprosili Camilla, mówiąc jak im przykro. Na koniec jeszcze życzyli przyjemnej podróży.

Oczywiście Camillo musiał być reżyserem filmowym. Bo kimże innym?

Jednak Camillo nie był gwiazdą show–businessu. Tacy ludzie zawsze umieją stworzyć właściwe pozory. Nie, to wszystko funkcjonowało wokół niego w taki sposób, gdyż był Scarabeidem.

Rachaela minęła policjanta, który podążył za nią jedynie wzrokiem.

Weszła do cukierni i kupiła ciastka z kremem dla Sashy, Mirandy i Erika, a także Michaela i Chety.

Miała poczucie klęski, ale stanowiło ono tylko zapowiedź czy też sygnał głębszej i mroczniejszej emocji. Było to pewnego rodzaju frapujące oczekiwanie. Wypełniona nowymi uczuciami poszła w powrotem pod górę między porządne wille–bliźniaki, a potem weszła w elegancką ulicę prowadzącą w kierunku parku. Wracała do domu.

Żółte drzwi otworzyła gruba Murzynka pachnąca jak kwiat jabłoni. Uśmiechnęła się. Jej ciemne oczy rozjaśniało wewnętrzne światło, to były prawdziwe zwierciadła duszy. Nie tak jak czarne, podmalowane oczy dziewczyny stojącej przed domem.

— Pani Watt?

Delilah Trinidad przestąpiła z nogi na nogę, przenosząc swą potężną tuszę z jednej obutej w płaski but stopy na drugą.

— Nie, kotku. Jaka pani Watt. Nigdy nie słyszałam nawet o żadnej pani Watt.

Nieco dalej przy krawężniku James, syn Delilah, mył swego datsuna. Z każdego ruchu jego szczupłego ciała wyczierała duma. Pani Delilah spojrzała na niego. Może on słyszał o pani Watt?

— To jest ten dom — oświadczyła biała dziewczyna o długich czarnych włosach.

— Nie, kotku — zaprzeczyła Murzynka. — Jeżeli nawet kiedyś tu mieszkała, to teraz nie mieszka.

Wyglądała na zakłopotaną.

— Przyjechałam do Londynu z daleka.

W chłodnym niebieskim korytarzu, który zaczynał się za żółtymi drzwiami, pojawiła się nowa osoba. Była to dziewczyna o skórze koloru gorzkiej czekolady i urodzie modelki, w odróżnieniu od starszej, grubej kobiety wysmukła niczym topola. Wyglądała jak afrykańskie dzieło sztuki i w przeciwieństwie do matki mówiła z poprawnym akcentem.

— O co chodzi, mamusiu?

— Ta młoda panienka szuka pani Watt. Przyjechała do Londynu z daleka.

Pearl otoczyła ręką krągłe ramiona matki i nie zdając sobie z tego sprawy spowodowała, że wejście zostało wypełnione. Dwie kobiety, postawna i smukła, zasłaniały sobą niemal szczelnie otwór drzwi, stojąc ramię w ramię.

— Przykro mi — oświadczyła Pearl. — Mam wrażenie, że się zgubiłaś. Czy pytałaś obok? Oni mogą coś wiedzieć.

Wtedy w głębi błękitnego holu ukazał się pies, czarny jak rodzina Trinidad. Ładne zwierzę, o głowie jak rzeźba, stanęło w luce, której ciała kobiet nie zdołały wypełnić.

Ruth spojrzała na psa.

— Czy mogę go pogłaskać? — zapytała.

— Tak, jest łagodny — odparła piękna dziewczyna.

Ruth wyciągnęła dłoń i pies pozwolił się pogłodzić po głowie. Spojrzał na nią i do tego sprowadziła się cała jego reakcja.

James zostawił pokrytego pianą datsuna. Przyjaźnie uśmiechnięty szedł ścieżką w kierunku domu.

— O co chodzi, Pearl?

— Wejdz do środka — powiedziała Delilah Trinidad do Ruth. — Wstąp do nas i razem zastanowimy się, co zrobić.

Dwie kobiety nieświadomie pochyliły się ku sobie. Te dwa ciała nie zapomniały o tym, że kiedyś stanowiły jedność. Emanowało z nich ciepłe uczucie.

Młody człowiek szedł ścieżką z gąbką w ręce, z czułym uśmiechem na ustach. On także promieniował miłością.

Gdzieś w domu roześmiało się szczęśliwe dziecko. Pies wysunął język, jakby się uśmiechał, i machnął przyjaźnie ogonem.

— Trzeba iść do dziecka — powiedziała Delilah.

Ruth cofnęła się o krok.

— Popelniałam błąd — powiedziała.

Odwróciła się powoli i odeszła spod ich drzwi. Wyglądała na bardzo małą i całkiem czarną. Czarną ciemnością mroku, cienia i nocy.

Delilah obserwowała odchodzącą Ruth. Odprowadzała dziewczynę smutnym spojrzeniem szeroko rozwartych oczu.

— Biedny dzieciak — zawyrokowała ze współczuciem. — Biedna mała.

* * *

Widok miał w sobie coś z krajobrazów starożytnego Egiptu. Sprawiała to ciemna toń rzeki i ogień opodał. Jednak była to tylko Tamiza na jej najbardziej błotnistym odcinku, a ognisko rozpalano ze śmieci na wysokim brzegu pod bezpiecznymi magazynami. Włóczędzy grzali się przy nim, łagodząc chłód nocy.

Słońce utopiło się w wodzie jak stłuczone jajko. Przepłynęły barki. Kilka kilometrów dalej w górę rzeki były stare, zrujnowane doki, gdzie cumował duży biały statek o ekstrawaganckiej nazwie.

Od rzeki ciągnął chłód.

Nawet latem trzeba było rozpalać ogień.

— Patrz, biedny mały ptaszek — odezwał się Jimbo.

— Lepiej zostaw ją w spokoju — warknął Sedge.

Baldy, zajęty piciem kwaśnego, czerwonego sikacza nie powiedział w ogóle nic.

W tamtym, poprzednim życiu, Jimbo miał kiedyś córkę. Wstał i powłókł się wzdłuż brzegu w stronę czarnowłosej dziewczyny.

— Cześć. Witaj, malutka. Chcesz się przysiąc do ogniska? Nie zrobimy ci krzywdy — powiedział.

Dziewczyna zwróciła ku niemu swą bladą twarz, w której ciemniały wargi i oczy.

— Nie, dziękuję.

— Chodź, tam jest ciepło i bezpieczniej. Ogień odpędza szczury.

— Nie.

Od ogniska podniosła się kanciasta sylwetka Sedge'a otulonego w teksturę. Diabeł był z niego, nie chciał dzielić się niczym.

Jimbo zostawił dziewczynę i poszedł z powrotem. Sedge złapał go za ramię, jakby miał zamiar go zabić.

— Powiedziałem, żebyś zostawił ją w spokoju.

— Ale to jeszcze dziecko.

— Ulice Londynu wybrukowane są dziećmi — powiedział Sedge, który czasami mawiał różne dziwne rzeczy. Pociągnął Jimbo w dół, zmuszając go, by usiadł. — Zła! Ona jest zła!

Baldy czknął i podał wino dalej.

* * *

Ruth usiadła nad rzeką, słuchając jej szemrania. Daleko za nią trzaskał ogień włóczęgów. Po pewnym czasie zabrała się do przeglądania torby Amandy Mills. Miała w niej podkoszulki, czystą bieliznę, chusteczki higieniczne, zestaw do makijażu, pastę do zębów, dezodorant i pieniądze.

Dziewczyna nadal była głodna, chociaż po drodze wstąpiła do baru z hamburgerami. Zjadła podwójnego hamburgera, francuskie frytki, a na deser porcję lodów i spory kawałek ciasta i owocami. Teraz ciągle czuła niedosyt. Czasami kupowała sobie batony „Bounty” albo „Marsa”, lub też banany czy jabłka na straganie.

Uczucie głodu opanowało ją po pożarze domu. Uciekła, opuściła zgliszcza i odeszła daleko od morza. Czuła ból w miejscu, gdzie ON — Adamus ją uderzył. Miała podbite oko, spuchnięte usta i skaleczoną wargę, jednak nadal przede wszystkim chciało jej się jeść. Nie oglądała się wstecz. Unicestwiła wszystkich Scarabeidów. Spaliła ich. Tylko ona jedna pozostała przy życiu. Sama.

I Rachaela. Rachaela — jej matka — prawdopodobnie przeżyła. Ruth nie myślała o tym.

Była jak żarłoczny motyl wykluty z poczwarki.

Żar nocy wydał jej się wtedy znajomy, jakby kiedyś już się w nim zanurzała. Wokół w podszyciu coś szeleściło i poruszało się. Miała nadzieję, że dojrzy sowę, lecz nie zobaczyła niczego.

Doszła do szosy i wiedziała, że znalazła się we właściwym miejscu.

Stała, patrząc na drogę, ciemną i zamgloną przed brzaskiem. Nagle z mroku wyskoczył samochód, przecinając mgłę dwoma snopami światła. Jechał szybko, więc Ruth odsunęła się na pobocze. Omiótł ją światłami i przyhamował. Potem zatrzymał się, aż hamulce jęknęły. Stał na drodze, a dziewczyna pozostała nieruchoma. Wtedy cofnął się powoli w jej kierunku.

— Mój Boże, myślałem, że mam przywidzenia.

Był to zażywny pan w średnim wieku. Jego schludną twarz przecinała linia wąsów.

Ruth w swej staromodnej sukience, w ciężkich, praktycznych, szkolnych półbucikach i w koronie zmierzwionych, czarnych włosów zajrzała do wnętrza.

— Twoja twarz. Co ci się stało? — zapytał mężczyzna. Mówiono jej, żeby nie rozmawiała z obcymi ludźmi, ale teraz wszystko się zmieniło.

— Mój chłopak mnie uderzył.

— A to drań! Mój Boże, powinnaś iść z tym do lekarza. Wsiądź, podwiozę cię. Mieszkasz tu gdzieś w okolicy?

— Nie. Nie chcę lekarza — powiedziała dziewczyna. Obeszła dookoła forda sierre i otworzyła wóz od strony pasażera.

— Dobrze. Zobaczymy.

Ruth znalazła się w samochodzie i mężczyzna sięgnął ponad nią, żeby zamknąć drzwiczki.

— Chcesz jechać do domu? — spytał przymilnym tonem. To była jego stała maniera, poniekąd zawodowa. Zarabiał jako komiwojazer i ciągle musiał kogoś do czegoś przekonywać.

— Nie mogę — odparła Ruth. — A dokąd pan jedzie?

— Do Gavi Mount — odparł. Nazwa mogła oznaczać krater na księżycu, ale dopóki tam nie dotrą, nie miało to żadnego znaczenia.

— Pasuje mi — stwierdziła Ruth.

— W takim razie trafisz tam, gdzie chcesz.

Włączył silnik i pomknęli przed siebie.

Mężczyzna nazywał się Tom Robbins, tak jej powiedział. Zajmował się rozprowadzaniem wspaniałych neserków podróżnych dla młodych pań. Mogła spojrzeć na jego towary i przekonać się osobiście. Tak też zrobiła. Każdy neserek mieścił się w kwiecistym, różnobarwnym etui. Jego zawartość składała się ze szczoteczki do zębów, grzebienia, chusteczek do demakijażu, czązków do manicure, dwóch rodzajów pilniczków, pomadki do warg i lakieru do paznokci w tym samym odcieniu, tuszu do rzęs i zestawu cieni do powiek. Cienie były w czterech różnych tonacjach, zależnie od koloru neserka.

— No, śmiało, weź sobie jeden — zachęcał Tom Robbins, który nigdy nie był w stanie pokonać swej słabości do młodych dziewcząt, mimo że czasami sprowadzało to nań kłopoty w domu i w drodze.

Ruth wybrała zestaw, w którym cienie były szare i czarne, a pomadka i lakier krwście czerwone.

— Będzie ci w tym ładnie, jak tylko skaleczenie się zagoi — zapewnił Tom Robbins.

Z jednej strony miała śliczną buzię, a druga wyglądała jak z filmów grozy. Na szczęście wśród osób, które Tom znał w Mount, była farmaceutka miejscowej apteki.

Zbliżyli się do miasteczka i reklamy na poboczu autostrady zaanonsowały lokal pod nazwą „Szczęśliwy żarłok”.

Ruth oświadczyła, że jest głodna.

Kiedy stanęli przed barem, ostrożność kazała mu zatrzymać Ruth razem z jej sińcami i dziwaczną sukienką w samochodzie. Wyniósł jej cheeseburgera z jajkiem, frytki, kawałek ciasta i colę. Pożarła wszystko łapczywie, jakby umierała z głodu. Może nie było to aż tak dalekie od prawdy, bo odznaczała się niezwykłą szczupłością.

Rozwidniało się, gdy zjechali w cichą, boczną drogę.

Powziął plany dotyczące Ruth. Naczelne miejsce zajmowały w nich: miły, mały, dyskretny hotelik i butelka wina, a przedtem wizyta w aptece, która powinna być otwarta, zanim do niej dotrą. Tam, oprócz środków opatrunkowych, będzie można nabyć potrójny pakiecik przydatny w tych okolicznościach.

Tom Robbins zatrzymał się na bocznej drodze, żeby odpocząć z dala od autostrady i zapalić papierosa, zanim wjedzie do Gavił.

Kiedy tam stali, czerwień samochodu rozkwitła w szarości świtu jak szminka, którą jej podarował. Tom Robbins popełnił błąd. Poglądził kolano Ruth gestem przyjaznym, prawie dobrotliwym. Chciał dać jej do zrozumienia, że jeśli nie ma nic przeciwko temu... ale Ruth rąbnęła go pięścią w genitalia. Gdy złamany bólem upadł na kierownicę i klakson rozdarł poranną ciszę, dziewczyna wyciągnęła z saszetki większy z pilników i przebiła mężczyźnie szyję.

Wypiła trochę jego krwi, kiedy już nie żył. Zrobiła to, ponieważ wiedziała, że jest Scarabeidem, wampirem. Nie czuła w tym szczególnego smaku, picie krwi traktowała jako rodzaj służby i obowiązku.

Ostrożnie niosąc swój neseserek uciekła z samochodu, w którym spoczywał martwy Tom, i zagubiła się w obszarze angielskiej prowincji. Prowincja była jak dziki ogród ze swoimi zielonymi Wzgórzami, bocznymi drogami i rozległymi polami.

W południe trafiła na obozowisko rozłożone na łące. W pobliżu nie było nikogo, ale wszystko stało otworem. Ukradła chleb, ser pomidory, a do tego słoiczek majonezu i karton mleka.

Z takim zaopatrzeniem nie mogła zająć daleko, lecz okazało się to niepotrzebne. Wkrótce znalazła coś nowego.

* * *

Podróżnicy zjechali z autostrady i zatrzymali się na noc nad szerokim strumieniem. W małym lasku fruwały ptaki, wyśpiewując swe ostatnie wieczorne piosenki. Słońce złociło jeszcze część nieba, ale powoli zapadał już zmierzch.

Tabor składał się z dwóch starych pocztowych furgonetek z demobilu i powgniatanego volkswagena. Wysiadło z nich dwanaścioro dorosłych i czworo dzieci od czterech do dziesięciu lat. Kilka kobiet zabrało się do gotowania na prymusach. Wszyscy byli ubrani podobnie, w typowe stroje odpowiednie do letnich biwaków — bawełniane bluzy i spodnie w stylu militarnym. Rozpalili ognisko, a jeden z mężczyzn usiadł przy nim i zaczął grać na gitarze.

Ruth powoli wyszła z ciemności i znalazła się w kręgu światła płomieni. Z bufiastymi rękawami i długimi, hebanowymi warkoczami wyglądała jak współczesny wizerunek królowej Śnieżki. Skaleczenia nie rzucały się w oczy.

Podróżnicy przyjęli ją chłodno, ale bez zbytnej obiektywności pozwolili zająć miejsce przy ognisku. Gdy powiedziała, że jest głodna, dostała porcję jedzenia przyrządzonego na prymusie. Był to ryż z cebulą, zielonym groszkiem, pomidorami, soczewicą i fasolą w brzoskwińowym kolorze. Otworzono też wino i Ruth otrzymała pełen kubek.

Ich sposób mówienia zdradzał ludzi wykształconych, ale na rękach, ramionach i piersiach mieli tatuaże.

Mniej więcej po godzinie ktoś zapytał Ruth, co stało się z jej twarzą. Wtedy prawda zatriumfowała nad fantazją — powiedziała, że uderzył ją jej ojciec. Przyjęli to bez komentarza i zaczęli traktować ją tak, jakby zdała jakiś egzamin.

Zignorowali jedną czy dwie plamy krwi na jej sukience, mimo że w ciągu najbliższych dni Susie miała sprzedać odzież Ruth w mieście. Potem ubrali ją w swoim stylu. Doradzali jej też obcięcie włosów ze względu na problemy z utrzymaniem ich w czystości. Ruth udało się obmyć w umywalce z tyłu volkswagena, której rzadko używano.

Dwie dziewczyny, Susie i Clare, spały z dwoma chłopakami, Mike'em i Colinem, ale z tych związków pochodziło tylko po jednym dziecku. Pozostałe stanowiły owoc poprzednich znajomości. Dzieci chowano wspólnie, jak w wilczym stadzie, lecz nie darzono ich czułością właściwą wilczycom. Ruth w ogóle nie znajdowała czasu dla

malców. Wędrowcy myśleli, że ma szesnaście lat, ale ona nie miała nawet dwunastu. Sama była dzieckiem.

Samochody prowadzono na zmianę. Pozostali siedzieli lub leżeli podczas jazdy między posłaniami, siedzeniami, pakunkami i torbami.

Nocą Ruth spała w samochodzie dziewcząt wraz z Jane, Pat i Chloe.

Byli wegetarianami. Tłumaczyli Ruth, jaka to korzyść dla ducha i ciała. Odczuwała jednak brak mięsa, więc od czasu do czasu pozwalali jej na parę plasterków szynki, kawałek ryby czy chipsy.

Chloe i Ron mieli karty kredytowe. W miastach, gdzie często odmawiano im obsługi, stawali w kolejce do automatów bankowych. W tym czasie Susie i Mikę wraz z dziećmi szli żebrac.

Życie całej grupy nie miało żadnego celu. Mówili, że właśnie chcą, aby takie było: pozbawione sensu. A jednak musieli ulegać nakazom i zakazom. Żyli, by przeżyć.

Ruth przybyła do nich bez istotnej przyczyny i zatrzymali ją u siebie. Być może dlatego, że po zagojeniu rany jej uroda rzucała się w oczy, chociaż nigdy nie wyglądała na jedną z nich. Jej zbyt długie włosy opadały warkoczem na plecy, uszy miała nie przekłute, buty za duże, twarz białą jak porcelana, a ciało bez tatuaży.

Wieczorami Alan grywał na gitarze. Czasami wynosili na dwór radiomagnetofon, lecz muzyka, której słuchali, nie przemawiała do Ruth. Łaknęła Prokofiewa i Beethovena równie mocno jak mięsa.

Nie brała na ogół udziału w ich zajęciach, mimo to dołączyła do grupy chodzącej na żebrzy. Kupiła sobie spódnicę i podkoszulek w sklepie „Oxfam”. Chloe musiała dać jej pieniądze. Ruth nie przyszło do głowy, że Tomowi Robbinsowi mogła zabrać cokolwiek oprócz zestawu kosmetycznego, który jej podarował. Dopiero metody podróżników nauczyły ją, co powinna była zrobić. Pewnego razu Roger znalazł portfel. Pieniądze zostały podzielone równo między wszystkich.

Lato zamierało wokół, a oni jeździli nadal bocznymi drogami. Poranki stawały się mgliste, jesienne drzewa kolorowe jak ogniska. Wreszcie na furgonetkach pomalowanych w smoki osiadł szron, szronem pokrywały się pakunki umocowane linkami do bagażników. Zmieniono też ubrania na cieplejsze: doszły szaliki, skarpety, rękawice i solidniejsze buty. Ruth dostała stary płaszcz przeciwdeszczowy. Zaczęły się kłótnie. Zawsze sprzecali się, cytując Szekspira i

Nietzschego, ale teraz spory stawały się po prostu przykre. Susie rzuciła kiedyś rondlem.

Z nadejściem zimy grupa zaczęła się rozpadać. Peter, Alan, Mitch, Roger i Tony wyjechali razem. Susie i Mike wynieśli się oddzielnie. Następna odeszła Pat, potem Jane. Dzieci zostawały, opuszczone przynajmniej przez jedno lub oboje rodziców. Akt porzucenia zdawał się nie robić na nich żadnego wrażenia.

Ron, Colin, Clare i Chloe pozostali. Ruth, Ron i Chloe zbliżyli się do siebie. Ruth nocowała sama w furgonetce dziewczyn. Początkowo spały z nią dzieci, ale bały się jej, i w końcu wyniosły się do volkswagena, do Chloe i Rona.

Przezimowali obok wioski zbudowanej z szarego kamienia wśród płaskich, posępnych wzgórz, upstrzonych plamami śniegu. Mieszkali w letnim domku starszego brata Rona. Właściciel pewnie nie miał pojęcia, że zajęli chatę. Nie traktowali tego miejsca z należytą troskliwością. Zużywali mnóstwo prądu, ponieważ w przerobionym z wiejskiej chałupy domku nie było centralnego ogrzewania, ale za to elektryczny grzejnik w każdym pokoju. W salonie palili drewnem w prawdziwym kominku.

W wiosce bez problemów kupowali to, czego im brakowało.

Zima okazała się dla nich więzieniem, zaczynali coraz głębiej nienawidzić się wzajemnie. Początkowo Clare stała po stronie Colina przeciwko Ronowi i Chloe. Potem Chloe i Clare sprzymierzyły się przeciwko pozostałym. Pewnego dnia, gdy śnieg zaczynał już topnieć, Ron odjechał wczesnym rankiem volkswagenem, zostawiając rzeczy Chloe rzucone na stos pośrodku podłogi w przedsionku chaty. Chloe bardzo się tym przejęła, lamentowała, płakała i w końcu Colin poszedł z nią do łóżka. Ten układ spowodował ostateczne oziębienie wzajemnych stosunków, w wyniku czego, co najdziwniejsze, Ruth stała się kozłem ofiarnym.

Na wiosnę wypchnęli ją ze swej wspólnoty. Dowiedzieli się z jej opowieści, że ma przyjaciółkę w Cheltenham. Dali jej trochę pieniędzy, które miały jej pomóc w dostaniu się tam.

Ruth było przykro, że odchodzi. Jednak gdy szła przez wioskę drogą w kierunku autostrady, coś innego dręczyło ją o wiele bardziej. Było to poczucie, że czegoś nie zrobiła.

Emma Watt mieszkała w Cheltenham ze swoją córką i jej mężem. Ruth pamiętała dokładnie numer domu i drogę do niego. Natomiast wygląd samej Emmy zatarł się w jej pamięci. Choć nominalnie matką była Rachaela, to Emma wychowała Ruth, nauczyła ją czytać, gotowała dla niej jedzenie, otworzyła jej świat. Potem okazało się, że Emma jest potrzebna swojej córce. Natychmiast zostawiła Ruth. Dziewczynka miała wtedy siedem lat.

Teraz kończyła już dwanaście. Jej urodziny miały miejsce niedługo przed Bożym Narodzeniem. Wędrowcy zorganizowali dla niej fetę — ciasto z marchwi i prażone orzechy laskowe.

Emma mogła nie poznać Ruth. Ruth, która nie pamiętała twarzy opiekunki, była przekonana, że pozna ją od razu.

Czuła głębokie, zwierzęce podniecenie w związku z tym spotkaniem, chociaż nie analizowała swego zamiaru i nie była do końca pewna słuszności samego pomysłu.

W czasie podróży, gdy w dworcowej toalecie zakładała kusą spódniczkę pod płaszcz przeciwdeszczowy, przypomniało się jej, że jest Scarabeidem.

W jakiś mglisty sposób uświadomiła sobie, co było złego w jej odejściu od Chloe, Clare i Colina. Zabrakło czynku, który powinna była popełnić. Rzeczy, którą winna była zrobić, skoro miała taką możliwość.

Fakt, że później nie odnalazła Emmy, nie liczył się. Mogła szukać jej nadal, dosłownie wszędzie.

Przy ognisku włóczęgów Sedge poruszył się. Ruth przeszła obok niego. Dwóch pozostałych spało.

Sedge wstał i potykając się, ruszył w kierunku Ruth.

Kiedy odwróciła się do niego, wyszarpnął spod swoich łachmanów srebrny krzyż, który zdołał ocalić i zawsze nosił na szyi. Wyciągnął go i potrząsnął w jej stronę.

Ruth wyszczerzyła zęby jak zagrożony kot i uciekła w mrok.

Nadeszły długie letnie wieczory, ale Scarabeidzi wciąż jadal podwieczorek po zachodzie słońca. Zbierali się najpierw w białym salonie przed białym telewizorem i oglądali wieczorne wiadomości.

Tego dnia Erik przyszedł pierwszy, czasami spędzał w salonie prawie całe popołudnia. Potem zjawily się Sasha i Miranda. Rachaela dołączyła do nich ostatnia. Dlaczego? Straszliwe wydarzenia ze świata nie przenikały do jej umysłu. Nie interesowała się nimi, zachowywała całkowitą obojętność. Musiała przychodzić, żeby posiedzieć ze Scarabeidami z grzeczności, zanim posiłek zostanie podany.

Camillo był nieobecny na podwieczorku. Zabrał swoje służebnice i zawiózł trójkołowcem do Round House.

Kobiety Scarabeidów powoli przestawały nosić żałobę. Sasha miała na sobie suknię w kolorze lawendy, a Miranda barwy indygo. To były nowe stroje o kroju stylizowanym na lata czterdzieste i pięćdziesiąte. Erik nosił wieczorową marynarkę, może z lat trzydziestych.

Rachaela ubrała się w popielatą jedwabną suknię; wybrała ją z katalogu domu sprzedaży wysyłkowej. Jej dłoń zdobił pierścionek z rubinem, który dostała od nich na Gwiazdkę.

Godzinę wcześniej przebywała naga w swej łazience po przespaniu całego popołudnia.

Starła się nie patrzeć na swoje ciało, ale w łazience było długie lustro o jasnym, czystym szkle, zdobione tylko w jednym rogu emaliowanym wzorkiem z nenufarów. Unikała przyznania się do swej cielesnej młodości.

Lustro sprowokowało ją. Spojrzała i zobaczyła.

Czarne runo delikatnie wijących się włosów na głowie i w pachwinach, śmietankowa skóra bez najmniejszego śladu jej prawdziwego wieku. Szczupłe, jędrne ciało i nieskazitelne piersi kobiety nie więcej niż dwudziestopięcioletniej. Piękna. Tak, była piękna. Kiedyś nawet taka właśnie się czuła. Jednej nocy. Nad morzem. Z nim.

Lecz on odszedł, a ona była tutaj.

Ubrała się szybko i zeszła na dół do Scarabeidów i ich telewizora. Chciała uniknąć w swojej sypialni ciemnego ducha Adamusa, który

czasami nadal zbliżał się do niej w snach. Ułamek przyjemności, którą z całą pewnością winna wypalić jego śmierć, nawet jeżeli nie zrobiły tego narodziny Ruth.

Na ekranie telewizora relacjonowano jakieś wydarzenie polityczne.

— Premier powiedziała dzisiaj, że... — informował z należytym namaszczeniem spiker.

Michael i Cheta podawali drinki. Miranda wypła dzin z tonikiem, co z całą pewnością nie zdarzyło się nigdy przedtem. Erik pił czarną brandy, a dla Rachaeli Michael przyniósł kieliszek białego wina. Poczula przedziwną świeżość jego bukietu, miało posmak jabłek. Właśnie miała spytać Michaela o pochodzenie trunku, gdy straszny obraz zaciemnił ekran. Był to szkielet wypalonego domu.

Nie, podobieństwo do dawnej siedziby Scarabeidów było znikome. Pokazali kawałek tarasu, który rozpadł się pod wpływem wysokiej temperatury. Okna ocalały i ziały otworem w ciekłą, pustą czerń.

— ...ostatni pożar, który również miał miejsce w południowo-wschodnim Londynie, został definitywnie zaliczony do serii tajemniczych podpałek, w sprawie których policja prowadzi śledztwo od kwietnia bieżącego roku. Okoliczności przypominają pierwszy taki pożar, który miał miejsce w Cheltenham. Sprawę uznano za podejrzaną, gdy na podłodze holu znaleziono szczątki patelni.

Na ekranie ukazały się zdjęcia innych spalonych ruin z poczerniałymi, jeszcze dymiącymi, wypalonymi kolumnami strzegącymi zgliszczy tarasu. Na pierwszym planie stał strażak w pełnym rynsztunku, usmolony i bardzo zmęczony.

— Wygląda to bardzo podejrzanie — powiedział. W poprzek jego klatki piersiowej ukazał się napis: nazwisko, ranga i kwietniowa data. — Nie lubimy takich historii. W domu nie stwierdzono żadnych materiałów łatwopalnych. Ogień, jak się wydaje, powstał na dole. Dwoje ludzi nie obudziło się, choć w tych okolicznościach należałoby tego oczekiwać. Trzeci mężczyzna wygląda śmiesznie. To znaczy, przepraszam, dziwnie.

Na tle innego kąta wypalonego domu komentator mówił tonem, który rezerwował dla złych wiadomości:

— Dwa podobne pożary, które zdarzyły się parę dni później w okolicach Oxfordu, zaalarmowały policję w całym kraju.

Kolejny obraz innego, zwęglonego domu, równie straszny, a za nim następne. Każdy z tych domów wyglądał inaczej i wszystkie zostały doprowadzone do tego samego stanu.

Po zgłiszczach zaprezentowano retrospektywne montaż z uroczystości rodzinnych. Wesela z konfetti, wręczanie szkolnych świadectw, dni radości. Mnóstwo kwiatów i śmiechu. Ludzie na filmach nie wiedzieli, jak tragiczny los ich czeka. Wymieniono imiona i nazwiska, ale fizycznie już nie istnieli.

Komentator podsumował tonem przeznaczonym na takie okazje:

— Kolejne pożary w Oxfordzie, Reading i Guildford zostały wkrótce powiązane ze sprawą w Cheltenham. Oględziny biegłych ujawniły, że wszystkie ofiary zmarły zanim podłożono ogień, od ran ciętych i kłutych szyi. W drugim pożarze w Guildford wśród ofiar była trójka małych dzieci.

Na ekranie ukazały się trzy małe, martwe twarzązki, jak smutne zabawki w sklepie, których nikt nie kupił.

Następne pogorzeliśko i kolejny strażak. Na zaczerwienionej twarzy wyraz rozpacz:

— Widujemy wiele rzeczy naprawdę tragicznych, ale ta mała dziewczynka była martwa, zanim wybuchł pożar. Nie ma co do tego żadnych wątpliwości. Ogień nie doszedł do niej.

Obraz i dźwięk urwały się na moment. To była cisza pełna grozy.

— Dwa wypadki pożarów w południowo-wschodnim Londynie są obecnie uważane za ostatnie w serii podpaień. Drugi z nich miał miejsce w niedzielę przed południem. Czwooro ludzi straciło życie. Nazwiska nie będą podane do wiadomości publicznej, dopóki nie zostaną poinformowani krewni. — Komentator zmienił ton na bardziej wojowniczy. — Policja twierdzi, że zyskała istotny ślad.

Na ekranie pojawił się teraz cywilny funkcjonariusz policji w garniturze. Nieudolność kamerzysty sprawiła, że po ekranie przeleciały zygzakami tęczowe wzorki.

— Doniesiono o bardzo interesującym wydarzeniu, które miało miejsce tuż przed ostatnim podpaleniem. Otóż młoda kobieta zostawiła u sąsiadki kota z domu, w którym wkrótce wybuchł pożar. Podobna sytuacja miała miejsce w Guildford. Piesek został ocalony przed pożarem i umieszczony w schronisku dla zwierząt. Psiak był cały i zdrowy, i już znalazł nowych opiekunów. — Policjant odchrząknął. —

Jego państwo nie mieli tyle szczęścia. Istotną rzeczą jest fakt, że w obu przypadkach domowy pupil został uratowany przez młodą kobietę odpowiadającą temu samemu rysopisowi. Schronisko dla zwierząt nie zarejestrowało jej danych, a sąsiadka, która zaopiekowała się kotem i rozmawiała dość długo z dziewczyną, niestety nie mogła opisać jej ze szczegółami, gdyż nie miała akurat okularów. Pomimo to policja dysponuje rysopisem dziewczyny. Rysopis pasuje do fotografii z polaroidu, którą znaleźliśmy w miejscu drugiego pożaru w południowej części Londynu.

Pokazano rozmazane zdjęcie złej jakości, obramowane czarnym, nadpalonym brzegiem.

Nastąpiła cisza, jakby ziemia zawisła w kosmosie.

Miranda westchnęła, okulary upadły jej na biały dywan, przezroczysty dzin wylał się cienką strużką.

— Jak wynika z ustaleń, dziewczyna ma od szesnastu do dziewiętnastu lat i jest biała. Ma bardzo długie, czarne włosy sięgające ud, i nosi je rozpuszczone. Widziano ją w dżinsach, czarnej skórzanej kurtce lub w czarnym podkoszulku. Nie wysłano za nią listu gończego, ale każdy, kto ją zobaczy, proszony jest o natychmiastowe skontaktowanie się z policją.

Ze zdjęcia takiej jakości nikt na świecie nie byłby w stanie rozpoznać podpalaczki, lecz w tym pokoju każdy wiedział to od razu.

Rachaela złodowaciła. Sasha nie poruszyła się nawet.

Tak samo Michael i Cheta.

Miranda ani drgnęła.

Erik wstał.

Podszedł do białego telewizora i podniósł go jedną ręką do góry, jakby odbiornik był zrobiony z papieru.

Wrzasnął przeraźliwie i upierścienioną pięścią, starą i twardą jak żelazo, uderzył w ekran, na którym widniała zatarta, niemal nie do rozpoznania twarz Ruth.

* * *

Przed północą czarną furgonetką przywieziono wszystkie wychodzące w Anglii gazety. Na niektórych z nich druk jeszcze lśnił wilgocią.

Znajdowało się tu każde dostępne w Londynie pismo: wielkie, surowe płachty, arkusze, duże i małe formaty, niektóre białe–czarne, a niektóre krzyczące kolorami.

Wszędzie pisano o niej.

Miała imię, lecz nie to, które wybrała jej Emma.

Nazwali ją SUKA. Rozpoczęli polowanie z nagonką. Pojawiła się CZARNA SUKA. Gdzie zostawi swój krwawy ślad?

Prawdopodobnie deszcz gazet w domu Scarabeidów pojawił się za sprawą telefonu. Erik stał ze słuchawką w ręce, a za nim walały się szczątki telewizora. Próbował połączyć się z centralą, jak zapewne robił przed sześćdziesięcioma laty. Potem obrócił się sztywno i spytał:

— Michael! Jak można sprawić, by to urządzenie zadziało?

— Ja wykręcę numer, panie Eriku — odparł spokojnie Michael, podchodząc i delikatnie wyjmując mu słuchawkę z dłoni.

Rachaela wyszła z salonu. Udała się na górę do swego apartamentu i otworzyła szeroko okna.

Księżyc stał wysoko i oblewał drzewa w zagajniku za domem swym nieziemskim blaskiem. Sowa zahukała w pobliżu.

Pozostanie wydawało się niemożliwością.

W końcu znowu zeszła na dół.

Po przywiezieniu czasopism Scarabeidzi zabrali się do przeglądania ich, a Rachaela razem z nimi.

Obiady nie podano.

Jeszcze dwukrotnie oglądali wiadomości, teraz już w innym telewizorze, który Michael przyniósł do salonu.

Erik nie masakrował ekranu.

O drugiej w nocy od głównej drogi nadjechał z hukiem diabelski wehikuł. Camillo znalazł się w domu wraz z Lou i Tray. Erik posłał Michaela, żeby go przyprowadził.

Camillo wszedł do salonu okryty swymi czarnymi skórami i srebrnymi ozdobami. Lou i Tray stanęły w drzwiach jak dwie nimfy.

— Moje uszy są pełne rytmu ogromnych maszyn produkujących muzykę. Bębnow, gitar, syntezatorów. I głosów — oświadczył Camillo.

— Zapomnij o nich. Ruth jest w Londynie — stwierdził Erik.

— Ruth, phi — odparł Camillo.

Sasha podeszła do niego i wręczyła mu gazetę.

To „Independent” — pomyślała Rachaela.

— Czytaj. Nazywają ją suką — powiedziała.

— Słusznie. Przez całe wieki w języku angielskim suka stanowiła synonim kobiety nikczemnej — odrzekł Camillo.

Spojrzał na pismo i odłożył je.

— Cami — odezwała się Lou.

— Sza — uciszył ją Camillo. — Idźcie do swego pokoju.

Lou wzruszyła ramionami, a Tray ściągnęła swą drobną, małą twarz. Potem wyszły, posłuszne jak dwa złote charty.

— To jest straszne — powiedziała miękko Miranda.

— Nie — zaoponował Camillo. — Oto czym jesteśmy.

— Kłamiesz — odparł Erik, lecz jego agresja już zniknęła. — Michael, muszę znów skorzystać z telefonu.

— Tak — potwierdziła Sasha.

Miranda zakryła usta dłońmi.

Rachaela zamarła. Jakiego pokazu ich siły można było spodziewać się teraz?

Nie dowiedziała się. Najpierw Michael dłuższą chwilę wykręcał numer. Kiedy Erik przemówił do słuchawki, z jego ust padły słowa w obcym języku.

Pamela Bellingham poczuła ulgę. Z wyraźnym zadowoleniem otworzyła frontowe drzwi. Myślała, że Trevor znów zapomni zadzwonić do agencji. Nawet zresztą gdyby zadzwonił, to mogło się okazać, że po prostu nie byli w stanie zająć się jej sprawą.

— Pani Watt? — spytała dziewczyna.

— Och, nie — roześmiała się Pamela. — Oni zawsze przekręcają nazwiska, prawda? Nie, obecnie nazywam się Bellingham, ale wystarczy Pamela. Wejdz, widziałam, jak rozmawiałaś z policjantami. Pytałaś ich o drogę?

Dziewczyna milczała przez moment. W jej zachowaniu dała się zauważyć rezerwa.

— Tak — odparła z lekkim wahaniem.

Pamela weszła do pokoju dzieci, ponieważ okropnie hałasowały. Może znowu dostrzegły tego cholernego lisa? Dom stał na rogu i z okien można było zobaczyć przestrzeń za ogrodzeniem. Już wtedy zauważyła młodą dziewczynę o długich czarnych włosach, rozmawiającą z dwoma policjantami w mundurach. Rozmowa wyglądała zupełnie zwyczajnie i Pameli nie przyszło do głowy, że funkcjonariusze mogli specjalnie zatrzymać taką osobę. Właśnie nadjechał wóz policyjny, umundurowany policjant wyskoczył i ruszył przez jezdnię. Dwaj jego koledzy natychmiast zostawili dziewczynę, wsiedli z nim do samochodu i odjechali.

Młoda brunetka nie okazywała oznak zdenerwowania ani zaskoczenia. W przeciwieństwie do Pameli, która na jej miejscu byłaby bardzo zirytowana.

Potem dziewczyna weszła w ich bramę i Pamela zdała sobie sprawę, że Trevorowi w końcu udało się połączyć z agencją i wszystko załatwić. Przysłali dziewczynę do pomocy.

Ta wyglądała o wiele sympatyczniej niż poprzednia.

Pamela przeprowadziła ją przez hol do kuchni.

— Napijesz się kawy? Jak widzisz, mamy chyba wszystkie możliwe urządzenia. Praca nie będzie uciążliwa. Tam stoi zmywarka do naczyń, dalej pralka, a tutaj kuchenka mikrofalowa. Gdy wypijemy kawę, to oprowadzę cię po domu. Szczerze mówiąc, to bardzo lekka praca.

Słanie łóżek, zamiatanie, raz w tygodniu odkurzanie, a gdy Trevor zaprosi kogoś, trzeba mi pomóc w przygotowaniu posiłków. No i, oczywiście, maluchy. Mam nadzieję, że powiedziano ci o dzieciach? Ostatnia dziewczyna nie wiedziała, że w domu jest dwójka. To był dla niej szok.

Brunetka skinęła niepewnie głową.

— To są świetne dzieciaki. Naprawdę rozgarnięte, mimo to czasami bywają niesforne. Dominik zazwyczaj o tej porze jest w szkole, ale teraz trwają kolejne ferie. Violet ma dopiero trzy latka. A ty jak masz na imię?

— Ruth.

— Och, ślicznie. Zupełnie jak z biblii. Lubię stare imiona. To dlatego wybrałam Violet. Staram się również ubierać ją na fioletowo, zgodnie z jej imieniem. Czy w agencji nic ci o nas nie powiedzieli?

— Nie, nie wspomnieli o niczym szczególnym — odparła Ruth.

— Wyrażasz się bardzo poprawnie — stwierdziła Pamela, przyrządzając słabą kawę rozpuszczalną. Zastanawiała się, do jakiej grupy etnicznej należy Ruth. Prawdopodobnie miała w sobie krew słowiańską, choć była drobnokoścista, a zauważalna w niej pewna krucha wytrzymałość przywodziła na myśl Chinę.

Kiedy woda w czajniku zawrzała, Pamela napełniła filiżanki i postawiła je na dużym stole z sosnowych desek. Przysunęła także cukierniczkę i karton śmietankowych herbatników. Chcąc okazać serdeczność, Pamela przyniosła jeszcze pojemnik w kształcie świnki napełniony biszkoptami z jabłkiem i rodzynkami, pokrytymi lukrem.

— Poczęstuj się. Czuję, że będziemy się świetnie rozumiały. Jestem artystką, dlatego potrzebuję pomocy w obowiązkach domowych. Mam w domu pracownię i spędzam w niej bardzo dużo czasu. Robię głównie okładki do książek. Teraz mam poważne zamówienie na absolutny horror z dziedziny fantastyki. Zawsze daję z siebie wszystko, nawet jeżeli temat mi nie leży. To jest właśnie sprawa, od której należy zacząć. Kiedy jestem w pracowni, nie ma mnie dla nikogo. Nie wolno mi przeszkadzać, nawet wchodzić. Chyba żeby coś straszego stało się z maluchami.

Pamela zauważyła, że Ruth poczęstowała się już szóstym biszkoptem. Dziewczyna powinna mieć więcej wewnętrznej dyscypliny. Byłoby wstyd popsuć sobie taką świetną figurę.

Pamela westchnęła w duchu. Kiedy pobierali się z Trevorem, ważyła niewiele ponad pięćdziesiąt kilogramów, ale po urodzeniu dzieci przybrała na wadze. Oczywiście, jej figura nadal była niczego sobie, ale mogłaby co nieco zrzucić, chociaż za nic nie przyznałaby się do tego. Tak właśnie sobie pomyślała, spoglądając na Ruth. Zamknęła świnękę i wstała.

— Myślę, że chętnie obejrzysz swoje pole działania. Weź kawę i chodź.

— Już skończyłam, dziękuję.

Obchód domu okazał się krótki. Pamela wchodziła do poszczególnych pokoi, machała artystycznie rękami, a jej olbrzymie piersi podskakiwały zabawnie pod bawełnianą koszulą. Potem prowadziła Ruth do kolejnego pomieszczenia. Na parterze był brązowy pokój z dwoma olbrzymimi, nowoczesnymi obrazami, „pracownia” Trevora o beżowym wystroju z plakatem z Korfu zawieszonym na ścianie, i mała jadalnia z ozdobnym żyrandolem i pomarańczową tapetą.

Na pierwszym piętrze znajdowały się sypialnie i dwie łazienki. Jedna biało-czarna z fotografiami barwy sepia, a druga w kolorze żółtka z czerwonym abstrakcyjnym wzorkiem. Była jeszcze pracownia Pameli, olbrzymie pomieszczenie o zielonych ścianach, na których wisiały oprawione prace artystki, okładki do książek, niektóre powiększone, i listy od autorów i wydawnictw z podziękowaniami. Na sztalugach stał nie dokończony obraz olejny przedstawiający góry, wieże, dziewczynę i uskrzydłonego konia.

Na paru stołach leżały tuby z farbami, pędzle, buteleczki oleju terpentynowego, szmaty i inne potrzebne rzeczy.

Kiedy weszły na drugie piętro, zajrzały do bardzo małego pokoiku o purpurowych ścianach. Ten właśnie miała zajmować Ruth.

— Nie mogę nawet patrzeć na te perkale, różowości i całą tandetę — wyjaśniła Pamela.

Do pokoju przylegała mała łazienka. Po przeciwnej stronie schodów znajdowały się sypialnie dzieci i ich wspólny pokój do zabawy. Hałas nie przestawał dochodzić zza jego drzwi.

— Czyż to nie okropne, taki nadmiar energii — stwierdziła Pamela z odcieniem dumy. — Umieściliśmy je tutaj, żeby nie wchodziły nam w drogę. Trevor mawia, że powinniśmy zaopatrzyć je w tłumiki.

Otworzyła drzwi. Pokój miał białe ściany. Pokrywały je rysunki, do których wykonania Pamela zachęciła swoje pociechy. Efekt tych prac przypominał o natychmiastowe szaleństwo.

Violet siedziała na dywanie w fioletowej sukieneczce i fioletowo-różowych rajstopkach. Jej buzia wyrażała, że jest w pełni zaabsorbowana obserwacją tego, co się w tej chwili działo. W ramionach trzymała lalkę, której Dominik właśnie oderwał głowę.

Jej brat ukrył się za drzwiami. Wyskoczył z dzikim wrzaskiem na swoją matkę, która ze śmiechem złapała go i podniosła do góry.

— Teraz bądź grzeczny, kochanie. Spójrzcie tylko, kogo do was przyprowadziłam. To jest Ruth.

— Cześć — powiedziała Violet. Otworzyła szeroko oczy i odrzuciła swoją okaleczoną lalkę. Wstała i podniosła spódniczkę. — Pacz, ja mam fioletowe majki. — Rzeczywiście, miała.

— Jesteś niegrzeczna — Dominik pokazał palcem siostrę demonstrującą majtki.

Violet powoli, lecz zdecydowanie podeszła do Ruth przez całą szerokość pokoju.

— Czy kcesz posłuchać mojej piosenki?

— Nie, nie teraz, kochanie. Możesz zaśpiewać dla Ruth później.

— Ruth! Cholerna, stara Ruth! — wrzasnął Dominik, aż pękały bębenki w uszach.

— Kochanie — zaprotestowała Pamela. — Nie wiem, skąd one biorą takie słowa — wyjaśniła. — Nie wolno ci tak mówić.

— Cholerna! — krzyknął Dominik, uśmiechając się do swej matki uszczęśliwiony. — Cholerna, stara Ruth!

Pamela zignorowała go. Violet chwyciła Ruth za rękę.

— Kochaj! Kochaj mnie! — zawodziła na jedną nutę.

— Ona lubi Beatlesów — wyjaśniła Pamela.

— Kochaj, kochaj mnie! — nie ustawała Violet. — Kochaj, kochaj...

— Ruth, czy mogłabyś wytrzymać przez chwilę to obłędzenie? Powinam wykonać pewien telefon — powiedziała Pamela i wycofała się w kierunku drzwi.

— Cholerny telefon! — krzyknął Dominik, jednak już nieco ciszej.

— Dominiku, powiedziałam, żebyś przestał używać tego słowa — rzekła Pamela i wyszła.

Dominik spojrział w górę na Ruth.

— Kim ty, do diabła, jesteś?

Ruth milczała.

— Ona jest nana — Violet starała się jak mogła, żeby mówić dziwacznie i niezrozumiale, a przynajmniej takie robiła wrażenie.

— Jest brzydka i przekłeta — powiedział Dominik.

Ruth spojrziała w dół na Dominika.

Dominik wytrzymał jej spojrzenie mniej więcej dziesięć sekund. Potem stopniowo spuścił wzrok. Odwrócił się i energicznie rąbnął Violet pięścią w ramię. Dziewczynka upadła do stóp Ruth.

— Uderzył mnie — trzymała się nogi Ruth. — Ja kce mamusie. Mamusia położy do łóżka. Kce lalkę. Moja lalka nazywa się Penny i ma prawdziwe włoski, a on jej urwał głowę.

Dominik podszedł do okna. Violet zalkała bez łez, zerkając w górę, jakie to zrobi wrażenie na Ruth. Nie zrobiło żadnego. Chłopiec stojący przy oknie zeszywniał.

— Jest — spojrział na Ruth. — Lis. Mamusia mówi, że człowiek z Rady Miejskiej przyjdzie i otruje go.

— Lisi be — powiedziała Violet. — On śmieldzi.

— Mamusia wyłożyła trochę trucizny, ale to wstrętne lisisko jej nie ruszyło — poinformował Dominik.

— Zabić lisi, lisi be — wtrąciła się Violet.

Ruth podeszła do okna, a Violet zmuszona, aby puścić jej dżinsy, wyróciła się na podłogę.

Dominik otworzył okno i wychylił się. Lis był w ogrodzie. Wyglądał jak przedwcześnie dojrzały, jesienny liść. Przeskoczył przez mur niby kot, a teraz w psi sposób węszył w okolicach skrzynki z pelargoniami. Puszysty ogon miał białe zakończenie. Było to młode, żywotne, zagadkowe zwierzę. Chłopiec podszedł do dziecięcego fotelika stojącego w głębi pokoju i podniósł siedzenie. Wyjął procę i kilka małych ostrych kamieni.

— Mamusia mówi, że nie wolno ci mieć plocy — stwierdziła Violet.

— Cicho, bo cię kopnę. Mam zamiar wykończyć tego bydlaka.

— Dołóż mu, strzel mu w oko — dopingowała go siostra. Podeszła do okna i stanęli razem. On w maleńkich dżinsach i koszuli, ona w swoim fioletowym stroju. Mały chłopczyk wycelował procę, a mała

dziewczynka zapiszczała podekscytowana. Jeszcze raz musiał jej powiedzieć, żeby była cicho.

Proca była domowej roboty. Składała się z mocnego, rozwidlonego patyka i kawałka elastycznego bandaża. Gdy chłopak napiął ją, Ruth złapała elastyczną taśmę i pociągnęła jeszcze dalej, aż za jego ucho. Bandaż odskoczył i strzelił Dominika w policzek. Chłopiec krzyknął z bólu i zdziwienia.

Violet wrzasnęła i Ruth uderzyła ją w twarz.

Wreszcie w pokoju nastąpiła prawdziwa cisza.

Na zewnątrz, na trawniku, lis uciekał, przeskakując przez płot. Widać wyczuwał nadchodzące wydarzenia, straszniejsze niż trucizna i padające kamienie. Pobiegł do innych ogrodów.

— Powiem mamusi, co zrobiłaś — zagroził Dominik.

— A ja powiem o tobie memu ojcu — powiedziała Ruth. — On wychodzi tylko nocą, jest wysoki, blady, a oczy mu świecą w ciemnościach. Potrafi wszystko. Może wchodzić po ścianach. Po tej też wejdzie. Wybiję szyby w oknie w zupełnej ciszy. Wejdzie i wypije waszą krew.

Dwoje dzieci wpatrywało się w nią w całkowitym bezruchu. Violet zapiszczała, Dominik powiedział z drzeniem w głosie:

— Jesteś kłamczucha. Stara, cholerna kłamczucha.

— Poczekaj, a sam się przekonasz — w głosie Ruth był spokój. Dominik nie powiedział już ani słowa.

Po minucie Ruth opuściła pokój dziecienny i zeszła na pierwsze piętro.

Niżej, na parterze, Pamela z ożywieniem rozmawiała przez telefon.

Ruth weszła do pracowni. Minęła jaskrawe, pozbawione wyrazu płótno ze skrzydlatym koniem na tle gór. Bez wahania podeszła do stołu, na którym jasnosrebrne ostrze skalpela lśniło jak gwiazda.

* * *

Przez całą drogę do domu Trevor Bellingham martwił się, jak jego żona Pamela będzie dalej dawać sobie radę. Zapomniał skontaktować się z agencją, co najprawdopodobniej oznacza następny tydzień bez pomocy domowej. Dziewczyny do wszystkiego nigdy nie zostawały

długo, zniechęcone żmudnymi zajęciami, które zwała na nie Pamela. Posiłki, przekąski, dwoje nieznośnych dzieci...

Trevor martwił się, utkwwszy w popołudniowym korku ulicznym, dodatkowo zwiększonym przez wozy strażackie.

W końcu dojechał do swojej ulicy i nie mógł się przedostać.

Zdenerwowany stał obok swego samochodu i zorientował się nagle, że jego dom, pełen prac do wykonania, dzieci, Pameli i jej kłopotów, raz na zawsze przestał być problemem.

Telefon koloru kości słoniowej zadzwonił następnego dnia.

Jego dźwięk przeszył ciszę domu jak szydło.

Przypuszczalnie był to efekt rozmowy, jaką przeprowadzili Erik i Michael. Zapewne jeden z nich podniósł słuchawkę i przemówił.

Rachaela nie poszła zobaczyć ani nie pytała o to nikogo.

Drugiego czy też trzeciego dnia po tym, jak Scarabeidzi rozmawiali przez telefon, przybył Malach.

Zachód słońca był ognisty, przerażający, krwawy. Scarabeidzi przebywali w swoich pokojach, Rachaela nie wiedziała, czy oglądali wiadomości. Z pokoju na górze, jak przelewające się fale, sączyła się nowa muzyka Camilla. Może to tylko Lou i Tray ją puszczały.

Po zachodzie słońca nadeszła noc.

Rachaela usiadła w swoim oknie i patrzyła, jak ciemność zmienia krajobraz. Wszystko wyglądało jak dekoracja do baletu „Jezioro łabędzie”, który kiedyś widziała na scenie. Olbrzymie drzewa patynował platyną wczesny księżyc. Tylko jeziora brakowało. Zamiast niego w dole zbocza leżała polana, po której za dnia spacerowały psy i jeździły rowery. Stamtąd, z północnego zachodu, przybył Camillo.

To nie łabędź szybował w górze nad jeziorem, które było polaną.

To helikopter:

Jego jęklivy warkot przytłaczał nadmiernym hałasem, podobnie jak odgłos wehikułu Camilla. Potem delikatny półmrok rozdarły światła. Księżyc musiał skapitulować.

Wielki, śmieszny owad wylądował bez trudu na polanie. Wiatr jego podniebego wiatraka ogarnął cały dom.

Rachaela poczuła na swej twarzy suchy powiew o chemicznym posmaku.

Wstała.

Mozaika z kolorowych smug ciągle jeszcze zdobiła stok odbiciem okien domu. Michael wyszedł z barwnej przestrzeni i zbliżył się do kabiny helikoptera. Wiatr napierał na niego, lecz wyprostowany niezachwianie stawał mu czoło.

Wyobraziła sobie wszystkich pozostałych przy życiu Scarabeidów stojących w oknach pośród kotar. Erik, Sasha i Miranda, może Cheta. I ona sama.

Światła helikoptera przeświecały przez gałęzie drzew, śmigło obracało się. Potem wielki owad znów wzniósł się pionowo w górę, między strzeliste sosny, i odleciał.

Powrócił księżyc.

Wyszli z pustej przestrzeni między drzewami. Cztery postacie. Dwóch mężczyzn, Michael i jeszcze jeden, niosący cztery ciemne torby. Potem jeszcze dwie sylwetki o fantastycznym zarysie.

Czarno–białe.

Rachaela pomyślała, że to znów Camillo.

Ale to nie Camillo.

Mężczyzna był wysoki i prosty, jak ulany z czarnego metalu. Księżyc wydobywał z mroku jasne plamy twarzy i dłoni, a także dwa białawe psy, które kroczyły przed nim w górę stoku. Nosiły czarne obroże nabijane srebrnymi ćwiekami. Szły bez smyczy, nie oglądając się za siebie, nie klucząc, jak psy bojowe maszerujące w rytm nie istniejących bębnow.

Adamus...

Nie, również nie Adamus.

Gdy przechodził wśród drzew, księżyc oświetlił jego włosy. Była to grzywa sięgająca talii, biała jak eksplozja nuklearna, oślepiająca jak tysiące słońc.

Za nim szła czarnowłosa kobieta w aksamitnym płaszczu. Z jej ruchów biła nonszalancja. Nie Lou i nie Tray. Nie była też pokojówką, to od razu rzucało się w oczy. Prawie dorównywała mu wzrostem i kroczyła na wysokich obcasach swych czarnych jak atrament botków.

Do domu pozostało im około dziesięciu metrów, gdy sowa zahukała na dębie.

Białowłosa mężczyzna zamarł, a za nim zatrzymała się czarnowłosa kobieta.

Odpowiedział ptakowi miękko i wymownie, ale twarz pozostała nieruchoma. Potem uniósł rękę.

Sowa sfrunęła z czubka drzewa jak demon na jedwabnym żaglu. Przyleciała do niego i usadowiła się na jego nadgarstku niby sokół.

Rachaela wpatrywała się w tę przedziwną scenę. Wydawała jej się interesująca i zarazem piękna, dziwaczna i w jakiś sposób nie na miejscu, a jednak wspaniała.

Przez minutę mężczyzna o białych włosach stał z ptakiem odpoczywającym z rozpostartymi skrzydłami na jego ręce. Potem sowa uniosła się w powietrze i poszybowała dalej między drzewa, tak jak zrobił to helikopter.

Mężczyzna zaśmiał się. Do uszu Rachaeli doszedł suchy dźwięk.

Jeden z psów zaszczekał. Mężczyzna przemówił.

— Cicho, Oskar. Nie odzywaj się. Nie zostałeś jeszcze przedstawiony.

Głos miał melodyjny. Tak samo jak Adamus. Pobrzmiwał w nim leciutki odcień obcego akcentu, a może specyficzny rytm?

Gdy podchodzili do domu, spojrzął w górę i zauważył ją, to wszystko. Nie była w stanie przyjrzeć mu się dokładnie z powodu gry cieni i światła. Towarzysząca mu kobieta uniosła twarz, na którą padło nieco blasku przez żółtą szybę, i uśmiechnęła się. Okazała się niezwykle piękna. Przeszli wzdłuż ściany budynku.

Potem dom pochłonął ich.

Rachaela zeszła ze schodów. Ku swemu zaskoczeniu spotkała Mirandę, która szła tuż za nią. Stała na trzecim stopniu. Przez otwarte drzwi, wprost z nocy, wkroczył Michael wraz z mężczyzną dźwigającym torby.

Sasha i Erik byli już w holu. Obok nich stała również Cheta.

Olbrzymie, różowe lampy naftowe, które zapalono równolegle z elektrycznością, trzepotały za kolumnami jak wielkie różowe ćmy.

Kobieta wkroczyła pierwsza. Jej uroda była zdumiewająca. Zwłaszcza że z bliska wrażenie jeszcze się potęgowało. Jej czarne włosy, bardzo długie i z lekka falujące, przypominały pukle Rachaeli. Była wysoka i na obcasach mierzyła chyba z metr dziewięćdziesiąt.

Stała z boku jak królewscy heroldzi. Mężczyzna wszedł poprzedzony dwoma psami.

— Malachu! — wykrzyknął Erik.

— Eriku! — zawołał przybyły. Postąpił krok naprzód i wyciągnął dłoń, którą Erik uściśnął. Obaj pozostali w tym geście powitania całkowicie nieruchomi, jedynie patrząc na siebie nawzajem.

Mężczyzna, jak już Rachaela zauważyła wcześniej, był wysoki i chudy, miał twarz poszukiwacza przygód, dowódcy lub wojownika. Wysokie kości policzkowe, nos krótki i szeroki; rozchylone, wrażliwe wargi — być może subtelność pozostała z dzieciństwa. Oczy jasnoniebieskie, przezroczyste, o barwie akwamaryny. Oczekiwała, że będą czarne jak u Scarabeidów, ale przecież ona również miała jasne, choć była jedną z nich.

Na lewej ręce miał cztery pierścienie z pociemniałego srebra. Cofnął dłoń i Erik zrobił to samo. Wtedy mężczyzna imieniem Malach zwrócił się do Sashy. Uniósł jej palce i musnął je ustami.

— Althene — wskazał wysoką kobietę gestem pełnym wdzięku. Następny ruch dotyczył mężczyzny stojącego z Michaelem: — Kei. Wreszcie przyszła kolej na psy: — Oskar, Enki. Potrafią się zachować, inaczej nie przywiózłbym ich ze sobą — dodał.

— Enki wył w helikopterze — powiedziała Althene głębokim, aksamitnym jak jej płaszcz głosem. Ślad obcego akcentu przydawał mu specyficzną nutę.

— Tak, Enki wył — Malach głaskał głowę jaśniejszego zwierzęcia. Psy były irlandzkimi chartami z domieszką innej krwi; ogromne jak lwy z długimi, zakręconymi ogonami i dziwnymi błękitno-bursztynowymi oczami.

— Wszyscy jesteście mile widziani — powiedział Erik.

— Psy także. Brakuje nam zwierząt — uśmiechnęła się Sasha. Miranda wzięła Rachaelę za rękę i pociągnęła na dół. To była scena jak z filmu kostiumowego, średniowieczny czy renesansowy obraz. Wiedziono ją do Malacha w świetle lampy.

— Mirando — powiedział Malach lekko, dwornie całując jej dłoń.

Rachaela uczyniła wysiłek, by podnieść na niego wzrok, lecz kiedy akwamarynowe spojrzenie spoczęło na niej, musiała ustąpić.

— To jest Rachaela, córka Adamusa.

— Tak. I matka Ruth — powiedział.

— A kim ty jesteś? — spytała Rachaela.

Nie ujął jej dłoni.

— Malach. Nie słyszałaś?

— Jesteś Scarabeidem?

— Oczywiście. Wszyscy jesteśmy. Gdyby było inaczej, nie przybylibyśmy do was.

— A po co tu jesteście?

— Rachaelo — zaproponował Erik. — To nie jest odpowiednia pora na pytania. Odbyli długą podróż przez morze.

— Powiedzieliście mi, że jesteście ostatnimi Scarabeidami, którzy ocaleli.

— Jesteśmy ostatnimi tutaj, w Anglii.

— Rachaelo, widzę, że cię to niepokoi. Ja, to znaczy my, jesteśmy Scarabeidami z innej linii. Jednak również należymy do rodziny — wtrącił Malach.

— Jest wielu Scarabeidów — dobiegł z cienia łagodny głos Althene.

— Do kogo mielibyśmy zwrócić się w potrzebie? — spytała Sasha.

Rachaela cofnęła się o stopień. Bała się Malacha. Czy był to ten sam strach, który czuła przed Adamusem? Przerażenie męską siłą i urodą, dominacją mężczyzny i wszystkim, co ona niosła? Strach przed pułapką i usidleniem?

Ten mężczyzna budził obawy z innych powodów. W takim samym stopniu jak Adamus kapłanem, Malach był wojownikiem.

Rachaela stanęła z boku, pozwalając im wszystkim przejść do złotobiałego salonu, z którego usunięto już zdruzgotany telewizor. Psy podążyły za państwem zgodnie z etykietą.

Michael, Cheta i ten nowy — Kei — podawali drinki i filiżanki herbaty na powitanie. Kei ustawił z boku misę zwykle używaną do wody i wlał do niej piwo z wielkiego dzbanu. Psy podeszły i chęptały łapczywie i hałaśliwie. Potem Kei podał dzban Malachowi.

Malach nosił się na czarno. Czarne spodnie wpuszczone w wysokie czarne buty, także koszula i długi płaszcz.

Gdy Althene zsunęła swe aksamitne okrycie, odsłoniła suknię koloru jadeitowej zieleni spływającą z jej talii jak dwa liście rozkładające się na lodydze. Odsłonięta szyja była jasna, a długie palce nagie. Tylko nadgarstek zdobiła stara bransoleta w kształcie słonecznika z bladego złota. Althene miała perfekcyjny makijaż, czarne oczy podkreślone kawowym cieniem, wargi czerwono-brązowe i beżowy róż na policzkach. Jej rzęsy były długie jak u lampartów.

Rachaela stała w drzwiach niczym krnąbrne dziecko, które wśliznęło się do salonu, żeby podglądać dorosłych.

Cheta podała jej kieliszek wina i Rachaela przyjęła go zażenowana.

Przed sobą miała Scarabeidów. Ten ród był wszędzie.

Nie wyglądali na zakurzonych i pokrytych pajęczynami. Zarówno Erik jak i Miranda z Sashą utracili prezencję żywych zabytków. A ten mężczyzna, Kei, sprawiał nawet wrażenie mocnego i miał żołnierską postawę. Adiutant kapitana Malacha, podobnie jak niewiarygodna Althene, miał czarne oczy Scarabeidów.

Malach był oszustem, musiał mieć tak samo jak Rachaela domieszkę obcej krwi.

Utracili swego mistrza, Adamusa. Zostali zmuszeni do pożyczenia konia z innej szachownicy, lecz to wciąż była gra.

— Michael i Cheta zaprowadzą was na górę do waszych pokoi — powiedział Erik. — Camillo... — dodał po przerwie.

— Nie ma go tutaj — wszedł mu w słowo Malach. Potrząsnął swą białą grzywą, aż włosy omiotły mu ramiona. — Chowa się na górze?

— Camillo jest zmienny jak motyl — stwierdziła Miranda.

— Wreszcie — powiedział Malach, a jego wyraźne w rysunku, okrutne usta skrzywiły się na moment. — Mielście zwyczaj nazywać go wujem.

— Jeżeli ci to nie odpowiada... — potrząsnął głową Erik.

— Niech będzie młodzieńczy — zaopiniował Malach. — Ty jesteś Erikiem. Niech on będzie Camillem.

Malach miał twarz mężczyzny przed czterdziestką. Jeżeli był jednym ze Scarabeidów, oznaczało to sto lub więcej lat. O ile wierzyło się w ich opowieści.

Althene usiadła, krzyżując nogi w kostkach. Jej czarne botki zdobił kwiatowy haft w barwach złota i jadeitowej zieleni. Powyżej widać było cienkie, przejrzyste pończochy ze szwem, w odcieniu węgla drzewnego.

Czy należała do Malacha? Nie wyglądało na to. Kobiety z pewnością bywały jego własnością, nie zaś towarzyszkami.

Rachaela odstawiła kieliszek, nie dopijając wina.

— Jesteście tutaj z powodu Ruth.

— Spokojnie, Rachaelo — powiedziała Miranda kojącym tonem.

— Nie byliśmy w stanie jej powstrzymać — ciągnęła Rachaela. Zmusiła się, by patrzeć wprost na Malacha. — Biały koń przeciwko czarnej królowej...

— Tradycyjny ruch — powiedział Erik.

Malach milczał. Psy wypily trunek, podeszły do niego i ułożyły się, kładąc mu na kolanach olbrzymie, lwie łby.

— Czego obawia się Rachaela? — spytała Althene.

— Niczego. Ostrzegałam ich od początku, że Ruth jest demonem — odpowiedź Rachaeli zabrzmiała szorstko.

— Ale ty nie wierzysz w demony — riposta Althene była trafna, a w jej oczach czaił się inny rodzaj mocy.

— Nigdy nie wierzyłam w takie rzeczy — odparła Rachaela, zerkając w bok. — Jednak samo to do mnie przyszło.

— Nie bój się, Rachaelo — wtrąciła Sasha.

Rachaela zacisnęła wargi. Niemądrze było z jej strony wdawać się w spory. Nie potrafiła z nimi rozmawiać. Sprowadzali wszelkie dyskusje na płaszczyznę dziwacznej psychologii, rozmów o duszy czy duchu. Starannie omijali to, co świadome i racjonalne. Teraz znowu nie była w stanie się im przeciwstawić.

Cóż znaczyła Ruth?

Demoniczne dziecko, czarna królowa.

Niech Malach ściga ją w pokratkowanej jak szachownica dżungli Londynu. Niech tropi ją dniem i nocą.

W swoim pokoju Rachaela włączyła symfonię Szostakowicza, lecz muzyka niosła zbyt wiele niesamowitości i grozy. Słuchając klasycznych utworów, które wbrew woli otwierały tyle zakamarków duszy, robiła się nerwowa.

Dom wydawał się teraz dziwnie przepełniony. Dostał zastrzyk nowej krwi.

Dlaczego Camillo ukrył się? Czy naprawdę to zrobił?

Rachaela zdjęła ubranie i usiadła nago na krześle, czesząc czarne włosy przed ślepyim lustrem telewizora.

— ...zwłoki, znalezione w lasku niedaleko miejsca pożaru, są — jak się przypuszcza — ciałem młodej kobiety, której poszukiwała policja. Dwóch rowerzystów znalazło wśród paproci martwą dziewczynę w wieku między szesnastym a dziewiętnastym rokiem życia. Śmierć nastąpiła prawdopodobnie w nocy.

Na ekranie pojawił się mężczyzna w jednobarwnym, brązowym garniturze; ktoś musiał mu widocznie powiedzieć o efektach świetlnych, wywoływanych przez poprzednie ubranie.

— Tak, jesteśmy zupełnie pewni, że to Suka. Nie, na ciele nie stwierdzono żadnych śladów przemocy. To prowadzi do wniosku, że odebrała sobie życie.

To, co Rachaela widziała i słyszała, naraz stopiło się z mrokiem. Ekran tętnił już innymi wydarzeniami. Suka i jej śmierć przestały znajdować się w centrum uwagi.

— Lasek. Ruth... samobójstwo pod drzewami... Nie. To nie była prawda. Z pewnością nie.

Telefon... Telefon i helikopter. Przybycie Malacha. W jakiś sposób prawo i media zostały nakierowane na inny ślad. Scarabeidzi troszczyli się o swoich.

Powietrze stało nieruchomo, cień leżał tylko pod drzewami. Zbierało się na burzę. Niebo jakby zastygło, nabierając szaroniebieskiej barwy, na której tle zieleń liści wydawała się żółtawa. Połąc cmentarza rozciągała się jak okiem sięgnąć, poprzecinana gdzieniegdzie ciemnymi fontannami wytryskujących w górę drzew iglastych i jasnymi postaciami kamiennych aniołów. Z kasztanowca spadło kilka owoców, kolczastych kulek o idealnym kształcie, jak małe dzieła sztuki. Kwiaty umierały w wazonach, stojących na grobach. Śmierć dla uczczenia śmierci.

Przeszła obok upadłego anioła, którego nikt nigdy nie przywrócił do dawnej świetności. Wokół niego wyrosła wysoka trawa, źdźbła przebiły się przez szczeliny w zgruchotanych skrzydłach. Ruth spojrzała na anioła na tle panoramy grobów, rozłożonych wśród zieleni jak zęby smoka zasiane w trawie.

Nadeszli mężczyzna z kobietą i usiedli na ławce pod kasztanowcem. Nie zauważyli jej. Nie odzywali się przez dłuższą chwilę.

— Doskonale wiem, dlaczego to robisz — powiedział w końcu on, a w jego głosie było napięcie i kipiąca wściekłość.

— Nie wiesz. Tylko ci się wydaje, że wiesz.

— Wiem. Nie ty będziesz mi mówić, co wiem, a czego nie wiem.

— Ponosi cię wyobraźnia.

Mężczyzna szarpnął rękę kobiety, aż krzyknęła z bólu.

— Ile razy mam ci powtarzać. Nie mów mi, co ja mam myśleć.

Krępy i niewysoki, miał przystojną, opaloną twarz pod przerzedzającymi się włosami. Natomiast ona wcale nie była opalona.

Nosiła ciemne okulary i miała uszminowane usta. Były to jakby dwa elementy maskujące. Załamała dłonie, a potem roztarła bolące ramię.

— Richardzie, czy naprawdę nie mógłbyś zostawić mnie w spokoju? Nie robię nic złego, chcę tylko zarobić trochę pieniędzy.

— Nie potrzebujesz zarabiać pieniędzy. Mogę ci je dać. Boże, zawsze dostawałaś ode mnie dosyć forsy.

— Chcesz jeść, prawda?

— Ile kobiet może powiedzieć, że nie muszą pracować? Ty wcale nie potrzebujesz łączyć do roboty. Zarabiam tyle, że wystarcza dla nas obojga. Możesz sobie tylko siedzieć i robić się na bóstwo.

— Bóstwo — powtórzyła z ironią.

— Tak, robić się na piękność. Bo chcesz być piękna dla niego.

— Jakiego „niego”? Zwariowałaś?!

Spoliczkował ją. Uderzenie obróciło jej głowę i zrzuciło ciemne okulary.

Naraz Ruth zobaczyła wyraźnie, że kobieta ma podbite oko.

Nieznajoma z powrotem nałożyła okulary. Gdy odezwała się, w jej głosie słychać było desperację.

— Ja tylko chcę zarobić trochę pieniędzy na swoje potrzeby.

— Tak, i uważasz, że daje ci to prawo uciekania ode mnie — sztychł.

— Nie mam zamiaru uciekać.

— Nie uciekniesz. Jeżeli kiedykolwiek spróbujesz, to ja cię znajdę. Odszukam was oboje. Wtedy już nie skończy się na podbitym oku, Lindo. Załatwię go. Skończy na wózku inwalidzkim.

Znów zapadło milczenie. Była to gęsta jak cień chwila ciszy przed burzą.

— Zgoda. Wypowiem posadę. Zrobię to jeszcze dziś wieczorem — powiedziała wreszcie bardzo cicho.

— Dobrze.

— Ale będę musiała pracować do końca tygodnia.

— Nie.

— Muszę. Bądź rozsądny, Richardzie — zawahała się, lecz tym razem jej nie uderzył. — Tylko ten tydzień. Potem już będę w domu. Przecież możemy spróbować... pogodzić się.

— Musimy — chwycił ją i zamknął w swych ramionach. — Jesteś wszystkim, co mam, Lindo. Moja Lindo. Nigdy nie miałem zamiaru cię skrzywdzić. Przecież wiesz, że jesteś dla mnie najważniejsza.

Wstali i poszli ścieżką pod kasztanowcami jak para chorych, których właśnie zwolniono ze szpitala. Ruth podążyła ich śladem.

* * *

Dom stał na terenie otoczonym murem, jako jeden z wielu jednakowo niedbale zbudowanych i przykrytych jaskrawo czerwonymi dachami. Przez oprawione w ołów szybki można było zobaczyć koronkowe firanki, a za nimi wazon z kwiatami jak na cmentarzu. Ogródek był malutki. Starczało miejsca tylko na grill i krzesła wokół niego.

Kiedy weszli do środka, instynkt kazał Ruth zaczekać.

W oknie sypialni na piętrze zasłony były zaciągnięte.

Upłynęło około pół godziny, gdy w jednym z pokoi na dole zapaliło się światło. Było coraz ciemniej. Zbliżała się burza.

Ruth podeszła do drzwi. Dzwonka nie było, jedynie ozdobna kołatka. Zastukała.

Kobieta imieniem Linda podeszła do drzwi w szlafroku. Znow włożyła ciemne okulary.

— Pani Watt?

— Nazywamy się Reeves. Watt? Myślę, że to pod numerem sześć.

— Nie, nie. To ten dom.

— Obawiam się, że to niemożliwe. Wszystkie te domy wyglądają tak samo.

— Przyjechałam do Londynu z bardzo daleka.

— Biedactwo. — Lindzie było żal i czuła się skrępowana. — Zaprosiłabym cię do nas, ale bardzo się śpieszę. Pracuję wieczorami, rozumiesz, a Richard jest bardzo zajęty.

Cisza wisiała w powietrzu.

Burza zbierała siły, szykując się do uderzenia.

— Przepraszam, czy mogłabym skorzystać z telefonu państwa? — poprosiła grzecznie Ruth.

— Co? O Boże, telefon. Nie, przykro mi. Jest zepsuty, Richard... to znaczy mieliśmy mały wypadek...

Ogródek omiół wiatr tak gorący, jakby powiewali skrzydłami semiccy aniołowie. Małe drzewka w małych ogródkach pochylały się pod jego tchnieniem.

— Czy mogę wejść? — spytała wprost Ruth.

Linda Reeves zakryła usta dłonią.

— Nie, niestety. Przykro mi. Mój mąż nie czuje się najlepiej.

Ruth stała pod drzwiami. Podmuchy wiatru unosiły pasma jej włosów jak krucze skrzydła.

— Przebyłam długą drogę.

— Przykro mi, naprawdę. Ogromnie mi przykro.

Linda Reeves zamknęła nagle drzwi swego spartaczonego domu.

Ruth została na zewnątrz.

Usłyszała męski głos, wołający na piętrze:

— Co robisz?

— Och, do jasnej cholery...

— Nie używaj takich słów. Zabroniłem ci! — odrzyknął. Przez ściany domu o grubości jednego pustaka Ruth usłyszała, jak Richard Reeves schodzi na dół. Wszedł do salonu i przy świetle lampy widać było przez firankę, jak policzkuje Lindę. Kobieta potoczyła się pod ścianę.

— Nie rób mi tego nigdy więcej!

— Ja... ja przepraszam bardzo, Richardzie,

Ruth jeszcze raz zastukała w drzwi kołatką, ale nikt jej nie otworzył.

Z głębi tunelu podążał na powierzchnię mężczyzna o białych włosach.

Było wczesne popołudnie i perony metra pachniały jak zwykle świeżo zmiecionym kurzem.

O tej porze nie było tłoku. Ludzie wchodzili i wychodzili, a w powietrzu rozbrzmiewały dźwięki skrzypiec.

Na zakręcie tunelu pojawiła się jakaś postać. Była to młoda dziewczyna, która grała tak, jakby była sama jedynie ze swoją duszą i skrzypcami.

Tłum dreptał naprzód jak stado robotów.

Malach zatrzymał się, żeby posłuchać muzyki.

Jeżeli nawet dziewczyna była świadoma jego obecności, to niczym tego nie okazała. Zwrócił jednak na siebie uwagę przechodniów, niektórzy odwracali się przez ramię, żeby mu się przyjrzeć.

Skrzypce zawodziły zręczną trawestację Paganiniego.

Po minucie Malach wrzucił monetę do puszek po biszkoptach.

Pograżona w świecie swojej sztuki skrzypaczka przeklęła go w duchu. To, co zadzwoniło o dziesięć– i dwudziestopięć, było na pierwszy rzut oka małą, cienką i żółtą, obcą monetą bez wartości. (Później skrzypaczka wyjmie ją i zaintrygowana przyjrzy się przez chwilę zatartej postaci jeźdźca, zanim wyrzuci pieniążek. Tylko muzyka stanowi jej mocną stronę. Moneta rzeczywiście jest zagraniczna. Francuski złoty frank z początku piętnastego wieku.)

Malach wyszedł ze stacji metra, żeby zanurzyć się w atmosferze późnego, letniego popołudnia. Niebo wisiało ciężkie, grzmyły pomrukiwały w oddali. Wiszące nad ulicą światło sprawiało wrażenie, jakby było lepkie i wilgotne. Samochody przepychały się wśród wysokich czerwonych autobusów. Zbroje nowej ery z zatrzaśniętymi przyłbicami.

Siedzące na chodniku i liżące lody dziecko podniosło głowę wysoko w górę i spojrzało na Malacha. Malach też je zobaczył, dojrzałą duszę uwięzioną w ciele zbyt młodym i ciasnym. Przechodząc nieznacznie i bez nacisku dotknął jednym palcem głowy malca.

Dwie kobiety na przystanku zachichotały na widok Malacha. Wsiadł do nadjeżdżającego autobusu.

Pojazd wiózł go powoli przez Londyn i morze ludzkich spojrzeń.

Linie ulic wiły się, krzyżowały, znikwały i wracały.

Czasami przechodziły dziewczyny, niektóre z nich były czarnowłose.

Malach obserwował świat z okien czerwonych autobusów oczami jak kamienie wymyte rzeczną wodą.

* * *

Kwadrans po szóstej „Cockerel” napełnił się młodymi mężczyznami w szarych garniturach o doskonałym kroju i w kremowych półbutach. Trzy automaty do gry błyszcząły, odbijając się w butelkach dżinu i toniku, złotych sygnetach i wodoodpornych zegarkach, wytrzymujących ciśnienie kilku atmosfer.

Drzwi otworzyły się i odmieniec powoli, spokojnie przeszedł przez lokal.

— Hej, Kev! Spójrz no tylko!

Patrzyli, śmiejąc się i trącając łokciami.

W domu troskliwie, wypielęgnowane mamuśki czekały z nie dopieczonymi daniami w mikrofalowych kuchenkach. Dziewczyny wchodziły pod prysznice, przygotowując się na dotyk gładkich, opalonych i upierścienionych dłoni z wodoszczelnymi zegarkami na nadgarstkach. Przed lokalem stały samochody, jakby wyjęte z gazetowych reklam. Lśniące wozy błyszcząły w ostrym słońcu gorącego angielskiego lata, które zawdzięczano dziurze ozonowej.

A tu niespodziewanie pojawił się ten obcy. Przybysz z nocy; błada cera zamiast opalenizny, śnieżne włosy. Wyglądał jak zakurzony cień.

Kev nosił włosy króciutko przycięte, może dwucentymetrowe. W prawym uchu miał dziurkę, bo niegdyś nosił kolczyk. Teraz opowiadał wszystkim, że to blizna, pozostałość bójki.

Kevin obserwował cudaka, jak podchodzi do baru.

— Nie myślałem dużo o tej dziewczynie, co wiesz. Za wysokie progi na moje nogi — powiedział Den. Był z siebie zadowolony, okulary mu błysnęły.

— Ciii — uciszył go Kev. — Chcę usłyszeć, co coś takiego pije. Malibu z sokiem pomarańczowym? Krem Bristol?

Obcy przemówił miękko do barmana.

— Co on powiedział?

— Piwo, on pija piwo.

— Nieee. On ma zamiar umyć w nim włosy.

Białowłosa mężczyzna czekał na swój trunek. Odwrócił się do nich plecami, co wzięli za oznakę słabości.

— Próbuje zgadnąć, gdzie on się czesze — powiedział Kev.

— On nie czesze tych kłaków, on je nawozi, żeby lepiej rosły. Zachichotali, a białowłosa mężczyzna wykonał obrót, stając z nimi twarzą w twarz. Uśmiechał się, a w dłoni miał szklaneczkę z piwem, którą uniósł w toaście.

— Prosit.

— Och, to nie jest Anglik.

— Nie wie, co mówimy.

— Hej, przyjacielu, skąd jesteś?

— Cholerny szkop.

— Nieee. Oni wyglądają jak wieprze, Den.

— Taak. Ten bardziej przypomina szczura.

Wodniste oczy powoli skupiły się na nich, uśmiech nie schodził z twarzy.

Malach zanurzył palec w swojej szklance. Patrzyli zafascynowani.

Przesunął palcem po brzegu naczynia. Srebrzysty dźwięk drażnił duch jak dzwonięcie w uszach.

— Jak myślisz, czy to jakaś seksualna aluzja? — spytał Kev Raya.

— Może on podrywa Dena?

— Den, zdejmij okulary i daj mu buziaka.

Dźwięk szklaneczki z piwem stał się nagle przeraźliwy, przenikliwy, nie do zniesienia. Kilka osób odwróciło głowy w ich stronę.

Malach cofnął palec, ale dźwięk nadal drgał w powietrzu, podniósł piwo do warg.

Wtedy szklaneczka Keva rozprysnęła się na kawałki. Dżin i tonik chlusnęły na różową koszulę. Kev wrzasnął głośno. Zbladł, krew kapłała na jego wodoszczelny zegarek, który, czego jeszcze wtedy nie zauważył, zatrzymał się.

— Chryste, moje okulary! — jęknął Den. Gdy je zdjął, jedno ze szkieleł pękło na pół i wypadło na podłogę. Den bezsensownie upadł na kolana i na czworakach grzebał w dywanie, starając się, nie wiadomo po co, znaleźć kawałki szkła.

Ray cofnął się. Odstawił drinka na stół.

— W porządku, koleś! — krzyknął do Malacha. Odwrócił się na pięcie i prawie wybiegł na ulicę.

Malach wzruszył ramionami.

Szklaneczka zamilkła. Wysączył powoli jej zawartość. Parę zaciekawionych osób przyglądało się im, nie bardzo wiedząc o co chodzi.

— Bardzo sprytnie, bystry skurwielu — powiedział Kev. Malach pochylał się do przodu i zacisnął na twarzy Keva dłoń ze spatynowymi pierścieniami. Bładość policzków przeszła w zieleń.

— *Tot ziens* — powiedział spokojnie, a Kev zmoczył się w spodnie.

Na zewnątrz nie było już śladu po Rayu. Stara kobieta przeszła obok, ostrożnie stąpając po cieniu Malacha.

Na zachodniej części nieba wisiało słońce jak metylowopomarańczowa gwiazda. Burza nie nadeszła.

Słońce stopniowo schodziło z tarasu. Chłodny powiew przepłynął pośpiesznie między drzewami ogrodu. Lou i Tray czekały eksponując swą złocistą opaleniznę. Althene czytała książkę pod parasolką, która chroniła ją od blasku.

W południe Althene naraziła się obu dziewczynom, a zwłaszcza Tray, wieszając na nasłonecznionej ścianie maskę gazową, z której wylaniała się kępa czerwonych maków.

— To absolutnie karygodne — powiedziała Lou.

— Och! Och! — powiedziała Tray, kuląc się na swym leżaku, jakby pełzało po niej oślizgłe robactwo.

— Wcale nie — stwierdziła Althene, górując nad nimi na swych niezwykle długich nogach, których sporą część odsłaniała kusa spódnica. — To symbol pokoju. Po gazie, bagnietach i bombach pole bitwy pokrywa się kwiatami.

— Widziałam kiedyś pierścionek o kształcie maski przeciwgazowej — powiedziała po chwili Lou.

Całe popołudnie Lou i Tray kontynuowały opalanie, odwracając się do słońca jak słoneczniki i ciągnąc swe leżaki po całym tarasie.

Althene czytała pod parasolem blada jak lilia. Książka była angielską powieścią, a parasolka miała turkusowy kolor.

Z dołu, z gęstej kępy drzew, gdzie niepodzielnie panował cień, obserwowała je Rachaela.

Pierwotni Scarabeidzi zniknęli w pomroce dziejów. Tylko przedstawicielka nowej generacji plemienia, Althene, pozostała na posterunku.

Około czwartej nad ranem Kei udał się do Covent Garden. O siódmej wrócił przywożąc mięso i warzywa. W kuchni poszedł w ruch komplet noży i innych narzędzi. Michael i Cheta ustępowali Keiowi w kwestiach kulinarnych. To widocznie była jego specjalność.

Natomiast Malach był myśliwym. Wyjechał, a wraz z nim zniknęło z domu pełne zapalczywości napięcie.

Ale co z Althene? Jeśli nie należała do Malacha, to jakąż odgrywała rolę?

Od czasu do czasu Althene rzucała spojrzenie w głąb ogrodu, a wówczas Rachaela udawała, że interesuje ją jedynie własna lektura. Niestety, zaniechała zwyczaju czytania, a tom, wybrany na chybił trafił z biblioteki na londyńskich peryferiach, nie wciągnął jej. Stanowił jedynie pretekst.

Althene działała na Rachaelę hipnotycznie. Nie sprawiał tego jej wszechogarniający urok, lecz straszliwe połączenie łagodności z morderczą precyzją. Te cechy obudziły w Rachaeli niezdrowe zainteresowanie. W rzeczywistości przyczyną były długie miesiące spędzone jedynie w rodzinnym gronie. Sama nie wiedziała, jakie były jej uczucia do Ruth. Może, jak pierwotni Scarabeidzi, pragnęła jedynie wymazać Ruth ze swej pamięci i upewnić pozostałych, że tak się stało. Czy widmowy Malach odnajdzie Ruth? Jeżeli tak, to w jakich wystąpią rolach? Czy Ruth była wampirem, a on łowcą wampirów? A może on był drapieżnikiem, a dziewczyna zwierzyną, na którą polował? Niewinna, białoskóra panienka, która morduje...

Nie było żadnych odpowiedzi, jedynie nie kończące się pytania.

Powiew znów poruszył ogrodem, a Lou i Tray zaświergotały jak wróble. Za chwilę może pójdą poszukać Camilla, który gdzieś zniknął.

Tego poranka widziały Malacha.

Rachaela zauważyła je, jak wstrzymując oddech patrzyły na niego z jadalni. Czasami około jedenastej pijały tam sok pomarańczowy lub szklaneczkę „Fanty”.

Jeżeli Camillo był według nich reżyserem filmowym, to kim zgodnie z ich schematem myślenia mógł być Malach?

Kei przegonił dwa psy po okolicy. Potem poszły za nim do kuchni, nie odstępując go ani na krok.

Prawdopodobnie Althene dostarczono paczkę z ubraniami. Może był to ten ciemnobrązowy strój, przylegający do szczupłej sylwetki o płaskim brzuchu i wysokich, drgających piersiach?

Rachaela dokładnie obejrzała Althene i jej ciało, gdy ta zeszła do ogrodu.

— Mądrze robisz, siedząc pod drzewem — powiedziała Althene, stając obok niej. — Te dwie okropne dziewczynki z przypieczoną skórą za dziesięć lat będą wyschnięte jak rodzyнки, lecz nie tak apetyczne.

— Ty przynajmniej wychodzisz w ciągu dnia — powiedziała Rachaela.

— Och, oczywiście. U Mirandy, Erika i Sashy to kwestia wieku. Strach przed światłem słonecznym.

— Jedno z nich padło jego ofiarą.

— Naprawdę? — spytała Althene beznamytnie. — Kto?

— Miriam.

— Czy to znaczy, że zapaliła się?

— Nie — odparła zimno Rachaela. — To byłoby zbyt dramatyczne, nieprawdaz? Po prostu nie mogła znieść słońca. Upadła, a potem umarła.

— Może to był skutek wstrząsu z powodu pożaru domu i śmierci innych?

— Czy ty nie jesteś do nich podobna?

— Tak. I nie.

— Tak samo lubisz słowne gierki.

— Wszystkie rodzaje gier — odparła Althene.

— Chodzi mi o to, czy również twierdzisz, że żyjesz od setek lat? Czy ty i Malach pijecie krew?

— To jest bardzo osobiste pytanie — odparła Althene. — Nietaktowne pytanie. Co właściwie masz na celu? Czy chcesz mnie obrazić?

— Oni unikają pytań. Wykręcają się od nich.

— Czasami w rodzinie, gdzie sprawy krwi łączą się z miłością, to mogą być niezbyt zręczne pytania.

— Lecz ty, taka młoda i wyzwolona, kim jesteś? Na ile lat wyglądasz, trzydzieści? To znaczyłoby, że możesz mieć od czterdziestu pięciu do dziewięćdziesięciu pięciu.

Althene usiadła na trawie w swej spódnicy od Diora. Miała w sobie niedbałość właściwą kobietom, dla których modele wielkich domów mody stanowiły codzienne ubranie.

— Powiedzmy, że jestem troszkę starsza od ciebie, Rachaelo. Tylko troszeczkę. Tak samo jak jestem odrobinę wyższa.

Rachaela poczuła na swej twarzy delikatny rumieniec. Kolejny wykret, następny krok w stronę Scarabeidów, pomyślała.

— A krew, Althene? — zapytała.

— Nie — odpowiedziała zjawiskowa kobieta. Uśmiechnęła się równymi, białymi zębami. Zęby Ruth były bardzo podobne.

—A Malach?

— Czy to Malach cię intryguje?

— Poluje na moją córkę.

— Twoją córkę. Powiedziano mi, że nie chciałaś dziecka. Narzucono ci jego narodziny.

— Tak — Rachaela pozwoliła swym dłoniom opaść na książkę.

— Sprawa potoczy się swoim biegiem.

Althene odwróciła głowę. Twarz na długiej szyi była bez skazy jak fotografia gwiazdy filmowej z czasów pierwszej wojny. Półprzezroczysta, biała skóra wyglądała jak pozbawiona krwi. Niby skóra bladego, młodego, cudownego dziecka. Jak... Ruth. Chociaż Althene nie była podobna do Ruth. Kręcone włosy, wspaniałe oczy o źrenicach otoczonych lazurowymi obwódkami, jakie miewają indiańskie kobiety. Tego dnia jej wargi miały odcień kawowy, podobnie jak strój.

— Jak sądzisz, co ja będę czuła?

— Zastanawiam się — odparła Althene. — Czy miałaś straszną macochę, która nigdy nie pozwalała ci wyrażać swoich uczuć?

— Miałam niedobrą, patetyczną matkę. Na jedno wychodzi.

— Aha.

— Mój ojciec był też ojcem Ruth.

— Wiem — powiedziała Althene, a jej głęboki stłumiony głos był kojący jak dotyk kociego futerka.

— Moją matkę potraktowano jak rzecz. Znieprawiono ją. Starła się ochronić mnie przed takim losem, poddając surowej dyscyplinie. Cokolwiek lubiłam, było złe. Oczywiście nie znałam ojca. Potem, po trzydziestu latach, spotkałam Adamusa. Grał Prokofiewa i nie wyglądał na starszego ode mnie.

— Adamus był skończony — stwierdziła Althene.

— Sprawiono, żebym myślała, że to ja pociągnęłam go w otchłań. Pomogłam Ruth stać się potworem.

— A kto tak naprawdę jest winien, że tak się czujesz?

— Przyczyna tkwi we mnie — odparła Rachaela.

— Rodzina kwitnie.

— Scarabeidzi — odpowiedziała głucho Rachaela.

— Tak, właśnie oni.

Na górze, na tarasie, dwie filigranowe dziewczyny pozbierały swoje zabawki: czasopisma, lakiery do paznokci, olejki do opalania. Poszły do domu.

— Małe biedactwa — rzekła Althene. — Śliczne, małe muszki, Pokruszą się jak cukrowe cacka.

Rachaela zobaczyła skrzydło ciemności muskające ogród. To zachodziło słońce. Nic więcej.

— Wszystko, czego dotyka rodzina, ulega zniszczeniu — powiedziała.

— W takim razie rodzina powinna pozostać kazirodcza, tak jest bezpieczniej.

— Nie. Nawet nie próbuj pchnąć mnie w kierunku Malacha — zaoponowała Rachaela.

— Malacha? Malach został przeznaczony dla Ruth. Przykro ci z tego powodu? — Althene zaśmiała się. Złote światło padało teraz wprost na nią. Wyglądała jak posąg, w który tchnięto życie.

— Znam kategorie, którymi oni myślą. Ciągłość. Mogę jeszcze rodzić dzieci. Mogliby przeznaczyć go mnie.

— On robi to, czego sam pragnie. Lepiej, żebyś to wzięła pod uwagę — ucięła Althene.

Rachaela poczuła, jak coś się w niej rozluźnia, jakby wydostał się z niej ogień, płonący dotąd w jej wnętrzu. Zadowolenie? Malach i Ruth. Czy to oznaczało brzytwę, czy pocałunek?

— Dzisiejsza kolacja będzie cudowna. Kei jest niezrównany — zmieniła temat Althene.

— Przyjemności ciała.

Jak w bogatym, żeńskim klasztorze — przez żołądek do łędźwi. Althene odwróciła się do niej. Ileż mogła liczyć lat? Stara jak historia, być może. Obluczona w białe, młode ciało.

W takim razie ile ja mam lat?

— Malutka Rachaela — powiedziała Althene.

Słowa jak pieszczota. Słodkie, bezmyślne, znaczące tak niewiele.

* * *

W holu Lou i Tray stały stłoczone, przyciśnięte do siebie, każda prawie na jednej nodze jak bocian.

Dwa psy, które tak przerażały dziewczęta, siedziały na środku pomieszczenia, waląc o ziemię sierpowatymi ogonami.

Camillo głaskał je po wielkich łbach.

— To jego psy. Odkąd pamiętam, zawsze miał podobne bestie. Te dwa pochodzą z rasy, która żyła w Irlandii w czasach, gdy ludzie nosili trzecie oko wymalowane na czole — powiedział Camillo do Rachaeli.

— Chowasz się przed Malachem — zauważyła Rachaela.

— A ty nie robiłabyś tego na moim miejscu? — zaśmiał się. Bardziej niż zwykle wyglądał na chłopca. Ciepłe wieczorne światło wygładzało zmarszczki. Zmienny jak motyl.

— Koniu, nie opuszczaj sztandaru swego ogona, a słońce trzymaj z dala od mych oczu — powiedział niezrozumiale Camillo.

Błyskawica przecięła niebo jak zęby egipskiego krokodyla, lecz burza nadal trzymała się z daleka. Może nigdy nie nadejdzie.

Ruth zaszła do „Bernie Inn”, gdzie szczęśliwe rodziny przychodziły coś zjeść. Wśród wybuchów śmiechu i wesołych pogawędek samotnie spożyła swój posiłek: stek, ziemniaki pieczone w łupinach przybrane kleksami kwaśnej śmietany, sałatę, marchewkę z groszkiem i cebulę w ażurowych pierścieniach. Na deser zamówiła lody. Tkwił w nich zimny ogień sypiący wokół złotymi gwiazdkami. To spowodowało, że na chwilę przyciągnęła powszechną uwagę. W tym właśnie momencie poczuła strach.

Strach dla Ruth był zjawiskiem przemijającym jak krótkotrwały ból brzucha. Nie groził żadnymi przykrymi konsekwencjami.

Popiła posiłek sokiem pomarańczowym. Nie pijała alkoholu, chyba że ktoś ją poczęstował albo miała do niego łatwy dostęp w sytuacjach towarzyskich. Te jednak zdarzały się rzadko. Kierował nią instynkt samozachowawczy. Ciągle wyglądała młodziutko, mogła mieć nie więcej niż szesnaście lat.

Kiedy wyszła z restauracji, dzień odchodził oszukany przez burzę.

Wieczorem niebo poczerwieniało i nastąpiła cisza.

Ruth szła ulicą. Lamy uliczne migotały, szkarłatne jak konające niebo.

Ruch uliczny monotonnie posuwał się naprzód.

Srebrny wóz odłączył się od strumienia pojazdów i wolno podjechał do krawężnika. Podkradł się do chodnika, jakby w poszukiwaniu konkretnego sklepu lub domu.

Na skrzyżowaniu Ruth skrzyła w boczną ulicę. Znowu kierowała się w stronę osiedla, pod dom Reevesów.

Srebrny mercedes poczekał na zmianę świateł, a potem skręcił w tę samą ulicę co dziewczyna. Zahamował tuż przed nią.

Ruth nie zwróciła na to uwagi.

Z samochodu wysiadł mężczyzna. Szczupłe, żyłaste ciało okrywał piaskowy garnitur. Nad jedwabnym krawatem widniała koścista twarz o jasnych oczach bez wyrazu. Zaczesane do tyłu włosy lśniły od żelu.

Gdy Ruth zbliżyła się do niego, skoczył naprzód i złapał ją bez słowa.

Na ulicy nie było nikogo. Po obu stronach, w głębi ogrodów, za starymi drzewami i gęstymi żywopłotami z ligustru stały domy. Nikt nie wyglądał z jasno oświetlonych okien.

Tylne drzwi samochodu były otwarte.

Ruth walczyła. W końcu szczupły mężczyzna odezwał się:

— Uspokój się, kotku, albo złamię ci rękę.

Ruth przestała się opierać. Mężczyzna wepchnął ją na tylne siedzenie samochodu i zatrzasnął drzwiczki. Wskoczył na miejsce obok kierowcy. Mercedes ruszył. Wyprysnął do przodu jak srebrzysta rakietka, natychmiast znalazł się na głównej drodze i dołączył do strumienia pojazdów, kierujących się na południe.

* * *

Lorlo Mulley spojrział na niewiarygodną laleczkę, którą właśnie wrzucono mu do samochodu.

Czysty przypadek, że zauważył ją i rozpoznał. To ta, której poszukiwała policja. Powiedzieli, że znaleźli ją w lesie martwą. Chyba jednak się mylili.

— Spokojnie. Teraz jesteś bezpieczna. Masz szczęście, że cię zauważyłem. Wyciągnąłem cię z kłopotów. Mnóstwo glin kręci się w tej okolicy. Zaraz sama się przekonasz, że dobrze trafiłaś — powiedział Lorlo Mulley do czarnowłosej dziewczyny.

Ruth popatrzyła na niego.

Co za spojrzenie! Mówili, że znaleźli ciało w lesie, ale to on miał je tutaj i cóż to było za ciało!

— Wiem, jakie masz problemy — odezwał się Lorlo uprzejmie. — Jesteś poszukiwana, prawda? To żaden problem. Przy mnie nic ci nie grozi.

Na taką babkę trafia się raz, może dwa razy w życiu. Trudno znaleźć dziewczynę, która miałaby figurę, twarz i włosy dorównujące tej panience. Mogłaby zarobić dla niego kupę forsy. A jej oczy? Czy były jak sztylety? Nie. Były tylko kapryśne. Może odrobinę zwariowane. Cóż, to jest w stanie wytrzymać, może uda mu się ją zmienić.

— Chcesz drinka, laleczko? — Otworzył samochodowy barek: koniak, wódka, likiery.

Przez szybę dzielącą wnętrze samochodu widać było Honeya i Frankie'ego zwróconych przodem do kierunku jazdy. Frankie bez wysiłku lawirował samochodem pośród natężonego, wieczornego ruchu. Dobry z niego kierowca, pierwsza klasa. Honey też jest niezły. Świadczył o tym sposób, w jaki załatwił panienkę, po prostu zgarniając ją z chodnika. Świetny, nawet jeżeli czasami bywał dokuczliwy, jak wrzód na pośladku.

— Należę ci cointreau, zobaczysz jakie to dobre. Ma smak pomarańczy.

— Proszę — zgodziła się Ruth.

Nalał jej szcudre, lecz bez przesady. Nie chciał, żeby chwyciły ją mdłości. Bez entuzjazmu opróżniła szklaneczkę do dna.

— Spokojnie, spokojnie. Lubisz sobie golnąć, co, mała? — zapytał ze zdziwieniem Lorlo.

Dziewczyna zignorowała pytanie, oświadczając poważnie:

— Chciałabym teraz wysiąść.

— Nie, nie. Po co ten pośpiech? Pójdiesz ze mną, należy mi się to. Zobaczysz mój dom. Na pewno przypadnie ci do gustu. Wiesz, mogę wyciągnąć cię z tarapatów.

Ruth więcej nie protestowała.

W nagrodę zaproponował jej kolejnego drinka.

— W domu mam trochę towaru — dodał. — Zaraz poczujesz się lepiej. Ze mną jesteś bezpieczna.

Powiedział Ruth, że może do niego mówić „Lorlo”. To był przywilej jego najlepszych dziewcząt. Pospólstwo musiało zwracać się do niego „panie Mulley”.

Zapytał ją, jak się nazywa. Powiedziała, że Ruth. Spodobało mu się to imię. Miało klasę.

Mercedes minął West End, przysiadając na ostrych zakrętach, mknąc alejami wśród wysokich murów i zjeżdżając pod wiadukty kolejowe.

Wjeżdżali na terytorium Lorlo.

Przez pustkowie zbliżali się do wielkiego magazynu. Po obu stronach straszyły szkielety budynków z potłuczonymi szybami. Sam magazyn był w idealnym stanie. Pomalowany na biało, nieskazitelny.

Nawet skrawek papieru nie kalał betonowego nabrzeża nad wąskim kanałem.

Frankie zaparkował mercedesa, budząc zapewne szczury w pobliskich dziurach. Samochód był nietykalny. O tym wiedziała cała okolica.

W przedsionku budynku powitał ich Chas. Wyszedł ze swojej dziupli i uśmiechnął się, widząc Lorlo. Uwielbiał go.

— Szanowanie, panie Mulley — spojrzał na Ruth i zachichotał. Honey i Frankie zignorowali go. Stał o kilka stopni niżej w precyzyjnej hierarchii ich świata. Były bokser, zwykły obijmorda, miał tylko dwa nałogi: hawajskie cygara i lemoniadę. Cały czas spędzał w swoim kantorku przy windzie, paląc i przeglądając gazety. Na podorzędziu trzymał zawsze pudełko szpilek z kolorowymi łebkami. Czasami wyciągał kilka i wbijał w sutki rozebranym dziewczynom na fotografiach. Wtedy śmiał się. Kobiety śmiały Chasa.

Obok zniszczonego czajnika leżała siekiera, jakiej używają drwale. Chas miał dużą wprawę w posługiwaniu się nią, a także swymi pięściami.

— Cześć, Chas. Masz swoją lemoniadę?

— No pewnie, panie Mulley. Jakże by inaczej.

Nad gaśnicą wisiał obrzyn.

Honey już przywołał windę. Zjechała wolno, głośno pobrzękując. Ciężkie drzwi otworzyły się stopniowo. Lorlo Mulley wprowadził Ruth do windy, trzymając ją za łokieć. Starannie unikał zetknięcia się ścian lub drzwi ze swym jasnym garniturem. Kabina miała rozmiary sporego pokoju.

Ruszyli. Winda zaskrzypiała, jadąc w górę.

— Trzeba ją naoliwić. Frankie, zajmij się tym — powiedział Lorlo.

— Tak jest, panie Mulley — Frankie skinął posłusznie głową.

Kabina stanęła, drzwi szczerknęły i wolno zaczęły się rozsuwać.

W rosnącym otworze pojawił się biały dywan, nieskazitelny jak futro polarnego niedźwiedzia z bajki.

— Spodoba ci się u mnie, Ruth — powiedział Lorlo. Wprowadził ją do ogromnego wnętrza. Na śnieżnej płaszczyźnie stały swobodnie rozmieszczone meble z czarnej skóry. Jedną ze ścian zajmował zestaw biurowy, fotokopiarka, szafka z kartotekami pełnymi nazwisk

dziewcząt i chłopców od trzynastu do dwudziestu trzech lat. Faks stał tuż przy telefonie, starym, czarnym modelu z lat pięćdziesiątych.

Po drugiej stronie dywanu znajdował się czarny telewizor z magnetowidem i wieżą. Otwarte drzwi prowadziły do kuchni, łazienki, prysznicza i toalety.

Na ścianach wisiały fotografie. Były to gruboziarniste odbitki zdjęć przedstawiających samochody bugatti i studebaker. Miały klasę, podobnie jak dziewczyny Lorlo.

Honey i Frankie usunęli się.

— Zróbcie kurczaka — polecił Lorlo.

Honey przeszedł do drugich drzwi i wszedł do kuchni. Białe pomieszczenie lśniło. Od razu było widać, że rzadko je używano. Honey wyciągnął z lodówki topniejącego kurczaka na talerzu. Na zapasy składały się puszki szwedzkiego Lagera, dwie butelki szampana Dom Perignon i słoik z kawiozem.

Honey umieścił kurczaka na blacie koło ekspresu do kawy. Podwinął rękawy swojej koszuli prosto z pralni i wpychając dłoń we wnętrze tuszki, wyciągnął ze środka opakowanie z folii aluminiowej.

Lorlo poprowadził Ruth przez pokrywającą podłogę połac śnieżnego futra do drzwi w głębi wielkiego pomieszczenia.

Dywan za nimi nadal był biały, a meble czarne, lecz tam białoczną harmonię ożywiały lamparce skóry rozciągnięte na potężnych rozmiarów łożu.

— Wejdz. Zapraszam do mojego saloniku — powiedział Lorlo. Ruth weszła do pokoju.

Sposób, w jaki się poruszała, był zachwycający. Stanowiła cenne znalezisko. Należało jedynie uzyskać nad nią kontrolę, a to nie wydawało się trudne.

Nad łóżkiem wisiały dwa oprawione fotosy: Bette Davis i Joan Crawford. Te kobiety miały w sobie czar i magię, coś trudnego do określenia. Ruth rozejrzała się wokół i rzuciła okiem na fotografie. Potem podeszła do łóżka i dotknęła rozrzuconych na nim skór.

— Oho, widzę, że lubisz kotki.

— Czy to prawdziwe skóry?

— Tak. Ja nie trzymam byle śmiecia. Lampart. Super.

— On jest martwy — stwierdziła Ruth, głaszcząc skórę.

— Możesz być pewna. Nie ugryzie cię. — Podszedł do serwantki. — Jeszcze jednego drinka?

— Tak — zgodziła się Ruth.

Umiała się zachować, kto ją tego nauczył? Przysięgłby, że jest szczuplejsza niż matka Teresa. Wyczuwał w niej dziewictwo.

— Ktoś cię poszukuje? Ktoś oprócz łapsów? — zapytał. Zresztą to nie miało znaczenia. Za tydzień ta dziewczyna będzie już kimś innym.

Wręczył jej cointreau z lodem. Sobie nalał wódki. Poszedł do łazienki, przylegającej do pokoju.

— Jeśli czegoś chcesz, to tam są Frankie i Honey — powiedział, wskazując w stronę kuchni.

W ten sposób zasygnalizował jej, że nie ma możliwości ulotnienia się, choć może zdawała sobie z tego sprawę i nie miała nic przeciwko temu.

Zamknął drzwi i wziął gorący prysznic. Lubił być czysty, a nie zawsze miał ku temu warunki w czasach swojej młodości.

Stojąc pod strumieniem wody, pomyślał o Candy. Była najlepsza w jego stajni. Domieszka azjatyckiej krwi dodawała jej atrakcyjności. Zapanował nad nią, ucząc brać kokainę. Candy bardzo szybko się uzależniła. W końcu była już tylko narkomanką i musiał się od niej uwolnić.

Postanowił być ostrożniejszy z Ruth, ograniczać wydzielane jej porcje.

Wyszedł spod prysznica, wypłukał sobie usta listeriną. Wtarał odrobinę oliwki dla dzieci w głowę i włosy na piersi.

To był niemal rytuał. Lubił to, bo wprowadzało go w odpowiedni nastrój.

Wklepał sobie w twarz wodę po goleniu Pierre Cardine'a. Żadnego śmiecia.

Wyszedł nagi, rozgrzany pod czarnym jedwabnym kimonem, na którego plecach rozpościerał skrzydła czerwony, falujący smok. Biały haft na kieszeni układał się w litery *L.M.*

— Nie ma jak prysznic — powiedział do dziewczyny, która siedziała na łóżku pokrytym cętkowanymi skórami. Jej kieliszek był chyba jeszcze bardziej pełny niż na początku. Albo wcale nie piła, albo nalała sobie nową porcję. — Lubisz się napić — powiedział Lorlo. — Mam dla ciebie coś jeszcze lepszego.

Otworzył drzwi do głównego pomieszczenia. Natychmiast nadszedł Honey z foliową paczuszką, wyciągniętą z kurczaka, starannie wymytą i porządnie zaklejoną.

Na którą tej nocy mam ochotę? — zapytał Lorlo sam siebie. Na żabią — odpowiedział w myślach. Bette Davis z jej pięknymi, żabimi oczami. Zdjął fotos ze ściany. Rozerwał paczuszkę i sypnął białym proszkiem na twarz, piersi i włosy kobiety, patrzącej ze zdjęcia.

Ruth obserwowała jego ruchy.

— To bardzo dobre. Spójrz, jak to robię.

Przemieszał proszek pozłocaną brzytwą. Potem wziął srebrną rurkę, zacerpnął w nią narkotyk i wciągnął go nosem. Wydawał przy tym dźwięki jak człowiek walczący z ostrym katarem.

Podniósł głowę.

Kokaina od razu zaśpiewała w jego krwi cudownie czystym tonem, wcale niepodobnym do działania alkoholu. Nic temu nie dorównywało. Candy była głupią, zachłanną, nadużywającą dziwką. Miała zupełnie przeżartą przegrodę nosową. Była gotowa wciągać kurz z ulicy zmieszany z wapnem i talkiem.

— Teraz trochę dla ciebie — cofnął się i hojnym gestem wręczył jej rurkę.

Odmówiła.

— Weź. To wspaniały towar. Najlepszy. Spróbuj trochę. Pociągnij odrobinę. Potem możesz się wykapać. Mam kilka pięknych ciuchów, które mogłabyś nosić. Jesteś śliczną dziewczyną, Ruth.

Podniósł zdjęcie z resztkami proszku i zbliżył się do niej.

— Nie — zaoponowała Ruth. — Nie chcę.

— To proste. Użyj rurki. Będzie ci się podobało.

— Nie.

— W porządku. Twoja strata. — Lorlo zatrzymał się. Odłożył fotografię na stół, pochylił twarz i znów wsunął srebrną rurkę do nosa. Głośno wciągnął resztkę kokainy.

Ruth nadal obserwowała go, gładząc martwe pantery na łóżku.

Da jej trochę później, pomyślał, została jeszcze jedna paczuszka. Wtedy dziewczyna będzie tego bardziej potrzebować.

— Dobrze, Ruth. Teraz idź i wykąp się.

Gdy się wykapie, to ją przerznie. Kokaina sprawi, że mu stanie. Nastawi „80” Sinatry. Najpiękniejsza muzyka z jego kolekcji.

Żadna dziewczyna, która tu trafiła, nie oparła mu się. Jeżeli próbowała, dostawała lekcję.

Zanim skończy, będzie wiedział, do jakiego rodzaju dziewczyn należy Ruth.

Wstała.

— Teraz już pójdę — oświadczyła.

— Nie zmuszam cię do niczego. Tylko po co marnować okazję? — roześmiał się.

— Chcę iść.

— Nie możesz, laleczko. Powiem ci szczerze. Możemy to zrobić milutko albo na siłę. Zawołam Frankie'ego i Honeya, przyjdą i przytrzymają cię. Tak? Tego chcesz? Czy może ty i ja zabawimy się przyjemnie? Tylko we dwoje? Nigdzie nie idziesz!

Wyraz twarzy dziewczyny nie uległ zmianie. Lorlo widział już wiele i oczekiwał jakiegoś odzewu. Nic takiego nie nastąpiło.

— Przyjdzie mój tata — powiedziała cicho. — Mój ojciec znajdzie mnie tutaj i wtedy będziesz tego żałował.

Lorlo znowu roześmiał się. Czuł się czysty, młody, rześki i gotowy.

— Nie myśl nawet o tym, laleczko — spojrzał na Bette Davis z włosami przypudrowanymi kokainowym pyłem. — Teraz już idź, wykąp się. Nie opuszczaj mnie na zbyt długo.

Na dolnym poziomie nocnego autobusu było dwoje ludzi. Mężczyzna uśmiechnął się, gdy wsiadł Malach. Uśmiech nie był przeznaczony dla niego. Było to tylko uniesienie kącików podstarzałych, męskich warg, które ukazały poplamione nikotyną, sztuczne zęby. Widać było, że kąpiel w środku czyszczącym zdarza im się nie częściej niż raz na tydzień. Oczy tego człowieka błyszcząły jadowitą złośliwością. Uśmiechając się, przeszedł odrobinę do przodu.

— No i co o tym sądzisz?

Podstarzała kobieta, nie mająca nic wspólnego ze starszym mężczyzną, rozciągnęła usłużnie usta. Powiedziała tylko „Ach!” i odwróciła wzrok.

Autobus ruszył w ciemność rozświetloną sztucznym, kosmicznym światłem.

Malach usiadł mniej więcej w połowie autobusu. Jego długie nogi wystawały trochę w przejściu między rzędami siedzeń. Białe włosy leżały mu na plecach jak połać lodu.

— Wkrótce dojeżdżamy do Woolwortha — obwieścił starszawy mężczyzna. — Może ich obudzić i wziąć jakieś nożyczki?

Kobieta zachichotała. Gdyby była młoda, może spodobałyby się jej włosy Malacha. Iskrzyły, wyglądały jak dzikie futro, aż chciało się ich dotykać. Ale kobieta zestarzała się i fanaberie młodości pozostały daleko za nią.

— Tak, jakieś dobre, ostre nożyczki, to wszystko czego mi trzeba — odezwał się znowu mężczyzna.

Gdyby ktoś patrzył na Malacha z przodu, dostrzegłby jak powieki opuściły się niżej na jaspisowe źrenice. To była cała reakcja.

Autobus skręcając przechylił się na bok. Uśmiechnięty mężczyzna wstał, zbliżał się jego przystanek. Przesunął się obok Malacha, stanął koło drzwi i zerknął do tyłu.

— Jest podobny do Złotowłosego Malca, nieprawdaż? — powiedział.

Malach podniósł na niego wzrok.

— Pan jest jednym z trzech niedźwiedzi? — spytał uprzejmie. Starszawy gość był zbyt zgryźliwie usposobiony, żeby usłyszeć jego słowa.

— Przez sześć lat służyłem temu krajowi — zaczął. Wyprostował się, a stęchłe ubranie ze spłowiałych brązów wisiało na jego wychudzonym ciele. Kędzierzawe, przycięte krótko włosy były tłuste. Nic dziwnego, skoro mył je mydłem co dwa tygodnie. — Sześć lat dla takich typków jak ten.

Autobus zatrzymał się na światłach, mężczyzna wyjrzał w pomarańczową ciemność, zbierając się do wyjścia. Potem odwrócił się i spojrział w stronę Malacha.

— Służyłem sześć lat, żeby taki mógł sobie chodzić z włosami do tyłka. Obrzydliwe.

Nie spojrział Malachowi w twarz. Nie zobaczył jej wyrazu. Było to oblicze kamiennego anioła, okolone anielskimi włosami.

Autobus skoczył do przodu, znowu ruszył, i tak dotarł do przystanku.

Starszy mężczyzna o krótkich włosach wysiadł.

Sylwetka Malacha zamajaczyła w ciemnościach. Poszedł za nim.

— Ojej — powiedziała miękko starsza kobieta.

* * *

Na początku Artur Simpkins nie był świadomy jakiegokolwiek pościgu.

Myślał o swoich nogach. Były przemoczone.

Wieczór nie należał do udanych. Artur nie wygrał nic w bingo, nie powinien był w ogóle tam iść. Tylko strata pieniędzy, a i tak ciągle ich brakowało. Czarnuchy mogły wyciągnąć je skamlaniem i paplaniną. Potwory i dziwki. Jednak jeżeli trzymało się fason, można było wytrzymać. Teraz rząd był twardszy. Ta Thatcher zasługiwała na zaufanie, miewała dobre pomysły. Nie była taka głupia, jak większość kobiet.

A ten w autobusie, Boże wszechmogący. Oto jak wygląda młode pokolenie.

Potrzebna była wojna, żeby przeprowadzić selekcję.

On przez to przeszedł i nic mu się nie stało. Najlepsze lata jego życia minęły w marszu. Towarzystwo prawdziwych mężczyzn i świadomość, że się jest kimś. Liczysz się, twoje słowo ma swoją wagę.

Artur Simpkins skręcił w dół ulicy i wtedy po raz pierwszy poczuł instynktowną potrzebę obejrzenia się za siebie.

Spojrzał przez ramię.

Około piętnastu metrów za nim majaczyła w mroku wysoka, ciemna postać w rozpiętym płaszczu. Światło marsjańskich lamp ulicznych prześliznęło się po bieli długich włosów.

Artur Simpkins poczuł, że bulgocze mu w brzuchu. Kwaśna ślina wypełniła usta, zagłuszając smak papierosów i nie umytej protezy.

Przyśpieszył, teraz szedł szybko. Odległość nie była duża. Wkrótce będzie w domu.

Dotarł do niskiego murku i otworzył furtkę. Ogródek pokrywała warstwa cementu, którą pewien Irlandczyk położył tanio przed trzema laty. Drzwi wejściowe wymagały odmalowania. Artur Simpkins pośpiesznie otworzył zamek. Gdy wsunął się do wewnątrz, spojrzał za siebie. Zobaczył swego prześladowcę stojącego nieruchomo pod latarnią.

Zaryglował drzwi od środka i poczuł się jak w oblężonej twierdzy. Nie było mu z tym dobrze, jednak otrząsnął się pośpiesznie. Co ten zniewieściały typek mógł mu zrobić? Próbował go nastraszyć, ale Artur Simpkins był żołnierzem.

Poszedł sprawdzić, czy tylne drzwi są zaryglowane, a potem nastawił czajnik.

* * *

Po dwudziestu minutach Artur Simpkins przyniósł herbatę i miednicę z gorącą wodą, do której dodał trochę mydła w płynie, i umieścił we frontowym pokoju. Zasłony w oknie nie były zaciągnięte. Białowłosa mężczyzna siedział na murku okalającym ogródek.

Artur Simpkins zabrał miskę i herbatę z frontowego pokoju do małej jadalni na tyłach domu. Tam włączył kinkiet nad głową i zaciągnął zasłony, odgradzając się od irlandzkiego betonu ogródka.

Usiadł, napił się herbaty i skręcił papierosa. Uważał, żeby nie stracić ani odrobiny tytoniu. Zdjął buty i jeszcze w skarpetkach podkradł się z powrotem do frontowego pokoju, żeby spojrzeć przez okno.

Białowłosa ciągle trwał na swoim miejscu. Po prostu siedział, nawet nie zwrócony twarzą do domu. Jak gdyby czekał na kogoś, z kim miał umówione spotkanie.

Próbuje go nastraszyć. Pedał.

Artur Simpkins poszedł z powrotem do jadalni, wypił resztę herbaty i skończył papierosa. Z miski stojącej na podłodze unosiło się coraz mniej pary.

W jadalni nie było żadnych bibelotów. Nic jej nie ozdabiało, podobnie jak pokoju od frontu. Nad kominkiem wisiała oprawna w ramki fotografia Artura Simpkinsa — żołnierza, wraz z dwoma innymi mężczyznami w mundurach. Cała trójka promieniowała zadowoleniem. To były czasy, kiedy człowiek wiedział, w jakim punkcie się znajduje. Pod fotografią wisiał medal, powód do dumy.

Na stole w jadalni leżały albumy z artykułami na temat rodziny królewskiej. Obok piętrzył się stosik wycinków, przygotowanych do wklejenia. Miał zamiar zająć się tym dzisiejszego wieczoru, ale nie był w stanie zasiać do pracy.

Woda w misce zrobiła się zimna.

Trzeba pójść i postawić czajnik na gazie.

Artur Simpkins wyszedł i przekradając się wokół ścian frontowego pokoju dotarł pod okno.

Mężczyzna ciągle tam był.

Co należało zrobić? Wezwać policję?

To byłaby przesada, choć przecież wyraźnie istniało zagrożenie, można to było zobaczyć gołym okiem. Artur był biednym, starym i bardzo samotnym człowiekiem.

Podszedł do małego sekretarzyka, na którym stał telefon. Nad nim wisiał drugi w tym domu obrazek, przedstawiający królową przyjmującą defiladę. Ten widok dodał mu odwagi. Podniósł słuchawkę. Wtedy siedzący na murze mężczyzna odwrócił głowę. Spojrzał wprost w okno, jak gdyby usłyszał trzask widełek.

Ręka Artura Simpkinsa trzęsła się. W słuchawce usłyszał metaliczną ciszę. Sygnału nie było.

Usiłował ożywić telefon, kilkakrotnie bezskutecznie naciskając widełki. Mimo to nie miał nadziei, dzisiaj na niczym nie można polegać. Można umierać, a telefon okaże się nieczynny.

Potem podniósł wzrok, a martwa słuchawka zwisała z roztrzęsionej dłoni. Ogarnęła go paląca fala ulgi.

Mężczyzna odszedł. Nie było go na murku.

Zniknął bez śladu.

Pewnie zauważył przez okno Artura Simpkinsa przy telefonie. Przestraszył się, nie zdając sobie sprawy, że aparat jest bezużyteczny.

Mięczak, tchórz. Bez kręgosłupa. Oto, jacy oni są.

Artur Simpkins cisnął słuchawkę z powrotem na widełki. Ta rzecz prawdopodobnie naprawi się sama do rana.

Pogwizdując wyszedł do kuchni, żeby znów zagotować wodę w czajniku.

Potem zaniósł go do jadalni i dolał gorącej wody do miski. Zostawił czajnik na dywanie i ściągnął skarpetki. Obok kąpieli, której zażywał raz na tydzień, moczenie nóg było jego drugą przyjemnością.

Skręcił sobie następnego papierosa. Mógłby popatrzeć trochę na telewizor we frontowym pokoju, ale o tej porze nie będzie tam nic prócz śmieci, czarnuchów i pedałów. Było zbyt późno, żeby zabierać się do wklejania wycinków. Zajmie się tym jutro.

* * *

Malach przebiegał przez ogródki zwinnie jak kot. Murki były niskie, tylko ziemię zaścielały doniczki i figurki krasnoludków.

Nawet od tyłu dom ofiary Malacha był bardzo prosty do zidentyfikowania. Jałowe podwórko i zapuszczony wygląd. Lata zaniedbania odcisnęły na nim swe piętno. Nie było śladu roślin, ogrodowych zabawek, miseczek z psią karmą wystawionych jako poczęstunek dla jeży. Mężczyzna z autobusu nie potrzebował nikogo i niczego. Wystarczał sam sobie.

Kuchnia zajmowała większą część parteru od tyłu domu. Drzwi były zamknięte na zamek i zasuwę. Powyżej były dwa ciemne okna z nie zaciągniętymi zasłonami.

Malach oparł stopę o wystającą cegłę. Potem poszukał miejsca dla dłoni. Czas wyłobził w ścianie setki pęknięć, długie palce bez

problemów znajdowały odpowiednie szczeliny, a stopy podążały za nimi. Plecy miał wyprostowane, poruszał się jak słup wody popychany wzrostem ciśnienia. Prawie niewidoczny w ciemnym stroju, świecił tylko szopą śnieżnych włosów.

Dotarł do daszku opadającego nad kuchennym oknem i po dachówkach przedostał się na kalenicę. Tamteży prześliznął się do okna łazienki.

Jego palce jak ostrza weszły w przegniłą ramę, krusząc sześćdziesięcioletni kit. Płatki farby opadły wraz z drobinkami kurzu. Rama podskoczyła i wyszła, a wraz z nią całe okno.

Dźwięk, który temu towarzyszył, był ledwie słyszalny, jak skrobanie kota.

Malach delikatnie opuścił okno do środka na podłogę łazienki.

Zapachy domu wydostały się na zewnątrz jakby opuszczały swoje więzienie. Dym tytoniowy, nikotyna, południowe posiłki, siekane mięso, wędzony śledź, groszek z puszki, kapusta, ziemniaki, odór nigdy nie czyszczonej ubikacji.

Wanna jarzyła się blade w ciemnościach, poorana miedzianymi zaciekami w miejscach, gdzie od lat ciekła woda. Nad umywalką widniało maleńkie lustro, a na półeczce poniżej stał płyn do golenia, leżała brzytwa, pędzel, zatłuszczony grzebień, mydło i oślizgła, flanelowa ścierka.

Po przeciwnej stronie widniały drzwi do sypialni i małe drzwiczki do składziku.

Malach nie zwrócił na nie uwagi.

Cicho jak duch zsunął się na dół po wyścielonych wytartym chodnikiem schodach.

* * *

Z biegiem lat dźwięk osiemnastocalowego telewizora stał się stłumiony i niski. Artur Simpkins był zmuszony stale go podgłaśniać.

Usiadł w musztardowym fotelu, stopy włożył znowu do miski z gorącą wodą. Najpierw podwinął spodnie i rzucił wytarty ręcznik na wyrudziały dywan. Jego stare łydki wyglądały jak mapa żył. Usta otworzyły się, a szczeka opadła. Drzemał. Czarno-biały obraz

przedstawiał czołgi toczące się po opustoszałej ziemi. W Bejrucie grzmiało kanonadą. Nagła cisza wybuchła w pokoju z siłą wystrzału.

Artur Simpkins ocknął się.

Telewizja nie działała. Ktoś wyłączył odbiornik.

Podniósł wzrok i po raz pierwszy zobaczył twarz Malacha otoczoną obłokiem płonącej bieli jak aureolą.

— Do licha! — weteran próbował wstać, a jego stopy wsunęły się z powrotem do wody. Opadł. — Jak ty... Nie rób mi krzywdy. Nie rób mi nic złego. Jestem starym człowiekiem.

Poprzez szerokość pokoju Malach skinął głową.

— A więc to są bogowie, do których się modlisz — powiedział.

— Jestem starym człowiekiem — ślinił się Artur Simpkins, a sztuczna szczęka wymykała mu się z ust. Całe ciało trzęsło się ze strachu. — Nie rób mi krzywdy!

Malach spojrzał w dół ze swej wysokości, jakby z bardzo daleka.

Potem przesunął się i stanął za fotelem.

— Twoje włosy — powiedział i uniosł swą lewą, upierścienioną dłoń ponad głowę starucha. Potem druga dłoń dołączyła do pierwszej. — Twoje włosy są stanowczo za długie.

Artur Simpkins poczuł osiem ukłuć jak ukąszenie osy. Paznokcie Malacha zanurzyły się w jego skórę bardzo głęboko. Krzyknął.

Zanim zdążył wykrzyczeć swój ból, Malach oskalpował go jednym precyzyjnym ruchem rąk.

* * *

Księżyc wisiał wysoko jak lwia maska lśniąca nad pustynią.

Malach wyszedł frontowymi drzwiami i cicho zamknął je za sobą.

Dokładny jak zawsze.

Ulica była pusta w przekleństwie pomarańczowego światła. Z cienia między latarniami wysunęła się ludzka postać. Podbiegła bezszelestnie do Malacha i znalazła się przy nim przed furką Artura Simpkinsa, który do rana nie będzie już żył. Przybysz zgiął się w ukłonie.

Miał na sobie niemodny płaszcz przeciwdeszczowy. Pomimo ciepłej nocy nosił grube spodnie i ciężkie buty.

Małach spojrział na niego, a mężczyzna odezwał się prędko, szeptem, może w obcym języku. Wykonał gest w przestrzeń, a Małach skinął głową. Dotknął ramienia mężczyzny i odszedł.

Tamten stał w miejscu jak posłaniec spoza czasu, uświęcony dotknięciem władcy, który był bogiem.

Małach zniknął.

U wylotu ulicy czarna taksówka zjechała z krawężnika.

W powodzi głosu Sinatry pukanie do drzwi wydawało się bezsensowne i nie na miejscu. Lorlo czekał, aż ustanie. Nie ustało.

Przepojony kokainową słodyczą podszedł do drzwi jak na zwolnionym ujęciu.

— Odpieprz się.

— Panie Mulley, przyszedł faks.

— Może poczekać.

— Nie, panie Mulley! Błagam, panie Mulley! Lepiej niech pan przyjdzie i sam zobaczy.

— Ty pieprzone mysie gównu. Powiedziałem...

— Proszę, panie Mulley. To z Manchesteru.

Lorlo otworzył drzwi. Za nimi stał przerażony Honey.

— Dobrze. Lepiej, żeby to nie było nic złego.

Wiadomość nadeszła z Manchesteru. Nic, co pochodziło stamtąd, nie mogło być zlekceważone. Do diabła, Honey miał rację.

Lorlo był zirytowany. Nastrój miał zepsuty.

Dziewczyna poszła do łazienki, słyszał plusk wody. Nastawił płytę Sinatry. Złagodniawszy dzięki kokainowej euforii, żałował, że nie mógł znaleźć dziewczyny, która doceniłaby Ol'Blue Eyes. Wszystkie były pozbawione jakiegokolwiek gustu muzycznego. Może Ruth...

To będzie gorąca dziewczyna. Wiedział to od razu. Od kiedy zobaczył ją, jak idzie ulicą.

A teraz jakieś problemy.

Lorlo przeszedł przez przestrzeń białego dywanu. Poczul lekki ucisk w brzuchu.

Manchester.

Wyciągnął dłoń w kierunku faksu, spojrział w dół na wydruk, którego Honey ani Frankie nie mieli śmiałości wyrwać.

Widniała na nim twarz Ruth złożona z szarych i mlecznych kropek. Dokładny wizerunek. Lorlo patrzył otumaniony. Szarpnął się całym ciałem, próbując odegnać koszmar.

Pod fotografią było zaledwie kilka linijek tekstu:

„Biała dziewczyna, długie czarne włosy, wzrost około 165 cm, waga około 50 kg. Wiek dwanaście lat i kilka miesięcy. Imię: Ruth”.

Pod tym dużymi literami:

PUŚĆ JĄ MULLEY.

— Kurwa! — zaklął Lorlo. — O, kurwa!

Cofnął się, potykając na dywanie. Podeszedł do Honeya i złapał go za ramię.

— Nie wiedziałem...

— Wiem, panie Mulley. My, żaden z nas...

— Nie wiedziałem. Oni mi nie uwierzą. Muszę ją puścić! Puścić natychmiast!

Zanim podeszedł do drzwi, nieco się opanował. Otworzył je i wszedł już z pewną nonszalancją.

Ruth wyszła z łazienki. Stała koło łóżka. Wyglądała dziwacznie, owinięta od stóp do głów w lamparcie skóry. Naraz wydało mu się, że ten obraz stanowi tylko fragment całości, która musiała się zdarzyć.

— Laleczko — Lorlo starał się, żeby jego głos brzmiał miło — nastąpiła zmiana planu. Muszę cię wypuścić. Zgoda?

W drzwiach stał Honey, a za nim Frankie. Wyglądali na przerażonych.

— Kochanie — powiedział Lorlo do Ruth — nic ci się nie stało, prawda? Nie zrobiłem ci krzywdy, prawda?

Ruth, cała owinięta w skóry, wyglądała jak kocia kapłanka.

— Nie — powiedziała miękko.

— To dobrze. To świetnie, Ruth. Tylko trochę zabawy, to wszystko — roześmiał się Lorlo. Podeszedł do aparatury i wyłączył Sinatrę. — Teraz możesz już odejść. Dokądkolwiek zechcesz. Ruth, chcę, żebyś wiedziała, że jeżeli mogę coś dla ciebie zrobić, powiedz tylko.

Ruth spojrzała ponad jego ramieniem na Frankie'ego i Honeya.

— To dotyczy także chłopców, Ruth — dodał szybko Lorlo. — Wszyscy jesteśmy na twoje usługi, kochanie. Dokąd chcesz iść? Frankie odwiezie cię mercem.

Ruth owinęła się ciaśniej w skóry.

— Chciałabym dostać to.

— Weź je, kochanie. Po prostu weź sobie. Są twoje.

Biała dłoń wysunęła się spod futer. Ruth sięgnęła po swoją torbę i z drugiej ręki wrzuciła do środka coś, co chowała pod skórą.

Ukradła jakąś rzecz. To było dobre, korzystne.

— Chcesz drinka? A może weźmiesz na drogę?

— Nie, dziękuję — odparła Ruth. Poszła za nim do drzwi.

— Frankie, zwieź ją na dół windą. Zabierz ją, gdzie tylko zechce pojechać — wyrzucił z siebie.

— Jasne, panie Mulley.

Jej czarnowłosa głowa wyłoniła się spod skór. Szczelnie okryta cętkowanym futrem sunęła po dywanie.

Gdyby miał jeszcze kwadrans...

Na szczęście nie doszło do tego.

Lorlo poczuł mdłości i zawroty głowy.

Frankie przywołał windę. Szerokie drzwi w ścianie rozsunęły się. Ruth przeszła przez nie, a za nią Frankie, trzymając się z daleka, jakby dziewczyna była napromieniowana.

* * *

Chas w swojej budce wyjął z kartonu kolejną butelkę musującej lemoniady. Otworzył ją i wypił z dzieciinną łapczywością. W czasach, gdy stawał na ringu, ten napój był dla niego surowo zakazany.

Przez zrujnowaną okolicę gdzieś z głębi nocy nadjeżdżał samochód.

Chas nadśluchiwał. Jego lewe ucho nie było zbyt sprawne, za to prawe bardzo czułe. Samochód prześliznął się między ruinami jak aligator wśród bagien i odjechał.

Chas usiadł i położył nogi na stole. Jego cygaro zgasło, więc ponownie zapalił je złotą zapalniczką, którą dostał od pana Mulleya po robocie w Brixton. Wciągnął dym głęboko w płuca. Otworzył gazetę i trafił na fotografię dziewczyny z obnażonym biustem. Rozejrzał się za swoim pudełkiem ze szpilkami.

Może to był tylko dym, ale coś przesunęło się za szybą kantorka.

Chas rozejrzał się wokół.

W drzwiach stanął mężczyzna w długim czarnym płaszczu. Włosy miał białe jak śnieg. Uśmiechał się.

Chas opuścił nogi na podłogę i wstał.

— Czego chcesz?

— Wielu rzeczy — odparł mężczyzna suchym głosem. Wymowę miał staranną jak aktor. Włosy sięgały mu poniżej bioder.

— Chcesz się widzieć z panem Mulleyem? — zapytał Chas. — Powiedz mi, jak się nazywasz i o co ci chodzi. Jeżeli uznam sprawę za ważną, zadzwonię do niego na górę przez wewnętrzny.

— Owszem, chciałbym się widzieć z panem Mulleyem — potwierdził białowłosy mężczyzna. Rozejrzał się po pomieszczeniu.

— Bokser z siekierą i obrzyłem.

— Lepiej, żebyś wiedział, że nie potrzeba mi żadnej broni.

— Dlaczego nie miałbyś zademonstrować mi swoich umiejętności?

Chas uśmiechnął się szeroko, ukazując kosztowne, lecz źle utrzymane sztuczne zęby.

— Czemu nie, pokażę ci.

Z niesamowitą, mechaniczną szybkością postąpił naprzód. Lewa ręka wystrzeliła w kierunku twarzy Malacha.

Malach złapał go za nadgarstek.

Chas patrzył na niego osłupiały. Mocno wyprowadzony cios został zatrzymany, jakby natknął się na mur. — „Południowa łapa” — powiedział Malach.

Chas zrobił wypad i zaatakował hakiem od spodu.

Prawa dłoń Malacha znów zablokowała cios, chwytając nadgarstek przeciwnika.

— Hej — powiedział Malach.

Chas walczył, twarz nabiegła mu krwią. Zakłopotanie zmagало się na niej o lepsze z wysiłkiem.

Malach przestał się uśmiechać. Stał wyprostowany i spojrzał przeciwnikowi w oczy. Potem szarpnął zdecydowanie w dół skrzyżowane ręce starego boksera. Rozległ się przytłumiony trzask niszczonej chrząstki. Chas zawył. Oczy uciekły mu w głąb czaszki.

Malach puścił obydwie nadgarstki przeciwnika. Ręce Chasa zwiślały w dół bezsilne, o wiele za długie, niczym kończyny małpy. Były wyrwane ze stawów.

— Żadnego topora, żadnej broni — powiedział Malach. Pchnął Chasa, który upadł bezwładnie pod stół. Leżał na plecach, nie mogąc wstać, ręce stały się bezużyteczne.

Malach podszedł do opakowania z lemoniadą i wyjął butelkę. Potrząsnął nią i rozejrzał się wokół po wnętrzu kantorka. Potem odkręcił zakrętkę i wylał musującą zawartość wprost na twarz Chasa, w nozdrza bezwładnego boksera.

Winda dotarła do celu i drzwi otworzyły się.

Ruth — kapłanka kotów wyszła. Jej czarne włosy jak pelerynka uświetniały strój ze skór. Biała twarz z różowymi ustami i oczami podkreślonymi tuszem nie okazywała żadnych uczuć.

Frankie był tuż za nią.

— Mam cię zawieźć, gdziekolwiek zechcesz. Ta okolica nie jest dla ciebie odpowiednia. Dostałem dokładne polecenia.

— Nie chcę jechać waszym samochodem. Już ci powiedziałam — odparła Ruth.

— Jak sobie życzysz.

Ruth nie odpowiedziała.

— Chas? Laleczka wychodzi. Laleczka właśnie wychodzi! Wszystko jest w porządku! — zawołał Frankie przez korytarz i wrócił do windy.

Nacisnął guzik i drzwi znów zaczęły się powoli zamykać. Szczęknęły i zaskoczyły jak kurek w starym pistolecie. Kabina pojechała w górę, wracając do białego dywanu i fotografii samochodów bugatti.

Po odjeździe windy Ruth nie poruszyła się.

Stała w korytarzu i wydawało się, że czeka. Zdążyła się już nauczyć ciszy śmierci. Frankie, któremu ta cisza również nie powinna być obca, tym razem przeoczył ją.

Potem ze ściany wyszedł Adamus. Zmienił się, jak to bywa z umarłymi.

— Tatusiu! — powiedziała Ruth wyraźnie. A potem poprawiając się — Adamie!

Był tam, w cienkiej szarości zaniedbanego korytarza, który jedynie z boku oświetlało słabe światło z kantorka. Stał nieruchomo jak żelazny posąg.

Ruth poruszyła się. Podeszła do niego, wlokąc za sobą lamparcie skóry po podłodze korytarza. Patrzyła w górę na jego twarz.

O krok od niego zatrzymała się.

— Nie jestem tatusiem. Ani Adamem. Mam na imię Malach. Powtórz — powiedział.

— Malach.

Uderzył ją w twarz.

Było to lekkie, piekące uderzenie. Nie robiące krzywdy ani szczególnie gwałtowne, jednak ostre jak obnażone ostrze.

Zachwiała się, więc złapał ją za ramię. Puścił, gdy odzyskała równowagę.

— Które piętro? — zapytał.

— Trzecie.

W budce zadzwonił wewnętrzny telefon.

Malach bez wahania wszedł do pomieszczenia i podniósł słuchawkę. Głos Lorlo Mulleya był zdyszany, szybko wyrzucał z siebie poszczególne słowa.

— Nie mów nic, Chas. Wyjdź przed budynek i zobacz, dokąd idzie dziewczyna. Upewnij się, dokąd poszła. Potem przyjedź na górę. Potrzebuję cię tutaj.

Połączenie przerwano gwałtownym trzaskiem.

Malach odłożył słuchawkę.

Ruth przyszła za nim. Przez chwilę patrzyła na nogi Chasa wystające spod stołu. Malach już wyszedł, w ręce trzymał gaśnicę. Przeszedł przez korytarz i znalazł się na betonowej przestrzeni dziedzińca, gdzie duży srebrny samochód rozsiadł się na tle rzeki. Wóz nie był zamknięty, tutaj nie było to konieczne. Malach otworzył drzwiczki i wsiadł do środka. Położył gaśnicę na siedzeniu.

Zapalił silnik, który od razu ruszył z niskim, miękkim pomrukiem. Mercedes gładko wjechał tyłem do środka, aż do drzwi windy.

— Przynieś gazetę z kantorka — polecił wysiadając.

Ruth posłusznie wróciła do budki. Wzięła ze stołu gazety. Leżały obok nie otworzonej butelki lemoniady i złotej zapalniczki. W puszcze służącej za popielniczkę tliło się pomalutku ostatnie cygaro.

Kiedy wróciła z gazetami, Malach siedział z tyłu mercedesa przed otwartym barkiem. Wyjął korki z karafek z wódką i brandy, otworzył butelki z cointreau, „Tia Mata” i likierem miętowym. Ustawił je w szereg i wetknął w długie szyjki zwitki gazet.

Kolorowe szpilki wypadły z piersi kobiet.

— Wezwij windę — rozkazał Malach. Ruth wykonała polecenie. — Kiedy przyjedzie, przytrzymasz guzik, żeby drzwi zostały otwarte.

— Tak, Malachu.

Winda przyjechała opieszale, jakby ociągając się.

Kiedy drzwi były szeroko rozwarne, Malach ostrożnie wjechał do wnętrza mercedesem, aż samochód wypełnił kabinę.

Malach pochylił się do tyłu i podpalił zwitki papieru zapalnikami marki „Swan Vestas”, stanowiącymi niegdyś własność Artura Simpkinsa.

— Teraz zamknij drzwi, Ruth!

Papiery zapłonęły jasno jak pięć małych pochodni oświetlających szmaragdy, tygrysie oko i bursztyny w butelkach. Drzwi zaczęły się zamykać.

Malach wysiadł z samochodu. Pochylony do przodu włączył bieg i przycisnął mocno gaśnicą pedał gazu, blokując go.

Gdy drzwi windy były prawie zamknięte, Ruth zobaczyła Malacha wyslizgującego się spomiędzy nich. Rzecz z pozoru niewykonalna. Za nim warczał samochód.

Drzwi zatrasnęły się, mercedes uderzył w nie od środka, a korytarz wypełnił głuchy łoskot.

* * *

Lorlo czynił straszny hałas, biegając po dywanie jak oszalały robak. Przetrzęsał szafki i kartoteki i pokrzykiwał na swoich przybocznych. W tym zgiewku tylko Frankie usłyszał silnik samochodu w zaułku.

Podszedł do jednego z dużych, niczym nie zasłoniętych okien. Mercedes zniknął.

— Panie Mulley...

— Nie teraz, Frankie, Jezu, człowieku, pomóż mi podnieść tę szafkę. Lorlo robił w portki ze strachu, to było widać.

Posłał wiadomość faksem, ale nie dostał żadnej odpowiedzi.

Być może wpadł w poważne tarapaty. Dziewczyna okazała się dynamitem. To oznaczało również kłopoty dla Frankie'ego, ale on miał swoje własne plany awaryjne. Przewidywały zdradzenie Lorla tak szybko, jak to będzie potrzebne.

Lorlo właśnie fałszował swoje kartoteki albo próbował to robić, tuszując wszystkie drobne wpadki i nieostrożności.

Honey chciał tylko wydostać się stąd, przesuwał się coraz bliżej windy.

— Panie Mulley, ten pieprzony samochód zniknął — powiedział wreszcie Frankie.

— Jezu, ona podpierdoliła mój wóz — jęknął Lorlo. Skoczył do wewnętrznego telefonu i podniósł słuchawkę.

— Chas? Chas? Niech go diabli, nie ma go tam!

Potem usłyszeli łoskot windy, który wstrząsnął podłogą. Maszynieria była zawsze hałaśliwa, nerwy mogły sprawić, że wydawała się jeszcze głośniejsza.

— To on. Wjeżdża teraz na górę — powiedział Frankie.

— Głupi bękart, pozwolił jej wziąć samochód. Tam jest towar, może pojechała prosto do nich...

Lorlo wyobraził sobie Ruth, jadącą nocą do Manchesteru. W tym czasie winda dotarła na miejsce.

— Chas...

Drzwi windy rozsunęły się szybciej niż kiedykolwiek przedtem. Nie Chas, lecz płonący mercedes wydostał się z niej z trzaskiem. Staranował piszczącego Honeya, a potem ruszył przez białą płaszczyznę dywanu, buchając ogniem z obu boków.

Lorlo i Frankie zawodzili jak dzieci w mroku.

* * *

Na dole, wśród czarnej nocy nad atramentową rzekę, stali Malach i Ruth.

Patrzyli razem w okna trzeciego piętra magazynu, za którymi Przeszedł jakby daleki grzmot, a potem budynek wybuchnął światłem i wściekłym hałasem. Wszystkie szyby wystrzeliły, odłamki jak deszcz gwiazd zadzwoniły wokół gradem. Płonące fragmenty mebli i papierów spadały niczym meteoryty.

Z tego chaosu wynurzył się płonący mercedes i zanurkował powoli w otchłań opustoszałej ziemi między kupy śmieci i kępy chwastów.

Słup czerwieni wbił się pod sklepienie skażonego, miejskiego nieba i odbił w zwierciadle rzeki.

Gdy szkło i płonące fragmenty spadały, Malach podniósł połę swego długiego płaszcza i zasłonił głowę Ruth. Jej własną dłonią przykrył twarz. Płaszcz był jak czarne skrzydło, pod którym ją schronił.

— Wejdz — Althene pchnęła drzwi do swego pokoju. Burza przysła nagle i jej pokój rozświetlały błyskawice przefiltrowane przez kolorowe szyby. To przypominało scenę z przeszłości i jednocześnie przynosiło nowe doznania. Wtedy, dawno temu, Rachaela obudziła się, żeby znaleźć Adamusa, a okno żarzyło się mnóstwem barw.

Okno Althene przedstawiało kobiety przed witrażem z irysów i hiacyntów.

Cały apartament utrzymany był w stylu secesji. Na ciemnoturkusowych zasłonach pyszniły się złotozielonkawe pawie. Nad łóżkiem udrapowana była poślaczana tkanina w kolorze północnego nieba. W wysokich mosiężnych naczyniach brązowozłociste i szmaragdowe pawie pióra rozkładały się jak wachlarze. Na wypolerowanym stole o rzeźbionych nogach stała patera z mlecznego szkła. Na niej leżały trzy jabłka: z różowego kwarcu, ze spękanego hebanu i z błękitnego kryształu. Obok stały kryształowe naczynia rżnięte we wzór z liści i kwiatów. Na drzwiach łazienki wisiała asymetrycznie udrapowana zasłona, taka sama jak w oknie.

Wokół leżały porozrzucane książki. Bardziej od nich pasowałyby tu mandolina z pomponami albo tamborek z chwastem. Widać Althene ceniła sobie styl, lecz nie dopuszczała do kiczu.

— Czyż tu nie jest uroczo? Jacy oni są troskliwi — powiedziała Althene.

— Czy okno się otwiera?

— Nie próbowałam. W łazience owszem, choć olbrzymie drzewo prawie ociera się o nie swymi gałęziami. Wczoraj przyfrunął gołąb i obserwował, jak myję zęby. Byłam zachwycona.

Rachaela postanowiła nie ustępować.

— To bardzo miłe z twojej strony, jeśli chodzi o tę sukienkę, ale ja...

— Nie masz żadnych długich sukien, sama powiedziałaś. Mamy bardzo podobne figury. Cheta przyjdzie i dopilnuje poprawek. Powinnaś się zgodzić, żeby sprawić im przyjemność.

— Dlaczego ta kolacja jest taka ważna?

— Kei ją przygotowuje.

— To jedyny powód?
— Wyobraź sobie, jeżeli jesteś w stanie, że oni chcą uczcić szansę
— powiedziała Althene.

— Czego?

— Odnowy, nadziei, zmycia przewinień.

— Czyich przewinień? Moich? — spytała Rachaela.

— Jaka ty jesteś egocentryczna. Gdybyś nie była taka piękna, należałoby dać ci klapsa! — stwierdziła Althene.

— Idę — Rachaela skierowała się do wyjścia.

Althene w jakiś sposób znalazła się między nią a drzwiami. Szarpnęła sznur z frędzlami i zasłona w pawie opadła jak kurtyna.

— Uwięziłam cię. Nie masz żadnych szans ucieczki, dopóki nie przymierzysz sukienki.

Althene była zabawna i dziwnie niebezpieczna. Promieniowała z niej moc, uwidoczniła się w spojrzeniu. Rzucała wyzwanie, jednak Rachaeli nie zależało, żeby je podjąć.

— Wszystko komplikujesz — powiedziała.

— Nie, Rachaelo, to ty wszystko utrudniasz. Jednak opozycja działa czasem stymulująco.

Błyskawica zamigotała i damy z witrażu ożyły. Dobiegł dźwięk deszczu stukającego o szyby jak milion miniaturowych paluszków.

— Jony ujemne. Teraz sprawdzimy, czy okno się otwiera — powiedziała Althene.

Otwierało się.

— Naczynie pełne ciemności inkrustowanej diamentami.

Rachaela zaczerpnęła tchu.

Althene podeszła do rzeźbionej szafy. W środku wisiało ponad dwadzieścia różnych strojów ze szlachetnych tkanin w przełamanych, wysmakowanych barwach.

— Oto moja sukienka.

Althene wyniosła szatę z jedwabnej satyny w kolorze czerwonego wina, zwieszającą się z jej ramienia jak mdlejąca księżniczka. Strząsnęła ją i podniosła do góry, przykładając do siebie. Suknia miała głęboki, wąski dekol w kształcie litery V, długi rękaw i stanik z draperiami skrzyżowanymi z przodu i wiązanymi z tyłu. Ramiona były podniesione poduszkami, a stan podkreślony lśniącym pasem jak talia syreny. Suknia była pozbawiona zdobień.

— Pozwól, że ci pokażę — Althene rozsunęła zamek błyskawiczny i sukienka, którą miała na sobie, opadła jej do stóp jak łaszący się pies.

Delikatne mięśnie jej rąk nie zdradzały nawet śladu zwiotczenia. Miała na sobie krótki stanik z jedwabiu o barwie karmelu obrzeżony czarną gipiurą i unoszący wysoko piersi. Jej zażenowanie wydawało się trochę śmieszne. Być tak piękną i nie okazywać swym zachowaniem świadomości tego — było to niemalże wbrew naturze.

Wciągnęła przez głowę sukienkę w kolorze burgunda, z lubością poddając się dotykowi miękkiej tkaniny. Wygładziła ją lekkim ruchem i zwróciła się do Rachaeli:

— Zapnij mnie.

Rachaela podeszła i uczyniła swą powinność wzorem paziów. Czuli się zrezygnowana.

— Widzisz, suknia, którą mam na myśli, jest bardzo podobna, tylko w innym kolorze.

Z szafy wynurzyła się kreacja uszyta z delikatnego jedwabiu, biała jak śnieg albo włosy Malacha. Od prawego ramienia do końca dekoltu ciągnął się rządък haftowanych czarnych różyczek.

— Przymierz — poleciła Althene.

Rachaela spojrzała na nią; nie miała ochoty zdejmować bluzki i spódnicy przed tą meduzą. Jednak odmowa oznaczałaby w tej chwili wycofanie się, a one prowadziły między sobą pewnego rodzaju grę, jedną z rozgrywek, w których celowali Scarabeidzi.

Ja również jestem jedną z nich, pomyślała Rachaela.

— Dobrze.

Ściągnęła bluzkę przez głowę i opuściła spódnicę wzdłuż nóg. Althene patrzyła na nią bez cienia zainteresowania czy podekscytowania. Nie pomogła jej przy wkładaniu białego stroju.

Suknia leżała nieźle, ale była ciut za ciasna w biuście. Widocznie Althene, mimo że wyższa, musiała być w tych partiach szczuplejsza. Oczywiście sukienka była także trochę za długa, dotykała podłogi.

— Cheta zaraz tu przyjdzie i zajmie się przeróbkami. Stanik można poszerzyć o trzy centymetry, a nawet więcej. Skrócenie nie jest żadnym problemem. Potem suknia będzie twoja. Musisz ją sobie zatrzymać.

— Jest prześliczna, ale nie w moim stylu.

— Co za bzdura — sprzeciwiła się Althene.

Delikatnie trzymając ją za ramię, obróciła Rachaelę w stronę lustra obramowanego złożonymi winogronami i paprociami.

Z ramy wyjrzały dwie piękne kobiety. Jedna nieco wyższa i mocniejszej budowy. Obie z czarnymi splotami, jedna o oczach jak zmierzch, a druga jak środek nocy. Twarze o rzeźbionych, królewskich rysach. Czerwona i biała królowa.

— Śnieżyczka i Różyczka. Nigdy więcej nie mów mi, że to nie jest twój styl. Założysz do tej sukni naszyjnik z pereł z zameczkiem ze złota.

— Czy naszyjnik też mam zatrzymać?

— Jeśli zechcesz. Moje buty będą dla ciebie za duże. Rozmiar moich stóp wprawia mnie w zażenowanie. Zostań boso.

Rachaela odwróciła się wściekła; Althene zrobiła to samo, chwytając jej twarz w duże, szczupłe dłonie.

— Moja piękna, musisz przestać uciekać przed samą sobą. Pewnego dnia zostaniesz dogoniona. Co się wtedy stanie?

Rachaela cofnęła się i właśnie w tym momencie Cheta zapukała do drzwi za zasłoną.

* * *

Dwie trzydziestocentymetrowe świece wstawione w lichtarze z brązu oświetlały osiem nakryć.

Obrus w odcieniu ciemnej purpury był obrzeżony szlakiem ze złotych nici.

Środek stołu zajmowało przybranie z kwiatów skupionych wokół palmy daktylowej o drewnianych owocach.

Miranda i Sasha włożyły czarne suknie zdobione dżetami, Erik swój czarny frak, a Camillo mundur motocyklisty: czarne skóry, także podkoszulek z napisem „Harley–Davidson” pod białym orłem. Lou nosiła czarną sukienkę z głębokim dekoltem, metalowy naszyjnik i welon sięgający do ziemi, również czarny. W jej uszach tkwiły kolczyki — małe srebrne maski gazowe, które kiedyś wynalazła w Camden Loch. Tray miała na sobie bolerko i czarną minispódniczkę z wąskim szlakiem w odcieniu ostrego różu. Dłonie kryła w koronkowych czarnych rękawiczkach sięgających łokci.

W małej dolince u nasady szyi Althene nosiła olbrzymi, oryginalnie szlifowany rubin na platynowym łańcuszku. Biała suknia leżała teraz na Rachaeli doskonale, ale nie założyła do niej pereł. Poprzestała na pierścionku Anny.

Obiad wnieśli Cheta, Michael i Kei, który był jego twórcą.

Do szparagów gotowanych na parze z masłem i czarnym pieprzem podano riesling z doliny Napa. Potem na stole pojawił się szczupak w sosie kminkowym na oliwie, miodzie i białym winie, a do tego ciemne wino rosę z Anjou. Następnym daniem okazało się jagnię w cieście nadziewane daktylami i jabłkami, do którego podano czerwone afrykańskie wino z Mbanga. I znowu ryba, leszcz, zapiekany z cebulą w cukrze, a do tego wódka w kieliszkach wielkości naparstków. Potem truskawki w sosie koniakowym z szampanem. Ostatnie wjechały na stół sery na długich półmiskach: camembert, biały ser kozi, dojrzały cheddar, i jeszcze bakalie i francuskie wino deserowe.

Nienasyceń Scarabeidzi spożywali wszystkie te wyszukane potrawy, a stare wspomnienia nabierały nowego blasku. Nad stołem unosiły się cienie rosyjskich Żydów, Rzym Cezarów i kraina, której nazwy nie wymieniano, ale była to Kraina Pamięci.

Lou i Tray nie jadły. Dziobały i odsuwały talerze na bok. Ich talie nie dawały żadnych możliwości opychania się.

Rachaela spróbowała wszystkiego. I w niej obudziła się dziwna nostalgia, może był to skutek różnorodności mieszanych trunków?

Momentami czuła się szczęśliwa, a chwilami bliska łez.

Wszystko wydawało się dalekie i nierealne dzięki wspaniałości posiłku. Głosił on chwałę minionych dni, których nigdy nie było.

— Kei jest genialny — powiedziała Althene.

Rachaela pomyślała, że takie bankiety to najwłaściwsze miejsce dla Althene. Z pewnością gdzieś, kiedyś, na podobnej uczcie wyjęła truciznę ze skrytki w pierścieniu. Ciało padło, wijąc się w konwulsjach i wyniesiono je.

Jeszcze jeden martwy wróg.

Camillo jadł jak chłopiec, któremu niespodziewanie pozwolono nie iść do łóżka. Jakby groziło mu wysłanie na górę, nim znów zdąży napęłnić buzię.

Sasha, Miranda i Erik spożywali z apetytem, ale nie łapczywie. Serca mieli złamane jak uszkodzone mechanizmy zegarowe. Musieli żyć z tym nadal i tak właśnie się działo.

Czasami Erik lub Sasha dawali znak Michaelowi lub Checie, nalegając, by spróbowali każdej z podanych potraw.

Michael nosił wizytowe ubranie z lat pięćdziesiątych, a Cheta matową czarną sukienkę przystrojoną złotą broszą w kształcie węża.

Przy stole nie toczyły się ożywione rozmowy. Jaźń Scarabeidów wypełniały niesłyszalne odgłosy, dźwięki, słodkie elegijne melodie, lekkie okrzyki. Burza długo panowała nad domem, zanim zamarła.

Rachaela nie mogła się nadziwić, że zjadła aż tyle. Poczula się ukojona, smutna, lecz spokojna, jakby odległa.

Po symfonii jedzenia nadeszła pora współczesnej muzyki.

To były melodie taneczne, tanga, quick–stepy, walce.

Erik poprowadził Mirandę po wypastowanej przestrzeni wokół stołu. Potem poprosił Saszę. Tańczyli dobrze, a nawet z wdziękiem. Młode, szczupłe sylwetki ze starymi twarzami i dłońmi. Potem Erik podszedł do Chety, ale ona potrząsnęła głową. Ponieważ jednak nalegał, w końcu Cheta też zatańczyła. Wyglądała jak młoda, szczupła dziewczyna.

Wreszcie Erik skinął na Michaela. Ten wyszedł na parkiet samotnie. Tańczył z gracją, mając za partnerkę ducha.

Kiedy już wszystko się skończyło, była druga nad ranem. Świece rzucały migotliwe światło i mgła ogarniała pokój. Scarabeidzi wyszli z jadalni: Sasha, Miranda i Camillo, wiodący swe dwie małe pchełki. I Althene w winnej sukni z rubinem u szyi. Pozostali tylko Erik i Rachaela.

Czy dosypali czegoś do wina? Nie mogła się ruszyć.

To był po prostu nadmiar pysznego jedzenia.

Nagle zatęskniła za snem.

Erik stanął w mroku zamierających świec.

— Muszę powiedzieć ci to teraz, Rachaelo. Malach znalazł Ruth.

Rachaela poczuła, jakby ktoś wymierzył jej brutalny cios przez warstwę gąbki.

— Ja... Ruth. Ty mówisz, że Ruth...

— Malach ją ma.

— Co to oznacza?

Erik stał bez ruchu. Oni wszyscy mieli ten zwyczaj, potrafili to. Ona również.

— Chodzi mi o to, Eriku, co się teraz stanie?

— To będzie zależało.

— Od czego?

— Decyzje należą do Malacha.

— Tak nie powinno być. Kim on jest? Jakimś wynajętym mordercą?

— Scarabeidem — wyjaśnił Erik.

— Ty chcesz jej śmierci, prawda? Ona jest dzieckiem!

Dzieckiem, które zabija, dodała w myśli. Moim dzieckiem.

— Ona jest nasza.

— My jej nie mamy. Jest w mocy Malacha — stwierdził Erik. Skąd oni się dowiedzieli? Czy przybył posłaniec? Czy telefon zadzwonił, podczas kiedy szastała się po pawim pokoju Althene? Skąd?

To zresztą nie miało żadnego znaczenia.

Rachaela była bezradna tak jak przedtem.

A Ruth... była z Malachem.

W wynajętym umeblowanym pokoju, nad sklepem tytoniowym na Park Road, leżała obok kochanka Linda Reeves. Była zupełnie rozbudzona. Pokój pachniał z lekka stęchlizną i skarpetkami walającymi się po podłodze, ale i to razem z lichymi krzesłami i wymiętą pościelą było częścią wyzwolenia.

Opuściła Richarda. Jeszcze o tym nie wiedział, ale to już się stało.

Owinęła sobie nadgarstek liśćmi leszczyny i zabandażowała. Sukienka ukryje sińce na rękach i piersi. Nie złamał jej zębra, jak obawiała się w pierwszej chwili. Kiedyś już się to zdarzyło, a ból był znacznie silniejszy. Ciemne okulary zakrywały stare i nowe sińce pod oczami. Z rozcięciem wargi i opuchlizną niewiele mogła zrobić.

Bała się, że jej szef, Danny, wyrzuci ją wprost na ulicę. Strach było na nią patrzeć, klientom mogłoby odechcieć się piwa. Widywali u niej ślady pobicia od czasu do czasu. Zapewne domyślali się przyczyn. Byli dla niej mili, stawiali jej drinki. W „Fox and Glass” panowała bardzo sympatyczna atmosfera.

Richardowi nie podobało się, że tam pracuje. Ale jemu nie podobałaby się żadna jej praca. Chciałby, żeby siedziała w domu jak jego matka, która „opiekowała się ojcem”.

Jednak gdy starała się go zadowolić, nigdy jej się to nie udawało. Próbowwała nawet piec chleb w domu, ale widocznie nie miała talentu jego matki. Wyrzucił chleb przez okno. Nigdy nie nauczyła się z nim kłócić.

Na początku ciosy oczyszczały atmosferę. Potem bywał pełen skruchy. Przynosił jej rośliny w doniczkach, które szybko marniały w nienaturalnej atmosferze ich domu. Winił ją za to. Jego matka potrafiła hodować wszystko, łącznie z każdym wyszukany warzywem.

Z początku Linda znienawidziła świętej pamięci panią Reeves. Później zdała sobie sprawę, że matka Richarda pełniła tę samą rolę, co zmarła Rebecca z powieści Daphne du Maurier. Żyła w wyobraźni innych.

Richard umeblował dom tak, jak zrobiłaby to jego matka. Linda nie była odpowiednią osobą, trudno było mieć do niej zaufanie, że zrobi to właściwie. Mieli więc falbanki, ażurowe firanki, pokrowce na meble.

Okropny, pozbawiony wszelkiego wdzięku nieład. W dodatku Richard kolekcjonował przedmioty z epoki wiktoriańskiej: baniasty kandelabr wśród bujnych niezapominajek, kwieciste nocniki, figurki grubych myśliwych, mierzących do niewidocznej zwierzyny.

Iaina Morrisona poznała w „Foxie”. Zdarzyło się to w nocy, gdy akurat jej twarzy nie zdobił żaden siniak. Czuła się wolna i szczęśliwa, ponieważ poprzedniego wieczoru Richard wyjechał w interesach do Birmingham.

Wypiła pięć dzinów, które Iain jej postawił. Po zamknięciu lokalu poszła z nim do brzydkiego, skromnego mieszkania. Kochali się w jego łóżku, w brudnej pościeli, za co przeproszał. Doświadczyła w ramionach Iaina orgazmu tak wulkanicznego, że aż krzyknęła. Potem rozplakała się, powiedziała mu, że to pomyłka, i wróciła do spartaczanego domu Richarda.

Od tamtej nocy ona i Iain kochali się tylko trzy razy. Wyrwane poranki, popołudnia, kiedy mąż przypuszczał, że w swój niekompetentny, daleki od doskonałości jego matki sposób, robiła zakupy.

Zawsze bała się, że Richard zrobi krzywdę Iainowi.

Iain, błagając ją, żeby opuściła męża, powiedział, iż chciałby, żeby Richard spróbował. Wtedy mógłby oddać mu trochę za to, co ona musiała znosić.

Przyzwyczała się do sadyzmu. Nie, żeby go polubiła. Wsączył jej się w żyły i teraz płynął razem z krwią.

Potem nadszedł wieczór, kiedy kłóciła się z Iainem na zapleczu baru o to, że nie może opuścić Richarda, że musi ciągnąć dalej swoje małżeństwo. Źle odczytując jakiś jego gest, skuliła się przerażona: myślała, że Iain ma zamiar ją uderzyć.

Iain oszalał. Wrzeszczał na nią tak głośno, że przyszedł Danny i kazał mu wyjść.

— Jeżeli myślisz, że jestem taki sam, jak ten twój kretyn, to koniec z nami! Żegnaj, Lindo! Dziękuję za wszystkie zepsute chwile!

Po tym wieczorze Linda bardzo długo płakała w łazience, odkręciwszy krany, żeby zagłuszyć szlochanie. Próbowwała jeszcze usilniej być taką, jakiej zdawało jej się, że Richard potrzebował.

Jednak on, oczywiście, przede wszystkim potrzebował jej błędów i przewinień, żeby mieć ją za co karać.

W głębi duszy doskonale o tym wiedziała. Gdy wracali razem z cmentarza, myślała: „Boże, co ja robię? Och! Boże, jak mogę się z tego wyrwać?”

Potem do drzwi zapukała ta dziwna, czarnowłosa dziewczyna. Szukała kogoś. Jakiejś pani Watkins?

Linda, pomimo że naprawdę chciała, nie śmiała zaprosić jej do środka. Ktoś z zewnątrz, filiżanka herbaty, pogawędka. Może byłaby w stanie jej pomóc, mogłaby poszukać w książce telefonicznej. Dziewczyna była śliczna w dziki, niezwykle sposób, jak młoda gwiazda baletu. Taka interesująca.

Kiedy odeszła, Linda rzuciła jakieś przekleństwo do Richarda. Przekląła, na miłość boską, chociaż pamiętała, co on sądził na temat „błuznienia”, jak mawiał. Zszedł na dół i sprzął ją.

To było straszliwe bicie, ale jeszcze nie najgorsze, jakie jej sprawił. Pewnego razu wylądowała w szpitalu.

W jakiś sposób to przesądziło sprawę. To był koniec jak furтка i wiedziała, że wystarczy tylko przez nią przejść, choć początkowo nie zrobiła tego.

Po cichu próbowała się jakoś pozbierać. Richard został na dole. Pił whisky, którą kupował dla siebie i nigdy jej nie częstował, ponieważ uważał, że picie alkoholu nie było odpowiednie dla kobiety.

W łazience zasłabła. Straciła przytomność na trzy, cztery sekundy. Usiadła na podłodze i nagle zaczęła się śmiać.

Kiedy doprowadziła się do porządku, zeszła na dół. Tak było najlepiej: zachowywać się tak dalece normalnie, jak było to możliwe po awanturze.

Richard będzie przygnębiony, lecz już wyzbyty gwałtowności. Następnie ten stan przejdzie w fazę skruchy.

— Ja już wychodzę. Nie zapomnij o pasztecie w piekarniku — zakomunikowała.

— Pewnie musi mi wystarczyć.

— To dobry pasztet. Będzie ci smakował.

— Przynajmniej mi nie wmawiaj, że z tej twojej straszliwej parodii gotowania może wyniknąć coś smacznego.

W oczach miała mgłę, dzwoniło jej w lewym uchu, ale czuła, że da sobie radę.

Wzięła całe czterysta pięćdziesiąt funtów ze skrytki pod bielizną. Zaoszczędziła je z pensji i napiwków, a rzadko udało jej się coś odłożyć, nawet z pieniędzy, które Richard dawał na prowadzenie domu. To był jej fundusz ubezpieczeniowy, jak go nazwała. Dlaczego właśnie teraz zabrała pieniądze? Nie umiała odpowiedzieć. Może na wypadek, gdyby Richard przeszukiwał dom.

— Zobaczymy się później — powiedział. Poczula, jakby gorący sztylet wbił się w jej serce.

— Dopilnuj, żeby zrozumieli, że to twój ostatni tydzień — dodał.

— Tak, Richardzie.

Kiedy wyszła z domu, nogi niosły ją same. Pani Carey spod siódmego właśnie przechodziła z zakupami i swoim dużym, miłym pieskiem. Linda pomachała jej wesoło.

— Chryste, Linda — powiedział Danny na jej widok, gdy już dotarła do „Fox and Glass”.

— Czuję się dobrze.

— W takim razie idź do roboty, ale jak zechcesz usiąść i odpocząć, daj mi znać.

Wypiła dzin i zjadła ananasa, którego dostała od Mary. Poczula przyływ siły i odwagi. Wiedziała, że nikt nie może jej skrzywdzić, nawet Richard. W tym momencie intuicyjnie przeczuła, że Iain przyjdzie i ona potrafi się z nim pogodzić.

Tego wieczoru praca szła jej świetnie, błaznowała, rozśmieszała klientów i bawiła ich tak, że nawet nie zauważali siniaków na jej twarzy. Kiedy proponowali jej drinki, chowała pieniądze, żeby dołożyć do swoich czterystu pięćdziesięciu sześciu funtów.

Do dziesiątej Iain się nie pojawił.

Przyjęto ostatnie zamówienia i pub zaczął pustoszeć. Opróżniał się powoli jak kieliszek likieru. Zostały tylko kręgi dymu snujące się pod sufitem, puste naczynia i zgniecione opakowania po chrupkach.

Danny zamknął drzwi, a Mary powiedziała:

— Chodź, strzel sobie jeszcze jeden dzin. Zarobiłaś na niego jak mało kiedy.

Danny nalał jej brandy.

Linda wypić, a potem nagle znalazła się na kolanach u Danny’ego, który powiedział, że jeszcze nigdy w życiu nie ruszała się tak szybko.

Pomyślała o Iainie i rozplakała się.

Łzy spływające po sińcach i opuchliznie sprawiały ból, a kiedy dotarły do rozciętej wargi, poczuła ukłucie. Bolało też, kiedy wycierała nos. W uchu jej dzwoniło. Musiała mocno oberwać i może już nigdy nie wydobrzeje.

O północy, kiedy siedziała z Mary, pojawił się Iain. Dobijał się do tylnych drzwi. Ktoś mu powiedział, jak wyglądała twarz Lindy tego wieczoru.

Stał przed nią mokry od deszczu, bo na zewnątrz szalała burza. Był blady, patrzył spode łba oczami wilgotnymi od łez i gniewu.

— Nie wrócisz do niego. Nie pozwolę ci na to!

W mieszkaniu przytulił ją delikatnie, żeby nie urazić ran, lecz ból i szalona radość nie dawały jej spać.

Leżała, oddychając dusznym, cudownym zapachem miłości.

Pomyślała, że nie chce niczego od Richarda.

Nie miała nic do zabrania z tamtego domu. Wszystko w nim było jego własnością, a nieliczne jej rzeczy również kupował on, uważając, że powinna je mieć. Nigdy ich nie lubiła. Czowała wstręt do tego wszystkiego, nawet do skromnej bielizny i niewygodnych butów bez obcasów, do których kupna ją namówił. Także do leczniczych wód toaletowych i do kompletu grzebieni w kształcie grubych, wiktoriańskich dziewic.

A jednak muszę wrócić, pomyślała. Tylko raz, a Iain pójdzie ze mną. Ten bękart, ten cholerny śmierdziel nie ośmieli się go dotknąć.

Richard w konfrontacji ze stu osiemdziesięcioma siedmioma centymetrami wzrostu i dwudziestoma dwoma latami Iaina zapewne straciłby swą odwagę.

Mam trzydzieści cztery lata, pomyślała. Jestem za stara dla niego.

Iain obrócił się troszeczkę przez sen i pocałował ją we włosy.

Mogę zrobić cacko z tej nory. Iain nie będzie miał nic przeciwko temu, ucieszy się.

Muszę jeszcze raz pójść do Richarda, żeby powiedzieć mu, iż opuszczam go na zawsze.

Przestało jej dzwonić w uchu.

* * *

O pierwszej w nocy Richard Reeves siedział na dużej sofie w salonie, kończąc whisky. Od półtorej godziny Linda powinna być w domu, a nigdy nie wracała po północy.

Richard dobrze wiedział, gdzie była. Poszła z mężczyzną. Ten mężczyzna wkrótce wyrzuci ją za drzwi i będzie musiała wrócić.

Nie mógł zadzwonić do pubu, bo telefon był zniszczony. Stłukł go w zeszłym tygodniu.

Po jej wyjściu było mu przykro. Żałował, że uderzył ją w twarz. Drażniła go, robiła to celowo. Powinien jednak spróbować pohamować swój gniew. Kiedy wróci, powie, że mu przykro i przytuli ją.

Nie przychodziła i znów zaczął go ogarniać uzasadniony gniew.

Zajął się whisky i wkrótce był przy swojej czternastej szklaneczce, wliczając te cztery, które wypił wcześniej. Potrzebował alkoholu, żeby ukoić nerwy, móc jej powiedzieć, co o tym sądzi. Co ona sobie wyobraża? Że kim, u diabła, jest? On haruje jak wół, żeby dać jej wszystko, co najlepsze, a ona poszła z jakimś gachem. Podejrzewał ją i na pewno miał rację.

Kołatka do drzwi zabrzmiała bardzo głośno. Podpity Richard pomyślał, że pewno Linda zapomniała swego klucza. Wstał wściekły, zatoczył się, i poszedł do frontowych drzwi, żeby otworzyć.

To nie Linda czekała pod drzwiami. Wysoki, stary mężczyzna w czarnym płaszczu. Nie, młody człowiek, tylko o białych włosach.

— Richard? — spytał przybysz, uśmiechając się do niego.

— Tak, jestem Richard Reeves. Kim pan jest? — Coś go tknęło. — Ty jesteś jej facetem?

Richard poczuł jednocześnie furję i strach. Nie był przygotowany na tę wizytę, czuł zmęczenie. Spróbował wyjść do intruza. Mężczyzna prześliznął się obok niego i wszedł do środka. Za nim, jak nocne stworzenie, brunetka z twarzą zamaskowaną mocnym makijażem.

— Gdzie jest twoja żona? — spytał mężczyzna.

— Moja... Linda jest z tobą. Albo była. Czego chcesz?

— W takim razie tu jej nie ma. Och, to świetnie. Ruth, zamknij drzwi — powiedział Malach.

Dziewczyna, która miała na imię Ruth, wykonała polecenie. Teraz wszyscy znaleźli się w domu Richarda Reevesa.

— Słuchajcie, nie zapraszałem was do środka — zaoponował Richard.

— Ale jesteśmy. Wejźdź tam i łyknij sobie jeszcze jedną whisky — odparł mężczyzna.

— Nie waż się...

Mężczyzna pchnął go i Richard zatoczył się do tyłu, wpadając do salonu. Grzmotnął w stół i duży, porcelanowy pojemnik zachwiał się. Richard przytrzymał go i pieczołowicie ustawił z powrotem.

Mężczyzna o białych włosach również wszedł do pokoju, a za nim dziewczyna. Zostawiali mokre ślady na dywanie. To, co Richard wziął za tanią imitację futra, okazało się czymś w rodzaju sukni z autentycznej skóry lamparta. Kim byli ci ludzie? O co im chodziło?

— Dobrze cię opisała — powiedział Malach do Richarda.

— Linda mnie opisała?

— Ruth. Ruth podsłuchiwała twoją rozmowę z żoną.

Mężczyzna o białych włosach przysunął się do Richarda, wciąż z uprzejmym uśmiechem na ustach. Pachniał deszczem i nocą. I dziwnym zapachem spalenizny.

— Myślę, że rzeczywiście jej to wszystko powiedziałaś — rzekł Malach.

Potem mocno uderzył Richarda Reevesa w brzuch. To był miękki brzuch i nie stawiał oporu.

Richard zwinął się i upuścił swoją whisky na dywan.

Malach cofnął się.

Kiedy Richard przestał wymiotować, Malach kopnął go w bok. Mężczyzna potoczył się po dywanie. Malach oparł obutą stopę na gardle Richarda i delikatnie nacisnął na tchawicę. Reeves próbował walczyć. Malach zwiększył nacisk.

— Nie. Rób tylko, co ci każę — powiedział Malach.

— Tam są pieniądze. Powiem ci gdzie — rzeził Richard.

— Pieniądze? Tylko pieniądze? — Malach przybrał pozę rozczarowania godną melodramatu.

— Niektóre z tych bibelotów są coś warte...

— Ruth, rozbij kilka z tych skorup — poleciał Malach. Richard usiłował protestować, ale nie mógł wydać z siebie głosu. Ruth wzięła z kominka cztery największe porcelanowe przedmioty i cisnęła do wnętrza paleniska.

Potłukły się z hałasem.

Malach uniósł stopę.

— Są paskudne. Tak jest lepiej.

— Jesteś szalony.

Malach pochylił się i trzasnął Richarda na odlew w twarz. Zęby rozcięły mu dolną wargę, która zaczęła krwawić.

— Ależ z ciebie dupa — powiedział Malach i dodał złośliwie: — Och, wybac mi. Nie zważaj na mój plugawy język.

Richard odkaslnął, czuł się słaby i chory. Usiłował poruszyć głowę pod butem Malach, ale sprawił sobie ból.

Jednak kiedy zobaczył, że dziewczyna waży w dłoni figurki myśliwych, w oczach mu pojaśniało.

— Nie! Nie! Nie róbcie mi tego! To wartościowa rzecz. Przysięgam! Malach uniósł dłoń srebrzystą od pierścieni.

— Przynieś mi to, Ruth!

Dziewczyna podeszła, trzymając w ręce statuetkę: trzech otyłych mężczyzn w rdzawych myśliwskich strojach unosiło strzelby w stronę niewidocznych kaczek.

Malach zważył porcelanowe cacko w dłoni, uważnie mu się przyglądając. Potem spojrzał w dół na Richarda.

— To nie jest autentyk.

Przedmiot błysnął w powietrzu i uderzył o ścianę, rozbijając się w drobny mak. Ranny i obolały, a teraz w dodatku ogromnie przestraszony Richard zaczął płakać. Życie już dawno temu nauczyło go, że łyzy silnego mężczyzny wywołują współczucie.

Nie tym razem.

Malach zdjął but z jego gardła, podciągnął go do góry, zmuszając do wstania, i wyprowadził z pokoju aż do schodów w holu.

— Tam na górze jest gotówka — powiedział Richard usłużnie. Z nosa mu ciekło i w żaden sposób nie mógł go wytrzeć. W dodatku krew spływała mu po brodzie.

Malach zaprowadził go na górny podest. Richard usiłował skrócić do łazienki, gdzie miał schowane tysiąc funtów w pięćdziesiątkach. Trzymał je w starej hebanowej szkatułce z czasów handlu niewolnikami, z której był bardzo dumny. Rzeźbione wieczko przedstawiało mężczyznę w łańcuchach.

— Opowiedz mi o Lindzie — zażądał Malach.

— Mojej żonie?

— Twojej żonie.

Malach skierował swą pięść w stronę szczęki Richarda, starannie omijając splot nerwowy. Trafienie weń mogłoby pozbawić ofiarę przytomności.

Głowa Richarda uderzyła o ścianę i zanim zdołał chwycić za cokolwiek, stoczył się ze schodów, koziołkując i objając się o poręcz. Jęcząc upadł na dywan.

Ruth wyszła z salonu, by zobaczyć, co się dzieje.

W łazience Malach znalazł hebanowe pudełko. Dotknął ramienia wyrzeźbionego Murzyna i powiedział „przepraszam”.

Pieniądze wysypały się. Podeszła Ruth.

— Nie. Teraz nie potrzebujesz pieniędzy — powiedział Malach.

Ruth podpaliła pięćdziesięciofuntowe banknoty. Opadły na dół, na Reevesa, jak płonący deszcz.

Już przestał krzyczeć. Płakał. Jego łzy nie sprowadziły pomocy, ani nie ugasiły ognia.

Kiedy o pół do dziesiątej nadeszła Linda, trzymając pod ramię Iaina, z Richarda Reevesa i jego byle jakiego domu pozostało niewiele. Ot, kupa zwęglonych szczątków.

Półmrok. Ogród przed świtem okryty ustępującą ciemnością.

Krople deszczu wiją się i połyskują, ściekają po wypolerowanych liściach z jednego na drugi, w wysoką trawę. Światło dnia nie rozblęzło jeszcze na tyle, żeby uczynić je zielonymi.

Poskręcana ryba lśniła. Ktoś zdjął z niej słomkowy kapelusz. Basen był pełen wody.

Rachaela stała między zdziczałą jabłonką a fontanną. Ciągle miała na sobie białą suknię Althene, tren przesiąknął wilgocią.

Wszędzie wokół sączył się cień i stały dęby, wysokie jak w pradawnej puszczy. Ciszę przerywały dalekie echa ptasich pieśni. Rytualny chór świtu, przeraźliwy i zawsze powtarzany.

Co stłumiło nagle ptasi śpiew? Czy ptaki dowiedziały się, że świat jest za stary na ich trele?

Była w dziwnym nastroju.

Może winne są hormony? Jakkolwiek by wyglądało jej ciało, przekroczyła czterdziestkę.

Równie dobrze mogła znajdować się w sercu puszczy. Gdziekolwiek. W dalekim kraju. W ziemi jej genetycznej przeszłości.

Pojawiły się odwieczne wspomnienia, zawsze na granicy widzenia i słyszalności. Nie mogła ich zobaczyć, choć coś majaczyło pod powiekami, a w uszach brzmiał odległy szept. Wydawało się jej, że jeżeli stanie nieruchomo, zasłona zniknie i wtedy dowie się wszystkiego, co wydarzyło się lub mogło być się wydarzyć. Nie czuła strachu przed tą wiedzą.

Oczywiście, jestem pijana, pomyślała. Ich obiad, ich trunki.

Pozostała w ogrodzie leżącym poza czasem, unoszącym się w przestrzeni.

Scarabeidzi. Ona także była jedną z nich.

Zasłona rozstała się, cień wyblakł. Ukazał się mężczyzna o białych włosach.

Szedł zwawo w jej stronę poprzez trawy. Minął fontannę.

— Prawdą jest, że kobiety Scarabeidów są najpiękniejszymi kobietami świata — powiedział Malach.

Podniósł delikatnie jej dłoń i ucałował tuż obok pierścienia z rubinem, który kiedyś należał do Anny i Miriam. Potem pochylił się i pocałował ją w policzek. Wciąż pachniał ciemnością i niebezpieczeństwem.

— Dlaczego tu jesteś? Czy przyprowadziłeś Ruth ze sobą? — zapytała.

— Och, nie. Ruth jest w bezpiecznym miejscu. Przyszedłem po moich synów, psy.

— Twoich synów?

— Inni moi synowie są dla mnie straceni — odparł. Rachaela poczuła, jak strumień podniecenia przepłynął przez jej ciało, ale zniknął, ponieważ potrafiła go stłumić.

— Czy masz zamiar zabić Ruth? — spytała.

— Czym jest śmierć?

Uniósł powieki i było już dość jasno, żeby móc zobaczyć ich przejrzystą głębię. Tak chłodną i daleką, jak bezkresne przestrzenie jego ducha.

— Śmierć jest tym, co przydarzyło się Annie i innym. Śmiercią jest to, co sprowadza na ludzi Ruth.

Pomyślała, że wierzy w jego wiek, sto lat albo i więcej. Czy coś tak starego może zabijać?

— Muszę już iść — powiedział.

Nie znalazła słów, które chciałaby mu powiedzieć. Obserwowała go, jak szedł przez zaczarowany ogród, zasłona Podnosiła się. Zaśpiewał kos.

* * *

W garażu, w świetle elektrycznej lampy, Camillo pucował Powóz Kopciuszka, swój trójkołowiec.

Odkurzył damasceński aksamit, wytarł witrażowe okienko w tylnej ścianie, a teraz przecierał korpus podobny do cielska rekina.

W drzwiach stanął mężczyzna.

Twarz Camilla zastygła w wyrazie bojowej stanowczości. Wstał i wtarł resztę pasty polerskiej między uszy nadpalonej końskiej czaszki.

— Przyszedłeś rzucić okiem na mojego wierzchowca?

Malach wszedł do pomieszczenia; gdy w środku znajdował się trójkołowiec, niewiele zostawało już miejsca. Jakies pudełka, butelki, kanistry z paliwem, pasty. Malach stanął nieruchomo, przyglądając się wszystkiemu po kolei. W końcu przeniósł wzrok na Camilla.

— Pozwól sobie powiedzieć — zaczął Camillo, gładząc zielony, prążkowany brzuch maszyny. — To harley davidson 1500 super z doładowaniem, silnik dostosowany do trójkołowca. Tutaj — wskazał na srebrzyste spirale w środku kierownicy — trzydziestocentymetrowa, niklowana, elastyczna kierownica w stylu „twist candy”.

Malach patrzył na to, co pokazywał Camillo.

— W przednim kole, w oryginalnej, podwójnej piaście wmontowana jest dodatkowa, prawie półmetrowa obręcz. — Camillo obrócił koło i zachichotał. — Rama o kształcie łabędziej szyi została polakierowana na gorąco.

Straszliwe światło zapłonęło we włosach Malacha jak biały, gorący płomień.

— System zasilania sterowany jest automatycznie. Wtrysk metanu jest wbudowany w system paliwowy. To oznacza, że mój trójkołowiec może osiągnąć prędkość około dwustu kilometrów na godzinę w dwie sekundy. Zrujnowałbym silnik, ale byłbym już daleko. — Wskazał ręką na część nadającą tyłowi kształt powozu Kopciuszka. — A to przerobiony tył volkswagena. — Zrobił pauzę. — Podoba ci się mój wierzchowiec?

— Pamiętam cztery — odparł Malach. — W tym jednego czarnego wałacha, który cię zrzucił.

— A ja nie pamiętam — odparował ostro Camillo. — Tylko psy. Psy pamiętam wszystkie.

— Może kiedyś sobie przypomnisz.

— Jestem za stary — Camillo uśmiechnął się szeroko i zanurkował na drugą stronę swej maszyny jakby szukając osłony. — Cóż, spotkaliśmy się ponownie. — Camillo krążył wokół muszli pojazdu. — Teraz możesz już odejść.

Malach stał nadal pod światło. Zimny ogień. Wyglądało na to, że ogląda trójkołowiec.

— Zabiłeś kogoś. Może straszną Ruth? — zapytał Camillo, znów wychylając się zza maszyny.

— Tylko ludzi — sprostował Malach pośpiesznie.

— Pamiętam, kiedy w saniach... — zaczął Camillo.

— Nie — przerwał mu Malach.

— Czego oczekujesz? — spytał Camillo.

Malach odwrócił się i odszedł.

Twarz Camilla powoli jakby zapadła się do środka. Teraz wyglądał staro i staroświecko. Wiekowy człowiek z lśniącem trójkołowcem, którego nie potrafi zatrzymać.

— Opuściliśmy peryferie miasteczka. Byli tam ludzie z pochodniami, ale koń przemknął obok nich. — Camillo westchnął. — Pędziliśmy wśród białych drzew i ocknąłem się, przypominając sobie straszliwe opowieści o wilkach. Mój ojciec powiedział: „Należy bać się ludzi, nie wilków”. — Camillo poklepał końską czaszkę. — Dobry konik. Niech palą ogień, my zdołamy go przebyć.

Nie było nikogo, kto słuchałby jego słów.

* * *

Tray czuła się źle. To był skutek różnych drinków, wypitych bez jedzenia. Lou zareagowała inaczej. Leżała na olbrzymim łożu w aureoli prerafaeličkih włosów, lekko pochrapując. Odwróciła głowę, a róża wytatuowana na jej szyi sprawiała wrażenie śladu po pocałunku wampira.

I Lou i Tray zażywały pigułki bez przerwy, w efekcie czego nigdy nie miały miesiączek. Tray czasem czuła się dziwnie, jakby jej biologiczny zegar usiłował jednak dojść do głosu.

Kiedy żołądek przestał jej dokuczać, wzięła prysznic i ubrała się. Włożyła marynarski komplet z granatowej skóry i gorsecik z białym kołnierzem. Złamały jej się dwa paznokcie, co bardzo ją zmartwiło, gdyż stanowiły miejsce jej artystycznej ekspresji. Malowała na nich różnokolorowe obrazy, a teraz nie nadawały się do użytku.

Zeszła na dół w poszukiwaniu Camilla i w holu z kolumnami natknęła się na Malacha.

Wydał jej się zdumiewający. Wyglądał jak piosenkarz, choć z pewnością nie śpiewał.

Siedział na prostym, rzeźbionym krześle, a obok niego stały dwa przerażające, olbrzymie psy w najeżonych kolcami obrożach. Głaskał je po głowach, spoglądając w ich czule, niebieskawe ślepia.

Tray podeszła bliżej.

— Cześć — powiedziała. — Często tu przychodzisz?

Malach podniósł wzrok i spojrzął na nią. Nie powiedział nic.

Tray zachichotała. Słodki, melodyjny dźwięk, jakże różny od rżących głosów wydawanych przez Camilla.

— Podobają mi się twoje włosy — zaczęła.

— Dziękuję.

— Pewnie znasz Camiego, prawda?

— Mała dziewczynko, proszę zostawić mnie w spokoju — powiedział Malach delikatnie.

— Tylko zapytałam — usiłowała wyjaśnić Tray.

— Nie pytaj mnie. Nie pytaj o nic.

— Och! — wyrwało się Tray. Nie mogła uwierzyć, że dostała odprawę. Mężczyźni reagowali różnie, ale nie odrzucali jej nigdy. Tray uosabiała pożądanie.

Ostrożnie przysunęła się bliżej, usiłując uniknąć dużych, porośniętych sierścią cielsk psów.

— Cami подарował mi ten naszyjnik. To polerowane kości kurczaka oprawione w srebro. Prawda, że śliczne?

Malach spojrzął na nią, jego wzrok przeniknął poprzez jej oczy prosto do mózgu. Powiedział coś w języku, którego nie знаła. To brzmiało jak: „*Tires-toi*”. Zrozumiała od razu.

Cofnęła się przerażona, byle dalej od niego.

Przy schodach potknęła się, odwróciła i pognęła na górę. Z półpiętra spojrzęła za siebie. Znów głaskał swoje psy.

Pobiegła korytarzem, potem następnymi schodami aż do apartamentu Camilla. Chciała potrząsnąć Lou, obudzić ją i powiedzieć co zaszło: przeklął mnie, powiedział coś naprawdę okropnego.

Nie słowa były tu istotne, lecz fakt odrzucenia.

Obgryzła paznokcie, jedynie te dwa złamane, ale za to do żywego.

Usiadła na krześle i poczuła się senna.

Kiedy się zbudziła, Lou nadal pochrapywała, a Cami nie pojawił się. Oszklone mlecznym, opalizującym szkłem okno rozjaśnił letni poranek. Złoty zegar wskazywał dziewiątą trzydzieści.

Tray wstała i podeszła do lustra. Popatrzyła na siebie. Odwróciła się bokiem, żeby podziwiać swą niewiarygodną szczupłość, gorset o wymiarze 34, a nad nim naszyjnik z kości i srebrnych kólek.

To, że Lou odnalazła swoje kolczyki w kształcie masek gazowych i założyła je, było gestem w stronę Althene.

Nie będzie jej budzić. Nie jest do niczego potrzebna.

Tray wyszła z pokoju i zeszła na dół.

Bała się, że Malach wciąż jeszcze będzie w holu, ale na szczęście już odszedł.

Wzięła trochę pieniędzy z saszetki, w której Camillo zostawiał im kieszonkowe. Wybierała się na zakupy i do fryzjera. Ufarbuje sobie włosy na czarno, tak jak Rachaela.

Cukiernia była otwarta i Tray kupiła pączki. Było w nich dużo dżemu. Tata kupował jej pączki, pozwalał obtaczać je w talerzu z cukrem, aż stawały się całkiem białe. Mama straszylaby ją, że utyje, ale Tray nie przybierała na wadze, bo rzadko w ogóle cokolwiek jadła.

W zakładzie fryzjerskim „Lukrecja”, którego dewiza brzmiała: „Uczynimy cię tak piękną, że Rzymianie bez wątpienia by cię zgwałcili”, nadszedł kierownik i osobiście posadził Tray na krześle. Powiedział, że nie ma znaczenia, iż nie miała umówionej wizyty. Zawsze znajdą dla niej czas, bo zajmowanie się tak wspaniałymi włosami to czysta przyjemność. Tak naprawdę przyjemność sprawiały mu pieniądze Camiego. Tray doskonale zdawała sobie z tego sprawę. W każdym razie przyjęto ją.

Tortury fryzjerskie, które zniosła nad podziw dobrze, trwały dwie godziny. Potem znalazła się pod suszarką.

Wypiła „Fantę”, którą jej przyniesiono.

Spojrzała w lustro i zaskoczona zobaczyła, co z niej zrobili. Kryształowe łzy potoczyły się z jej oczu. Nie zrujnowały jej urody, ponieważ używała wodoodpornych kosmetyków. Wyglądała jak łkająca lalka.

W budce Tray użyła karty magnetycznej Camiego. Zabrała ją z domu, więc podświadomie musiała zdawać sobie sprawę, że ma zamiar telefonować.

Miała nadzieję, że słuchawkę podniesie ojciec. Gdyby odebrała matka, Tray miała zamiar wyłączyć się.

Podczas gdy czekała na połączenie, nadjechała furgonetka z lodami. Wygrywała tak głośno swą reklamową melodyjkę, że dziewczyna zaczęła się obawiać, czy usłyszy głos, gdy ktoś podniesie słuchawkę.

Wreszcie odezwał się ojciec.

— Cześć, tato, to ja.

— Tray!

— Cześć, tato.

— Na rany Chrystusa, gdzie ty jesteś? Martwię się o ciebie.

— Wszystko w porządku, tato.

— Martwię się, Tray. Wyjechałaś i wplątałaś się w Bóg wie co. Gdzie jesteś?

— Po prostu w Londynie, tato.

— Co się dzieje? Gdzie w Londynie?

— To nie ma znaczenia. Czuję się świetnie. Chciałam tylko... pogadać z tobą.

— Tray, ty wariatko! Zawsze możemy pogadać. Dlaczego nie przyjedziesz do domu, aby ze mną porozmawiać?

Usłyszała więcej niż pytania i połajanki. W jego głosie, gdy do niej mówił, pojawiło się światło. Przypomniła sobie jego uśmiech, gdy wchodził w drzwi, a ona biegła do niego z jakąś zabawką w wyciągniętych rączkach.

— Nie ochrzaniaj mnie, tato. Furgonetka z lodami była coraz bliżej.

— Dobrze, już dobrze. Skoro z tobą wszystko w porządku, to do zobaczenia. Co porabiasz?

— To co zwykle.

— Cholerne motory i jeszcze gorsze grupy rockowe.

— Kapele, tato.

— Kapele, co nie mają kiepele.

Jego dowcip zawsze ją irytował. Nagle znów byli sobie dalecy. Miała dwadzieścia dwa lata, a on był stary.

— Muszę już lecieć, tato.

— Co? Jeszcze minutkę, Tray. Powiedz mi, gdzie jesteś.

— Już mówiłam. W Londynie.

— Czy to znów jakiś facet?

Pomyślała o Camim, starszym od jej ojca, ale Cami był inny.

— Jest sławny, tato.

— Co?

— Sławny.

— Więc powiedz mi, kim jest?

— Nie mogę. Muszę już lecieć.

— Tray...

— Naprawdę muszę. Kocham cię, tato. Do widzenia.

Odłożyła słuchawkę. Poczowała się trochę jak sierota i odczuła ulgę.

Furgonetka z lodami, która przygrywała swoją melodyjkę podczas całej rozmowy, teraz zamilkła.

Tray wyszła z budki telefonicznej i kupiła sobie rożek z sosem truskawkowym i orzechami. Do tego dwie tabliczki czekolady.

Poszedł z nią do tego domu, kiedy opowiedziała mu o Reevesie. To była pierwsza rzecz, o której pomyślała, gdy otworzyła oczy. Powiedział, że skoro kobieta jest w porządku, to pozwolą jej zachować życie. Zabił tego człowieka, a dom spalił. Potem odeszli razem.

Jechali nocnym autobusem.

Siedzący z tyłu mężczyzna zwymiotował i zapachniało czystym alkoholem. Na górnym poziomie powietrze było gęste i błękitne, ale oni siedzieli na dole. Malach powiedział, że jest za wysoki, żeby wejść na górę, i ona musiała mu uwierzyć.

W barze, w którym sprzedawano kebab, kupił jej plaster baraniny na ostro w cieście pitta z jasnoczerwonym sosem chili, a do tego sałatkę. Kiedy dojechali na miejsce, zaprowadził ją do pokoju i poczęstował kieliszkiem wina. Po wypiciu jej głowa opadła jak ścięta. Zasypiała.

Weszła do łóżka. Było miękkie i wygodne, a on nakrył ją kocem. Poduszki były z pierza, a kiedy zapaliła nocną lampkę, okazało się, że są koloru błękitnego nieba. Prześcieradła również były niebieskie, a koce i poszwy miały odcień głębokiej zieleni.

W pokoju znajdowało się jedno okrągłe okno. Nie zdobił go żaden konkretny obrazek, jedynie witrażowy wzór.

Wszystko tu stanowiło harmonię błękitu i zieleni z wyjątkiem lamp w kolorze przydymionego różu. Pokój ogrzewany był grzejnikiem, nie miał kominka.

W rogu stała toaletka z lustrem obramowanym ornamentem z oszronionych liści i oświetlonym dwiema lampkami.

Na ciemnym stole leżały jakieś książki i kilka innych przedmiotów, na które Ruth nie zwróciła uwagi.

Pokój miał aurę Scarabeidów. Na waniliowozielonej ścianie wisił czarny zegar, który nie chodził.

Do sypialni przylegała łazienka. Była zielona, wisiąły w niej błękitne ręczniki. Złote krany miały kształt delfinów. Okna nie było, jedynie wywietrznik.

To musiał być dom Scarabeidów. Tamten spłonął, lecz zdawała sobie sprawę, że były inne domy i inni Scarabeidzi.

Malach był Scarabeidem. Złapał ją w pułapkę.

Spróbowała otworzyć drzwi, ale były zamknięte. Czekwała, aż Malach pojawi się znowu, bo wyczuwała intuicyjnie, że nie ma go w pobliżu.

* * *

Dzień już zajął do okna, gdy Malach wrócił.

Okno odbiegało stylem od reszty pokoju. Miało barwy szkarłatu, bursztynu, ognia, mięsożernego różu lwich paszczy; kolory gorące i ślepe. Przez witraż słabo rysowały się kraty.

Otworzył drzwi i zastał ją siedzącą na łóżku i patrzącą w okno.

— Czy jestem więźniem? — spytała.

— Tak.

— Nie chcę być więźniem, Malachu.

— Nie masz wyboru, Ruth.

— Dlaczego? — spytała.

— Jesteś morderczynią.

— Ty zabiłeś tego człowieka, Richarda.

— Ale ty zabiłaś Scarabeidów.

— Ja nie chciałam — powiedziała wolno.

— Chciałaś.

— Byłam zła.

— Musisz nauczyć się używać słów we właściwy sposób. Nie zabija się swoich z powodu złości. To furia, Ruth. To cierpienie.

— W takim razie z furii i z cierpienia.

— Bardzo dobrze. Teraz pora na karę.

— Co mi zrobisz?

— Zobaczymy.

— Mój tata — zaczęła i zastanowiła się chwilę. — Mój ojciec, Adamus, powiesił się. Czy to dlatego, że zrobiłam te rzeczy?

— Jakie rzeczy?

— Wiesz...

— Musisz wyrażać się jasno. Musisz powiedzieć, co jest prawdą.

— Ponieważ przebiłam Annę i innych.

— Nie możemy go zapytać. On nie żyje.

— Zabijałam zwykłych ludzi. Piłam ich krew — ziewnęła. — Spaliłam ich domy. To była Emma.

— Jesteś głupią, małą dziwką — stwierdził Malach.

— Nie. Jestem złem — powiedziała Ruth.

Malach spojrział na nią. Patrzyła mu w twarz.

— Jesteś Scarabeidem. Tak się nazywasz. O reszcie zapomnij. Zapomnij o epitetach rodem z filmów grozy. Teraz poznaj moich towarzyszy.

Ruth poruszyła się. Wyglądała na przerażoną, a potem zrezygnowaną.

Malach zawołał w stronę drzwi:

— Enki! Oskar!

Ukazały się dwa olbrzymie psy o śnieżnych, nieco przegowanych futrach. W ich żyłach płynęła krew mastiffów, a może nawet wilków, stąpały jak książęta, oczy im płonęły.

Ruth wstała i bez pośpiechu, ale i bez wahania podeszła do nich. Przyjęły ją spokojnie, obwąchując jej palce.

Ich głowy były na wysokości jej piersi. Pogładziła jedwabistą sierść, która okrywała twarde jak kamień czaszki. Spojrzała im w oczy i ucałowała pyski.

Olbrzymie ogony zamerdały dostojnie.

Stała między nimi, przyciskając je do boków.

— Oskar, Enki! Wystarczy — zarządził Malach.

Psy odeszły, wyslizgując się z pokoju jak światło słoneczne. Ruth stała opuszczona.

— Co będę teraz robić? — spytała.

— Zostaniesz sama.

— Na jak długo?

— *Ah, vous dis-je.*

— Nie rozumiem.

— Zrozumiesz.

Wyszedł. Klucz obrócił się w zamku.

Po chwili Ruth podbiegła do drzwi. Z całej siły zaczęła walić w nie pięściami.

Jeden z psów szczeknął i nastąpiła cisza. Ruth wróciła do łóżka, stanęła na nim, a potem usiadła na poduszkach.

Słońce stopniowo przesuwawało się i opuszczało jej okno.

Była głodna.

Norman Olivier Bailey Ives obserwował patio przez szybę zamkniętych, rozsuwanych drzwi. Na zewnątrz jego żona Miriam powoli i z wysiłkiem pedałowała na rowerze treningowym.

Miała metr sześćdziesiąt pięć wzrostu i ważyła sześćdziesiąt osiem kilogramów. Jej opalone ciało wyrывało się spod skąpego bikini w paski. Blond włosy były zebrane na czubku głowy wstążką w szokującym, różowym kolorze. Mimo staranności fryzjera Jasona w jej włosach pojawiał się ciemny odcień, który niestety zwiększał się między cotygodniowymi wizytami.

Marylin przestała pedałować.

Wyciągnęła rękę w stronę zielonego stołu z kutego żelaza i wzięła z patery trzy lub cztery czekoladki. Szybko wepchnęła je sobie do ust.

Marylin zawsze rezygnowała z kartofli, ale nigdy nie mogła obyć się bez czekoladek. Mówiła, że dają jej energię. Poza tym twierdziła także, że można mieć odrobinę więcej ciała, o ile mięśnie są w formie. Czekolada nie jest tuczająca, bo znakomicie się spala. Biedna, stara Marylin.

Tray również lubiła słodczyce, ale nigdy nie przybierała na wadze nawet odrobinę. Była dzieckiem szczupłym jak młode drzewko i taka urosła, zachowując idealne proporcje, okryta znakomicie dopasowaną, złotą skórą.

Bawiło go, że on i Marylin byli w stanie stworzyć wspólnie coś tak doskonałego.

Marylin wciąż była całkiem pociągająca i gdy wychodzili razem stroiła się i robiła, co mogła, lecz nigdy nie miała szans na wygranie konkursu piękności. On zaś mógł wstrzymać ruch uliczny swoją brzydota.

Uśmiechnął się szeroko do swojego odbicia w szybie. Nie grzeszył urodą. Był niski, krępy, z szerokimi, muskularnymi ramionami, pozostałymi z czasów, gdy pracował jako tynkarz, zanim otworzył własną firmę. Wciąż jeszcze, gdy któryś z pracowników zachorował, sam chwycił za kielnię. Miał olbrzymi brzuch wylewający się fałdami spod białej koszuli. Zawsze był brązowy, ta opalenizna nigdy nie

bladła. Pozostałość lat pracy pod gołym niebem. Brązowa, kulista głowa wyrastała wprost z ramion, szyi prawie nie miał.

Braki urody nigdy nie hamowały jego impetu życiowego. Jego matka, Staruszka, jak ją zawsze nazywał, powiedziała: „Nie jesteś śliczny, ale dobry z ciebie chłopiec, Nobbi”. To właśnie ona nadała mu to przezwisko po jego ojcu, wstrętnym skurwielu, który wymyślił dla niego te arystokratyczne imiona: Norman Olivier.

Nobbi lubił swoją matkę, lubił wszystkie kobiety, a one starały się odwzajemnić jego sympatię. Kiedy pierwszy raz wyszedł z Marylin, naprawdę prezentowała się oszalełamijaco. Mężczyźni oglądali się za nią.

Może to po niej właśnie Tray odziedziczyła swoje loki. No bo po kim? Może po jego matce? Staruszka była całkiem niezłą sztuką w latach swojej młodości, widział zdjęcia.

W szybie, nad szamoczącym się odbiciem Marylin, która znów podjęła tortury, mignęły złote błyski. Medalion ze świętym Krzysztofem, sygnet godny monarchy, i złoty rolex.

Za nim znajdował się rozległy pokój, o którego wystrój jak i o urządzenie całego domu zadbała Marylin. Rachunki płacił Nobbi.

Czerwone aksamitne zasłony podwiązane satynowymi sznurami, czerwona aksamitna kanapa nabijana ćwiekami, czerwony dywan Axminster. Stylowe krzesła i żyrandole. Na szklanym stoliku do kawy leżała sarta „Voque” i duża porcelanowa lalka w elżbietańskim kostiumie, w sukni z prawdziwego jedwabiu i koronkowej kryzie.

Nad gazowym kominkiem, w którym leżały prawdziwe kłody, wisiała reprodukcja „Wozu z sianem” udająca prawdziwy obraz.

Drugą ścianę, wytapetowaną czerwonym adamaszkiem, uświetniała kopia „Słoneczników” Van Gogha — żółta plama w morzu czerwieni.

Nobbi nie zwracał sobie głowy sztuką, ale „Słoneczniki” zawsze odrobinę nim wstrząsały. Wiedział, że Marylin też za nimi nie przepadała, czuła jedynie, że powinny tam wisieć.

Na półce nad kominkiem Marylin eksponowała swoją kolekcję porcelanowych figurek — damy z różnych epok. Nobbi nawet je lubił, bo były kobietami.

Z pewnością miały swoją cenę, jak wszystko w tym domu.

Nad telewizorem dobrej marki stały na półce kasety z ćwiczeniami Marylin. Czarnaście sztuk! Biedna, stara Marylin...

Znowu podjadała czekoladki, nie przestając pedałować.

Nobbi odwrócił się, musiał poszukać sobie czegoś do roboty, żeby oderwać się od myśli o Tray.

Martwienie się o nią nie było dobrym pomysłem. Kiedy wpadnie w kłopoty, znów do niego zadzwoni. Wtedy pójdzie i wyciągnie ją.

Wiedziała, że zawsze może na niego liczyć.

Zdawał sobie sprawę, że nie była niewinna. Żałował, że tak się działo, ale składał to na karb czasów, w jakich żyli. Na dłuższą metę to nie miało znaczenia. Pewnego dnia wyprawi jej wesele z białą suknią i kwiatem pomarańczy. Trafi na faceta z forszą, który zaopiekuje się nią i uczyni szczęśliwą. Najlepiej, żeby to był syn kóregoś z kumpli, ktoś z branży.

Winił za to Lou. To ona wciągnęła Tray w te wszystkie bzdury, grupy rockowe i włóczenie się Bóg wie gdzie. Lou pochodziła z dołów, biedna krowa, zawsze była nic dobrego. Jak się później dowiedział, miała skrobankę w wieku dwunastu lat. Teraz za późno, żeby odciągać od niej Tray. Trzeba czekać, aż sama nabierze rozumu, wtedy on będzie w pobliżu i zabierze ją do domu. Tutaj będzie bezpieczna.

Gdyby tylko dzwoniła regularnie! Nawet Marylin zaczęła się już uskarżać na brak wiadomości od córki. Nie wiedział nawet, gdzie ona jest.

Nobbi wyszedł do holu i schodami wyłożonymi grubym dywanem udał się na górę.

Rzucił okiem w głąb sypialni, którą dzielił z Marylin. Narzuty i zasłony były w drobny kwiatowy wzorek, różowy aż do bólu głowy. Na łóżku siedziały dwie sypialniane lalki Marylin: naturalnych rozmiarów malutki chłopczyk w błękitnym ubranku i takaż dziewczynka w różowej sukieneczce.

Nobbi czasami żartobliwie protestował przeciwko obecności błękitnej lalki, mówiąc, że jest to jeszcze jeden mężczyzna w jego sypialni. Nie miał nic przeciwko małej dziewczynce.

Marylin urządziła łazienkę w tonacji bladożółtej, „żeby było pogodnie”. Łazienka Tray za zakrętem korytarza utrzymana była w kolorze łososiowym. „Możesz zepsuć sobie sypialnię, ale łazienkę będziesz miała taką jak trzeba”.

Na umywalce, obok nie używanego mydła w kolorze ostrzygi, stała na pół opróżniona buteleczka lakieru do paznokci Tray, czarnego ze

złotymi drobinkami. Sprzątaczką zawsze ostrożnie odstawiała ją na miejsce, kiedy myła umywalkę. Lakier wysechł już na kamień, stał trzy miesiące.

Nobbi próbował się od tego powstrzymać, ale nie był w stanie. Wszedł do sypialni Tray.

Była wykończona czarną, gniecioną satyną, u dołu ścian zdobioną szlakiem ze złotej spirali. Z lamp zwisała czarna koronka. Okna, naprzeciw których stał, oszklone były przydymionymi szybami z ornamentem trupich czaszek. Na ścianach wisiały plakaty długowłosych młodych mężczyzn z obnażonymi torsami. Jeden wizerunek ukazywał szkieletowate stworzenie w trakcie rozkładu z białymi włosami i mieczem w dłoni. Tray powiedziała ojcu, że „to” nazywa się Eddie.

Łóżko miało cztery czarne filary; na nim również siedziała lalka. Kiedyś wyglądała słodko, ale Tray zrobiła jej rozczochraną, pomarańczową fryzurę, umalowała usta na czarno, przystroiła łańcuchami, a w nos wpięła kolczyk.

Koło łóżka stał pluszowy lew.

Dał jej go na szóste urodziny.

— Lwy to cudowne zwierzęta — powiedział.

— Przestraszy się go — oponowała Marylin.

Ale Tray nie bała się, ponieważ Nobbi opowiedział jej o lwach. O tym, że są to szlachetne zwierzęta i że lew będzie się nią opiekował, kiedy tatusia nie będzie w pobliżu.

Podniósł zwierzaka i dał mu lekkiego prztyczka w nos.

— Nie na wiele się zdałeś, co, koleś?

Na toaletce leżały drobiazgi, których nie wzięła ze sobą.

Jakieś wisiorki, sznur prawdziwych pereł, które kupił jej na piętnaste urodziny. Mały pierścionek z kości. Miała takie szczupłe palce!

Chryste, ona była taka drobniutka, a świat na zewnątrz pełen gówna.

Nobbi potrząsnął lwem.

Na drzwiach szafy wbudowanej w ścianę wisiała malutka sukienka w czarno-koralowy wzór i wielki, aksamitny, czarny kapelusz. Sprzątaczką zawsze pieczołowicie wieszala je z powrotem. Sypialnia przypominała jeden z tych pokoiów, które na pamiątkę po zmarłych trzyma się nie zmienione. Kaplica.

Nobbi wyszedł szybko, zamykając za sobą drzwi. Lwa trzymał pod pachą.

Zszedł na dół, przeszedł przez olbrzymi dom i pod obrośniętą winoroślą pergolą przedostał się do przybudówki, w której miał biuro.

Kiedy wszedł do środka, poczuł ulgę. Tutaj stały meble z domu Staruszki w Clapham z dużymi trzeszczącymi krzesłami i staromodnym kredensem.

Nad bałaganem panującym na biurku królował mosiężny teleskop jego dziadka i mapa morska, której Nobbi nie mógł odczytać. Ojciec Nobbiego był prostakiem, tak jak jego dziadek zwycięzcą. Stary drań, brzydki jak Nobbi, z trzema zębami i ustami jak kloaka. Matka zawsze wyrzekała na jego plugawy język. Jednak umysł miał pełen skarbów. Zążywał tabakę i teraz Nobbi trzymał w ręce powyginaną puszkę. Przypomniawszy sobie puszki tabaki, paczki papierosów i butelki rumu, cały ten zabałaganiony dom. Do tego cudowny, stary pies, ślepy na jedno oko jak Nelson.

Nobbi chciał mieć psa, ale Marylin nie chciała słyszeć o sierści w każdym kącie. Tray bała się psów.

Niech to lichy.

Nobbi położył lwa na biurku i dał mu klapsa.

Potem podniósł słuchawkę i wykręcił numer do Sandy'ego.

Mieli robotę w Richmond, coś dla korporacji. Musiało być wykonane natychmiast i już powinno być skończone.

Kiedy Sandy podszedł do telefonu, pogonił mu kota.

Dla pana Glassa wszystko musiało być na tip top. Niech Bóg ma ich w swojej opiece, gdyby nie było.

Nobbi trzymał się korporacji i dobrze na tym wychodził. Płacił ludziom nieźle i jeszcze czasem coś dołożył. Zawsze miał robotę.

Czasami brał się do czegoś sam, jak dla tej facetki z Kentish. Warte było ze dwie setki, ale przedtem mieszkała jak w norze, powiedział jej: „Okolo dziesięciu funtów, kochana. Zrób nam herbatki, a jak dostaniemy buziaka, to i piątka wystarczy”.

Sandy'emu kop był niepotrzebny, radził sobie bez kłopotu. Obiecywał, że będą gotowi w poniedziałek rano, pociągną przez niedzielę.

Po telefonie Nobbi próbował się rozluźnić. Zapalił cygaro, jedno z tych, które zdaniem Marylin cuchnęły. Użył zapalek, ignorując zapalniczkę. Cygaro wywołało natychmiastowy kaszel.

W biurze lew wyglądał na o wiele szczęśliwszego.

Kiedy Tray była mała, wszędzie go za sobą ciągała. Przydawał się, opiekował się nią.

Nobbi odłożył cygaro i wstał. Zdjął marynarkę z krzesła i wyszedł z biura, zamykając za sobą drzwi.

Marylin siedziała na trawniku koło błękitnego basenu.

— Przepraszam, kochanie. Coś się stało. Muszę jechać do Richmond — powiedział.

— Och, Nobbi!

— Przykro mi, kochanie. To specjalna robota.

Marylin wiedziała, że nie ma sensu protestować. Orientowała się, choć było to przed nią ukrywane, że Nobbi świadczy przysługi organizacji i że zawsze miał kontakty w podejrzanych kręgach. Wolą o tym nie myśleć.

— Wrócisz dziś wieczorem? — spytała z nadzieją.

— Zostanę dłużej z Sandym. Musimy zacząć wcześniej rano. — Biedna, stara Marylin. — Jutro pójdziemy do „Fantail”, obiecuję — powiedział Nobbi.

Marylin zawsze lubiła wychodzić wieczorem i robili to dwa, trzy razy w tygodniu. Od razu się rozpromieniła.

Zostawił ją wpatrzoną w błękitny basen. Poszedł po swego jaguara uwięzionego w podwójnym garażu.

* * *

Jechał teraz wzdłuż rzeki.

Wilgotny wiatr hulał po ulicach. Nobbi przyłapał się na rozglądaniu po chodnikach. Zauważył szczupłą dziewczynkę z kręconymi włosami w kolorze słońca. Ale to nie była jego Tray.

Światło padało ukośnie, nabrało koloru sherry, przesączało się przez wysuszoną zieleń drzew w maleńkich ogródkach i nadawało wyblakłym ścianom morelową barwę. Indiańskie lato. Dlaczego tak nazwano ten czas?

Szary jaguar skręcił z głównej drogi obok pralni, sklepu rybnego i „Pakistańskich towarów kolonialnych”. Zatrzymał się przed trzykondygnacyjnym blokiem mieszkalnym.

Nobbi wysiadł i z nawyku spojrzął w górę na okna. Marylin zawsze lubiła wyjrzeć, czy ktoś nie przyjeżdża. Nawet wołała, żeby Nobbi zatelefonował do niej i powiedział, o której godzinie wróci do domu. Dlatego Tray doprowadzała ją do szaleństwa.

Tutaj nie było żadnych tego rodzaju rygorów. Przeszedł przez trawnik i otworzył drzwi na klatkę schodową. Potem wspiął się po schodach na drugie piętro, choć przyprawiło go to o kaszel.

Drzwi mieszkania 5A wymagały malowania i to on powinien szybko tym się zająć.

Nacisnął dzwonek.

Wiedział, co teraz nastąpi, ale nigdy nie czuł się tym znużony.

Drzwi uchyliły się na jakieś dziesięć centymetrów i w szparze ukazała się szczupła twarz. Matowe, czarne włosy obcięte równo ze szczęką tworzyły dla niej ramę. Bez makijażu kobieta wyglądała na zmęczoną. Cienkie wargi, wielkie czarnobrazowe oczy. Twarz bez wyrazu, dopóki jej właścicielka go nie spostrzegła. Wtedy rozkwitła jak kwiat. Zarumieniała się i wypiękniała. Oczy i drzwi otworzyły się szerzej, a wargi zmiękły i rozchyliły się.

— Nobbi! To ty! Nobbi, kochanie!

— Cześć, Star! Przepraszam, nic dla ciebie nie przyniosłem. Zapomniałem.

— Nic nie chcę! Tylko ciebie!

Nobbi wszedł do mieszkania, a Star zarzuciła mu ramiona na szyję i obsypała jego twarz mnóstwem szybkich, lekkich pocałunków.

Nazywała się Stella Atkins. Wyrażała się ładnie, co sprawiało mu dodatkową przyjemność. Lubił ten rodzaj akcentu, polegający na braku naleciałości. Była asystentką biblioteczną, należała do inteligencji.

Przypuszczał, że nigdy nie interesowała się, kiedy on przyjedzie, ponieważ zawsze była na to przygotowana, wykąpana i bez makijażu. Paznokcie miała obgryzione do żywego ciała jak mała dziewczynka, chociaż miała trzydzieści pięć lat. Była szczupła jak nastolatka i wąska w biuście, ale miała cudowną skórę, gładką i bladą.

Mieszkanie zawsze było nieco zakurzone. Książki, płyty i taśmy leżały wszędzie. Nie dbała o swój wygląd. Do pracy nosiła liche

garsonki, a po domu dżinsy i luźne koszule. Nie posiadała żadnej biżuterii oprócz srebrnego zegarka, który należał do jej matki.

Kiedyś miała kota. Miał dwadzieścia sześć lat, kiedy umarł, śpiąc na jej podolku. Nigdy nie zdobyła się na to, żeby zastąpić go innym zwierzęciem.

Ale to było jeszcze wtedy, zanim nastął czas Nobbiego.

— Mam butelkę wina w lodówce. Oszczędzałam ją z myślą o tobie.

Pobiegła po nią, a jej stopy fruwały w powietrzu.

Obserwował, jak pochyla się, żeby wyjąć butelkę. Miała śliczny tyłeczek. Uszczypnął ją leciutko. Pisnęła, podeszła z winem w jednej ręce i pocałowała go głęboko w usta. Drugą ręką złapała go za genitalia. Ze Star nie było żadnego wálkonienia się.

— Zuchwała — powiedział Nobbi, czując jak mu twardnieje. Był od niej niższy o pół głowy, ale to im nigdy nie przeszkadzało.

Miał lekkie trudności z otwarciem butelki, gdy Star go pieściła.

Zdołali wypić po ćwierć kieliszka, kiedy pociągnęła go do swojego porządnie posłanego i czystego łóżka. Jedyna schludna rzecz w tym mieszkaniu, która też wkrótce miała zostać zburzona.

Nobbi podciągnął w górę koszulę Star i odkrył jej płaskie piersi. Obwiódł je językiem dookoła, a ona, wijąc się, objęła go nogami.

Zdjął jej dżinsy i majtki, i lizał łechtaczkę. Smakowała cudownie jak zawsze. Doznała rozkoszy, wydając dzikie, wysokie okrzyki, a dreszcz, który przez nią przebiegł był tak silny, że poczuł go językiem i owionął go ostry, miętowy zapach.

— Chryste, cudownie to robisz, naprawdę! Rozebrała go.

Wydawało się, że nie potrzebuje czekolady, żeby mieć dość energii. Z tego co wiedział, to jedynymi słodkimi rzeczami, jakie czasem jadała, były jabłka lub gruszki. W gruncie rzeczy nie lubiła czekolady. Lubiała jego penis.

Wreszcie dosiadła grubego, muskularnego ciała Nobbiego jak królowa rydwanu.

Ujeżdżała go, widział wspaniałą dzikość w jej twarzy.

— Och, Nobbie, Nobbie!

Odrzuciła głowę do tyłu. Miała orgazm, który wstrząsnął obojgiem. Patrząc na nią Nobbi też szczytował, głośno jęcząc.

Star zajęła się podawaniem wina. Zapytała go, czy jest głodny, a kiedy potwierdził, przyniosła mu kanapkę, bekon z małymi zielonymi papryczkami na tostowym chlebie.

— Czy mogę coś ugotować dziś wieczorem? — spytała.

— Zostanę na noc.

Pocałowała go. Kiedy odpoczął, położyła się w poprzek jego nóg i zaczęła go ssać. Mimo że nie miała pełnych warg, usta jej były wprawne i cudowne, a językiem doprowadzała go do szaleństwa.

Znów szczytował, krzycząc, a Star połknęła wszystko.

— Żałuję, że nie mogę schować sobie trochę tego na potem w butelce — powiedziała.

Nobbi znowu się położył, czuł się wspaniale. Pogrążył się we śnie ze świadomością, że nie pomyślał o Tray od ponad godziny.

Jesień sprawiła, że świat wokół wyglądał jak inna planeta. Dęby stały się złote, a na ich tle sosny wydawały się czarne. Pojedyncze czerwone liście upstrzyły ogród jak plamy szminki.

Rachaela słuchała Szostakowicza, Beethovena i Sibeliusa.

W dzień spała. Nocami ożywała.

Jadała kolacje ze Scarabeidami. Zrobili się bardzo cisi. Wczesnymi rankami oglądali swoje filmy akcji. Raz Erik bez słowa wskazał palcem na ekran. Jeden z aktorów przypominał Malacha.

Nic więcej nie zostało powiedziane. Niczego nie usłyszała na temat Ruth.

Dosyć często Rachaela chadzała po pokoju Althene i obserwowała, jak tamta robi makijaż swojej idealnej twarzy. Althene zachęcała ją do przymierzania garderoby. Rachaela utraciła poczucie wyobcowania i urazę, jaką czuła do Althene. Popijały wino, a czasem piwo.

Na początku Rachaela miała zamiar porozmawiać o Ruth lub o Malachu, ale jakoś nigdy do tego nie doszło. Zamiast tego rozmawiały o muzyce. Także o tym, z czym kojarzy się muzyka.

Gawędziły o historii.

Althene musiała zapewne ją studiować, gdyż wiedziała bardzo dużo.

Od czasu do czasu zdobywały się na opuszczenie domu. Althene nosiła czarne spodnie i płaszcz zrobiony z tej samej, czarnej skóry.

Rachaela pomyślała, że nigdy nie miała przyjaciółki. Oczywiście istniała Emma, ale ona należała do Ruth, a jak się okazało, nawet i to nie.

Inne się nie liczyły.

Pewnego wieczoru Rachaela usłyszała ciche dźwięki pianina. Ktoś grał w domu.

Gra była znakomita, boleśnie poruszała nerwy.

Pomyślała o Adamusie.

Na schodach pojawiła się Althene, mówiąc:

— To Kei. Tam na dole jest fortepian.

— Kei — powtórzyła Rachaela.

— Nie tylko Adamus grał na pianinie.

— Czy Malach gra? — spytała Althene.

— Nie.

Poszły na górę do pokoju z pawiami.

Althene przyniosła jej kieliszek białego likieru, bezbarwnego destylatu z krwi truskawek.

— Kochałaś Adamusa?

— Nie. Nigdy.

— Jesteś pewna?

— Całkowicie pewna.

— W takim razie nigdy nie kochałaś.

— Nie.

— Niestety — skomentowała żartobliwie Althene, a po chwili dodała: — Opowiedz mi o swojej okropnej matce.

Rachaela kiedyś napomknęła o swoim przykrym dzieciństwie. Pociągnęła łyk likieru.

— Moja matka została zniewolona. Nie chciała mnie, a jednak musiała urodzić. Próbowала zrobić mi krzywdę.

— Tak?

— Pamiętam ją w trumnie, coś było nie tak. Zrobili z nią coś, nie była sobą.

— Głupcy — stwierdziła Althene. — I mimo to nigdy nie powiedziałaś: „Żegnajcie”.

— Dlaczego miałabym to mówić? Przecież nie powiedziałam także „witajcie”.

— Jak ona się nazywała?

— Dlaczego miałyby to mieć znaczenie? — Rachaela poczuła ucisk w głowie.

— Moja matka zwykła mnie chłostać skórzanym batem — powiedziała Althene. — Możesz to sobie wyobrazić? Bardzo bolało. Nie, nie wywoływało we mnie seksualnej przyjemności. Żyłam w strachu. Wtedy dowiedział się o tym Malach i powstrzymał ją.

— Malach. Czy jest twoim bratem?

— Nie.

— W takim razie kim?

— Moim... czy mam powiedzieć: moim wujkiem?

— Jesteście kochankami? — zapytała Rachaela i wyciągnęła dłoń z kieliszkiem, żeby Althene napełniła go.

Althene pozwoliła sobie na zagadkową przerwę.

— Wcale nie.

— A twoja matka? — spytała Rachaela.

— W końcu dotarło do niej, że wszystko jest w porządku. Teraz jest moją przyjaciółką. Lubi udawać, że nigdy mnie nie tknęła, nawet w gniewie, a ja nie wchodzę w szczegóły.

Napełniła kieliszek.

— Dlaczego cię chłostała?

— Dlaczego? Pewnego dnia powiem ci. — Althene usiadła w jednym z ciemnych i głębokich jak noc foteli. Uśmiechnęła się.

— Więcej tajemnic. Scarabeidzi.

— Scarabae.

— Moja córka grała na fortepianie. Pobierała lekcje u Adamusa — powiedziała Rachaela.

— Nie mogę ci nic powiedzieć o Malachu i Ruth. Po prostu nie wiem.

— Nie wiesz?

— A dlaczego powinnam? — Althene pociągnęła swój likier z koki. — Wiesz, dodają do tego odrobinę strychniny. To właśnie nadaje ten cudowny smak. Nie jest szkodliwe, ale przyspiesza bicie serca.

Rachaela nie powiedziała nic.

— Stajesz się sobą. Możesz już przestać podpierać się tą bzdurą, że wszyscy Scarabeidzi stanowią jedność i są sprzymierzeni przeciwko tobie.

Rachaela odstawiła kieliszek.

— Ostatnio piję więcej, niż przywykłam — powiedziała.

— Możesz jeść i pić, na co tylko masz ochotę. To cię nie zmieni — rzekła Althene.

— A co zmieni?

— Któż to może wiedzieć? — uśmiechnęła się Althene.

* * *

Następnego dnia Rachaela postanowiła wstać wcześniej. Wykąpała się, ubrała i zeszła do ogrodu.

Michael i Kei wyszli wysypać okruchy ptakom.

Stali wśród drzew i śmiali się. Nie widzieli jej.

Nagle Kei dotknął policzka Michaela. To był delikatny, ulotny gest, rodzaj prowokacji. Głowy obu mężczyzn obróciły się, a ich oczy się spotkały.

Bez wątpienia byli kochankami.

Rachaela wycofała się, żeby im nie przeszkadzać. Była zaskoczona, prawie zadowolona. To naprowadziło ją na myśl, że Carlo był kochankiem Michaela, ale Carlo nie żył. Teraz zjawilo się pocieszenie.

Bogu dzięki, istniało jakieś zadośćuczynienie.

Potem poczuła się samotna i rozgniewana.

Stała przed tarasem, patrząc w górę na dom z jego ozdobnymi oknami i wieżyczkami.

Liście opadły, choć nie było wiatru.

Potem pojawiła się Tray.

Włosy miała teraz czarne, kręcone. Rozjaśniła twarz makijażem i kupiła kilka długich sukienek z dżetami i ramionami uniesionymi przez poduszki.

Próbowała być Scarabeidem. Było to aż nadto, krzykliwie widoczne.

Czy jest podobna do Ruth? Nie. W ciągu najbliższych dziesięciu milionów lat — nie.

Po co w takim razie chłodny pocałunek wiatru, który przeminął?

Wyglądała jak śliczny wampir z wczesnych filmów grozy, zawierających jedynie przemoc.

Była jesień. Nadszedł wiatr.

Tray usiadła pod porzuconym parasolem słonecznym Althene. Nie miała nic do roboty. Utkwiła wzrok w dali między drzewami i obserwowała spadające liście.

Na zewnątrz małego, zakratowanego okna był ceglany mur pokryty gęstym bluszczem. Gdy stało się w pokoju, ściana i bluszcz stanowiły cały świat. Gdy usiadło się na podłodze, u góry okna pojawiała się szczelina szarego nieba i fragment korony drzewa już огоłoconego z liści.

Małach usiadł tyłem do kraty.

Ściany pokoju były białe, podłogę zrobiono z wypolerowanych desek. Biało-szary dywan w tonacji ścian i nieba nie ożywiał wnętrza.

Na długim stole z heblowanych sosnowych desek leżały spleśniałe książki, stało kilka butelek z bladezielonego szkła. Pod blatem stół miał szuflady. Przy nim stało proste czarne krzesło.

W rogu, na sztalugach, stało olbrzymie płótno zagruntowane na białą i czyste.

Na jednej ze ścian wisiał saksoński miecz, może falsyfikat. Pod nim francuska szabla, a niżej nóż z kamienia.

To było wszystko.

Małach siedział ze skrzyżowanymi nogami.

Miał na sobie białą koszulę, białe spodnie i stare, białe botki, połatane już i zdefasonowane.

Patrzył w przestrzeń pustym wzrokiem, widząc niewidzialne. Nie poruszył się przez godzinę.

Poniżej okna i porośniętej bluszczem ściany zabrzmiała policyjna syrena. Mogło to być jakieś pięć, sześć ulic dalej.

Małach odwrócił nieco głowę.

Za drzwiami warknął pies.

— Tak, Enki, jedną chwileczkę.

Małach wstał. Choć przez tak długi czas trwał w bezruchu, jego ruchy nie straciły nic na płynności i harmonii.

Podszedł do drzwi, otworzył je, i dwa psy podbiegły do niego pełne godności, a jednak gorliwe, wsuwając mu chłodne nosy w dłoń.

— Musi wam wystarczyć ogród. Na spacer jest jeszcze za wcześnie.

Przeciął olbrzymi salon z dywanem w kolorze morskiej zieleni i ciemnozielonymi krzesłami. Na ścianach żółte świece przeglądały się w owalnych lustrach. Tapeta wyglądała, jakby cień bambusa wyrastał w

górze, pokrywając wysoki sufit i napelniając cały pokój mglistym, zielonkawo-akwamarynowym światłem. Pomiedzy zasłonami z bladeżółtego jedwabiu stały otworem francuskie okna. Psy wybiegły bardzo zadowolone na zewnątrz, a potem po schodkach na trawnik.

Ogród znajdował się wyżej niż fundamenty domu. Pochodził z okresu, kiedy jeszcze nie przerobiono budynku na cztery odrębne apartamenty. Trzy pozostałe nie były zamieszkałe. Wysokie bzy wciąż zachowywały swoje zbrązowiałe liście, a na dole, gdzie zostały tylko fundamenty po innym budynku, wyrastały krzewy laurowe. Mur pokryty bluszczem zamykał widok z dwóch pozostałych boków.

Psy puściły się klusem w stronę krzewów laurowych.

Malach patrzył w ślad za nimi.

* * *

Mieszkanie miało trzy sypialnie, dwie łazienki i wyłożoną słomkowymi kafelkami kuchnię, która nigdy nie została ukończona. Jedzenie przynoszono z restauracji: rogaliki, maleńkie spodeczki dzemu, masło w porcjach, rano gorąca, pakowana próżniowo kawa, lunch włoski lub angielski, takiż obiad, a o różnych porach paszteciki, omlety, sery i wino.

W kuchni, w lodówce, były butelki z coca-colą, kartony z sokiem pomarańczowym, trochę piwa z dziwnymi etykietkami.

Zamrażalnik był pełen kostek lodu.

Skądś przysyłano czyste ręczniki i prześcieradła, mydła i pastę do zębów oraz punktualnie raz w miesiącu zapas środków higienicznych dla Ruth.

Dawał jej te wszystkie rzeczy, wchodząc raz dziennie do jej pokoju.

Kiedy po raz pierwszy przyniósł jej podpaski, twarz dziewczyny ściągnęła się. Pomaszerowała do łazienki i schowała je. Gdy wyszła, powiedziała:

— Nie powinienes był tego robić.

— A jak poradziłabyś sobie inaczej?

— To nie jest przyjemne. — Nie zachowywała się sztucznie, lecz chłodno.

— Jestem twoim strażnikiem — odparł.

Przyjęła to do wiadomości. Już nigdy nie waliła w zamknięte drzwi. Kiedy była głodna czy spragniona, pukała i wołała go. Gdy wchodził do pokoju, nigdy się nie buntowała.

— To nie jest w porządku — zaprotestowała tym razem.

— Dlaczego? Przecież miesiączkujesz.

— Powinieneś udawać, że o tym nie wiesz.

— Dobrze, jak sobie życzysz.

To, że się zgodził, było odpowiedzią na jej posłuszeństwo. Następnym razem, kiedy przyniósł jej sanitaria, zawinał je w prześcieradła kąpielowe. To samo zrobił z nocnymi koszulami i bielizną, a także z dezodorantem, a nawet z szamponem.

Już się nie malowała. Trzeciego dnia zaczęła zaplatać swe długie włosy w dwa warkocze.

Czasami prosiła go, żeby znów mogła zobaczyć psy. Bywało, że przyprowadzał je przy okazji następnej wizyty. Nigdy jednak nie pozwolił im pozostać dłużej niż pięć minut.

Zawsze była uległa, choć od czasu do czasu uprzejmie i beznamyślnie oponowała.

Kiedy zostawała sama, brała blok rysunkowy i farby albo kredki, i rysowała lub malowała.

Tworzyła szkice pokoiów i klatek schodowych, a głównie nie kończące się wariacje na temat kolorowych witraży okiennych: niektóre przedstawiały rycerzy i kobiety z ptakami. Nigdy nie namalowała nic płonącego, śmierci, ani krwi. W miarę upływu czasu architektura w jej twórczości brała górę. Rysowała portyki z kolumnami, szeregowo wznoszące się w górę wieże. Malowała sklepienie w łuki bramy przechodzące w kolejne portale, cofające się perspektywicznie w głąb obrazu.

Nie uznawała pejzaży.

Kiedy przychodził Malach, oglądał wszystkie jej prace. Jeżeli zastał ją przy malowaniu, odkładał obrazek na bok.

Siadała na włochatym, zielonym dywanie o innym odcieniu niż ten w salonie, który widziała tylko przez krótką chwilę. Spoglądała w górę na Malacha, siedzącego na jednym z foteli, jak uczeń na nauczyciela. Nie wymagał tego od niej.

Raz przecięła sobie palec papierem i krwawiła. Ukryła to przed nim, jak i dowody innych krwawień.

Nigdy nie wracała do ich spotkania w magazynie, do zabicia Mulleya i jego kumpli, ani do tego, jak opowiedziała mu o Reevesach i jak poszli tam razem, a Malach zabił człowieka. Krew i płomień.

Zawsze bez sprzeciwu zgadzała się na warunki gry, które on podyktował. Nie usiłowała żartować, stawiać się ani klócić. Czasami tylko sprzeciwiała się temu, co on mówił.

— Ruth, załóżmy, że zatrzymam cię tutaj i nigdy stąd nie wyjdiesz — powiedział kiedyś.

— Nie wolno ci tego zrobić. Wiesz, że muszę stąd wyjść.

— Dlaczego?

— Po prostu muszę.

— Po co?

— Żeby chodzić dalekimi drogami i przyglądać się rzeczom i sprawom.

— Może nigdy już nie będziesz miała okazji tego robić.

— Będę.

— W takim razie, jak przypuszczasz, kiedy to nastąpi?

— Kiedy już będę dostatecznie ukarana — odparła.

Pierwszego dnia, po rogalikach i kawie, wszedł do jej zielono-niebieskiego pokoju z nasturcjowym oknem i usiadł na krześle. Ruth od razu usadowiła się u jego stóp na dywanie.

— Teraz porozmawiamy, ale nie tak zwyczajnie — oznajmił.

Ruth skinęła głową. Wtedy jeszcze nie cesała się w warkocze, ale twarz miała jasną i czystą.

— Powiem słowo, a ty mi odpowiesz też jednym słowem.

— Jakim?

— Słowem, jakie będzie ci się kojarzyło z tym, które ja powiedziałem.

— Dobrze — zgodziła się Ruth.

Malach powiedział:

— Egipt.

— Kazirodztwo — odpowiedziała szybko Ruth.

— Ojciec — rzucił Malach.

— Król.

— Matka.

Ruth milczała, w końcu potrząsnęła głową.

— Nic mi nie przychodzi do głowy.

- Trudno. Ogień.
- Nic — Ruth spuściła wzrok.
- Krew.
- Scarabeidzi — powiedziała Ruth.

Malach wstał, był z nią tylko przez kwadrans. Zostawił ją, nie żegnając się. Po pół godzinie ona zapukała i zawołała:

- Czy mogę dostać jeszcze coś do jedzenia?

Zatelefonował do restauracji, przysłali dwa jabłka i duńskie maliny. Zjadła wszystko.

Na drugi dzień wszedł do jej pokoju w południe.

- Głód — powiedział.
- Pusty — odpowiedziała Ruth.
- Puste?
- Serce — zamrugła oczami.
- Rubin.
- Serce — powtórzyła.
- Serce — teraz on to powiedział.

— Okno.

— Opisz okno.

— Czerwone. Rubinowoczerwone. Damy w czerwonych sukniach, czerwony koń i czerwone słońce.

— Ciemność.

— Oczy — odparła.

— Czyje oczy?

— Twoje.

— Moje oczy nie są ciemne, Ruth.

— Tak.

— Moje oczy są jasnoniebieskie. Oczy zazwyczaj jaśniej w miarę starzenia się ciała.

— Atrament — powiedziała Ruth, inicjując grę.

Pozwolił jej na to.

— Atrament jest czarny — powiedział.

— Niebieski atrament. Zmieszany z białym winem.

— Jakiego koloru jest okno w tym pokoju?

— Koloru krwi.

— Krew, Ruth.

— Wczoraj.

— Jutro.

Spojrzała w górę na niego i potrząsnęła głową.

Bawili się w tę grę skojarzeń codziennie przez ponad dwa miesiące. Nieraz grali dłużej niż godzinę.

Jej reakcje nie wywoływały ani jego rozczarowania, ani zadowolenia. Nie przyszło jej na myśl, że nie usiłował dowiedzieć się czegoś o niej; próbował nauczyć ją być sobą. Grała z nim, powoli podnosząc żaluzje swego milczenia. Nawet wymówki odsłaniały jej wnętrze.

— Egipt — powiedziała.

— Królowie.

— Scarabeidzi.

— Chrząszcze.

— Opisz chrząszcza.

— Czarny, z obliczem wyrzeźbionym w pancerzu.

Jesień przyszła szybko, uśmiercając lato nagle i skutecznie.

Podczas mglistych, wczesnych poranków, a jeszcze częściej po zachodzie słońca spacerował ulicami Londynu z psami, a czasem sam.

Ruth wędrowała jedynie w myślach. Nie miała żadnej innej możliwości przechadzki.

Psy baraszkowały pod krzewami, turlając się, potracając i poszczekując radośnie.

Malach poszedł do białego, jakby spłowiałego pokoju i zdjął ze ściany kamienny nóż.

Idąc do Ruth, otworzył drzwi z klucza i odczekał chwilę, zanim wszedł.

Ruth siedziała i rysowała. Obrazek przedstawiał pałac zlepiiony z wielu stylów architektonicznych. Można tam było odnaleźć włoski renesans, Grecję Homera, starożytny Egipt.

— Chciałabym trochę książek. Chodzi mi o książki na temat budynków — powiedziała od razu.

— Załatwię to.

— Dziękuję.

— Zawsze jesteś bardzo uprzejma.

— Emma mnie tego nauczyła.

— Ale ty nie lubisz Emmy.

— Nie... — powiedziała Ruth. — Emma się nie liczy — dodała.

— Jakie słowo połączyłabyś z Emmą?

— Ciepło.

— Ciepło — powtórzył.

— Ogień — powiedziała Ruth. Jej twarz skurczyła się, była teraz brzydka jak u złośliwego gnoma

— A powiedzmy: wisielec — zaproponował Malach.

— Tarot — odparła Ruth.

— Którą kartę uważasz za swoją?

— Kapłankę.

— Dlaczego?

— Nie wiem.

— Gdzie widziałaś talię tarota?

— W samie. Mamusia pozwoliła mi kupić ją sobie.

— Spójrz!

Malach podniósł w górę nóż o tępym końcu, lecz z ostrzem cienkim jak brzytwa. Kamień był różowo-szary.

— Co to jest? — spytała Ruth.

— Nóż ofiarny.

— Prawdziwy?

— Tak.

Podał jej kamienny przedmiot do rąk, a Ruth obejrzała go dokładnie.

— Wyobraź sobie, że stoisz na podwyższeniu przed ołtarzem a w dłoni masz ten nóż. Na ołtarzu leży przywiązany człowiek. Prosi cię, żebyś wysłała go do Boga — powiedział.

— On nie jest wystarczająco ostry.

— Nie wykręcaj się. Jest bardzo ostry.

— Poczekałabym na znak.

— Jaki znak?

— Znak, że Bóg go chce.

— Ale ty przecież nigdy nie czekałaś.

Ruth spojrzała na niego z ukosa. Odłożyła nóż i zmarszczyła czoło.

— Czasami... — powiedziała.

— Czasami, ale to były przypadki. Kapłan zabija dla Boga. Wojownik zabija dla swego legionu, ale ty...

— Proszę, dosyć — przerwała Ruth.

— Ruth zabija dla Ruth.

Pochyliła głowę.

- Nie chcę już więcej grać w naszą grę.
- Dobrze. To znaczy, że twoje oczy są otwarte.
- Ja nie chcę widzieć. Słońce jest zbyt jasne.
- W tym pokoju nie ma słońca.
- Tam jest światło.
- Ogień — powiedział.
- Dom.
- Anna.
- Serce — powiedziała Ruth.
- Serce — powtórzył.
- Drut do robótek. Młotek i drut.
- Śmierć — powiedział.
- Pusto — odrzekła.

Pochylił się do przodu i chwycił ją. Podniósł ją w górę, przyciągając do siebie. Urosła ostatnio trochę. Jej głowa spoczęła mu na piersi. Przyłożył chłodny nóż do jej gardła.

Ruth pozostała spokojna i nieruchoma.

- Czy mogę umrzeć, jeżeli mnie zabijesz?
- Uwierz w to. Czyż Adamus nie umarł?
- Nie wiem.

— A Anna? A Alice?

— Czy umarły?

— Jeżeli nie, to dlaczego trzymam Ruth za szyję?

Poczuł jak przetyka ślinę. Nie usiłowała się opierać.

— Dziękuję ci, że robisz to w ukryciu. Kiedy przyjdzie na to pora, potrzy masz mnie za rękę? To nie zajmie ci dużo czasu, naprawdę. Tylko tyle, żebym wiedziała, że jesteś blisko.

Małach puścił ją.

Upadła na dywan. Uwierzyła mu.

Odszedł.

Zamknął drzwi.

Położył nóż na małym, okrągłym, wypolerowanym stoliku. Potem poszedł do nowoczesnej, pięknie urządzonej łazienki i zwymiotował gorycz wieków i tysiące kłamstw.

Tego popołudnia nie musiała zostawać do późna w bibliotece.

Wyszła kwadrans po szóstej i udała się do supermarketu w głębi ulicy.

Od kiedy poznała Nobbiego i on zaczął przesiadywać u niej wieczorami, Stella kupiła dużą zamrażarkę. Gromadziła w niej zapasy. Lubiła gotować dla ukochanego.

O tej porze supermarket był stosunkowo pusty. Wzięła wózek i przepchnęła go pod intensywnym światłem jarzeniówek.

Najpierw wrzuciła trochę owoców i puszkę sardeli na kolację dla samej siebie, dwa kartony soku pomarańczowego i kilka bułek. Potem przesunęła się między rzędami puszek i zapakowała do wózka pomidory, soczewicę i fasolkę. Kiedy wiedziała, że Nobbi przyjdzie, szła do delikatesów po świeże warzywa i białe główki czosnku.

W kolejnym dziale pochyliła się nad zamrażarką i sięgnęła po udziec jagnięcy, gotowe steki i spory kawał bekonu. Ktoś obserwujący ją doszedłby do wniosku, że robi zakupy dla sporej rodziny.

Może. Pewnego dnia.

Nieczęsto o tym myślała. Limitowała sobie sny na jawie. Kiedy Nobbi już urządzi swoją córkę, może opuści Marylin, dom i cały dobytek, i przyjdzie do niej. Będzie go wspierała, dopóki on nie odbuduje swoich interesów i znowu nie stanie na nogi.

Nie miało dla niej znaczenia, że przyszedłby z niczym. Pragnęła tylko jego samego.

Stella dla Star — powiedział, kiedy odwiedził ją po raz pierwszy. Przyniósł pudełko czekoladek. Nie znosiła czekolady, ale te, które dostała od niego, pokochała. Trzymała słodczyce, aż całkiem zbielały. Potem przechowywała pudełko, na którym były kotki. Marylin musiała lubić kotki, była znana z uwag w stylu: „Jaka szkoda, że muszą potem urosnąć”.

Stella dla Star. Kiedy to usłyszała, aż wykrzyknęła z radości.

— To tylko z jakiegoś starego filmu, który kiedyś oglądałem — stwierdził Nobbi.

— Tennessee Williams. „Tramwaj zwany pożądaniem”.

— Och! — powiedział, opuszczając nieśmiało oczy. Już stwardniał. W pięć minut znaleźli się w jej łóżku.

Poznała go w bibliotece. Nie przyszedł tam po książkę. Dla Nobbiego książki były artykułem z innego świata. Zajrzał w związku ze szczeliną w ścianie. Przysługa dla kogoś związanego z Senior Librarian. Potem jej to wyjaśnił.

To było w dwa tygodnie po śmierci kota Stelli. Tego lata w wypożyczalni było niewiele czytelników, trzech starszawych mężczyzn wertowało stopy książek. Siedziała sama przy komputerze, którego nigdy nie polubiła. Mieszał jej w głowie. Rozplakała się.

Ku jej rozpaczy i wściekłości drzwi otworzyły się i stanął w nich jakiś cholerny grubas. Przez łzy dostrzegła tylko twarz bez wdzięku.

— Gdzie jest... — a potem tonem delikatnym i miłym, który sprawił, że natychmiast go zobaczyła, powiedział do Stelli: — Co się stało, kochanie? O co chodzi?

Miała przed sobą niskiego, pospolitego londyńskiego spryciarza w średnim wieku. Zmierzwione rzadkie włosy i skóra ogorzała od przebywania na świeżym powietrzu. Garnitur z kamizelką i jeszcze złoty łańcuch.

W jego oczach Stella zobaczyła...

Zobaczyła to, co jest nieśmiertelne i wymyka się wszelkim określeniom. Coś, co szczęśliwcy widzą raz w życiu, a wyjątkowo obdarowani przez los — dwa lub trzy razy. Nigdy wcześniej, w czasie swej błądzącej po omacku młodości i samotnych wieczorów w wieku dojrzałym nie spotkała się z czymś podobnym.

Stella zaczerwieniła się. To było tak, jakby jej ciało nadawało do niego sygnały flagą wciągniętą na maszt.

— Moja kotka nie żyje. Była bardzo stara. To głupie, nieprawdaż? — powiedziała w końcu.

— Nie — powiedział Nobbi. — Wcale nie. Takie rzeczy cholernie bołą, znam to. Mój dziadek miał starego psa, na wpół ślepego, z jednym okiem. Kiedy zdechł, wyplakiwałem oczy całymi miesiącami. To był najukochańszy zwierzak. Jak ona miała na imię?

Wiedział, że to była samica, albo też wszystkie koty, jego zdaniem, były samicami.

— Gertie. Moja matka tak ją nazwała na pamiątkę Gertrudy Lawrence — odparła Stella.

— Och — powiedział Nobbi. Najwyraźniej nigdy w życiu nie słyszał o Gertrudzie Lawrence, ale spodobało mu się imię. Powiedział jej to, co mawiała jego matka.

— Musisz przekonać sama siebie, że było jej u ciebie dobrze. Wszyscy musimy odejść. Liczy się to, co dostajesz tutaj, na miejscu.

— Miała szczęśliwe życie. Umarła we śnie.

— O to właśnie chodzi. I dzięki Bogu.

— I panu także — powiedziała Stella.

Wtedy Nobbi zaczerwienił się. Nieznacznie, ale zauważyła to.

Przyszedł do biura biblioteki zając się pęknięciem w ścianie.

Wrócił po tygodniu. Brygada trzech robotników stworzyła zwykły w takich wypadkach chaos. Nobbi stał, przyglądając się temu z dumą.

— Proszę pana, to się ciągnie już od tygodnia. Niech pan coś zrobi, żeby przyspieszyć remont. Nie ma pan jakichś sposobów? — zawodził pan Rollison.

— Taaak, szefie. Wiem. Nic się nie da zrobić.

Biblioteka miała dziedziniec z drzewkami w donicach i ławkami. Nobbi poszedł tam, żeby spojrzeć z zewnątrz na uszkodzoną ścianę. Stella siedziała na ławce i jadła sałatkę z pudełka.

— Dzień dobry.

— Dzień dobry — powiedział Nobbi.

Chodził wokół pękniętej ściany i przyglądał się jej.

— Śmieszna, stara robota — stwierdził. — Jak pani z nim wytrzymuje?

— Z panem Rollisonem? Żałuję, że nie mogę go zabić.

Nobbi uśmiechnął się surowo.

— To miłe, te wszystkie książki. Ja tam nie mam czasu na czytanie. Chociaż nie, to nie tak. Po prostu nie mam do tego głowy. Założyłbym się, że pani sprawia to przyjemność.

— To musi mi wystarczyć. — Serce skoczyło jej do gardła. — Czy zje pan jutro ze mną lunch?

Usta Nobbiego otworzyły się, szczęka mu opadła. Wyglądał jak mały chłopiec.

— Zwykle zjadam coś po drodze. Zawsze się kręcę i...

— Nie wymyślaj usprawiedliwień. Powiedz „tak”.

Wokół nie było nikogo. Czerwone mury biblioteki zmieniły ogród w średniowieczny dziedziniec.

Stella wstała i podeszła do Nobbiego. Wyciągnęła dłoń i delikatnie dotknęła jego jąder.

— Chcę iść z tobą do łóżka — powiedziała.

Nobbi miał przestraszoną minę.

— Poczekaj.

— Nie, chcę. Naprawdę chcę.

— Jestem żonaty. Jestem wystarczająco stary, żeby być twoim ojcem. Mam córkę.

— Mam trzydzieści pięć lat. Nie kochałam się od dziesięciu.

Nobbi cofnął się, ale zatrzymała go ściana. Widocznie sprzyjała Stelli.

— Ale...

— Dziesięć lat już tego nie robiłam. To nie leży w moich zwyczajach.

— Ja nie jestem... — zaczął Nobbi. — Ty jesteś wykształcona. To wszystko...

— Jestem Stella. Chcę czuć cię w sobie.

— Jezu — westchnął Nobbie.

Spojrzał w płonące oczy kobiety i wydawało mu się, że zna ją od bardzo dawna.

— Nie, proszę, nic nie mów — powiedziała Stella.

— Cholernie mnie przestraszyłaś.

— To siebie cholernie przestraszyłam.

Następnego dnia spotkali się w parku. Stella kupiła kanapki z zimną pieczeniem wieprzową i musztardą, śmietankowy ser i pół butelki wina.

Jedli pod drzewami. Była wiosna, raczej chłodna, i kiedy zadrzała, objął ją ramieniem.

— Nie powinienem. I ty nie powinnaś. Taka dziewczyna jak ty — powiedział.

— Nie jestem dziewczyną.

Pocałowali się na próbę. To przypomniało Nobbiemu dawno minioną przeszłość. Pocałunki na trawie, kiedy nie było dokąd pójść.

Wieczorem zadzwonił do Marylin i powiedział jej, że będzie pracował do późna w Roehampton. Poszedł do mieszkania Stelli. Niósł ze sobą pudełko czekoladek. Intuicja podpowiadała mu, że to nie jest właściwy prezent, ale nie miał żadnego innego pomysłu.

Stella kochała się ekstatycznie, choć nie gwałtownie. Nie rzucała się jak ryba w sieci. W jego uścisku wydawała się nie mieć kości jak wąż.

Marylin nigdy taka nie była, nawet na początku, kiedy byli siebie bardzo spragnieni. Żadna ze znanych mu kobiet nie reagowała w ten sposób.

Kiedy zmęczeni się, Stella zrobiła jajka na bekonie, które podała z sosem holenderskim. Nie płakała ani nie awanturowała się, kiedy wychodził. Wyglądała na smutną. Nie liczyła na jego powrót.

Zatelefonował w środku nocy ze swego biura w przybudówce.

— Nobbi, szkoda, że cię tu nie ma — powiedziała.

— Nie żałuj tego, Star.

— Szkoda, że nie mogłeś zostać na noc.

Za oknem młode i kruche liście winorośli szeleściły na pergoli. Latem winogrona zawiążą owoce, które najpierw będą zielone, a potem staną się purpurowe. Sprzątaczką oberwie je i zabierze do domu. Do tego czasu to, co jest między nim i Star, stanie się stałym związkiem. Na razie Nobbi o tym nie wiedział.

— Chciałem ci tylko powiedzieć, że byłaś cudowna.

— Naprawdę, Nobbi?

— Byłaś wspaniała, Star.

— Serio?

Pieszczotliwa nutka w jej głosie wywołała fizyczną reakcję. Wzgórek urósł z tęsknoty za jej rękami i wargami, za aksamitnym tunelem jej lędźwi.

— Śpij dobrze, Star. Szkoda... szkoda... było mi cholernie dobrze z tobą.

* * *

Przy kasie w supermarkecie stała zaniedbana kobieta z przystojnym mężem. Zwracał się do niej, jakby każde słowo w zdaniu ucinął nożem.

Zniszczył ją, pomyślała Stella. Tak wielu jest gównianych mężczyzn.

Jej własny ojciec też nie był zbyt dobry. Obie były szczęśliwsze po jego odejściu, jej matka i ona.

Star kochała swoją matkę, ale Nobbiego kochała bardziej. Uwielbiała seks z Nobbim, spanie z nim plecy w plecy, jego twarde, nagie pośladki na jej własnych.

Kochała jego dobroć i nieśmiałość. Jego lojalność w stosunku do Marylin i Tray. Tak, nawet to lubiła.

Zapłaciła za zakupy.

Pewnego dnia...

Pewnego dnia wróci do domu i zastanie tam Nobbiego zajętego rachunkami na jej stole. Będą mieli wielkiego psa i kota, wychowanych razem od szczeniaka i kociaka. Każde z nich będzie uważało, że należą do tego samego gatunku, miauczący pies i szczekający kot.

A może nawet, jeżeli to nastąpi dość szybko, będzie mogła urodzić mu dziecko?

Dlaczego nie? To się często zdarza. Bywają matki czterdziestopięcioletnie i starsze. Była sprawna i silna.

Dziewczynkę. Nobbi na pewno chciałby dziewczynkę.

Jeszcze jedną Tray, ale lepszą. Córkę, która nauczyłaby się go cenić.

Wyobraziła sobie Nobbiego popychającego huśtawkę, na której siedzi mała dziewczynka. Powstrzymała się.

Musi być cierpliwa.

Bóg wiedział, że czekała wystarczająco długo na miłość.

Przyjechał autobus. Radośnie wtaszczyła ciężkie torby pełne jedzenia. Czula swoje silne ramiona.

— Podła, mglista pogoda — powiedziała kobieta obok niej.

— Okropna — przyznała Star, choć wcale tego nie zauważyła.

Gdy jechały przez most, mgła nie była tak gęsta. Światła wisiały w nocnej wodzie jak odbite w lustrze, lekko rozwiewał je wiatr. Przez chwilę mogły znajdować się gdziekolwiek. Pochodnie nad Tybrem. Żagwie na zamieszkałym brzegu Teb. Może jakieś średniowieczne wody, iluminowane z okazji święta.

Za rzeką ściana mgły znów się zamknęła.

Rachaela pamiętała mgliste dni w dawnych latach, kiedy Scarabeidzi po raz pierwszy wyciągnęli po nią ręce.

— Oczywiście to nic takiego. Zwykła londyńska mgła — powiedziała Althene.

Siedziała daleko, w drugim końcu taksówki. Uliczne światła wychwytywały kolory jej stroju. Ubrała się w błękitny aksamitny płaszcz i jedwabną garsonkę z tuniką z gołębiego jedwabiu. Wokół szyi błyskał naszyjnik z jaskrawozielonych drobinek, które wyglądały jak skryształizowana konfitura z anizeliki. Olbrzymi szmaragd na środkowym palcu jej lewej ręki miał ten sam niesamowity odcień.

Rachaela włożyła oliwkowozieloną suknię, którą kupiła jej Althene. Było to ustępstwo na rzecz tego wieczoru. Czowała się niewyraźnie, źle i niezręcznie. Po co się zgodziła? Może po to, żeby obejrzeć film, a może tylko, żeby uciec z domu.

Tak naprawdę nigdy nie mogło być nawet mowy o ucieczce. W końcu przyjęła to za pewnik.

Otworzyły się przed nią przestrzenie uczuć, jakby zyskała nowy, kolejny zmysł. Świadomość innych miejsc, czasów, emocji... innych bytów, minionych wieków. To było zdradliwe. Dawało gorzkosłodkie zadowolenie. Może tkwiło to w niej od początku, a matka rozwinęła w niej tę umiejętność poprzez słuchanie muzyki, która wprowadzała jążn w inne światy.

Althene nie mówiła zbyt wiele.

W niej również mgliste miasto wydawało się budzić dziwne nastroje czy myśli. Raz nawet westchnęła. Jej perfumy były lekkie, chociaż odpowiednie dla brunetki, cynamon z jakąś ciemniejszą nutą.

Perfekcyjna, onieśmiałała jak zawsze.

W gruncie rzeczy jej nie lubię, pomyślała Rachaela. Fascynuje mnie.

Nie, ona mnie raczej denerwuje.

Althene powiedziała, że Rachaela powinna pójść z nią, aby zobaczyć stary film, nakręcony w 1916 roku, w reżyserii Davida Griffitha — „Nietolerancja”. Najpierw jednak zaprosiła ją do restauracji.

Rachaela zauważyła, że Althene nie zapłaciła kierowcy.

Restauracja znajdowała się w małej uliczce, właściwie w zaułku oświetlonym staromodnymi latarniami, które lśnią zielonkawym blaskiem wyglądały jak kocie oczy.

Sala była niewielka, poprzedzielana drewnianymi przepierzeniami. Znajdowało się tam tylko siedem stolików.

Nieskazitelnie ubrany niski, śniady mężczyzna przywitał je i zaprowadził do siódmego stolika, za najwyższym przepierzeniem.

Na kremowym obrusie płonęła jedna gruba, biała świeca.

— Proszę madame, madame — zapraszał uprzejmie, przytrzymując im krzesła.

Patron oszedł, zastąpiła go młoda dziewczyna, pulchna, różowa, w czarnej sukience. Podała dwa kieliszki czerwonego wina, wysokie i pozbawione nóżek.

Rachaela bez słowa wypiała wino. Było ciemne, bardzo delikatne w smaku.

Menu zostało widocznie ułożone i zamówione wcześniej. Nie dano jej żadnego wyboru, choć i tak nie mogłaby się sprzeciwić, bo jak zwykle było perfekcyjne.

Zaczęły od sałatki z kopru włoskiego, potem przyniesiono potrawkę przyprawioną czosnkiem. Do tego butelka Macon, przejrzystego jak źródłana woda.

Kiedy skończyły potrawkę, dziewczyna zmieniła im talerze. Restauracja stopniowo napelniła się gośćmi. Teraz zza przepierzeń dochodziło stłumione brzękanie kieliszków i sztućców, szmer rozmów.

Do ich stolika podeszła stara kobieta z dwoma kieliszkami wielkości naparstków. Wypełniał je złocisty likier. Postawiła je i odezwała się do Althene dziwnie brzmiącym, jakby zniekształconym francuskim. Althene odpowiedziała jej równie niezrozumiale.

Rachaela wypiała swój likier, który pachniał różą. Bóg jeden wiedział, z czego go zrobiono, być może z cyjanku.

Stara kobieta uściśnęła rękę Althene, a potem odeszła.

— Wybacz, że mówiłyśmy w obcym języku, ale jej angielszczyzna pozostawia wiele do życzenia, chociaż przebywa na wyspie od czasów wojny — powiedziała Althene.

— Która to była wojna? Czy ta, którą prowadził Napoleon? — zagadnęła figlarnie Rachaela.

— Och, nie. Ostatnia — Althene zachowała się, jakby nie zauważyła prowokacji w pytaniu.

— Wtedy ją poznałaś?

— Tak. Była młodsza i śliczna. Zresztą wciąż jest.

— Posiłek był cudowny — ponuro oświadczyła Rachaela.

— Pozostał jeszcze malutki deser, którego nie możesz pominąć.

— Obawiam się, że już nie będę w stanie zjeść niczego.

— To dosłownie na jeden ząb — powiedziała Althene. Wysączyła likier jednym eleganckim pociągnięciem. Jej spojrzenie spoczęło na Rachaeli, intensywne, ciemne, pełne nieokreślonej głębi. Uwodzicielskie. Czy właśnie do tego dąży?

Rachaela przypomniała sobie Michaela i Keia w ogrodzie o poranku. Michael nagle odmłodził. Czy w takim razie homoseksualna miłość była dozwolona w klanie Scarabeidów? Pomimo ich obsesji trwania i ciągłości?

Rachaela uświadomiła sobie, że Althene wcale nie dąży do tego, żeby ona czuła się piękna. Czyż to także nie tkwiło u korzeni jej niepokoju? A nawet rozdrażnienia?

W wyobraźnię Rachaeli wtargnął obraz Jonquil, jej dawnej pracodawczyni. Męski typ z kolczykami z metalu lub kości. Jonquil najprawdopodobniej miała do niej skłonność, ale była bardzo ostrożna w okazywaniu tego. Althene była jej przeciwieństwem. Otaczała ją wytworna aura seksu, uwodzicielskość doprowadzona do perfekcji, zatrwajająco doskonała, nie dająca żadnych ostrzegawczych sygnałów.

Kiedy w końcu tego zapragnie, zada mi pytanie. Odmówię i tyle.

Podano deser. Właściciel, który je witał, przyniósł go osobiście. Były to miniaturowe babeczki z morelami.

Rachaela spróbowała swojej i zjadła całą.

Jak wszyscy w tej rodzinie stawała się żarłoczna.

Dostały kawę w malowanych białych filiżankach i calvados w dziwnych pękających drewnianych kieliszkach.

— Nie śpiesz się — powiedziała Althene. — Mamy bardzo dużo czasu. Mam nadzieję, że film ci się spodoba. Może nie cały, ale są tam piękne sceny. Starożytna przeszłość, widziana obiektywnie z początku naszego wieku. Przebłysk zupełnie zdumiewającej autentyczności i chwile niemożliwej ani wcześniej, ani później, najzupełniej wolnej artystycznej ekspresji.

Ponownie podniosła dzbanek z kawą i napełniła filiżankę Rachaeli.

— Pewnego razu oglądałam ten film wśród okropnej publiczności. Zapewne wiedzieli wcześniej, kiedy został nakręcony, i spodziewali się momentów naiwnych i melodramatycznych występujących w tej epoce kina. Śmiali się nieszczerze, żeby pokazać, jak bardzo ludzkość dojrzała, jaki zrobiła postęp. Co najgorsze, na projekcję przybyła aktorka, która grała w filmie, śliczna, maleńka i czarująca. Śmiali się, a ona siedziała wśród nich. Najchętniej wycelowałabym w nich karabin maszynowy.

— Taak, w porządku. Nie będę się śmiała — powiedziała Rachaela.

— Oczywiście. Nie sądzę, żebyś odczuwała taką potrzebę.

Zanim wyszły, Althene uregulowała rachunek.

Właściciel odprowadził je do drzwi. Inni goście byli na tyle dyskretni, żeby im się nie przyglądać.

Na zewnątrz czekała inna taksówka, która zawiozła je do kina.

* * *

Zgodnie z przewidywaniami nie cały film zainteresował Rachaelę. Sekwencje biblijne uznała za interesujące i zachwycające, a niektóre wywołały w niej żywy smutek. Sceny ze starożytnej Babilonii zadziwiały: obracające się ściany, wirujące słońca, kamienne orły i słonie, schody otoczone lwami i piękne kobiety w uściskach, wargi przy wargach.

Publiczność nie śmiała się. Chłonęła obraz w pełnej nabożeństwa ciszy.

Wszyscy pograżyli się w marzeniach, a może wspomnieniach?

Rachaela odkryła, że film wywołał w niej falę nostalgii, jakby Althene wybrała go celowo.

Czuła się oszołomiona. Seans był bardzo długi. Dopiero po północy wyszły z kina.

Ku zaskoczeniu Rachaeli nie czekał na nie żaden samochód.

— Przejdziemy się? Spacer we mgle? — zaproponowała Althene. — Znam mały klub kilka ulic stąd. Możemy pójść napić się czegoś.

Rachaeli spodobał się ten pomysł. Nie miała ochoty na intymność wnętrza samochodu. Ciaśniej owinęła się płaszczem, wilgoć wisząca w powietrzu stawała się nieprzyjemna. Mgła była wełnista, a miasto... domy miały nieokreślone kształty i wymiary, gdzieś tam mgłę przecinał strumień światła niewiadomego pochodzenia. Świeca? Przygaszona lampa naftowa?

Kobiety na schodach wśród lwów, całujące się zmysłowo. Jaki cenzor to przepuścił? Jak mógł przeoczyć te usta w chaosie alabastrowych ramion, rąk, twarzy o białości lilii, otoczonych czarnymi lokami?

Skręcili w aleję. Mgła napierała na nie, osaczając szarością. Mogły być wszędzie i gdziekolwiek.

Cienie zgęstniały i zbiły się w masę.

Nagle Rachaela usłyszała męski śmiech.

Z mgły przed nimi wyłoniło się pięciu mężczyzn.

Brutalna, współczesna rzeczywistość po oblężeniu Babilonu.

Byli młodzi, między osiemnastym a dwudziestym piątym rokiem życia. Mgła rozmyła ich kształty, wyglądali jak warzywa z tymi swoimi farbowanymi włosami. Na nogach mieli duże białe adidas. Ubrali się w jakieś marynarki, workowate sztruksowe spodnie, dresy, które wyglądały jak powiększona wersja kombinezonów dla dzieci.

— Przed nami dwie niezłe dupy — powiedział jeden z nich.

— Nigdy nie miałem... — zaczął inny.

— ...towaru takiej klasy — dokończył następny.

Kraźli niezdecydowanie we mgle. Poziomem inteligencji nie ustępowali połciowi mięsa na rzeźnickim haku, ale byli przerażająco pełni życia.

Althene zatrzymała się.

— Wybieram tę — powiedział mężczyzna w niebieskim dresie. — Wygląda na rozgrzaną sztukę.

Rachaela dojrzała jego oczy jakby z bardzo daleka. Były puste, chociaż nie był niewidomy.

Gdzie byli przechodnie, gdzie taksówki i policja?

Już kiedyś została zgwałcona.

Pomyślała, że po prostu będzie musiała to wytrzymać.

— Zmykajcie, chłopcy! — rzuciła Althene, co było dość ryzykowne.

Chłopcy stali naprzeciwko, już przestali się śmiać.

Nie zmykali.

Wszystkie duże miasta były takie same.

Po pierwsze istniał plan każdego z nich.

Miejsca oświetlone i zadbane były tam, gdzie jeździły samochody i przechadzali się ludzie. Niedaleko znajdowały się istne kloaki, gdzie podkradała się gęsta mgła i przepływały rzeki, do których schodziło się w dół schodami. Nad rzekami czaiła się śmierć, tak jak czyhała w głębi bocznych ulic.

Malach szedł.

Zachowywał się cicho, a za nim jeszcze ciszej posuwały się dwa psy. Czasami przystawały, żeby zbadać dokładniej jakiś zapach. Czasami wysuwały się odrobinę do przodu jak przednia straż. Potem czekały na niego, obwąchiwały jego ręce i znów zostawały z tyłu.

Malach wyłonił się z głębin czasu.

Raz czy dwa mijali go przechodnie. Trwożliwie patrzyli lub odwracali oczy, przezorni i ostrożni we mgle. W niesamowitej atmosferze wyglądał jeszcze upiorniej, choć może bardziej na miejscu. Ciemność i mgła stanowiły scenerię jakby dla niego stworzoną.

Mgła przekroczyła rzekę i zgęstniała jeszcze bardziej.

Zjawy budynków ukazywały się wzdłuż wody w świetle księżyca, wylaniając się z nicości po to, żeby wkrótce tam powrócić.

Malach skręcił z brzegu w płataninę bocznych uliczek.

Między latarniami leżały strefy cienia. Stamtąd dobiegł głos niezbyt głośny, lecz wyraźny:

— Dawaj torbę.

Potem szczekanie dochodzące z małej, pękatej psiej piersi. Malach zatrzymał się, a Enki i Oskar zaraz znalazły się przy nim jak dwa obłoki mgły.

— Mam mało pieniędzy. Nic wam z tego nie przyjdzie — odezwał się z cienia zdyszany kobiecy głos.

— Ile? — zapytał trzeci głos.

— Kilka funtów.

— Zobaczymy.

— Nie, proszę. To moja torebka, osobista własność.

Psiak znów szczeknął.

— Trzymaj od nas z daleka tego swojego cholernego psa — odezwał się pierwszy z mężczyzn.

— Straszysz nas tym wypierdkiem? Powiem ci, paniusiu, załatwię twojego kundla. Obedrę go ze skóry.

W cieniu można już było odróżnić postaci dramatu.

Kobieta była tęgawa, w okularach i niezbyt młoda. Pies stał u jej nóg. Gotów był jej bronić i drżał ze strachu. Pękaty, biało-brązowy, ze stojącymi lisimi uszami.

Czarny chłopak wymierzył psu celnego kopniaka. Zwierzę odskoczyło i skuliło się. To była psia desperacja, reakcja tchórza, który chciałby być odważny.

— Obrzydliwa pokraka, paniusiu — parsknął biały młodzieniec. — Lepiej się go pozbędziemy.

— Błagam — przyciągnęła psa do siebie na smyczy, jakby chcąc wciągnąć go do wnętrza swego grubego ciała.

— Oskalpuję tego kundla — powiedział czarny chłopak. Miał nóż, a mgła odbijała się w jego ostrzu wilgotnym blaskiem.

Kobieta wyciągnęła do nich swą nędzną torebkę.

— Macie. Weźcie. To wszystko, co mam.

— Oho, teraz sama nam daje.

— Dawaj swego psa — powiedział groźnie czarny chłopak.

Malach dotknął z tyłu dwóch twardych jak kamienie łbów.

Enki i Oskar skoczyły naprzód bez wahania.

Biały młodzian obrócił się wokół siebie zaalarmowany ruchem powietrza. Poprzez mgłę dostrzegł coś wznoszącego się coraz wyżej w górę. Nad tym mignął mu pysk szarobiałej, mglistej bestii, długie zęby i rozżarzone oczy. Potwór ogromniał nad jego głową, a potem dwie żelazne szczęki zwały się na jego ramieniu.

Krzyk, jaki wydał, został stłumiony przez ryk potwora, którego oddech pachniał mięsem i dymem.

Czarny chłopak odwrócił się zdziwiony i w tej samej chwili drugi jasny pies stanął na tylnych łapach, żeby rzucić się na niego. Murzyn wrzasnął i próbował się cofnąć, ale ciężar zwierzęcia przygwoździł go do ziemi.

Nóż zadrżał w jego ręce.

— Co się dzieje? O co chodzi? — spytała kobieta.

Za nią merdał ogonem mały piesek.

Czarny chłopak próbował obrócić nóż w dłoni tak, by dźgnąć nim wielkiego, niesamowitego psa, który go przygniatał.

Poczuł, że rękojeść wysuwa mu się delikatnie z palców, i usłyszał, jak ostrze łamie się na dwie części. Dwa kawałki zadźwięcały, uderzając o bruk. Delikatna, niemal czuła ręka zamknęła się na jego karku. Mężczyzna powiedział mu miękko prosto do ucha:

— Twoi bracia byli wieszani na krzyżu. Powinieneś być mądrzejszy.

Olbryzi pies zsunął się z chłopca i stanął z boku.

Malach poprowadził Murzyna do miejsca, gdzie drugi wilczarz pilnował białego opryszka, trzęsącego się ze strachu. Porzucona torebka leżała cokolwiek dalej.

— Enki.

Biały pies od razu odszedł.

Mały kundelek zaszczekał radośnie.

Malach oparł prawą dłoń na karku drżącego chłopaka. Stał między obydwoma młodzieńcami pełen łagodności jak kapłan. Potem trzasnął ich głowami o siebie i pozwolił im osunąć się na ziemię.

— Co tu się dzieje? — zapytała kobieta.

— Wszystko w porządku — odpowiedział Malach.

Mgła i krótkowzroczność ukryły przed nią prawdę. Podniósł torebkę i wręczył jej.

Mały piesek podskakiwał i posapywał ucieszenie. Oskar podszedł do niego i przejechał językiem od uszu do ogona.

— Dziękuję panu, dziękuję, panie władzo — powiedziała kobieta.

Pociągnęła smycz i odeszła w mgłę, prowadząc za sobą swojego podskakującego, podekscytowanego szczeniaka.

Coś spowodowało, że bardzo się śpieszyła.

Malach przekroczył martwe ciała, a psy podążyły za nim.

Gdzieś w górze, na wysokości piątego piętra, świeciło światło. Możliwe, że ktoś coś zauważył i zadzwonił po policję, ale nikła nadzieja. Prawdopodobnie wychodząc z biura urzędnicy zapomnieli zgasić lampę.

Pogrążona w przerażeniu Rachaela poczuła nagle przedziwną ciekawość. Co zrobi Althene?

Jak dotąd jedynie rozjątrzyła sytuację, zbyt arogancka, żeby się bać.

Czy w ogóle dotarło do niej, że taki afront był nie do wybaczenia?

Rachaela odczuła coś w rodzaju prądu elektrycznego promieniującego od Althene. Było to jakby mrowienie, lecz nie miało nic wspólnego ze strachem.

Przed nimi stało w niedbałych pozach pięciu mężczyzn. Chlubili się własną siłą. Groźba sprawiała im więcej satysfakcji niż działanie. Przygotowywali się. Tylko jeden dorównywał wzrostem Althene, ale w tego rodzaju konfrontacji było to bez znaczenia.

— Podoba mi się ta lalunia z dużymi cyckami — rzucił ten w kombinezonie.

— Wolę tę drugą. Duża dziewczyna.

— Założę się, że ma też dużą cipę. Zmieści nas obu naraz.

Znów się zaśmiali. Protekcyjną uwagę Althene pominęli milczeniem. Ruszyli powoli naprzód. Althene odezwała się.

— Czy nie chciałbyś najpierw zobaczyć, co ci się trafia?

Młodzińcy zatrzymali się, chichocząc z niedowierzaniem.

Althene rozsunęła swój płaszcz. Zaczęła bardzo powoli unosić spódnice.

Zachęcali ją gwizdami. Obserwowali, jak nad skórzanymi botkami pojawiła się długa, szczupła noga, a potem koronkowe zakończenie pończochy i pasek z ciemnozielonej koronki. Rachaela też to widziała. Za paskiem tkwił malutki pistolecik.

Althene ujęła pistolet w pewną dłoń. Spódnica opadła.

Czterech młodych mężczyzn przestało się śmiać, ale na tym w kombinezonie nie zrobiło to wrażenia.

— Chłopaki, to zabawka! Podróbka!

Pistolecik był srebrny z kolbą wysadzaną kością. Wyglądał zbyt elegancko, żeby być niebezpieczną bronią.

— Althene — powiedziała Rachaela.

— Posłuchajcie — odezwał się „kombinezon”. — Ona pokazała, co ma, a teraz ja jej pokażę. Ja mam dużego, koteczku. W sam raz rozmiar dla ciebie i twojej przyjaciółki.

Znów się przybliżył, a jego kumple trzymali się tuż za nim.

Pistolet wydał delikatny szcęk jak ziarenko skruszone zębami. Althene strzeliła.

Oszalamiająca czerwień przebiła przyćmione światła. Z genitaliów chłopaka trysnęła krew.

Kwiknął przeraźliwie. Upadł na plecy, a pozostali zastygli w dziwnych pozach, przykucnięci, i patrzyli na rannego kompana. Krzyknął raz, a potem już tylko leżał na chodniku okryty mgłą.

Mężczyźni poderwali się i uciekli jak stadko zwierząt przerażonych czymś, co przekracza ich pojęcie.

— Co ty zrobiłaś? — spytała Rachaela.

— Nie widziałaś? — Głos Althene brzmiał głębiej, bardziej szorstko, nie tak fascynująco. Jeszcze raz uniosła spódnicę, i wsunęła pistolecik za niedorzeczny pasek. — To mnie ogrzeje.

Mężczyzna na ziemi nie ruszał się. Był martwy? Rachaela spojrzała w górę. W oknie nie było nikogo.

— Będziemy musiały zadzwonić po karetkę — powiedziała rzeczowo, jakby stało się coś tak normalnego, jak skręcenie sobie kostki przez przypadkowego przechodnia.

— Dlaczego?

— Postrzeliłaś kogoś.

— No to co? Kochałaś go?

— To nie jest odpowiedź.

— Jest.

— To był męt — powiedziała Rachaela.

— Do diabła z tym męttem. Za pięć minut będzie martwy. Postrzeliłam go w wielkiego penisa, z którego był taki dumny.

Rachaela zaczęła się trząść. Aż tyle bezwzględności, pomyślała mgliście.

— Nie mdlej. Pójdziemy i znajdziemy dla ciebie jakiegoś drinka.

— Dla mnie? Jestem tutaj z dziką bestią, która proponuje mi drinka!

— Bardzo to ładnie brzmi. Jaka bestia?

— Ten pistolet — powiedziała niedorzecznie Rachaela.

— Wykonany na specjalne zamówienie. Derringer remington. Jedna z najmniejszych broni na świecie, jak szpilka do kapelusza. Bestia? Może lamparcica? Chodź. Klub, o którym mówiłam, jest niedaleko.

— Chcesz, żebym poszła z tobą do jakiegoś klubu, jakby nic się nie stało? Jak gdybyś ty... — Rachaeli zabrakło słów.

Ulica zawirowała i wróciła na dawne miejsce, przyprawiając ją o mdłości. Znieruchomiała. Althene trzymała ją w ramionach.

— Zgwałciłby cię — powiedziała. — Potem zrobiłby to samo jakiejś innej kobiecie, która nie byłaby w stanie tego znieść tak jak ty! Tacy nie mają hamulców. Requiescat in pace.

Nikt nie przechodził, nie słyhać było żadnych syren, stukotu biegnących nóg.

Althene puściła ją. Jej ciepłe, pachnące usta jak motyl musnęły przez moment wargi Rachaeli.

— Chodź ze mną, jakbyś żyła od wielu setek lat. Chodź ze mną, jakbyś widziała to wszystko wcześniej. Jakbyś kochała mnie i ufała mi — powiedziała.

— Ale ja ci nie ufam.

— W takim razie, mała dziewczynko, uwierz w to. Udawaj sama przed sobą.

Odeszły.

Ciemność i oświetlone okno zostały za nimi. Także ciało umierającego, a może już martwego gwałciciela. Gdzieś na odległej ulicy jeździły autobusy i samochody. Daleko grała muzyka z kasyty.

Dotarły do zamkniętych drzwi oświetlonych lampą.

Althene nacisnęła dzwonek.

Drżenie ustępowało, jakby coś, co nią potrząsało, zmęczyło się.

* * *

Rachaela zamówiła sobie podwójną brandy, a potem wypity zieloną herbatę. Klub był długim pomieszczeniem z wygodnymi krzesłami i małymi stolikami, wypolerowanymi woskiem, z oświetlonym barem i zdjęciami zabytkowych budynków na ścianach.

Przez pierwsze trzy kwadransy Rachaela oczekiwała, że ktoś wtargnie do środka, krzycząc o leżących w pobliżu zwłokach. Nikt się jednak nie pojawiał.

Althene była troskliwa i miła, ale dość długo nie zaczynała rozmowy.

W niszy siedział mężczyzna. Delikatnie i pięknie grał na gitarze. Mógł być równie dobrze stałym gościem, grywającym dla przyjemności.

Rachaela opancerzała się niczym świeżo wykłuty owad. Czuła smutek jak dziecko, które po raz pierwszy uświadomiło sobie, że jest śmiertelne. Z drugiej strony jednak zaczęła odczuwać pewien dystans do wszystkiego, co się wydarzyło.

— Przypuszczam, że morderstwo nie jest niczym nowym w twoim życiu — powiedziała w końcu.

Althene uśmiechnęła się w dawny, zagadkowy sposób. Ponownie stonowała swój głos, usuwając szorstkość i banalność.

— Myślisz teraz, że uśmierciłam przynajmniej setkę mężczyzn?

— A było tak?

— Musiałabym ich policzyć. Czy to nie wyglądałoby na chwalenie się?

— Pistoletem?

— Czymkolwiek. Co tylko było pod ręką.

— Rękojeść pistoletu jest z kości.

— Kość jest ludzka.

— Nie boję się ciebie. Może powinnam, ale nie boję się — powiedziała Rachaela.

— Znienawidziałabym cię za lęk przede mną.

— Tak. — Rachaela wypijała swoją herbatę. Althene obserwowała ją spod oka. Jej klasyczna twarz miała w sobie wiele spokoju. Tylko ciemne oczy były jak nieruchoma woda z płynącymi głęboko prądami.

— Czy Scarabeidzi wyrażają dezaprobatę dla stosunków homoseksualnych?

Althene uniosła brwi. Wyglądała na rozbawioną.

— Nie między sobą — odpowiedziała.

— Ale przecież oni pragną trwania rodziny. Chcą, żeby na świat przychodziły dzieci.

— Owszem.

— Czy dlatego twoja matka cię biła? — zapytała Rachaela.

— Ona tak właśnie myślała.

Rachaela uważnie spojrzała w oczy swej towarzyszki.

— Wolałabym, żebyśmy raczej nie wplątywały się w sytuację, w której my obie, ty i ja, pocujemy się, hm... zażenowane.

— Jestem z natury wstydliva — powiedziała Althene.

— W takim razie żeby oszczędzić mnie.

— Jaka samolubna — powiedziała Althene z żartobliwą przyganą.

— Nie sypiam z kobietami!

— Nie, ty jesteś mniszka. Żadnych kobiet, żadnych mężczyzn.

— Raz. Znasz rezultat.

— Mała dziewczynka, która zabija.

— Cudowna, czarująca Ruth. Właśnie.

— Może вина leży nie po twojej stronie, lecz po stronie ojca.

— Nie wnikiem w to, czyja to вина. Możesz mi wierzyć. Efekt jest znany.

— I tak jak będziesz zawsze żyła w celibacie? Jakie to pociągające!

— Nie miałam na myśli, że tak ma już być, Althene.

— Cała płonę — powiedziała Althene. — Wszystko, o czym jestem w stanie myśleć, to wdrapywanie się na wieże z kości słoniowej i wyważanie okna.

Rachaela poczuła, jak jej serce trzepocze się w gardle. To brandy. Brandy, plus szok, lub zwykle zmęczenie.

— Chcę iść do domu — powiedziała.

— Tam twój dom, gdzie serce twoje.

— Mojego serca nie ma nigdzie.

— Rzekłś. — Althene skinęła w stronę baru i natychmiast pojawiła się dziewczyna z tacą, rachunkiem i zmęczonym, ale chciwym wyrazem twarzy.

Malach otworzył zamek w drzwiach.

Odczekał chwilę, gdyż dźwięk zamka zastępował zwyczajowe pukanie. Wszedł do sypialni Ruth.

Siedziała wyprostowana na swoim niebiesko–zielonym łóżku z arkuszem uniesionym na wysokość piersi. Rysowała.

Dwa psy przepchnęły się przed niego i podeszły do łóżka. Ruth odłożyła rysunek i dała im po kolei rękę do obwąchania. Potargała ich długie futro. Enki wdrapał się na łóżko i stanął tam, rozglądając się wokół, wielki jak koń.

Ruth, zachwycona, roześmiała się do niego. Światło lampy ukazywało skarby Ruth leżące na stole obok książek. Jabłko z zielonego szkła, złożoną brzytwę, którą podcięła gardło Lorlo Mulleya, tanią, kwiecistą saszetkę z kosmetykami zestawem do manicure, porcelanową figurkę kaczki, złoty dzwoneczek na łańcuszku. Pod stołem leżała skóra lamparta. Oskar odszedł do niej i warknął kurtuazyjnie.

— Wstawaj — polecił Malach — i przyjdź do pokoju.

Ruth spojrzała na niego bardzo przejęta.

— Czy w końcu masz zamiar mnie zabić?

— Nie mam zamiaru cię zabijać.

Wyszedł, zostawiając otwarte drzwi i psy w sypialni. Ruth przyszła po dwóch minutach. Miała na sobie flanelowy szlafrok, w pasie ścisnęła go mocno paskiem jak mała dziewczynka. Jej ciało było kobiece, ale takie było już od dawna. Miała ze sobą swój rysunek.

— Chcesz go obejrzyć?

Nie rozglądała się po pokoju.

Wziął rysunek z jej ręki. Rzucił na niego okiem i cisnął na dywan, przeklinając w obcym języku.

— Czy to po niemiecku? — zapytała.

— Po łacinie, ty ignorantko. Trzeba będzie cię uczyć, głupia dziwko.

— Nie lubię szkoły.

— Guwernerzy — rzucił. — Jakoś się nauczysz.

— Zanudzę się.

— Jeżeli będziesz się nudziła, odprawimy jednych, poszukamy innych. To ich interes, żebyś się przyłożyła do nauki.

Spojrzał na nią, a jego twarz była jak straszliwa maska. Wypełzły na nią znamiona wszystkich zbrodni, które kiedykolwiek popełnił, a które przedtem wydawały się nie pozostawiać żadnych śladów.

Na zielonym dywanie leżał biało-czarny rysunek, w którym wyrażał się zarówno paniczny strach przed zamknięciem, jak i przerażenie otwartą przestrzenią. Kolosalne kolumny unosiły sklepienie ogromnej komnaty wysoko w górę, a u ich stóp tonęło jakby w wodzie ich odbicie. Przed kamienną płytą mężczyzna w białej szacie wznosił do góry miecz. Białe włosy opadały daleko poza nim. Postać była zbyt mała, żeby można było rozeznaczyć szczegóły czy rysy twarzy.

— Chcesz, żebyśmy wróciła do sypialni? — spytała Ruth.

— Nie, idź do tamtego pokoju — wskazał jej drzwi.

Przeszła przez zielony salon i stanęła w drzwiach pokoju o białych ścianach.

— Tutaj?

— Podejdź do stołu i otwórz szufladę.

— Dobrze.

Była mu posłuszna, ale w jej ruchach dostrzegł jakiś odcień niechęci.

— Co tam jest? — zapytała z ręką na uchwycie.

— Zajrzyj i przekonaj się.

Otworzyła szufladę. W środku znajdował się stos szkiców. Niektóre z nich były wydarte z książek. Na wierzchu leżała akwarelka wykonana niedawno, może przed paroma dniami.

Ruth wyciągnęła ją.

Szeroka, czerwona sala; czerwone kolumny, olbrzymie jak domy, podtrzymywały wysoki dach i odbijały się w podłodze jak monstrialne świece. Brakowało człowieka lub kapłana dokonującego ofiary. Poza tym dokładnie to samo.

— Podobny do mojego.

— Co twój miał przedstawiać?

— Egipt. Chcesz teraz zagrać? — Ruth wyszła z białego pokoju.

— Nie. Siadaj tam.

Usiadła w zielonym fotelu. Nagie stopy ledwie sięgały podłogi.

— Kim jesteś? — zapytał.

— Scarabeidem.

— Kim ja jestem?

— Malachem — powiedziała, opuszczając oczy.

- Kim jest Malach?
- Moim dozorcą — Ruth złożyła ręce.
- Dlaczego?
- Ponieważ muszę być ukarana.
- Dlaczego?
- Skrzywdziłam Annę i innych.
- Dlaczego?

Ruth podniosła wzrok. Jej żywe spojrzenie zapłonęło czernią.

— Zostaw mnie! — krzyknęła. — Zostaw mnie w spokoju! Nie chcę! Nie będę! Chcę mojego ojca! Chcę mojego tatusia! Ja chcę... — zamilkła, bo Malach zaczął się śmiać.

— Łatwo wybuchasz. Twój ojciec nie żyje.

— Wiem.

Rozpłakała się.

Malach wszedł do białego pokoju i zamknął drzwi, zostawiając pozostałą część mieszkania otworem.

Przyszły oba psy i przytuliły się do niej. Ruth przyklękała, aby być bliżej nich.

Parę minut milczała, łkając w szorstką sierść. Malach wrócił i usiadł obok niej. Wziął ją w ramiona. Nie widziała jego twarzy, to była bardzo stara twarz. Psy ułożyły im się u stóp, cierpliwie czekając, aż ogrom cierpienia przeminie jak noc.

Gdy skręciły z głównej drogi w aleję prowadzącą do domu, naprzeciw wybiegła im głośnie muzyka. To Camillo puszczał w swoim trójkołowcu nagranie zespołu „The Stanglers”. Nad nimi w ciemnościach błyszczało kilka kolorowych okien podobnych do różnobarwnych cukierków. Przez otwarte drzwi buchnęło światło elektryczne, ukazując przedziwny pojazd i witrażowe okno w jego tylnej ścianie, które rzucało zielone, niebieskie, makowe i purpurowe błyski. Lou usadowiła się na aksamitnym siedzeniu w krótkiej czarnej sukience, odsłaniającej nogi w czarnych pończochach malowanych w czerwone róże. Wokół szyi miała kryzę ze srebrnego drutu. Jej rude włosy przeplatane były pasemkami w kolorze fiołkoworóżowym. Wydawała się szczególnie poważna. Camillo stał obok końskiej głowy, a Tray na ścieżce obok drzwi. Włożyła jedną ze swoich nowych długich sukienek i buty z lat dwudziestych. Czarne włosy spływały wzdłuż jasno upudrowanej twarzy.

— Nie, nie pojedziesz ze mną — stwierdził Camillo.

Tray żałośnie przekrzywiła głowę na bok.

— Cami...

— Nie, nie w tym stanie — dodał Camillo.

— Daj spokój, Cami. Jedźmy — niecierpliwiła się Lou.

— Chciałam... — usiłowała wyjaśnić Tray.

— Nie, nie chcę cię w tym wydaniu. Wyglądasz jak moja matka. — Camillo wskoczył na siodełko trójkołowca.

Silnik zaskoczył. Trójkołowiec zakręcił bez wysiłku i zjechał ze wzgórza. Lou siedziała z tyłu. Aleją nadchodziły Althene i Rachaela.

Gdy zrównali się, Camillo spojrzął na Rachaelę i uśmiechnął się wyniośle. Szybkość, ciemność i gra światła sprawiły, że wyglądał na nie więcej niż trzydzieści osiem lat.

Tray nadal stała przy drzwiach, jak kwiat na połamanej lodydze.

Gdy Althene i Rachaela dotarły do końca ścieżki, Miranda wyszła z domu.

Wyglądała aż nazbyt młodo w matowej, białej sukni. Ostatnio przestała związywać swoje szpakowate włosy. Spływały jej po plecach obfitymi falami. Dotknęła ramienia Tray.

— Wejdź, kochanie. Obejrzyj ze mną film.

Tray spojrzała na nią nieśmiało, a może tępo.

— Mam trochę czekoladek śmietankowych z marcepanowym i truskawkowym nadzieniem — dodała Miranda.

Powiodła Tray do środka. Gdy Althene i Rachaela weszły do domu, obie kobiety w długich sukniach, młoda i młodo–stara zniknęły w białym salonie, gdzie migotał ekran telewizora.

— Czy Miranda jest miła, czy tylko gra? — spytała Rachaela.

— Może jeszcze coś innego — rzekła Althene i zamknęła za nimi drzwi domu.

Rachaela powiodła wzrokiem w górę schodów. Poczowała się bezwładna, jakby rozciągnięto ją do jakiegoś krytycznego punktu, a potem złamano. Teraz już nic nie można było jej zrobić, ani też niczego od niej oczekiwać. Była otępiała, a jednak obudzona.

— Idę do kuchni zrobić kawy.

— Tak. Co za noc! Za godzinę znowu wstanie słońce — stwierdziła Althene.

— Pora zaszyć się w naszych trumnach — powiedziała zgryźliwie Rachaela.

Jak na ironię doskonale zdawała sobie sprawę, że będzie jej znacznie łatwiej zasnąć, gdy słońce wzejdzie już na niebo.

Bocznym korytarzem przedostały się do kuchni wyłożonej kremowymi i czarnymi kafelkami.

Maszyna do zmywania naczyń bulgotała z cicha. Na krześle koło magła siedziała Cheta. Haftowała złotymi nićmi parę butów barwy świeżych ogórków.

— Wszystko w porządku, Cheto. Możemy same sobie poradzić — powiedziała Althene.

Cheta wstała i wyszła.

— Należały do Marii. Czy pamiętasz Marię? — zapytała Althene.

— Oczywiście — powoli odrzekła Rachaela. Pomyślała: następne bliźniacze kochanki? Cheta zostawiona sama po śmierci Marii. W jaki sposób buty znalazły się w tym domu?

Wzięła dzbanek do kawy i bibułkę filtrującą. Były jakby jej własnością, gdyż wyglądało na to, że ona jedna ich używa. Nastawiła ekspres. W kuchni rozkwitł bogaty, zwodniczy aromat kawy.

Althene usiadła na stole. Skrzyżowała nogi i uniosła odrobinę spódnice, na tyle, żeby pokazać jedwabistą długość nóg, lecz nie na tyle, żeby odsłonić pistolet.

— Mam uczucie, że to wszystko zdarzyło się w mojej wyobraźni, że to sobie wymyśliłam. To znaczy nie kolację i film, tylko te inne rzeczy.

Althene lekko wzruszyła ramionami, jak gdyby zsuwała z ramion cienki jak pajęczyna szal.

— Jeśli to cię uszczęśliwia...

— To spowodowało, że zdecydowałam się.

— Na co?

— Jutro mam zamiar rozpocząć przygotowania do opuszczenia tego miejsca. Naprawdę teraz z tym skończyłam. Mam na myśli Scarabeidów. Nie mów mi, że nigdy się od nich nie oderwę, bo zawsze będę ich częścią. Wiem o tym, ale mam zamiar pójść własną drogą. Mieszkanie, praca. Moja dawna banalna, leniwa egzystencja. To jest takie... wyczerpujące.

— Tak. Powrót do życia jest bardzo męczący.

— Skąd ty możesz o tym wiedzieć? Zawsze wiodłaś burzliwe życie, prawda? — spytała gniewnie Rachaela.

— Przyjdzie dzień, że opowiem ci o tym.

— Przyjdzie dzień, że nie będziesz wiedziała, gdzie ja jestem.

— Scarabeidzi zawsze są w stanie odnaleźć swoich. Nie zauważyłaś?

Kawa naciągała w dzbanku. Rachaela wyjęła mleko z lodówki.

— Chcesz trochę, Althene?

— Może. Wiesz, czego chcę naprawdę? Ciebie.

Rachaela poczuła, jak ogarnia ją fala paniki. Zaskoczyło ją to, jakby działo się poza nią.

— Rozmawialiśmy na ten temat. Powiedziałam: nie.

— Nie było żadnej rozmowy. Powiedziałaś: nie?

Rachaela zdjęła dzbanek z ekspresu, zanim parzenie się skończyło. Napelniała filiżanki, czując jak serce tłucze jej się w piersi, a nogi stają się ciężkie. Gdzieś z głębi próbowały wypłynąć łzy jak ryba wyciągana z wodnej otchłani.

Ku własnej konsternacji usłyszała jedwabisty szelest bielizny Althene, która zsunęła się ze stołu. Podeszła i stanęła tuż za nią, bardzo blisko. Subtelna woń perfum spowiła Rachaelę jak welon.

— Jeden gwałt na wieczór zupełnie wystarczy, prawda? — powiedziała Rachaela.

— Czyżbyś myślała o zgwałceniu mnie? — spytała Althene.

Rachaela odstawiła kawę. Była przestraszona, nerwy miała napięte do ostateczności.

— Proszę, nie rób tego.

Ciało Althene napierało na nią, biust naciskał na plecy. Ręce krążyły wokół, ujmując jej piersi, przykrywając je i gładząc.

Dwa dreszcze jak ogień przeniknęły przez ciało Rachaeli. Próbowwała stawić opór. Odsunęła się i odwróciła. Althene znów ją złapała niby w figurze baletu.

Podtrzymała dłonią tył jej głowy i dotknęła ustami warg. Pachnący smak szminki. Althene pocałowała ją. Długi, chłodny język poruszał się we wnętrzu jej ust ukradkowo i namiętnie.

Rachaela pomyślała o tym, co czuła, gdy Adamus ją pocałował. Wirowanie i spadanie. Teraz tak nie było. Już nigdy nie mogło być tak jak w tamtej chwili. Poddała się. Uległa.

Nie objęła Althene rękami. Pozwoliła tylko manewrować swoim ciałem zgodnie z wolą tamtej. Oszałamiające podniecenie zawróciło Rachaeli w głowie. Na nic już nie zważała.

Ogarnęła ją złość, kiedy Althene cofnęła się. Nie chciała, żeby to się skończyło. Jeżeli zostanie przerwane, nie będzie mogła przestać o tym myśleć. Może wyda jej się to śmieszne i nie do przyjęcia.

Althene wyglądała zabójczo, lecz wciąż nieskazitelnie. Ani jednej plamki. Tylko szminka zniknęła.

— Tak? Czy może nie? — zapytała.

— Sądzę, że tak.

— Sądysz. Jaka z ciebie niegrzeczna, mała dziwka!

— W takim razie nie.

— Cicho bądź! — Wzięła Rachaelę za rękę i wyszły z kuchni. Pod kolumną stała Sasha, jakby czekając na nie.

Musiała wszystko widzieć. Zgniecione, dojrzałe usta, złączone dłonie, rubinowy i szmaragdowy pierścionek.

Sasha uśmiechnęła się i skinęła głową.

To było szalone. Rachaela zaśmiała się.

Althene poprowadziła ją w górę schodów. Nogi miała jak z ołowiu, ledwie była w stanie nimi poruszać. Dyszała.

W korytarzu na piętrze Althene popchnęła ją mocno na ścianę i znów pocałowała. Duże, czułe dłonie penetrowały wnętrze dekoltu Rachaeli, parzyły ciało. Poczua się pokonana i przenicowana. Spadała w otchłań.

Tak długo obywatła się bez seksu. Tylko to się za tym kryło, a Althene oczywiście była inteligentna.

Wybrały pokój Rachaeli. Rachaela spytała:

— Czy nie chcesz...

— Mała mniszka będzie najszczęśliwsza w swym własnym pokoju. Rachaela wyobraziła sobie nagle dwie zakonnice splecione razem i wijące się w ekstazie.

— Wybacz mi. Nie bardzo wiem, co robić w tej sytuacji — szepnęła.

Althene zamknęła drzwi.

— Zdejmij sukienkę.

Rachaela rozsunała zamek błyskawiczny i zrzuciła ubranie na podłogę. Rozpięła stanik, potem ściągnęła figi i rajstopy nie siląc się na finezję, rolując je w dół.

Althene obserwowała jej nagość. Nie powiedziała nic. Znacznie zręczniejsz niż Rachaela rozpięła gołębi jedwab i dwie części garsonki spłynęły z niej falą.

Jej bielizna była zdumiewająca jak zawsze. Satyna w ciemnej zieleni ostrokrzewu, wysoko sięgający stanik obrzeżony ciemnozieloną koronką, gorset ściskający talię, francuskie reformy także z koronką. Pończochy przypięte do paska z wzorem z motyli u góry.

Tak ubrana zbliżyła się do Racheli, pocierając jej nagość śliską tkaniną.

Rachaela poczuła jedwabistą szlachetność materiału. Pożądanie płonące w jej wnętrzu czyniło sprawy prostymi. Schowała twarz w zagłębieniu szyi Althene.

Poszły do łóżka. Jakaż to była ulga. Althene zataczała gorące kręgi wokół piersi Rachaeli palcami, potem językiem. Jej czarne włosy mieszały się z włosami Rachaeli, a zapach perfum namaścił skórę i teraz pachniały tak samo.

Althene uniosła nogi Rachaeli na swoje ramiona, pochyliła głowę między jej uda i cudowny język drżał tam jak płomień na wietrze.

— Nie przestawaj — poprosiła Rachaela.

— Tylko na moment. Teraz powiedz, czy chcesz mnie?

— Tak.

Pocałowała Rachaelę w usta i poprowadziła jej dłoń wzdłuż swojego brzucha. Ręka przygotowała się na dotknięcie miękkiego wzgórek, wilgotnego i otwartego jak własna intymność.

Zamiast tego w dłoń trafiła złota różdżka. Czarodziejska. Nieprawdopodobna.

Rachaela odskoczyła jak oparzona. Zanim pomyślała, co robi, zeskoczyła z łóżka, ale nogi poplątały się jej i upadła na dywan.

Nie była w stanie wykrztusić ani słowa. Czuli się tak zaskoczona i zaszokowana, jakby oblano ją wrzątkiem.

Pułapka.

Althene przykłękała na łóżku, zdradliwie piękna, odziana w jedwabie i koronki. Pośrodku smukłego, kobiecego ciała piętrzyła się ciemna wieża męskiej potencji. W rzeczywistości to ciało nie było kobiece, teraz nagle łatwo można było to dostrzec. Szczupłe, wydepilowane, delikatnie umięśnione jak u dziewczyny, która często pływa i jeździ konno. Gładkie, prawie pozbawione porów. Pobłogosławione słodkim, fałszywym biustem, cudownymi włosami i twarzą jak klejnot. Mimo to wciąż ciało męskie. Miało męską siłę i męski członek wyprężony i pożądlivy.

Więc to dlatego...

Dlatego nie miało to znaczenia.

To nie były dwie kobiety w bezpłodnym uścisku.

Sasha kiwająca głową i uśmiechająca się...

— Nie — Rachaela spróbowała wstać.

— Tak — Althene zeszła z łóżka z gracją kota i wdziękiem wilka. Już nie kobiety ani mężczyzny.

— Teraz nastąpią kolejne kłamstwa — głos Rachaeli był ochryply jak po długim krzyku.

— Żadnych kłamstw.

— Tak? Ty byłaś kobietą!

— W pewien sposób jestem kobietą.

— Twoja matka nienawidziła cię, dopóki nie odkryła... — powiedziała Rachaela.

— Dopóki nie odkryła, że chociaż lubię być kobietą, to również lubię kochać się z kobietami.

— Chryste, to wszystko rodzina. Żałuję, że cała nie smaży się w piekle! — wyrwało się Racheli. Zdołała stanąć na nogi. Czuła mdłości i miała wrażenie, że coś utraciła.

Althene podeszła i uniosła ją w górę. Althene—mężczyzna podniósł ją w swych ramionach i bezgłośnie złożył z powrotem na łóżku.

— Jesteś częścią tej rodziny, moja piękna, moja ukochana. Leż spokojnie.

Rachaela leżała spokojnie. Spojrzała w górę na nieźrównaną twarz Althene. Wstrząs jedynie pogłębił pożądanie. Gdzieś w środku pułapki, która zatrzasnęła się nad nią, pragnęła dwoistości tego niewiarygodnego potwora, pragnęła Althene.

„To” wiedziało o tym aż nadto dobrze. Zanurzyło korzeń swej potęgi w głąb Rachaeli. Ciało jej czekało na to, nie stwarzało najmniejszej trudności, zapraszało.

Przez chwilę wszystko zawirowało jak w kalejdoskopie. Piękne ciało i twarz kobiety, muśnięcie satyny, fiszbin gorsetu, a w środku rdzeń mocy, siła męskości, twarda tyrania życia. Kolorowe szybki wysypały się i powstał wzór prawidłowy i kompletny. Już nie było w nim nic potwornego ani nienormalnego.

Znalazła się z dala od samej siebie, czuła jak Althene szczytowała razem z nią, mijały ostatni skręt spirali.

Rachaela otworzyła oczy, a obrazy w okiennym witrażu zyskały na wyrazistości.

— Osiągnęłaś to, czego chciałaś. Scarabeidzi zawsze dostają to, czego pragną.

Althene zsunęła się z niej i widzialny dowód zniknął. To znów była wspaniała kobieta, choć może nieco blada i potargana.

— Teraz cię zostawię, żebyś mogła rozmyślać nad tym, co ci zrobiono.

— Mam powód do rozmyślań.

— Zawsze istnieje powód, jeżeli jest ci tak bardzo potrzebny — odparła Althene.

Znów włożyła gołębie jedwabie i stała się taka, jaką była zawsze.

Kim jestem ja, spytała Rachaela samą siebie.

— Słońce wschodzi. Teraz będziesz spała — powiedziała Althene.

— Do widzenia — rzekła Rachaela.

Althene przyglądała jej się z namysłem. Potem wyszła, zamykając za sobą cicho i delikatnie drzwi, jak w pokojach chorych lub pogrążonych we śnie.

Fortepian przywieziono na tydzień przed Bożym Narodzeniem. Ruth wyszła ze swojej sypialni ubrana w dżinsy i długi sweter, na który opadały czarne warkocze. Na zielonym dywanie stał czarny instrument.

— Czy to twój? — zapytała Malacha.

— Nie — odparł jej strażnik, stojąc przy drzwiach do ogrodu. — Twój.

— Mój?

— To twoje urodziny.

— Naprawdę?

Podeszła do fortepianu i przebiegła palcami po klawiszach, budząc kaskadę dźwięków.

— Ma czyste brzmienie — stwierdziła.

— Owszem.

— Mogę na nim zagrać?

— Jest twój.

Zwykle przy śniadaniu dawał jej książki do czytania. Dotyczyły wielu różnych dziedzin. Po południu, kiedy zjadła lunch, czasami brał ją na spacer. Psy dotrzymywały im towarzystwa. Szli przez parki i ulice, wzgórza i nieużytki nad rzeką. Od czasu do czasu robili zakupy. Zabierał ją do sklepów i pozwalał kupować, na co miała ochotę. Wybierała zwykle nagrania, taśmy z muzyką. Czasami chciała też książki, głównie po to, żeby sprawić mu przyjemność, jakby cokolwiek mogło sprawić mu przyjemność. Były to grube tomy z ilustracjami obrazującymi życie dawnych cywilizacji. Kupowała też książki o zwierzętach.

W sklepach psy zazwyczaj budziły konsternację lub podziw, lecz Enki i Oskar patrzyły na świat z właściwym sobie nonszalanckim spokojem.

Ruth pytała Malacha o różne rzeczy. Jej pytania nierzadko były dziecinne. Dokąd jedzie autobus? Gdzie prowadzi ulica? Dlaczego idą tędy? Odpowiadał zawsze, czasami jednak kłamał. Niektóre jego odpowiedzi były na takim poziomie uogólnień, że wydawały się nieprawdopodobne.

Ruth przyjmowała każde jego słowo za dobrą monetę.

Dzisiaj nie było żadnych książek. Zjadła na śniadanie jeden rogalik, a resztę zostawiła. Ostatnio rzadko potrzebowała więcej niż jedną kanapkę naraz. Poszła do łazienki, umyła ręce i usiadła do fortepianu.

Nuty były przygotowane.

Zaczęła od sonaty Mozarta, potem zagrała mazurka Chopina, a następnie jakiś idylliczny utwór Rachmaninowa.

Malach usiadł w fotelu.

Przerwała i spytała go:

— Dobrze gram?

— A jak uważasz?

— Całkiem dobrze. Adamus mnie uczył.

— Grasz jak młoda koncertowa pianistka, ale czasami blefujesz.

— Wiem, mówił mi to samo. Postaram się tego nie robić.

— Nie, nie staraj się specjalnie.

— Jednak postaram się — stwierdziła Ruth po chwili intensywnego namysłu.

Zagrała transkrypcję koncertu Beethovena. Dźwięki brzmiały niezwykle.

— Muzyka jest cudowna — powiedziała, gdy skończyła grać.

— Muzyka i ja oddaliśmy się od siebie.

— Dlaczego? W jaki sposób?

— Była zbyt absorbująca, nie mogła konkurować z innymi sprawami.

— Czy jesteś bardzo stary?

— Przestań mówić jak dziecko!

Odwróciła się i spojrzała na niego. W jego pozie było coś gnuśnego. Psy spoczywały u jego stóp.

— Miałam na myśli to, że Scarabeidzi żyją bardzo długo — wyjaśniła. — A ty?

— Masz trzynaście lat.

— Czuję się dużo starsza.

— Naprawdę? Z włosami zaplecionymi w warkocze i osobliwym sposobem mówienia. — Popatrzył na nią. — Na ile lat się czujesz?

— Dwadzieścia pięć, a może więcej.

— To bardzo mało. Może tak samo jak trzynaście.

Ruth roześmiała się. Teraz często się śmiała. Kopnęła lekko bosymi piętami w nogi stołka.

— Co teraz mam zagrać?

— Cokolwiek zechcesz.

Wyszedł do ogrodu, a psy poszły za nim.

Krzewy bzu stały nagie, wawrzyny pociemniały i wydawały się bliższe. Ptak pił deszczówkę z omszałego kamiennego poidła. Psy obserwowały go tęsknie.

Ruth zagrała niezemską melodię Debussy'ego.

Malach, psy i ptak nie zwrócili na to żadnej uwagi.

* * *

Sklepy były już świątecznie przybrane. Skrzyły się świecidełkami. Srebrne drzewka jarzyły się czerwonymi bombkami. Święci Mikołajowie w grotach kokietowali wrzeszczące berbecie. Uroczyste białe misie i myszy w czerwonych czapkach à la święty Mikołaj kosztowały jedynie pięć funtów pod warunkiem jednak, że dokonano się zakupów o wartości powyżej dwudziestu funtów.

W domu towarowym wstąpili na herbatę. Ruth wypła filiżankę, ale nie chciała ciastka. Na lunch rzadko jadła więcej niż porcję sałatki. Jedzenie straciło nad nią władzę.

Zrobiła zakupy w stoisku chemicznym i zapakowała je do torby. Potem nabyła czarną welurową bluzę z epoletami i brązowymi guzikami na ramieniu. Bluza kosztowała trzydzieści funtów i gdy Malach płacił, zaproponowano im grubą, białą mysz.

— Kiedyś miałam misia — powiedziała Ruth, spoglądając na zabawkę.

— Śliczny drobiazg dla maluchów — zachęciła sprzedawczyni.

— Jakich maluchów? Gdzie one są? — spytał Malach i dodał, zwracając się do Ruth: — Chcesz ją?

Ruth wzięła mysz, patrząc na nią z czymś w rodzaju niedowierzania.

Malach kupił zabawkę i Ruth wyszła z domu towarowego z myszą w ręce.

Na zewnątrz znękanymi ludziami biegali w kółko po deszczu w gorące zakupy. Siedzące w wózku dziecko patrzyło na nich z powagą.

— Emma nigdy nie pozwoliła, żeby wożono mnie w wózku. Twierdziła, że to szkodzi na kręgosłup — powiedziała nagle Ruth.

Dziecko zauważyło mysz i pokazując ją palcem zaczęło płakać, pełne namiętnego pożądania.

Matka patrzyła na nie zupełnie bezradna.

— Ojej, kochanie! Harry, przestań!

Ruth schyliła się i wsunęła mysz w objęcia dziecka. Harry zachłannie przycisnął zabawkę do siebie. Płacz umilkł.

— Och, nie — zaprotestowała kobieta, rumieniąc się. — Naprawdę, nie.

— Jestem już za stara na zabawki — uspokajająco stwierdziła Ruth.

— Ale jemu nie wolno... to znaczy...

— Dobrze jest przekonać się, że wystarczy zapłakać, aby zostać wysłuchanym — wtrącił się Malach.

— Słucham? — powiedziała kobieta.

— Proszę zatrzymać zabawkę — wyjaśnił Malach.

Poszli dalej.

— To było mądre, Ruth.

— Naprawdę? Dlaczego mądre?

— Pewne rzeczy należą się pewnym ludziom z mocy prawa. Prezent, pieśczęta lub nawet śmierć.

— Rozumiem.

— Musisz nauczyć się, które. Nie wolno ci blefować.

— Malach — powiedziała.

— O co chodzi?

— Żałuję, że nie zatrzymałam myszy.

— Nie, wcale nie żałujesz.

— Żałuję, naprawdę.

Enki wepchnął głowę pod jej dłoń, domagając się uwagi.

— Enki jest twoją myszą.

Ruth roześmiała się.

Przechodzili przez park, przecinając go na skos. Słońce wyszło zza chmurki i wysyłało promienie jak sztylety.

— Spójrz na słońce. Pewnego dnia zgaśnie — powiedział Malach.

— Ale jeszcze nie teraz.

— Wiesz, że nie.

— Tobie słońce nie przeszkadza — stwierdziła Ruth.

— Skąd wiesz?

— Oni zazwyczaj chowają się przed nim. Nie wychodzą z domu.

— Oni są bardziej podatni niż ty czy ja.

— Co masz na myśli?

— My rozciągamy wokół siebie zasłonę z naszej osobistej ciemności, żeby uchronić się przed słońcem.

Znajdowali się pośrodku parku u podnóża wzgóрка. Nagie drzewa rosły odważnie na przekór nadchodzącej zimie, która niosła wichury i śnieg. Teraz światło coraz częściej błyskało optymistycznie na wilgotnej korze i gałązkach. Gdzieś daleko miasto ukazywało rozdarte linie ulic i szczyty wysokich dachów, które dzień odmienił, nadając im złote i brązowe kolory.

Malach odwrócił się. Ze zwinnością kota wspiął się na drzewo. Psy obserwowały go. Enki szczeknęła, ale tylko raz.

Malach zeskoczył z wysokiej gałęzi i opadł na ziemię wraz z prysznicem deszczu.

Jego twarz stała się młoda. Ruth spojrzała na niego.

— Czy masz zamiar mnie zostawić? — zapytała.

— Mam zamiar cię stąd zabrać.

— Dokąd?

— Do innego kraju.

— Dokąd?

— Śpiewaj i czekaj.

— Co?

— Asyryjski poemat. „Muszę zrobić z moim życiem, to co zrobić można, muszę robić to, co nieuniknione. Muszę kochać, istnieć i zabijać. Śpiewać i czekać”.

— Co to znaczy?

— A co oznacza twoje pytanie, dziecko z warkoczykami?

— Oznacza, że nie rozumiem.

— Naprawdę?

Ruth rozważała.

— Czy będę nadal karana?

— Musisz się uczyć.

— Czy będziesz tam, dokąd pojedę?

— Tak.

— Dlaczego?

Spojrzał na nią z góry. Stał pod słońce i światło zmieniło jego grzywę w ogień. Zaciemniło jego twarz tak, że oczy nabrały barwy popiołu.

— Ty i ja — powiedział — jesteśmy tym samym.

— Naprawdę? — Sprawilo jej to przyjemność. Uśmiechnęła się.

Weszli na wzgórze, a psy pognały za nimi. Para nadchodząca z przeciwka zatrzymała się przerażona. Oskar i Enki śmignęły na obie strony i odbiegły daleko wśród nagich kasztanowców.

* * *

— Czy będziemy obchodzili Boże Narodzenie? — zapytała go, a gdy nie odpowiedział od razu, dodała: — Emma zawsze obchodziła. Mamusia... Rachaela nie.

— W takim razie jesteś chrześcijanką, skoro chcesz obchodzić Boże Narodzenie.

— Nie wierzę w Jezusa — potrząsnęła głową Ruth.

— On żył naprawdę.

— Scarabeidzi nie mają Bożego Narodzenia — zdecydowała.

Tego dnia poszli do muzeum.

Chodzili między wypolerowanymi piaskiem kamieniami, bogami o zwierzęcych głowach i faraonami o twarzach mądrych dziewcząt. W pomieszczeniach zaplecza, do których wpuszczono ich potajemnie, starożytności przycupnęły w skrzyniach lub leżały porozkładane na stołach, lśniąc w jasnym świetle.

— Tutaj jest posąg Sekmet — powiedział Malach. Bogini stała na półce ciemna jak węgiel. Lwia głowa z wrytymi wąsami sprawiała zabawne wrażenie. — Sekmet, Potęga Walki. Zabijała bez miłosierdzia i piła krew. Tylko inny bóg był w stanie ją pokonać.

— Jak to zrobił?

— Poczęstował ją czymś, a ona myślała, że to krew. Bogini upiła się.

— Co było potem?

— Stała się grzeczna i delikatna.

Ruth badawczo spojrzała na Sekmet.

W muzeum były też złote kartusze, w tym jeden zdobiony inkrustacją z lapis-lazuli. Malach wskazywał małe posążki, wymieniając ich nazwy obojętnym tonem. Raz powiedział nawet: „Ten

ma niewłaściwą etykietkę”, ale nie wyjaśnił, co powinno być na niej napisane.

Przy drzwiach stał posąg wspaniałej królowej czy też bogini. Przyłożył palce do jej ust.

Ruth nachmurzyła się z zazdrośnie.

W dziale rzymskim stały szeregiem popiersia wodzów, gabloty pełne były złotych kubków i dzbanków z opalizującego szkła.

— Podczas Luperkalii szukali wilkołaków. Jeśli trafiali na nie, to wysyłali je do puszczy. Spójrz na tę głowę z Niemiec. Uśmiecha się — powiedział Malach.

Dalej była sala z otwartymi książkami umieszczonymi pod szkłem.

— Jeżeli będziesz wpatrywać się dostatecznie długo, zobaczysz jak obrazki się poruszają.

Ruth patrzyła na średniowieczne miniatury w księgach. Dostrzegła to. Rybak wyciągał z wody rybę, ptak przefruwał przez stronicę książki.

— Dlaczego?

— Sztuczka, złudzenie optyczne. Spójrz na tę rękawicę. Należała do kapitana najemników. Widzisz ten wyhaftowany klucz? To znak jakiegoś pana, który chciał go posiadać na własność.

Było już ciemno, gdy wrócili do domu. Jechali autobusem. Kiedy nie chodzili piechotą, Malach preferował taką formę transportu.

Oba psy zaszczeakały radośnie, wbiegając do ich parterowego mieszkania.

Ruth objęła je.

Malach wszedł do salonu i stanął przy drzwiach do ogrodu. Ruth zapaliła lampy. Psy podbiegły do Malacha. Poglaskał je, nieobecny duchem.

— Czy kraty w oknach są z mojego powodu? — zapytała Ruth.

— Nie. Tylko po to, żeby trzymać z daleka włamywaczy. To jest Londyn.

— Grube szyby — powiedziała.

— Kuloodporne.

— Czy wyjdziemy jeszcze? — spytała. Ostatnio często chodzili do restauracji na kolację.

— Poczekaj — powiedział.

Ruth czekała. Potem zapytała:

— Na co?

— Zadajesz niewłaściwe pytania. Pytasz o głupie, małe rzeczy. Byłaś spragniona wielu odpowiedzi.

— Tak.

— Ruth — powiedział i zamilkł. Po przerwie znów powiedział: — Ruth.

— O co chodzi?

— Chcę... — zaczął, ale znowu przerwał. Położył obie dłonie na szybie. Srebrne pierścienie na jego lewej ręce płonęły. Wyglądały jakby pochodziły ze starożytnego Egiptu, dawnej Italii i Francji roku 1403.

Ruth poczuła strach, który tkwił w niej od dawna i знаła go aż za dobrze.

— Co? — spytała.

Malach odchrząknął. To był dziwny dźwięk. Wychodził z jego wnętrza, jakby ktoś zdzielił go pięścią. Nic nie było w stanie go zranić ani dotknąć. Był zbyt szybki, zbyt stary. A jednak teraz czemuś się to udało.

Podniósł powoli dłoń i zakrył lewą stronę twarzy.

— Co się stało? — spytała Ruth.

Malach krzyknął. Bez słów.

Odwrócił się, a jego ciało wyprężyło się i wygięło w łuk. Ręka przykrywająca twarz zacisnęła się w pięść z płonącymi pierścieniami.

Ruth stała się bardzo mała, jakby skurczona.

Agonia Malacha wypełniała cały pokój.

Psy pełzały na brzuchach skamląc.

— Oczy — wyrzucił, z siebie.

Ruth miała twarz dziecka. Twarz, jakiej nikt wcześniej u niej nie widział?

— Co?

— Lód — powtórzył. — Lód.

Prawe oko miał rozwarte, patrzące nie widzącym wzrokiem. Przeszedł przez pokój, minął ją, minął psy. Wszedł do drugiej sypialni, skromnego, ascetycznego miejsca, gdzie nocował. Wciąż trzymał pięść przyciśniętą do lewego oka.

— Co się stało? — spytała znowu Ruth.

— *Megrim* — powiedział. — *Crier en bas*.

Nagle zatrzęsnał drzwi z taką siłą, że całe mieszkanie zadrżało. Wewnątrz pokoju rozległ się drugi łoskot, jakby rzucił się całym ciałem o ścianę.

Ruth powoli i ostrożnie podkradła się pod drzwi. Słuchała. Malach mówił głośno:

— *In umbra erat aqua — in umbra erat aqua de petra... quasi sanguis ex Christo.*

Ruth zastanawiała się, nie odchodząc spod drzwi. Czy to była migrena? Słyszała o niej kiedyś w szkole.

Migrena. Pół głowy. Ciężki ból głowy po jednej stronie czaszki. Może być spowodowany zranieniem, uderzeniem czy zniekształceniem w kręgosłupie szyjnym...

Lód, powiedział, lód.

Psy były ciche i nieruchome, prawie tak samo jak meble. Tylko Enki uniósł nos i spojrzał na Ruth. Gdy dziewczyna poruszyła się, machnął raz czy dwa ogonem.

Poszła do kuchni i otworzyła zamrażalnik lodówki. Położyła rękę na lodzie, ale nie udało jej się odłamać ani kawałka.

Raz czy dwa zaniosła się głośnym szlochem.

Jej dłoń nadal leżała na zimnej, wilgotnej powierzchni lodu.

Bolało straszliwie, parzyło jak ogień.

— Nie — powiedziała.

Zaczęła płakać z bólu, który wgryzał się w jej dłoń, kąsał i zjadał ją.

Poczuła, że przechodzi w stan nieważkości, znajduje się jakby we wnętrzu powłoki ich wspólnego udęczenia. Powiedział, żeby poczekała.

Czekała więc. Według kuchennego zegara odczekała kwadrans.

Do tej pory całkowicie zmieniła się w lód. Jej kręgosłup, piersi, żołądek i serce.

Potem wyjęła rękę z lodówki i wyszła z kuchni. Wróciła do salonu.

Otworzyła drzwi do sypialni Malacha.

Wydawała się bardzo wysoka, jakby unosiła się w powietrzu. Zobaczyła pokój o gołych gipsowych ścianach, z łóżkiem, na którym leżał Malach. Był sztywny i nieruchomy.

— *Quod natura relinquit imperfectum* — powiedział.

Ruth płynęła nad dywanem. Stała przy nim. Warkocze porozplatały się, czarne włosy okrywały ją całą.

Ujęła jego lewą dłoń i odsunęła ją.

Nie miał żadnych śladów, twarz była twarda, zaciśnięta, kamienna. Nie opierał się, powiedział tylko:

— *U doet me pijn.*

Ruth położyła swoją zamarznąłą dłoń na jego lewym oku, czole i skroni.

Malach krzyknął, szarpnął się całym sobą, jakby jego ciało wybuchło.

Ruth też krzyknęła, przyciskając zimną rękę do jego skóry. Zmusiła się, żeby nie cofnąć dłoni i dotykać jego twarzy gorącej jak rozpalona kuchenna płyta.

Było tak, jakby świat pękał.

Po chwili poczuła coś jeszcze gorszego. Jego ból przeszedł w nią. W jej dłoń. Ręka płonęła, cała rozogniona.

Potem ból ją opuścił.

Poczuła się rozbita. Siedziała na łóżku. Jej prawy nadgarstek wciąż otaczała wokół obręcz z płomieni. Spojrzała. To była ręka Malacha. Patrzył na nią.

Oczy miał jasne, prawie białe.

— Co ty zrobiłaś? — spytał.

— Powiedziałeś „lód”.

— Ty potrafisz leczyć rany tak samo jak krzywdzić.

— Nie, to był tylko lód.

— Raz na setki lat otrzymuję go w taki sposób.

— Lepiej ci? Już dobrze się czujesz? — spytała i zaczęła płakać.

— Przeszło mi. Pomogłaś tym... Co ty zrobiłaś? — Podniósł jej rękę i odwrócił. Wnętrze dłoni i palce pały niebiesko i krwawiły.

— Twoja ręka, twoja ręka pianistki. — Położył obie swoje ręce na jej dłoni. To zabolalo jak ogień, ale Ruth nie zwróciła uwagi.

— Nie zostawiaj mnie — powiedziała.

— U wrót przepaści — dokończył. — Tam jesteś, Ruth, w gęstwinie swoich czarnych włosów.

Nie puszczać jej ręki, sięgnął po drugą i powoli ściągnął ją w dół, do siebie.

Leżała na nim z wargami na jego ustach. Pocałował ją delikatnie i powiedział:

— Jesteś dzieckiem.

— Mam trzynaście lat.

— Gdybyś miała pięćdziesiąt... Jesteś zbyt młoda.

— Nie, nie jestem.

— Ty nie jesteś, ale to...

Przesunął obiema rękami po jej włosach i ciele.

Ruth zaczęła go całować. Całowała go w usta, aż jego wargi stwardniały, zmieniły się i oddały pocałunek. Objęła go rękami — żywą i martwą — za szyję. Potem cofnęła się, uniosła sweter jak wieniec i zdjęła przez głowę. Sięgnęła za siebie niezdarnie obolałą ręką i rozpięła stanik.

Jej białe piersi były pełne, dziewczęco uniesione, z pączkującymi sutkami.

— Nie uwodź mnie — szepnął.

— Proszę — łzy płynęły po jej twarzy jak rozsypane perły. Oczywiście miała szeroko otwarte, czarne, oszalałe, kipiące życiem.

Malach obwiódł jej piersi najpierw palcami, a potem wargami.

— Starzy mężczyźni i młode dziewczęta — powiedział.

— Ile masz lat? Powiedz, ile masz lat? — spytała.

— Pamiętam piramidy.

Ruth westchnęła. Przytuliła do siebie jego głowę z szopą białych włosów.

— Skłamałem — powiedział, odsuwając ją.

— Nie, powiedziałeś prawdę — rzekła Ruth.

Opuszczał ją powoli, dopóki nie znalazła się pod nim. Potem rozebrał ją i siebie, aż stali się zupełnie nadzy.

Ciało Malacha było opalone, a jej blade. Włosy na jego jądrach były białe jak lód, który ją sparzył.

Spojrzała na niego, na oręż jego męskości. Odwróciła wzrok, żeby nie widzieć.

— Nie, patrz na mnie — zaoponował.

Pieścił ją. Przyłgnęła do niego. Wejście w jej ciało było dzikie i przykre.

— Sprawiam ci ból?

— Tak, ale to nic. Nic mnie to nie obchodzi, chcę umrzeć. Umrzeć dla ciebie.

Pocałował ją, nie przestając poruszać się w niej. Ból jak katedra wznosił się ku niebu, łuki i wieżyczki, spiz i powietrze.

— Wypij moją krew. Chcę, żebyś to zrobił — wygięła szyję.

— Cicho — uciszył ją.

— Kocham cię. Nie opuszczaj mnie. Kocham cię!

Krzyknął tak, jak krzyczał w bólu. Spojrzała i zobaczyła jego oczy. W ich głębi, jak w wypolerowanych lustrach, odnalazła wieki ziemi, prawdę i kłamstwo, ogień i mrok.

Nobbi przeszedł przez szafliwozielonkawę drzwi „Vittorii” i rozejrzał się wokół niepewnie. Była dopiero za kwadrans dwunasta, ale pijacy już się zebraли na lunch. Wielokrotnie przedtem miał okazję ich widzieć, ale oni mogli go nie pamiętać. Chłopcy pana Glassa.

Luke był nad otoczonym murkiem basenem. Siedział przy ustronnym stoliku pod dużą yuccą. Podniósł dłoń zapraszającym gestem. Była opalona, wymanicurowana, ozdobiona jedynie srebrną ślubną obrączką.

Nobbi, czując się nieswojo w garniturze, zszedł po stopniach wykonanych z kosztownej mozaiki. Przeszedł przez stylową winiarenkę.

Wystrój „Vittorii” utrzymany był w tonacji ciemnej zieleni z dodatkiem czarnego szkła i reflektorów. Z krzewów wychylały się grupy wysokich paproci rosnących w ozdobnych skrzynkach i kamienne boginie. Basen otaczał murek, na który kamienie sprowadzono z Yorku, a wokół małej fontanny piętrzyły się głazy z Derbyshire. Złota rybka pluskała się w kryształowej wodzie.

Na stoliku Luke’a leżała teczka i zielony talerzyk z maleńkimi kawałkami wątróbki. Karmił nimi muchołówkę w klatce.

Luke był ubrany w srebrnoszary garnitur, mlecznobłękitną koszulę i krawat blad różowy jak jutrzeńka. Uśmiechał się, błyskając oszałamiającą bielą zębów, z których trzy przykrywały korony, o czym wiedział jedynie on i jego drogi dentysta.

— Cześć Nobbi. Miło, że jesteś. Jak ci leci?

Luke wyrażał się bardzo poprawnie. Jego północnolondyńska gwara uległa wyplenieniu mniej więcej w tym samym czasie, kiedy wybito mu zęby w Hammersmith.

— W porządku. Mam tylko jeden problem. Ten, o którym rozmawiałem z panem Glassem.

— Racja. Cóż, napijemy się po jednym, dobrze? — Kelnerka pojawiła się od razu, może umiała czytać w myślach. — Czego się napijesz, Nobbi?

— Macie jakieś piwo? — zapytał Nobbi bez wielkiej nadziei. Dziewczyna zaczęła wymieniać nazwy. Brzmiały jak punkty zapalne na

kuli ziemskiej w wieczornym dzienniku. Nobbi wyteżył umysł, pochłonięty innymi sprawami. Jak nazywało się wino, którym poczęstowała go Star? Było niezłe, ale nie przypominała mu się żadna nazwa.

— Przynieś nam po prostu szampana — zarządził Luke. — Ty już wiesz, którego.

Szampan, czy to oznaczało dobre wieści? Nobbi mógł się spodziewać, że Luke coś wywęszy, dowie się czegoś od taksówkarzy lub w męskiej toalecie. Był bystry i czujny, jeden z gwiazdorów w tajni pana Glassa.

Któs taki jak on, oczywiście nieżonaty i odrobinę młodszy, nadałby się dla Tray. To byłoby dobre. Z korporacji. Mógłby się nią zaopiekować i potrafiłby ją uszczęśliwić. Tylko żeby nie brał! Nobbiemu nie podobał się pomysł, żeby mąż Tray ciągnął kokę, nawet tylko po to, żeby się okazjonalnie podładować.

— Jak interes? — spytał Luke, jakby to go rzeczywiście obchodziło.

— W porządku. Wszystko gra. Z wyjątkiem Tracy.

— Pewnie. Córki to zawsze zmartwienie, prawda? Moja mała ma dopiero trzy lata, a już funduje mi bezsenne noce.

— Rozumiem — powiedział Nobbi, brnąc dalej. — Jak powiedziałem panu Glassowi, ona znikła już wcześniej, ale nigdy na tak cholernie długo. Nie daje żadnych znaków życia. Nic.

— Śliczna dziewczyna, ta twoja Tracy — powiedział Luke.

— Tak, ładna. I w tym problem. Ci cholerni faceci najpierw dostawiają się do niej, a potem rzucają ją. Wpada w kłopoty.

— Jesteś pesymistą, Nobbi.

— Nie jestem. Dobrze wiedziałem, co się działo wcześniej. Teraz już nawet Marylin jest przestraszona. To ją naprawdę przygnębiło.

Tray nigdy nawet nie musiała przysyłać kartek. Po prostu zawsze była z nami na Gwiazdkę.

— Może tym razem to coś specjalnego?

— Naprawdę? — Nobbi przewiercał Luke'a spojrzeniem na wylot, aż tamten musiał opuścić swoje oczy dżentelmena świeżej daty.

— Poczekaj, stary, oto nasze wino.

Przyszła kelnerka z chłopakiem. Towarzyszył jej, żeby otworzyć ciemnozieloną butelkę, którą najpierw podano Luke'owi do obejrzenia.

Korek wyskoczył z obfitym tryśnięciem.

— Nie muszę go próbować. Z pewnością będzie całkiem dobry. Tylko nalej i zostaw butelkę.

Dziewczyna i chłopak odeszli. Luke pociągnął z kieliszka.

— Właśnie tego było mi trzeba. Dopiero co przyleciał z Nowego Jorku, dziś rano. Prosto z lotniska przywieźli go tutaj.

— Dobrze sobie — mruknął Nobbi.

— Pan Glass bywa bardzo wybredny. On docenia cię, Nobbi. Zrobiłeś kawał dobrej roboty.

Nobbi przypomniał sobie nagle swoją pierwszą pracę dla korporacji. Czwarta nad ranem i tynkowanie przy świetle lamp na baterie. Połatany mur i coś tam za nim, a jako zasada — nie zadawać żadnych pytań.

— Pan Glass chciał, żebym się z tobą spotkał i wyjaśnił, jak sprawy stoją — ciągnął Luke.

— Posłuchaj — wszedł mu w słowo Nobbi. — Chcę tylko dowiedzieć się, gdzie ona jest. To wszystko. Wiem, że pan Glass, jeżeli użyje swoich kontaktów, to może...

— Owszem. Pan Glass ma spore możliwości. Teraz napij się, Nobbi. To wspaniały trunek.

Nobbi spojrzał na szampana, podniósł swój kieliszek i pociągnął łyk. Smakowało jak kwaśny sok owocowy z Andrews. Chociaż Star pewnie odpowiadałby. Miała gust, to on był tylko wieprzkiem.

— Wspaniały — pochwalił Nobbi.

— To dobrze, wypij. Możemy zamówić następną butelkę.

— Może masz zamiar powiedzieć mi, że oni nie byli w stanie jej znaleźć? — zaczął ostrożnie Nobbi.

— Tracy? Nie. My wiemy, gdzie ona jest.

— Dzięki Bogu.

— Ona czuje się zupełnie dobrze, Nobbi.

— Gdzie?

— Tak. Cóż, to jest problem.

Nobbi odstawił wino, które kojarzyło mu się z miksturą przeczyszczającą, i położył na stole dłonie zaciśnięte w pięści. Był spocony od żaru reflektorów. Czuł się przesadnie wystrojony. Krawat zaciśnięty jak obręcz i pasek uwierający w tali. Za paprociami i błyszczącym szkłem leżała ulica, rzeczywistość styczniewego półmroku.

— Posłuchaj, nie chcę nikogo urazić, ale nie przełknę żadnej cholernej bzdury. Prosiłem pana Glassa, żeby pomógł odnaleźć moją Tray. Teraz chcę się dowiedzieć...

— Widzisz, Nobbi... Posłuchaj, stary, Tray jest z kimś nieco szczególnym. My nie możemy się w to wtrącać. Panu Glassowi z pewnością by się to nie spodobało.

— Kto to jest, do diabła?

— Pewni ludzie. Po prostu... pewni ludzie. Bardzo ważni ludzie. Pan Glass nie chciałby ich zdenerwować. Nawet mając najlepsze intencje, gdybyś tam wkroczył...

— Ty sobie wyobrażasz, że ja się tam wedrę — Nobbi był czerwony i ociekał potem. Pochylił się nad kieliszkami szampana i talerzykiem z wątróbką. — Co muszę zrobić, aby cię namówić do wyrzucenia tego z siebie?

— Spokojnie, Nobbi. W ten sposób niczego nie załatwisz. Nie chcemy tutaj sceny, prawda?

— Ty wiesz, czego ja chcę, ty wypomadowany gogusiu.

Luke zmarszczył całą twarz. Potem wygładził zmarszczki. Wygładzanie to była jego specjalność.

— Zapomnę, że się tak do mnie odezwałeś, Nobbi. Jesteś zdenerwowany, napij się.

— Nie chcę żadnego picia.

— Napij się i pozbieraj do kupy.

Nagle Nobbi opadł z powrotem na oparcie krzesła. Rumieniec na jego twarzy przybladł.

— Przepraszam. Nigdy nie powinienem powiedzieć czegoś takiego.

— Zapomnij o tym. Jesteś zestresowany.

Nobbi wypił szampana. Obserwował, jak Luke znów napełnia mu kieliszek.

Wysoka, szczupła kobieta ze starannie ułożonymi włosami przeszła przez salę pobrzękując kolczykami i dyskretnie pochylając się, stanęła nad ich stolikiem.

— Czy wszystko jest jak trzeba, Luke?

— Jasne, Stephanie.

— Chciałbyś jakieś towarzystwo? Mam dwie dziewczyny, które z przyjemnością by cię poznały.

— To świetnie, Stephanie, ale nie teraz.

— Ciao — rzuciła Stephanie i odpłynęła.

Nobbi poczuł się nieokrzesany. Szampan panoszył mu się w żołądku. Nigdy nie powinien mówić w ten sposób do tego cholernego alfonsa.

Luke nie wyglądał na urażonego.

— Musisz jeszcze przez jakiś czas wykazać cierpliwość — powiedział uspokajająco. — To wszystko, Nobbi.

— Nie rozumiem, dlaczego.

Luke dopił kolejny kieliszek szampana. Lekko odwrócił głowę i chłopak z dziewczyną zaraz zakrzętnęli się koło następnej butelki.

— Czy słyszałeś przypadkiem o tym wypadku nad rzeką? — spytał Luke. — Na terenie Mulleya.

— Mulleya... owszem. Instalacja gazowa, prawda?

— Nie, Nobbi. To nie było tak. Może pamiętasz Chasa? Ręce wyrwane ze stawów i płuca pełne lemoniady.

— Pan Glass nie jest pewnie z tego zadowolony.

— Pan Glass uważa, że w tym wypadku lepiej zamknąć oczy i uszy.

Nobbi zrozumiał. Poczuł się tak obolały, jakby ktoś go skopał.

Świat jest pełen gówna. A ona sama w tej dżungli, jego malutka.

— Sugerujesz, że jakiś sukinsyn wysadził w powietrze norę Mulleya i ten sam skurwiel ma moją córkę?

Przyniesiono drugiego szampana.

Odczekali, aż butelka zostanie otwarta z obowiązującym wystrzałem, wino nalane, a chłopak z dziewczyną oddał się.

— Już nie chcę ani kropli.

— W porządku, Nobbi. Nie zmuszam cię. Opanuj się. Tracy jest najzupełniej bezpieczna. Tak, to prawda. To ci sami ludzie. Silni. Pan Glass ich nie tknie. To wszystko, co mam do powiedzenia na ten temat. Obawiam się, że musisz to zaakceptować. Nie możemy nic zrobić. Zupełnie nic.

Luke przewiercał go wzrokiem. Oczy miał jak brązowy marmur nakrapiany winem i kokainą.

— Mój Boże — prawie jęknął Nobbi.

Luke odchylił się do tyłu. Teraz starał się być miły.

— Pan Glass zdaje sobie sprawę, że to cios dla ciebie. Sugeruje, żebyś wziął sobie urlop. Zabierz żonę na małe wakacje. Willa na Malcie jest wolna. Jest też Korfu, jeśli wolisz.

— Nie.

— Wszystkie koszty załatwione, Nobbi. Polecicie komfortową klasą. Marylin spodoba się ten pomysł.

— Tak. Pomyślę o tym — zgodził się Nobbi. Jego serce biło twardo jak z ołowiu.

— Rozumiesz sytuację, prawda, Nobbi? Panu Glassowi nie spodobałoby się, gdybyś nie rozumiał.

— Rozumiem.

— To dobrze.

Nobbi wypił truciznę ze swojego kieliszka. Luke uśmiechnął się do niego. Nobbi był porządnym facetem.

— Co powiedziałbyś na trochę ostryg? — spytał.

* * *

Padał deszcz ze śniegiem. Marylin była u fryzjera, Jasona. W czerwonym pokoju „Słoneczniki” Van Gogha spojrzały na Nobbiego niechętnie.

Wyszedł do ogrodu na tę paskudną pluchę.

Po jednej stronie przykrytego na zimę basenu skalny ogródek pełen krasnoludków napęlił Nobbiego uczuciem zupełnej bezradności. Minął go i wszedł do swego biura.

Pluszowy lew siedział na biurku. Wyglądał na pełnego wyrzutu.

— Cholernie bezużyteczny — powiedział Nobbi.

Wyjął jedno ze swoich cygar. Stał, spoglądając na nie.

Wiedzieli. Wiedzą i nie powiedzą mu. Będzie musiał siedzieć z założonymi rękami, ponieważ był bezsilny.

Usiadł przy biurku i wrócił myślami do dnia, gdy zadzwoniła do niego. „Gdzie jesteś?”, „W Londynie”. „Po prostu chciałam z tobą porozmawiać... On jest sławny. Nie zrzedź”.

Jakiś cholerny śpiewak rockowy. Tajemnicze miejsce. W Londynie. Londyn.

Rozmowa była podwójnie denerwująca z powodu furgonetki z lodami, hałasującej na zewnątrz budki telefonicznej.

Nobbi zamarł i zeszytywniał. Odłożył cygaro i wyciągnął palec w kierunku lwa.

— Jezu!

Jak mógł o tym zapomnieć? Furgonetka grała tak głośno, że ledwie mógł słyszeć, co mówi do niego Tray. To była zagraniczna melodia. Jakiś klasyczny kawałek, tak mu się wydawało. Gdyby tylko mógł sobie przypomnieć, jak to szło...

Nobbi wstał znów, obszedł pokój dookoła, ciągle próbując sobie przypomnieć.

Melodia brzęczała gdzieś w głębi jego mózgu, zbyt daleko, żeby dokładnie ją usłyszeć.

* * *

Śnieg z deszczem walił w okna Stelli. Zaciągnęła zasłony w kojącym kolorze ciepłego brązu z zielonymi liśćmi. W powietrzu czuło się cudowny zapach pieczeni wołowej, która dusiła się od rana, by na koniec osiągnąć konsystencję masła.

Poszli do sypialni kochać się.

— Przepraszam, kochanie — położył rękę na gorącym udzie Star.

— Czy robię coś nie tak?

— Wszystko co robisz jest cudowne, ale ja po prostu nie mogę myśleć o tym. Martwię się o nią, rozumiesz?

— Och, Nobbi! Biedny Nobbi!

Usiedli w dużym pokoju. Pieczeń dochodziła. Trzymali się za ręce. Cieszyli się, że jest blisko niej. Była taka cicha, kojąca.

W tle pobrzmiwała delikatna muzyka. Coś klasycznego, ale nie to, czego potrzebował.

— Chodzi o tę cholerną melodię. Gdybym tylko mógł ją sobie przypomnieć! Zanuciłbym ci. Na pewno poznałabyś ją, Star.

— Niekoniecznie.

— Poznałabyś ją. Sam ją kiedyś słyszałem, ale nie wiem gdzie. Zjedli kolację. Pieczeń wołową, kartofle w śmietanie, pudding Yorkshire, równie dobry jak w wykonaniu Staruszki, selery gotowane na parze, zielony groszek i smażone grzyby. Nobbiemu smakowało jedzenie, ale nie był w stanie zjeść zbyt wiele. Star podała mu piwo.

Poszli wcześniej do łóżka i leżeli w ciemnościach ciasno objęci.

W środku nocy Star ocknęła się. To Nobbi ją obudził. Siedział wyprostowany w końcu łóżka.

— Co się stało? — spytała przestraszona.

— Przypomniałem sobie! Posłuchaj, Star.

Zanucił melodię, którą słyszał jako tło dla słów swojej córki tamtego długiego, gorącego lata.

— Jesteś pewien? — spytała Star.

— To jest ta melodia. Wiem, że to ta.

— To wydaje się dziwne.

— Znasz to?

— Tak. To „Sroka złodziejka” Rossiniego.

Nobbi zaklął z triumfem.

— Każda z lodziarek ma własne tereny. Rozumiesz? Mogę wysłać kilku moich chłopców do tej roboty. Znajdą ją, z pewnością znajdą.

Gdy skoncentrowała się, mogła usłyszeć jego grę.

Gdzieś nisko.

Niżej nawet niż schody, gdzieś w dole, w ciemności, pod jego sercem.

To nie był Adamus, tylko Kei, kochanek Michaela. Od razu dawało się dostrzec, że muzyk był nie ten sam. Nie słyszało się nic z gwałtowności Adamusa, z rozlewności Rachmaninowa, pomyślała. Pieśń bez słów, co za trafne określenie.

Rachaela zeszła monumentalnymi schodami do biało–złotego salonu. Przecucie zachodu słońca sączyło się przez okna. Było jeszcze tak wcześnie. Wkrótce nadejdzie długa, zimowa, styczniowa noc.

Na górze, w witrażowym oknie, rycerz przyklęknął przed płonącą wieżą. Kolorowe szkło rzucało refleksy na stół mówiący: „Żegnajcie”.

Nikt oprócz niej nie znajdował się w pokoju. Telewizor był wyłączony.

Inne okna, róże, pałace płonęły delikatnie.

Rachaela usiadła przy stole, położyła ręce na rysach.

Gdzieś w domu prawdopodobnie była Althene.

Althene i Rachaela zwykle spotykały się raz dziennie, przeważnie wieczorem, w porze kolacji. W dzień Bożego Narodzenia podano wystawny obiad. Wszyscy siedzieli, nie odchodząc od stołu przez cały czas jego trwania, nawet Camillo i Lou. Tray miała miejsce gdzie indziej, obok Mirandy. Ubrała się w jedną z sukienek Mirandy, prawdopodobnie nieco zwężoną. Opalenizna Tray zbladła, podczas gdy skóra Lou nabrała brzydkiej, żółtej barwy.

Althene włożyła na tę okazję srebrną suknię. Rachaela nigdy przedtem nie widziała srebrnej sukni, która nie wyglądałaby wulgarnie i nieciekawie. Jednak suknia Althene była prześliczna, jak wyjęta z opisów w książce z bajkami... albo jak srebrny blask księżycy na falach, coś w tym stylu.

Althene również dostała się tutaj w pułapkę. Musiała czekać na Malacha lub jakieś polecenie z jego strony.

Wcale nie wyglądało, żeby uważała sytuację za niezręczną. Była zrównoważona i uprzejma. Jej oczy nigdy nie spoczywały na Rachaeli.

W jej zachowaniu dawał się wyczuć leciutki powiew wyniosłości, który miał być zasłoną dla zmieszania, gniewu czy pogardy.

A ja?

Rachaela usiłowała być szczerą wobec siebie. Chodziła po domu lub spacerowała po okolicy, świadomie unikając spotkania z Althene, jeśli to tylko było możliwe: ona wyszła, to ja nie mogę. Jest w białym pokoju, nie zejść na dół. Kiedy przypadkowo mijały się, pozdrawiając cicho i obojętnie, czuła ukłucia niczym elektrowstrząsy.

Miała sobie za złe, że zachowuje się jak jakaś głupiutka uczennica, robiąca błędy w deklinacji.

Myślała o Althene. Czasami, gdy zasypiała, sny ciągnęły się i ciągnęły, aż budziła się całkiem wyczerpana.

Sny rzadko miały kontekst seksualny. Najczęściej gubiła się i przerażona gorączkowo poszukiwała Althene. Czasami dostrzegała ją przez moment, ale tylko w oknie odjeżdżającego pociągu albo na dachu wysokiego budynku bez schodów. Zawsze niedostępna.

Powracał sen, w którym chodziły z Althene po jakichś nieokreślonych pustkowiach. Althene mówiła do niej w języku, którego Rachaela nie rozumiała. Może to był starofrancuski? Co to znaczyło? Analogie były wystarczająco jasne.

Dwukrotnie odwiedziły ją sny erotyczne. W jednym Althene miała na sobie fantastyczną bieliznę, nie zieloną, lecz czarną, a do tego staromodny, ślubny welon Lou. W drugim naciągnęła na siebie prześcieradło i zażądała: „Nie patrz!” Rachaela odsłoniła tkaninę i obudziła się. Żaden ze snów nie zaspokoił jej. Czuła się po nich podniecona.

Pewnego wieczoru Rachaela nie żałowała sobie wina ani przed kolacją, ani w trakcie. Chciała wyjść z pokoju wraz z Althene, dotknąć jej, objąć, wziąć za rękę. Przecież Rachaela nie zmieniła się, była taka sama, nie zaszła w ciążę. Pomyślała szorstko, że Althene musiała być niezbyt wydolna seksualnie, bo była bardziej kobietą niż mężczyzną.

Jednak Rachaela nie poszła za Althene, bo oprócz tego, że była kobietą, była ona także mężczyzną.

Czasami tylko śniła o niej, nie wiedząc dokładnie, jaki właściwie był temat snu. Budziła się, mając w pamięci jedynie czarne koło, które wibrowało w jej jaźni przez cały dzień.

Kiedyś wyobrażała sobie siebie w białej Althene. Czy byłyby wtedy podobne jeszcze bardziej?

Dzisiaj Rachaela widziała Althene ze swego okna, spacerującą po parku w czarnym skórzanym płaszczu.

Co to była za skóra? Czy z martwego człowieka, tak jak ludzka była kość na kolbie pistoletu?

Rozległ się hałas. Rachaela podskoczyła przerażona.

Dzwonił telefon.

Usiadła, głupio wpatrując się w dzwiczący aparat i czekając aż ktoś, Michael albo Cheta, przyjdzie i odbierze go.

Nikt nie nadchodził, a telefon dzwonił dalej.

Rachaela wstała i podeszła, żeby podnieść słuchawkę.

— Czy to Gladys? — zapytał drżący głos.

— Nie... to nie Gladys.

— A czy ona jest tam?

— Obawiam się, że wykręciła pani zły numer.

— Och, kochana. To moje oczy. Przepraszam, kochana.

— Nie szkodzi — odparła Rachaela.

Powoli odłożyła słuchawkę. Nawet Scarabeidzi nie byli odporni na pomyłki telefoniczne.

Poczuła, że drży i ma mdłości. Co to było? Strach? Dlaczego?

Usiadła na krześle i zamknęła oczy. Po chwili dosłyszała ciche kroki. Mocna, chłodna dłoń dotknęła jej karku, wyczuła niepowtarzalne perfumy, cynamonowe i mroczne.

Orzeźwiający palce natarły jej głowę u podstawy czaszki. Rachaela odprężyła się.

— Aż podskoczyłam, telefon, zadzwonił telefon — powiedziała półprzymkniętymi oczami.

— Instrument diabła. Złe wieści i smutek — powiedziała Althene sardonicznie.

— Tak. Czysty, pierwotny strach. Bzdury.

— Lepiej ci teraz?

— Tak mi się wydaje. Dziękuję ci.

Dłoń cofnęła się i zostawiła ją w spokoju.

Althene stała dalej jak iskrząca się ciemność. Krople wody błyszczały w jej włosach. Okna wyblakły i teraz przybrały barwę miedzi.

— Pada deszcz.

— Przynajmniej nie żaby — stwierdziła Althene.

— Kiedy byłam dzieckiem, wierzyłam, że tak jak w tym porzekadle, z nieba spadają z deszczem koty i psy — powiedziała Rachaela. Czując się jednocześnie odrętwiała i zdesperowana. — Moja matka miała zwyczaj krzyczeć wtedy na mnie. Myślała, że usiłuję być oryginalna. A ja naprawdę byłam tylko naiwnym dzieckiem. Chociaż czułam się świadoma siebie w tym śmiesznie małym ciele.

— Ach, tak — Althene wyrzała do holu. Chciała już odejść?

— Nie pozwól mi zatrzymać cię — powiedziała Rachaela.

— Ja jestem dość kosztowna. Myślisz, że cię na to stać?

— Myślę, że takie dowcipy nie robią na mnie żadnego wrażenia — odcięła się Rachaela. I dodała: — Przepraszam.

Althene zdjęła płaszcz i rzuciła go na białą sofę niby martwego węża. Wyglądała jak mniszka i zamaskowała swe oczy cieniem o barwie dymu, lecz jej wargi były rubinowe.

— Napijmy się trochę brandy Erika — zaproponowała. Podeszła do owalnej srebrnej tacy i podniosła w górę jedną z karafek z ciętego szkła.

Rachaela siedziała bez ruchu — symbol posłuszeństwa.

Althene wręczyła jej ciemny trunek. Smakował gorzko jak cierpienie.

— Moja matka nazywała się Janet Smith. Wystarczająco banalnie, żeby mogła to wymyślić.

— A skąd się wzięło twoje imię?

— Sądzę, że on musiał je zaproponować. Bóg jeden wie, dlaczego pozwoliła mu na to. Dlaczego zrobiła to, co on powiedział?

— Dlaczego ktokolwiek robił to, co mówił Adamus?

— Zahipnotyzował nas wszystkie. Moją matkę, mnie, Ruth.

— Nigdy nie poznałam Adamusa, choć oczywiście słyszałam o nim — oświadczyła Althene.

— Jeżeli Scarabeidzi żyją tak długo, dlaczego popełniają samobójstwo? Skoro mogą być pewni... — zaczęła Rachaela.

— Wampiryczne zmartwychwstanie. Czy to masz na myśli? — dokończyła Althene.

— Nie wiem, co mam na myśli.

— Czy nadal rozmawiamy o Adamusie?

— Camillo — powiedziała nagle Rachaela. — Z nim dzieje się odwrotnie. On nie jest po prostu starym człowiekiem noszącym ubrania chłopca. Czasami wygląda aż zbyt młodo. — Althene milczała. Rachaela powiedziała: — A włosy Mirandy, czy są farbowane?

— Wątpię w to.

— W takim razie włosy Mirandy... — Rachaela zamilkła. Siedziały w ciszy, a złoty zegar, który chodził, tykał delikatnie.

Czas mijał.

— Althene, nic się ze mną nie stało. To znaczy nie jestem w ciąży.

— Powinnaś więc być zadowolona.

— Myślałam, iż właśnie o to chodziło. Że zostałam wykorzystana. Tak samo jak moja matka.

Althene wzruszyła ramionami.

— Tak, zostałam wykorzystana.

— Nie chcę, żeby znowu coś takiego się zdarzyło.

— W jakim sensie miałabym to zrobić? Próbując zapłodnić cię wściekłym nasieniem Scarabeidów? Czy przebierając się za kogoś, kim w rzeczywistości nie jestem? — spytała Althene.

— Zdaję sobie sprawę, że to nie maskarada, ale podstęp. Żebym myślała, iż z tobą jestem bezpieczna. A tymczasem...

— A tymczasem — ucięła Althene.

Skończyła swoją brandy i przeszła przez pokój. Płaszcz ciągnął się za nią po dywanie.

Rachaela wstała i zapytała z ironią:

— Poczulaś się dotknięta?

Althene odwróciła się z uśmiechem.

— Dlaczegoż by nie wytrwać? Może tobie się to uda?

Rachaela przyszła na obiad w oliwkowej sukni ze srebrną obrozą wokół szyi. Czula się idiotycznie: niespokojna, najeżona i dumna, to odpowiednie określenie. Zupełnie jak kobieta z powieści, dziejącej się około 1890 roku.

Uważnie obserwowała pozostałych.

Erik. Stary i prostolinijny, z pierścieniem na palcu, w porządnie odczyszczonym wieczorowym ubraniu. Sasha w śliwkowym aksamicie z metalicznymi, wysoko upiętymi włosami. Tray weszła z Mirandą. Wyglądały jak matka i córka. Nie, raczej jak babka i wnuczka, ponieważ Tray zaczęła nazywać ją Nan-Nan. Tray przybrała teraz

wygląd Lily Burne–Jones w ciemnym, wyszywanym cekinami żakiecie. Miała blady makijaż z podczernionymi oczami, ale bez żadnej szminki czy rózu. I Miranda. Suknia z lat pięćdziesiątych i włosy sięgające pleców. Szarość przechodziła w inny odcień. Może fiolet? Czarne włosy siwiejące w przedziwny sposób.

Czy twarz Mirandy wyglądała młodo? Głębokie linie wokół ust i między brwiami. Zmarszczki szczupłej kobiety około sześćdziesiątki. Kiedyś jednak wyglądała na osiemdziesiąt, nawet dziewięćdziesiąt.

Camillo nie przyszedł. Ani Lou. Poszli gdzie indziej mimo deszczu.

Ona też pewnie nie przyjdzie. Gierki Scarabeidów.

Adamus. Z nią, nocą. Przyszpilony jak motyl, przebity kołkiem na wampiry zrobionym z gorejącego penisa. Potem, w swojej wieży, która później spłonęła, ugodził siebie.

Althene weszła w szkarłatnej sukni.

Rachaela poczuła falę krwi tętniącej w twarzy i szyi.

Usiedli i zjedli posiłek. Jakieś potrawy, ale co to było?

Rachaela pomyślała o mewie morskiej, którą kiedyś w przeszłości jedli w tamtym domu, wystarczający sobie, zamknięci w czasie. Wydarzenia otworzyły szklaną klatkę, tłukąc ją. Wyfrunęli.

Czy to wstrząs sprawił, że aż tak się zmienili?

Po obiedzie przeszli do salonu i włączyli wideo.

— Ten aktor przypomina Malacha, zgadzasz się ze mną? — spytał Erik Althene.

— Może — odparła Althene. Siedziała w fotelu. Na palcu miała złoty pierścień ze skręconych kółek. Bawiła się nim z nieobecny wyrazem twarzy.

Rachaela wyciągnęła dłoń i dotknęła pierścionka.

— Jest stary. Pewien księżę nosił go jeszcze w piętnastowiecznej Italii — poinformowała ją Althene.

— Tak? — spytała grzecznościowo Rachaela.

— Potem został skradziony.

— Przez ciebie?

— Nie — uśmiechnęła się Althene.

— Gdybyś mi powiedziała, że ty to zrobiłaś, przyjęłabym to bez zdziwienia.

— Niemądra.

— Cii, te filmy wymagają uwagi — uciszył je Erik.

Upłynął prawie kwadrans, gdy Althene wstała i cicho wyszła do holu. Sasha i Erik nie zareagowali. Miranda i Tray nadal siedziały wpatrzona w ekran, a między nimi leżało pudełko trufli w czekoladowej polewie.

Rachaela wyszła z salonu za Althene.

Zapalono lampy naftowe, które rzucały tajemniczy blask.

— Tak? — zapytała Althene, odwracając się, żeby na nią popatrzeć.

Rachaela szła przez hol, aż zbliżyła się do szkarłatnej mgły, która otaczała Althene.

— Jeżeli to gra, to ja nie chcę już w niej uczestniczyć — powiedziała.

— Albo też nie jest to gra.

— Twoja suknia — zauważyła Rachaela.

— Tak?

— Krwista czerwień. Zaręczynowa barwa Scarabeidów.

— Zaręczynowa i ślubna.

— Dlaczego ją włożyłaś? — spytała Rachaela.

— Tak się składa, że akurat mam czerwoną suknię w mojej garderobie.

— Jeśli chcesz, to pójde z tobą na górę do twojego pokoju. Nie będzie już żadnych protestów — powiedziała Rachaela.

— Naprawdę? Nigdy więcej? Przecież ja jestem mężczyzną, który jest kobietą. Kogo ty pragniesz?

— Nie wiem. Pragnę ciebie.

— Aha. Tym razem nie jestem przekonana. — Althene oparła się o poręcz, odchyłona do tyłu.

— Oni znów stają się młodzi, prawda? — spytała Rachaela. — Czy ze mną będzie to samo?

— Nie mam pojęcia.

— Potrzebuję... — Rachaela zawahała się. — Nie mogę tak dłużej. Coś się ze mną stało. Nie potrafię... ty jesteś jedyna...

— Wcale nie. Jest wielu Scarabeidów.

— Nie chcę już rodzić.

— Ze mną nie byłabyś bezpieczna. Są rzeczy, które można zrobić, by tego uniknąć, jeżeli chcesz. Jednak nie zapominaj, że stanowię dla ciebie takie samo zagrożenie, jak Adamus. Lepiej, żebyś to zrozumiała.

— Czuję się, jakby moje ciało było pełne stojących otworem drzwi. Mój umysł także. Nie mogę sobie z tym poradzić ani od tego uciec.

— Dobrze. Nie tutaj. Rozdrażnisz ich tylko, jeżeli wyjdą. Althene wyciągnęła rękę. Rachaela ujęła ją. Wchodziły po schodach na górę, coraz wyżej, do pokoju z pawiami. Światło w pokoju było ciemnożłote. Rachaela odwróciła się w stronę Althene i spojrzała jej w twarz.

— Chcesz, żebym starła szminkę? — spytała Althene.

— Nie. Lubię ją. Moja matka nigdy mnie nie całowała.

— Nie jestem twoją matką.

Gdy wargi Althene skłoniły się do jej ust, Rachaela, teraz już świadoma prawdy, poczuła uwięzioną twardość drugiej osobowości Althene poprzez pachnące warstwy bielizny.

Na łóżku Althene okryła nagość Rachaeli złocistym szalem. Jej pocałunki i jej język rozpoczęły swoją wędrówkę.

— Czy pragniesz tego? I tego?

— Całej ciebie — Rachaela przygarnęła ciało Althene.

— Ale jak ja mogę, w takim razie...

— Nic mnie to nie obchodzi. Całą ciebie. Teraz, teraz.

Kochaj mnie, a potem zostaw, pomyślała Rachaela.

— Tak, zostawię cię, ale wrócę — szepnęła Althene.

Z powrotem, skąd? Z nocy? Z historii? Orgazm Rachaeli był długi i bolesny, ciągnący się jak morze i pełen łez. Coś pięknego wiodło ją przez spazmy oceanu. Przez burze.

Althene wycofała się z niej delikatnie.

— Rzymska metoda.

Rachaela pomyślała o ich rodzie latającym nocą nad pustyniami i śniegiem. Althene szczytowała, leżąc na niej, cicho i gwałtownie. Życie i śmierć, dzień i ciemność.

— Chcę spać przy tobie — powiedziała Rachaela.

— Więc zaśnij — poleciła Althene jak czarodziejka.

Rachaela zasnęła.

Wyjechali z Północy w dzień bury jak wilcze futro. Nadszedł luty, miesiąc Luperkalii, a żadne z nich o tym nie wiedziało. Byli jak czarna chmura wyjąca w deszczu nad krajobrazem.

Gdy dotarli w pobliże stolicy, zaczęli robić postoje. W kafejkach przy autostradzie dziewczęta w jednakowych, jasnych strojach współczesnych niewolnic traktowały ich z ostrożną rezerwą.

Na wielkich, szerokich drogach zapalali kolorowe pochodnie i mknęli jak czarne odrzutowce wśród błysków błękitu, purpury i srebra.

Z przodu jechał Connor. Jego długie czarne włosy zebrane były w kitkę i przewiązane stalowym drutem. Miał duże, silne ciało i brzuch piwosza jak wiking. Lubił krzywdzić kobiety, ale kochał Viv, która siedziała w torbie przytroczonej z lewej strony. Kochał ją tak jak swój motor. Gdyby kiedykolwiek coś się zdarzyło, będą razem we trójkę w Walhalli.

Viv była średniej wielkości, trójkolorowa, biało–czarno–żółta, z jednym uchem stojącym. Dawno temu jakiś pies wygryzł jej w nim dziurę. Teraz w tym miejscu widniał kolczyk w kształcie serca. Viv miała na pysku gogle osłaniające oczy oraz naszyjnik z kocich czaszek nanizanych na czerwoną wstążkę. To był rodzaj hołdu, bo Connor kochał również koty.

Za Connorem i Viv na harleyu shovelheadzie podążała reszta flotyli. Whisper na swojej czarnej bestii, krzyczący głośno przy każdym zakręcie i zwrocie, a za tyłu za nim wesoło uśmiechnięta Red. Dalej Pig i Tina, a potem Cardiff, wyglądający zawsze ponuro, jakby miał zatwardzenie. Na koniec Rose z ogoloną głową, na której pysznił się wytatuowany kwiat, z mocną, byczą klatką piersiową, obnażoną na przekór wiatrom i deszczom, okrytą jedynie srebrnymi monetami i łańcuchami brzęczącymi o jego czarną kurtkę.

Wyjechali jak burza do Londynu już nie ogrodzonego murami, ale otoczonego szczelnie posępnymi przedmieściami i ścianą wysokich betonowych bloków.

Zajechali przed pub „The Compasses” i zsunęli się z siodełek. Red zdjęła kask i rozrzuciła swoje włosy jak ognistą lawę.

Connor spojrział na nią z aprobatą, a potem wyciągnął Viv z torby.

— Chodź, kochanie, i wsadź pysk w jakieś piwo.

Viv wyszczerzyła zęby w uśmiechu i zamerdała ogonem.

Zdjął jej gogle, suczka polizała go serdecznie. Wniósł ją do pubu, trzymając pod pachą.

Red postawiła pierwszą kolejkę, fajna dziewczyna. Viv dostała swoją porcję w miseczce, właściciel już ich znał.

— Lepiej weźmy do tego jakąś wyzerkę, nie wiemy, jakie tam są układy.

Zamówili rybę z frytkami i fasolką, a Cardiff pierdnął tak głośno, że klienci przy barze odwrócili się jak na komendę.

— Mógłbyś używać tego zamiast paliwa do swego motoru! — wrzasnął Whisper.

— Do twojego także by starczyło, sukinsynu. — Cardiff znowu puścił gazy.

Connor postawił kolejkę i wszyscy wypili.

To był tylko posiłek w podróży, nie byli jeszcze u celu.

Tina i Red poszły do damskiej toalety i wróciły wypachnione. Red nie malowała się, bo nie musiała tego robić ze swoją jasną, różową cerą i szafirowymi oczami. Connor chętnie poglądowałby z nią, ale była już zajęta.

— Jak ci się jedzie z Whisperem? — spytał.

— Wspaniale. To jest jak rozpędzony rydwan.

— Lepsze — stwierdził Connor.

— Zgoda, lepsze — odparła Red.

Pocałowała Viv w nos, a suczka polizała ją. Viv była czuła w stosunku do miłych osób, ale wyszarpała spory kawałek ciała facetowi, który podskoczył do Connora. Niezła była z niej panienka.

Wyszli z pubu, a noc była ciemna, dokładnie taka, jaka powinna być noc nawet w miastach oświetlonych lampami sodowymi.

— Kiedyś były tam gwiazdy — Connor spojrział w górę.

— Chciałbyś wyrwać tę latarnię, żeby mrok zwyciężył — powiedziała Red. Umiała mówić do rzeczy.

Dosiedli motorów, a Viv usadowiła się w swojej torbie. Connor nałożył jej gogle i dał garść chrupek.

Lubiła z nim jeździć.

Wystartowali jak rakiety, z pełną mocą silników. Wrastasz w maszynę, ciało staje się jak drżąca, galaretowata masa, a wolna dusza

wyślizguje się i wrywa odrobinę do przodu, w głąb nocy. Tak właśnie się jeździ. Jesteś maszyną i opuszczasz ciało, nigdy tak prawdziwie jak wtedy.

Wystrzelili w stronę londyńskich wzgórz, mijając zastępujące im drogę samochody i autobusy, niezdarne jak słonie. Pędzili poprzez parki pokryte zimową trawą, między kruchymi jak papier murami.

* * *

Kiedy dojechali do celu, duże drzewa zamajaczyły przed nimi jak puszcza. Potem ukazał się ten dom. Connor wiedział, czego może się spodziewać, powiedziano mu.

Rezydencja czarownicy, wieże i wieżyczki, kolorowe okna.

— Tam na górze? — spytał Rose, zrównując się z nim.

— Tak, to tutaj.

Wdarli się z rykiem na wzgórze przed dom i zajechali na płaski teren przed budynkiem, żeby tam się zatrzymać. Odgłos motorów zamilkł. Było cicho. Stanęli w szyku, a Connor zrobił przegląd.

— Dobra, teraz uważajcie, co robicie. Żadnego rozrabiania. Tę jest impreza Camilla. — Cardiff pierdnął. — Nic podobnego również. — Viv szczeękła. — Nie bredź jak potłuczona. — Zdjął jej gogle i pomaszerował w kierunku wejścia.

Na drzwiach nie było żadnego dzwonka, tylko zielona kołatka o kształcie męskiej głowy z kółkiem zwisającym z warg. Sympatyczna.

— Trzymajcie od tego ręce z daleka — zastrzegł Connor. Potem zapukał.

Nikt nie odpowiedział, ale oni cierpliwie czekali. Camillo powiedział Connorowi, żeby przyjechać późną zimą, zanim zacznie się wiosna. „Przyjedź i wybaw mnie”, powiedział wtedy i zarżał swoim wysokim, końskim śmiechem.

Wreszcie drzwi otworzyły się. Stanęła w nich starsza dama w czarnej sukni. Alabaster i heban, niczym figura woskowa mająca przedstawiać starszą damę.

— Szukamy Camilla. Zaprosił nas — powiedział Connor grzecznie.

— Wejdźcie, proszę.

Weszli. Najpierw dwoje drzwi, a potem duży hol z kolumnami. W górze elektryczne światło, a niżej różowe lampy naftowe o miękkim blasku.

— Pójdę i powiem panu Camillo, że jesteście tutaj.

— Dziękuję pani — odparł Connor uprzejmie.

Red wyglądała cudownie w tym świetle, ale cała reszta jak horda. Czarne, mocne skóry. Zabrzmiało słabe gwizdnięcie.

— Cardiff, ostrzegłem cię — odparł Connor.

— Przepraszam.

Tina roześmiała się.

Rose stał wyżej, gładząc balustradę schodów.

— Spójrzcie na to.

Potem z drzwi obok schodów wyszła kobieta. Miała na sobie białą suknię, odpowiednią na przyjęcie. Strój godny Ginger Rogers za czasów jej największej świetności. Connorowi spodobał się sposób, w jaki czesała długie, falujące, ciemne, wspaniałe włosy, pomimo że musiała mieć dobrze po pięćdziesiątce.

— Wejdźcie, proszę — zaprosiła ich.

Weszli do obszernego, białego pokoju leżącego za schodami. Za nimi wbiegła Viv.

Na sofie siedziała czarnowłosa piękność, ale jak na gust Connora wyglądała zbyt bezmyślnie. Jadła babeczkę rumową. W głębi, na olbrzymim ekranie telewizora zaczynała się „Szkłana pułapka”. Dźwięk był ściszony, ale Rose, Tina, Pig, Whisper i Cardiff od razu zaczęli oglądać film. W taki sam sposób gapili się na telewizję w pubach, a nawet na wystawach sklepowych.

Red zatrzymała się jak wryta przy połączanym stole, na którym stała mała, zielona misa.

— To jest autentyk — powiedziała. Znała się na tym.

— Napijcie się czegoś? Tracy i ja oglądałyśmy ten film. Znać go? — zapytała Miranda.

— Tak — odparł Cardiff. — Można podgłośnić?

— Nie — odrzekł Connor.

— Ależ oczywiście. Nazywam się Miranda. Jestem pewna, że Camillo wkrótce się pojawi — powiedziała kobieta i dotknęła ręki Connora w bardzo sympatyczny sposób.

Podeszła do telewizora i przekręciła pokrętło dźwięku. Rose, Cardiff, Whisper, Tina i Pig stracili zupełnie poczucie rzeczywistości. Piękność z rumową babeczką na talerzyku również powróciła szklistym spojrzeniem do ekranu. Viv usiadła i patrzyła wyłącznie na Connora.

Miranda zrobiła im drinki. W kubelku z lodem stała napelniona w dwóch trzecich butelka zinfandela. Connor zażyczył sobie odrobinę, Red również. Cardiff poprosił o piwo. Miranda wyszła do holu i zawołała. Ktoś nadszedł i posłała go po butelkę.

Rose i Pig zdecydowali się na wódkę, Tina na nieco sherry. Wyglądało na to, że barek tego domu miał nieograniczone zasoby.

— Może twój piesek chciałby się napić?

— Dam jej parę kropel wina, jeżeli nie ma pani nic przeciwko temu. Ma wyczulony zmysł smaku. Pewnie dlatego, że nigdy nie paliła.

Miranda zaśmiała się dźwięcznie jak dziewczyna. Connor przyjrzał jej się dokładnie. Owszem, miała swoje lata, ale całkiem mu się podobała. Schyliła się, żeby pogłodzić Viv po łebku, a suczka rozpromieniła się. Potem Miranda wzięła prawdziwą jadeitową miseczkę ze stołu i nalała zinfandela dla Viv. Piesek chleptał bardzo zadowolony.

Na ekranie ktoś umierał.

— Taak! — ryknął Whisper.

Wszedł starszawy mężczyzna, niosąc duży kufel piwa na tacy. Cardiff natychmiast go chwycił.

— Ostrożnie — skarcił go Connor. — Dzięki — powiedział do mężczyzny, który nie był naprawdę stary, tylko szpakowaty.

— Czy jechała pani kiedykolwiek na motorze? — spytał Connor Mirandę.

— Nie. Za moich czasów w modzie były konie — odparła.

— To jest jak koń, tylko że ma skrzydła — powiedział Connor.

— To musi być ekscytujące.

Miała cudowne oczy, jak występna noc.

Była jak królowa zielonych wzgórz i mógłby zasiać u jej stóp obutych w eleganckie pantofle, grając na harfie, gdyby tylko grywał na czymkolwiek.

— Jeżeli kiedyś będzie pani chciała spróbować, to jestem do dyspozycji — rzekł Connor.

Opuściła tajemniczo oczy, jak to robią kobiety. Connor pomyślał o jeździe z Mirandą. O jej szczupłych bladych rękach wokół jego potężnej talii.

— Ostatnim razem, kiedy jechałam konno, udawaliśmy się na ucztę weselną. Panna młoda była ubrana w błękity. Tort był wielki, złocisty od szafranu, w kształcie dłoni dzierżącej klucz. Takich rzeczy się nie zapomina — powiedziała Miranda.

— Jakieś zagraniczne wesele — zauważył Connor.

— Tak, we Włoszech. Nie miałam wtedy na imię Miranda, wie pan. To wzięło się dopiero później, z jakiejś sztuki.

Connor poczuł, jak rozwiera się przed nim szeroka szczelina. Miał prawie nieodpartą ochotę, aby w nią wskoczyć. Jednak coś go powstrzymało. Kruczowłosa bogini. Lepiej uważać.

— On jest tutaj, Connor. Prawda, że to on? — spytała Red. Już dawno temu przekonała się, że nie interesują jej młodzi mężczyźni. W Cambridge miała romans z profesorem koło sześćdziesiątki. Owinęła go sobie dookoła palca swymi miedzianymi włosami.

Connor obejrzał się. W drzwiach stał Camillo.

Tego wieczoru prezentował się bardzo młodo. Może za młodo dla Red. Mimo to z jego twarzy nadal wyglądały stare oczy.

— Jesteście. Czy to znaczy, że już nadszedł czas? Z pewnością — powiedział.

— Cokolwiek rozkażesz — odrzekł Connor.

Viv szcęknęła cicho. Camillo podszedł, przyklęknął i nastąpiło powitanie.

— Powstań — rzucił Connor i grupa uzależnionych od telewizji zebrała się wokół niego. Wziął Red za rękę i poprowadził naprzód. — Spójrz, co tutaj mam.

Camillo popatrzył przebiegle.

Red uśmiechnęła się, ukazując rząd białych zębów.

— Tym razem nie siksa. Red studiuje historię. Przejechała kawał drogi, żeby cię poznać — pochwalił się Connor.

Camillo podniósł się, spojrział znów na Red, przechylając głowę na bok.

— Jestem starym człowiekiem — powiedział kokieteryjnie.

— Lubię starych mężczyzn. Są inteligentni — oświadczyła Red.

— I wdzięczni? Ja nigdy nie bywam zobowiązany.

— Znienawidziłabym cię, gdybyś był — odparła Red.

— Opowiedz mi coś o historii — zaproponował Camillo.

Red zawahała się.

— Było trzech królów Arturów, wodzów plemiennych, lecz tylko jedna Ginewra. I na imię miała inaczej.

— Coś jeszcze — powiedział Camillo.

— Za panowania Rzymian Brytania produkowała jedno z najlepszych win w Cesarstwie.

— Jeszcze.

— W pewnych semickich plemionach prostytutki po urodzeniu dziecka zatykały szyjkę macicy złotą monetą, aby nie zachodzić w ciążę.

— A czy ty masz tam złotą monetę?

— Nie. Mam podwiązane jajowody. Nie chcę mieć dzieci.

— I lubisz starych mężczyzn.

Tray odwróciła się nagle od telewizora i spojrzała przestraszona.

— Cii, Camillo — zaproponowała Miranda. Podeszła do Tray i objęła ją. Tray położyła głowę na jej wyszywanym cekinami ramieniu.

— Stary mężczyzna to tylko młody duch w innej skórze.

— Nie ja.

— Dobrze, możesz mnie tego nauczyć, prawda? — powiedziała Red.

* * *

Rozbili obóz pod drzewami, u podnóża wzniesienia, poniżej domu. Camillo powiedział, że nikt nie będzie próbował ich przenieść ani im przeszkadzać.

Widocznie Camillo nie był jeszcze gotowy. To było Connorowi na rękę, mogli poczekać.

Mężczyzna, który podał Cardiffowi piwo, przyniósł im z domu kolację. Wino, piwo i wódkę, wędzoną rybę i gorące, ociekające masłem tosty, trójkątne kawałki żółtego sera, krewetki, talerz z winogronami, jabłkami i brzoskwiniami.

— Złośliwy jest ten twój Camillo. Podoba mi się. Będę musiała pozalecać się do niego — stwierdziła Red, uśmiechając się szeroko do Connora.

Connor pomyślał o Mirandzie. Leżeli w namiocie. Viv usadowiła mu się na piersi. Suczka była pijana.

Na zewnątrz płonęło ognisko. Teraz stanowili obóz najemników Camilla. Deszcz poszedł spać. Oni także usnęli.

Wczesnie rano Viv i Connor wyszli, żeby sobie ulżyć.

Świt wstawał szarobrazowy, jak to w lutym. Suczka była w świetnym nastroju pomimo wczorajszej hulanki. Buszowała wesoło w zeszlórocznych liściach. Kiedy wrócili, przed domem stał jakiś człowiek, przyglądając się obozowi.

— Dzień dobry — powiedział Connor. Szedł w górę trawiastego stoku i opierał dłoń na kolanie. Viv wyprzedzała go, zaciekawiona.

Mężczyzna był szczupły i wysoki, miał najdłuższe i najbielsze włosy, jakie Connor kiedykolwiek widział. I twarz, którą znał.

— Przyjaciele Camilla, jak sądzę? — powiedział przybyły.

— Zgadza się — odparł Connor.

Mężczyzna skinął głową i odszedł, okrążając dom. W tym samym czasie wyszła ta kobieta, Miranda. Minęli się z prawie niezauważalnym ukłonem. Miranda odwróciła się za nim, przyciskając dłonie do gardła.

Connor wspiął się do niej.

— Co się stało?

— Ach, jakieś nowe wieści. Będzie chciał zobaczyć się z Erikiem — opuściła ręce.

— Białas. Jest synem Camilla, tak? — mruknął Connor.

— O, nie. Nie. Jego ojcem. To Camillo jest synem Malacha.

Connor spojrział w bok, w czeluści mroku.

— Malach. Mówi pani, że ten biały facet to ojciec Camilla?

— Tak — odparła. Wyglądała na trochę szaloną.

Connor poczuł podniecenie, które znał od zawsze. Podniósł Viv i zmierzwił jej łeppek. Miranda prześliznęła się obok nich i zniknęła pomiędzy drzewami, jak gdyby poszła nzbierać dziwnych, czarnoksięskich ziół albo udawała się na schadzkię spóźniona o sto lat.

Na tle zamglonego porannym deszczem okna z irysami Althene prezentowała w całej okazałości swą wspaniałą figurę.

— Przyprowdzi ją dziś wieczorem. Moim zadaniem jest powiedzieć ci o tym.

— Rozumiem.

— Może niezupełnie. Muszę ci to wszystko dokładnie wyjaśnić.

— Ponieważ jestem rezydentką—kretynką — skomentowała Rachaela zgryźliwie.

Althene roześmiała się. Przysiadła na swym ciemnoniebieskim łóżku. Rachaela zwała się na nie w swetrze i w spódnicy. Wstały wcześniej, żeby pójść na przechadzkę. Potem Althene zeszła na dół po tacę ze śniadaniem, świeże bułeczki i kawę. Oprócz śniadania przyniosła też wiadomości.

Malach przyprowdzi Ruth do domu.

— Dlaczego on musi tutaj przychodzić? Czy to rodzaj testu? — spytała Rachaela.

— Bardzo prawdopodobne.

— Co oni zrobią? Otrują ją za pomocą kielicha wina?

— Nie. Oficjalnie dadzą ją Malachowi. To wszystko. Rodzaj ceremonii. Potem mogą zostać od niej uwolnieni, chociaż on jest jednym z nich.

— A ja? Ona jest moją córką. Przypuśćmy, że ja nie zechcę dać jej Malachowi.

— Sądzę, że ona już do niego należy. Przypuszczałam, że tak właśnie zrobi — powiedziała Althene.

Rachaela zacisnęła dłonie.

— Myślisz, że oni są kochankami?

— Przypuszczam, że tak.

— Ona ma dwanaście lat. Nie, już trzynaście. Na miłość boską, przecież jest dzieckiem — zmarszczyła brwi Rachaela.

— Prawdopodobnie nigdy nim nie była. Oczywiście w pewnych sprawach... Ale i o to Malach się zatroszczy, jest ekspertem.

— Z pewnością.

— Ileż goryczy, moja kochana. — Althene pogładziła Rachaelę po jej pięknych włosach. — Ruth była dla ciebie ciężarem, którego nigdy nie byłeś w stanie udźwignąć. Dla Malacha może być interesującym wyzwaniem. Zabierze ją stąd. Przekona się, że ona jest wyedukowana, wytrenowana. Będzie chciała zasłużyć na jego pochwały, zadowolić go. Zaświeci jak gwiazda pierwszej wielkości. Ojciec i córka ze słodyczą seksu dodaną dla pikanterii.

— To nazbyt proste. Ona jest morderczynią — zaproponowała Rachaela.

— Odpuszczenie grzechu — powiedziała Althene. — Co to oznacza? Że jesteś uwolniona od zła. Chociaż popełniłaś ohydne występki, nie musisz grzeszyć dalej. Można się zmienić. Wolno się zmienić.

— Już dobrze. Widziałam, jak zabijasz. To zrozumiałe, że inaczej oceniasz Ruth.

— Nikogo nie oceniam.

— Jak śmiesz! Jak możesz mówić o odpuszczeniu grzechów? Przecież ona jest potworem! — wyrzuciła Rachaela, cofając się.

— Pamiętam, że mówiłaś mi, iż Ruth, będąc jeszcze niemowlęciem, o mało co nie umarła — powiedziała Althene.

— Tak. Ja pragnęłam jej śmierci.

— Może Ruth również, może cały czas chce umrzeć. Ty sprawiłaś, że żyje.

— Szpital to sprawił i cholerna Emma.

— Jakie to straszne, być zmuszanym do kroczenia drogą, o której wie się, że jest zła.

— Skończ już. Po prostu przestań. — Rachaela podciągnęła kolana pod brodę i oparła o nie głowę.

— W porządku, ale mamy jeszcze jeden smutny punkt programu. Przynajmniej mam nadzieję, że cię to zasmuci.

— Kiedy Malach będzie zabierał Ruth, ty również wyjedziesz.

— Niestety, muszę.

— Właśnie. Jakie to wygodne!

— Nie będzie mnie przez miesiąc, może trochę dłużej. Potem wrócę.

— Rób jak chcesz — powiedziała Rachaela.

— Muszę uporządkować swoje własne sprawy, zanim wrócę do ciebie.

— Chcesz, żebym spędzała czas, wyglądając przez okno aż do znużenia? „A on nie przybywa...”

— Jak możesz porównywać mnie z Adamusem? — powiedziała wyraźnie rozbawiona Althene.

— Przecież nie porównuję! Ty wyjedziesz i nie wrócisz, a ja wolę szczerłość. Jak ty możesz w ogóle mnie pragnąć, taka jaką jesteś. To musi być chwilowe, przypadkowe. Kobieta kochająca się z kobietą. I to kobieta, która jest mężczyzną. Każdy, kto się godzi...

— Wystawiasz na próbę moją cierpliwość. Wstań i wyjdź. Jestem tobą zmęczona — powiedziała Althene.

— Jasne.

— Przekroczę symboliczne morze i zostawię cię tutaj, i to będzie koniec. Powrócę do moich zastępów kobiet łatwych i zboczonych.

— Tak.

— Rachaelo, powiem to tylko jeden raz, może już nigdy więcej, więc wysłuchaj mnie. Kocham cię. Jestem w tobie zakochana. Rodzina przyłożyła do tego rękę, i może to było zaplanowane. Stało się. Ty mnie nie kochasz, naturalnie. Jesteś zafascynowana moją innością. Potrafię dać ci przyjemność. Chcesz, żebym cię opuściła, żebym dała ci wolność.

— Nie wiem — powiedziała Rachaela, patrząc w dół, w ciemność, w głąb łóżka.

— Odejdę i zostaniesz beze mnie. Wtedy zrozumiesz. Kiedy wrócę...

— Nie wrócisz...

— Zobaczymy — przerwała jej Althene. Wstała. Za nią kobieta z witrażu także stała na tle irysów i hiacyntów. — Będą chcieli, żebyś była obecna, gdy przybędzie Ruth.

— Może im się nie spodobać to, co powiem albo zrobię.

— Dlaczego musisz mówić albo robić cokolwiek?

— Tak, masz rację, dlaczego — powiedziała Rachaela. Podeszła do drzwi.

— Czy uważasz się za zboczoną, ponieważ uprawiałaś ze mną seks? — spytała Althene.

— Przypuszczam, że muszę być zboczona. Nie. Nie. Wcale nie.

— Dobrze — powiedziała Althene. — Mam chociaż to do zabrania ze sobą, podczas gdy psy Malacha szczekają i posikują z niepokojem.

— Czy ty w ogóle jesteś zdolna do miłości? — spytała Rachaela. Althene spojrzała na nią. W oczach miała miękkość, która ustępowała powoli, aż stały się twarde jak diament. — Kto poza mną mógłby cię kochać?

* * *

Rachaela poszła do swojej białej łazienki z zielonym oknem. Wykąpała się i umyła włosy. Potem ogoliła nogi i zagłębienia pod pachami, jak to czyniła co trzy dni. Dzisiaj dawało jej to poczucie bezpieczeństwa, jak każdy spełniony rytuał.

Usiadła przy gazowym kominku zainstalowanym w szerokim palenisku. Sztuczne kłody wyglądały tak autentycznie, że znów zaczęło jej się wydawać, iż są w tamtym domu nad morzem.

Potrząsnęła włosami, żeby schły szybciej, i płomyk zaskwierczał.

Później ubrała się w czarną wełnianą suknię, upudrowała twarz i podmalowała oczy. Jasnobursztynowy puder i pomadkę dostała w prezencie od Althene. To było jak maska, przyłbica opuszczona przed bitwą.

Nie bądź głupia, mówiła do siebie. Po prostu pozwól im zrobić to, co chcą. Przecież i tak to zrobią. Oni wszyscy.

Wyobraziła sobie Ruth wkraczającą do pokoju i trzymającą Malacha za rękę. Włosy miała splecione w warkocze i nosiła szkolny mundurek. Rachaela roześmiała się głośno, z goryczą.

Poprzez okno z gołębiem przedostał się niewyraźny dźwięk muzyki. Na dole, u stóp wzgórza, był obóz motocyklistów. Towarzysze Camilla, bez wątpienia. Kiedyś otworzyła okno i zobaczyła ognisko i namioty.

Osnowa naciągnięta ciasno, wątki zebrane.

Odjeżdżają.

Wkrótce będzie tutaj znów sama. Z Erikiem, Sashą i z Mirandą, która młodniała, jeśli to w ogóle jest do uwierzenia. Tak było, tak było z całą pewnością. Camillo również...

— Niech ich licho — powiedziała.

Włożyła pierścionek Anny, rubinowe serce. Potem srebrnego węża z małym turmalinem w łebku. Dar Althene.

Odłożę go, kiedy ona odjedzie. Nie będę na niego patrzeć.

Oto jak oni zbierają swoje pierścienie. Spadki. Dary kochanków.

Adamus nigdy nie dał mi pierścionka. Dał mi Ruth.

Położyła koncert Prokofiewa na odtwarzaczu kompaktowym. Miał czarny nastrój, który jej odpowiadał. Odgłosy diamentowych szczurów biegających wkoło po gigantycznym zegarze.

Poczuła lekkie mdłości na myśl o Ruth przybywającej z Malachem w swoim szkolnym mundurku.

* * *

Zanim zapadł wczesny zmierzch, Rachaela usłyszała samochód, taksówkę, daleko w dole, na drodze.

Jej serce zatrzymało się. Wstała.

Dwadzieścia minut później, kiedy jej serce biło mocno, wypełniając pulsem całe ciało, Cheta zapukała do drzwi.

— Oni już są tutaj, pani Rachaelo. Czy zejdzie pani na dół? Co z tego, że powiedziałyby „nie”.

Wyszła i przeszła przez korytarz. Potem w dół schodami.

W holu nie było nikogo, ale drzwi stały otworem. Michael właśnie je zamykał. Obok niego stał Kei, niosąc dwie torby podróżne. Lampy zostały zapalone.

W salonie zamiast zwykłego dźwięku telewizora słychać było pomruk głosów.

Rachaela nie chciała tam wchodzić. Pośpiesznie przeszła przez hol i weszła do dużego białego pokoju.

Był pełen ciepłego światła, a kolorowe okna rzucały swe ostatnie błyski.

Erik, Sasha i Miranda stali rzędem. Ubrali się ciemno, tak jak i ona to instynktownie zrobiła.

Zauważyła od razu, że nie było tam Althene ani Camilla.

Potem wszyscy odwrócili się i spojrzeli na nią.

Malach, Ruth.

Malach ubrał się na białą, co dawało zdumiewający efekt. Ta biel w zestawieniu z bielą jego włosów dawały wrażenie negatywu. Te dwie jasności nie zmniejszyły ciemnego napięcia jego siły. Czy coś mogło ją wzmocnić jeszcze bardziej?

Na ostatku spośród wszystkich zgromadzonych Rachaela zobaczyła swoją córkę, Ruth. Nie poznała jej.

Ruth stała się wyższa i starsza. Była kobietą, dwudziesto-, może dwudziestopięcioletnią.

Miała na sobie długą wąską spódnicę, zakończoną nieco ponad kostką, czarne botki na obcasach haftowane szkarłatem i srebrem. Czarny aksamitny płaszcz niedbale opadał z jej ramion. Pod nim nosiła jedwabną tunikę w kolorze srebrnoszarym, której kołnierzyk wyglądał jak zroszony kroplami wina i deszczu. Jej talię o smukłości łodygi podkreślał szeroki pas z czarnego aksamitu. Spod wysokiego, stożkowatego kapelusza, również z czarnego weluru, wylewały się jak rzeka czarne włosy. Wyglądała jak rosyjska księżniczka z powieści.

Jej twarz była nie ta sama.

Miała równie perfekcyjny makijaż jak Althene. Błada jak porcelana, z subtelnymi śladami różu na policzkach; powieki ciemne ciemnością dymu, nie sadzy. Wargi o barwie jasnej czerwieni, raczej płomienne niż krwawe.

Jej oczy błyszczwały.

Nie trzymała Malacha za rękę. Dzierżyła małą czarną torebkę. Wydawała się idealnie zrównoważona.

On całuje ją na dzień dobry, budząc ze snu. To nie jest Ruth.

Ale to była Ruth.

Dwa psy stały obok niej. Enki, ten jaśniejszy, wydał krótki, niski pomruk.

— Spokój — uciszył go Malach i pies zamilkł.

Obcisłe rękawiczki Ruth, paciorki na kołnierzyku i haft na botkach były w kolorze czerwonego wina.

Czerwień. Kolor zaręczynowy i weselny.

Rachaela patrzyła na swoją córkę.

Nie swoją.

Jego.

Malacha.

On ją stworzył.

— Rachaelo, mam nadzieję, że czujesz się dobrze — powiedział Malach cicho.

Idiotyzm. Scarabeidzi zawsze czują się dobrze. Czują się dobrze lub są martwi.

— Tak, dziękuję. — Nie mogła oderwać oczu od Ruth. — Jak widzę, Ruth również czuje się dobrze.

Krótki ruch kruczej głowy w stronę Malacha, może ćwierć spojrzenia.

— Dobry wieczór, Rachaelo!

Już nie „mamusiu”. Oczywiście, teraz obie jesteśmy kobietami,

— Twój strój jest wspaniały — powiedziała Rachaela.

— Dziękuję ci.

Ona zawsze miała dobry gust i przerażającą intuicję. Zawsze pojawiała się zdumiewająco ubrana.

— Powinniśmy usiąść — powiedział nagle Erik.

Usiedli. Ruth i Malach na jednej sofie, Erik i Sasha na drugiej. Miranda w jednym fotelu, Rachaela w drugim. Enki i Oskar na dywanie.

Weszli Michael i Kei. Przynieśli wysoki srebrny imbryk i filiżanki z prześwitującej białej porcelany, odrobinę likieru w butelce o gruszkowatym kształcie, małe kieliszki, paterę pełną malutkich ciasteczek ze wspaniałym lukrem niebiesko-różowym i biało-zielonym.

Wszystko to zostało najpierw ustawione na stołach, a potem podano herbatę i alkohol.

Malach poczęstował się herbatą i likierem, lecz nie chciał herbatników. A Ruth... wzięła tylko herbatę. Nic do jedzenia. Była takim żarłocznym dzieckiem. To widocznie należało do przeszłości.

Och, nie.

Coś sprawiało Rachaeli ból, jakby miała nadwreżony mięsień.

Althene była nieobecna. Oczywiście. Takt, czy gruboskórność? Camillo zawsze unikał tego rodzaju zebrań. No, prawie zawsze.

Ruth zdjęła lewą rękawiczkę, prawej nie tknęła.

— Czy to taka moda? — spytała Rachaela.

Ruth spojrzała na nią uprzejmie.

— Och, nie. Zraniłam się w rękę.

— To trzeba leczyć. Zwłaszcza jeżeli nadal lubisz grać na fortepianie.

— Malach chce, żebym ćwiczyła, grając tylko lewą ręką, dopóki prawa nie będzie sprawna.

Malach chce. Adamus uważa.

— A ty wyjeżdżasz z Malachem?

Ruth uśmiechnęła się. To był krótki i piękny uśmiech.

Nigdy nie widziałam, żeby tak się uśmiechała. To znaczy, nie, widziałam. Kiedyś Adamus znalazł ją, po tym jak zabiła. Wtedy ożyła i stała się śliczna. Teraz też jest piękna.

— Tak, wybieramy się do Europy.

To było takie staromodne, oddzielanie Brytanii od Kontynentu. W takim razie... co jeszcze?

— Oni zajmą się Ruth — powiedział Erik. Jego głos był twardy i zdarty.

Rachaeli przypomniało się, jak rozwalił pięścią telewizor, uderzając w twarz Ruth na ekranie.

— Wszyscy jesteśmy tacy przemili dla siebie nawzajem — wtrąciła Rachaela. — Czy nie powinniśmy rozmawiać o faktach?

— Nie. Fakty nie są ważne — powiedziała Sasha.

— Sprawą zasadniczą jest to, aby nie popełniać błędów — rzekł Erik.

— Jakich błędów? Jak to możliwe? — Rachaela przełknęła ślinę.

Malach przemówił. Jego głos brzmiał sucho i trochę szorstko, zatracił swą melodyjność.

— Czy uważasz, że ja ją zabiję?

— Tak — odpowiedziała Rachaela.

— Ona jest Scarabeidem.

— Ofiarowałeś jej swoją uwagę, rzecz, której nie dałam jej ani ja, ani Adamus. Wybacz mi, Ruth, mówię o tobie, jakby cię tutaj nie było. Ale, à propos, czy tutaj jesteś?

Ruth nie spojrzała na nią. Wykwintnie pociągnęła łyceczek ze swojej filizanki. Dwa psy leżały nieruchomo.

— Malach nauczył cię, jak masz się zachowywać, prawda?

— Nikt tutaj nie wymachuje obnażonym mieczem oprócz ciebie, a ty jesteś jej matką — powiedział Malach.

— Tak — przyznała Rachaela.

Ich spojrzenia spotkały się. Oczy Malacha emanowały teraz okrucieństwem. Bezlitosne, stare, nie znające żadnej łaski.

— Zraniła cię, kiedy ją rodziłaś, prawda? Czy nie możesz jej wybaczyć?

— Co się stanie, kiedy przestanieś się nią interesować? — spytała Rachaela drżąc.

Malach, nie patrząc, wyciągnął rękę i dotknął policzka Ruth. Miętko przyłożył dłoń do jej skóry.

— Nigdy nie stracę zainteresowania dla niej. Ona jest moją duszą.

Te słowa zawisły w pokoju płonąć. Czy to jest powód do miłości?

— W takim razie przypuszczam, że wszystko jest w porządku — powiedziała Rachaela.

— Trochę mi przykro z powodu Tray. Czy mogę wysłać Michaela, żeby sprowadził ją na dół? Na pewno bardzo będą jej smakowały te ciasteczka — powiedziała niespodziewanie Miranda.

— Widzisz, jest ktoś, kto cię zastępuje. Miła, mała, blada, czarnowłosa dziewczyna, która zachowuje się jak należy — powiedziała Rachaela do Ruth.

Drzwi otworzyły się. To nie była Tray. To był Camillo.

Wszedł do pokoju dziwnym, zmanierowanym, drobiącym kroczkiem.

— Spóźniłem się — powiedział. — Jesteście tutaj. Rozmawiałem z moimi kozakami pod wzgórzem.

Rzucił okiem na Malacha, a później na Ruth. Spojrzenie jego ścięło się i zmroziło. Tak jakby wszedł w arktyczne zimno, spodziewając się tego, i skamieniał. Zaśmiał się.

— Mama. Mój ojciec i moja matka — powiedział.

Ruth przesunęła się odrobinę. Cofnęła się za Malacha.

— Czyż ona nie jest śliczna? Ciekawe, czy zanuci mi kołysankę na dobranoc? Czy owinie mnie w futro, gdy będziemy uciekać przez śniegi? — powiedział Camillo.

— Zamknij się — powiedział Malach.

— Ależ nie — odparł Camillo. — Nie mam zamiaru się zamknąć. Chcę o tym mówić. Przyniosłem podarek.

Camillo prześliznął się naprzód po parkiecie pokrytym kosztownym dywanem i znalazł się przed Ruth. Psy nie poruszyły się.

— Dla ciebie, mamo — wyciągnął coś cienkiego i długiego. To był drut do robótek. Zupełnie spalony.

Żółć podeszła Rachaeli do gardła.

— Prosto z serca Anny. Oto czym ją zabiłaś.

Malach wstał. Psy zjeżyły się.

— Wynoś się — powiedział.

Camillo spojrzał na niego złośliwie, spod oka.

— Za stary jestem. Nie można mnie zranić — powiedział.

Ruth także się podniosła. Położyła rękę w rękawiczce na ramieniu Malacha. Zatrzymał się.

— Camillo — powiedziała Ruth.

— Tak, mamó?

— Bądź moją hańbą — powiedziała spokojnie Ruth.

Twarz Camilla zmarszczyła się jak zmięta. Cofnął się i wyrzekł coś w obcym języku. Ruth skinęła głową. Camillo wypadł z pokoju.

Zaraz po ósmej Stella zajrzała do kuchni. Kurczak dusił się, nabierając soczystości w sosie z jogurtu, szafranu i czosnku. Na desce do krojenia bladożółty i szarozielony pieprz, kremowy banan i czerwone jabłko, cebula i migdały czekały na przysmażenie. Pojemnik z ryżem był pełny, ale sprawdziła jeszcze raz, na wszelki wypadek.

Było piwo, wino, napoje chłodzące i ostry sos korzenny.

Poszła z powrotem do dużego pokoju i wyjrzała przez zasłony w ciemną, niedawno zapadłą noc.

On wkrótce tu będzie.

Usiadła na kanapie i sięgnęła po książkę, ale nie mogła usiedzieć w miejscu. Nigdy nie mogła, kiedy wiedziała, że Nobbi jest w drodze do niej.

Nie widziała go od tamtego czasu po Bożym Narodzeniu. Wtedy, gdy obudził się w środku nocy. „Sroka złodziejka”.

Święta w każdym razie były dostatecznie smutne. Musiała wykazać sporo hartu ducha, żeby je znieść.

Star i jej matka zawsze obchodziły Gwiazdkę. Przypinały srebrne rozetki do obroży kota. Ciągnęły tekturowe walce, które wybuchały, wyrzucając niespodzianki. Oglądały co lepsze filmy ze świątecznego repertuaru telewizji.

Star nigdy nie spędziła świąt Bożego Narodzenia z Nobbim.

Pewnego dnia...

Coś zaświstało w piekarniku i Star poszła sprawdzić. Potem wróciła i znów usiadła.

Może powinna napić się odrobinę wina. To uspokoiłoby ją i odprężyło. Jednak wolała poczekać na niego.

Dlaczego była taka zdenerwowana?

Oczywiście, pojechał szukać Tray.

Dał jej to do zrozumienia, chociaż nie powiedział wyraźnie, że Tray może być z ludźmi, którzy są niebezpieczni.

W jakiego rodzaju kłopoty mógł się wpakować?

Omów nie powiedziała mu, żeby nie jechał.

Zupełnie jakby istniały szanse, że jej posłucha, że zdoła go powstrzymać.

Było pół do dziewiątej. Powiedział, że przyjdzie o ósmej. To dałoby im czas w sypialni, zanim kolacja będzie gotowa. Mniejsza z tym. Przyjdzie później. Powiedział, że zostanie z nią na noc.

Bardzo to lubiła. Przepadała za budzeniem się obok niego. Przynosiła śniadanie na tacy i znowu się kochali. Kupili plastikową kaczuszkę, którą Nobbi wkładał sobie do wanny. Nazwał ją Charlie.

Star poszła do łazienki.

— Cześć, Charlie.

Charlie uśmiechnął się po swojemu, jak zawsze.

Stella opryskała twarz odrobiną chłodnej wody i wytarła się ręcznikiem.

Potem spojrzała na siebie w małym lustrze w łazience. Jej twarz ani jej nie ucieszyła, ani nie rozczarowała. Miała za duże oczy i usta, ale skórę naprawdę niezłą.

Wyszła z łazienki. Włączyła płytę „Wariacje Goldbergowskie”.

Nie chciała żadnego wina.

Była taka zdenerwowana.

Kiedy Nobbi zapowiedział, że ma przyjść, nigdy się nie spóźniał więcej niż pięć minut. Z wyjątkiem jednego razu, kiedy przyjechał pół godziny później, ale przedtem dzwonił z warsztatu, że zepsuł mu się samochód.

Teraz była już za dziesięć dziesiąta.

Poszła do kuchni i wyłączyła piekarnik.

Star rzadko mówiła do siebie na głos. Teraz powiedziała:

— Przestań zachowywać się jak jakaś głupia dzierlatka. Na pewno nic mu się nie stało. Dowiesz się, że coś mu wypadło.

Potem zadzwonił telefon.

Stella podbiegła do aparatu.

— Słucham?

— Star? — zapytał głos Nobbiego. Brzmiał jakby z bardzo daleka.

— Nobbi, kochanie. Wszystko w porządku?

— Jasne, Star. Czuję się świetnie.

— Ja... ja martwiłam się o ciebie.

— Przepraszam, Star. Wiem, że powinienem zadzwonić wcześniej.

— Czy uda ci się tu dotrzeć, kochanie?

— Star... nie. Nie mogę. Naprawdę mi przykro. Wiem, że zrobiłaś zakupy. Wstyd mi, że muszę ci to zrobić.

Poczuła wewnątrz wybuch rozczarowania, jakby załamywał się dach i walił aż do fundamentów.

Opanowała się i powiedziała naturalnym tonem:

— W porządku, kochanie. Co się stało? Czy to coś z Marylin?

— Marylin? Nie, to nie o to chodzi. Star poczuła mdłości.

Zatopiła swoje poobgryzane paznokcie we wnętrzu dłoni. Były bardzo krótkie, ale zdołały sprawić ból.

— Co się dzieje, Nobbi?

— Znalazłem ją. Znalazłem Tray. To znaczy wiem, gdzie jest.

— Och, Nobbi. Gdzie?

— Wolałbym ci nie mówić, Star.

Ciemność zasnęła duszę Stelli.

— Dobrze, kochanie.

— Dlatego, że... widzisz, słyszałem, że to cholernie dziwaczni ludzie.

— Co zrobisz?

— Jeszcze nie wiem. Siedzę w samochodzie na dole, przy szosie. Obserwuję.

— Nobbi, bądź ostrożny.

— Dobrze. Nic mi nie będzie. Opowiem ci. Jakiś facet poszedł na górę do tego domu z panienką. Niezły towar, daję słowo. Mężczyzna wyglądał jak ten, za którym poszła Tray. Długie, białe włosy. Ale ta dziewczyna! Chryste, powinnaś ją zobaczyć. Jak cholerna gwiazda filmowa. Mieli ze sobą dwa psy, wielkie jak konie.

— O Boże, Nobbi.

— Tray jest moją córką.

— Tak.

Stali w ciszy, on oddalony o kilometry w budce telefonicznej, a ona tutaj, w swoim mieszkaniu z zapachem kurczaka, którego nikt nie zje.

— Nobbi, naprawdę chcę wiedzieć, gdzie jesteś — powiedziała.

— Dobrze — zamilkł. — Dobrze, ale tylko między nami.

— Tak, Nobbi.

— To nawet nie jest trudno znaleźć, kiedy się już wie.

Powiedział jej.

Star wysłuchała, czując chłód. Włosy jej się uniosły.

— Muszę już iść, Star. Nie chcę niczego przeoczyć. Jeżeli będzie trzeba, spędzę noc w samochodzie. Ona musi wyjść, moja Tray. Wtedy ja będę tutaj.

— Nobbi, uważaj na siebie jak tylko możesz.

— Będę uważał. Nie martw się, kochanie.

— Kocham cię — powiedziała.

— Ty głupia kozo. Kochać takiego brzydkiego, starego gbura jak ja. Żałuję, że mnie tam nie ma.

— Ja też strasznie żałuję.

— Wynagrodzę ci to.

Potem nastąpił brzęk. Połączenie było skończone.

Przez chwilę stała, słuchając ciszy w słuchawce.

Nie było już nic więcej do usłyszenia.

Z dna pamięci nadeszła ciemność, łagodne dźwięki, pocieszające i delikatne. Czego mogłaby pragnąć, gdyby jej pragnienia miały szansę się spełnić? Przed chwilą była pełnym marzeń dzieckiem, a potem kobietą znajdującą łagodną śmierć we śnie u boku drugiej kobiety. Potem obudziła się.

Kot zdechł już dawno. Teraz miała wrażenie omamów wzrokowych, w dodatku podwójnych. Jej mózg usiłował z tym walczyć.

Na jej łóżku i na jej ciele igrały dwa leciutkie demony, każdy na czterech nóżkach.

— Mój Boże — powiedziała Rachaela.

Głośniejszy kotek znów miauknął. To był młodziutki kocur, cały biały z wyjątkiem czarnej łatki na boku i zupełnie czarnego pyszczka. Wyciągnął łapkę i musnął jej policzek. Jego jądra też pokrywało czarne futerko.

Obok niego stała kocia panienka. Była bardzo do niego podobna, ale odwrotnie umaszczona, czarna z białą mordką. Żadnych łatek, jedynie tu i ówdzie białe koniuszki włosków. Nie odzywała się, nie wyciągała łapek, tylko poważnie wpatrywała się w Rachaelę. Nie będziesz w stanie mi się oprzeć, mówiły jej niebieskie ślepka. Kocur miał jaskrawożółte oczy w czarnych obwódkach.

Wyciągnęła ręce i pogłaskała oba. Kocur potarł mordkę o jej dłoń, a kotka zwięzła oczy. Zamruczały chórem.

Althene siedziała w jednym z zielonych foteli.

— Pukałam, ale nie obudziłaś się. Wybacz to nagłe wtargnięcie bez zapowiedzi. Chciałam, żebyś je zaraz zobaczyła. Podróż w koszyku rozstroiła ich nerwy.

— Skąd się wzięły?

— Załatwiłam je specjalnie dla ciebie — powiedziała Althene tajemniczo.

— To znaczy, że dajesz mi je?

— To moi posłańcy na czas, gdy będę daleko.

— Pożegnalny prezent.

— Zakładki, żeby zaznaczyć moje miejsce w twoim sercu — powiedziała Althene.

— Ale jak ja mogę... ja nie... — kotek wspiał się na jej piersi i ocierał się łebkiem o brodę. Kotka myła sobie łapki.

— To nie wiąże się z żadną odpowiedzialnością. Otworzysz okna, a one będą schodzić po dachu na dół, na swoje spacerki. Będą przychodzić i odchodzić. Spać na twoich poduszkach.

— Coś do kochania — rzekła Rachaela.

To było trochę grubiańskie w obliczu dwóch kotków ocierających się, mrużących i łaszących.

— Cheta będzie przygotowywać im jedzenie — powiedziała Althene.

— Kawior i sola z cytryną. Mrożone kasztany — zaproponowała Rachaela.

— Brzydka, krwista wątróbka siekana na małe kawałki — wyjaśniła Althene. — Gotowane serca wołowe, kawałki kurczaka, od czasu do czasu gotowana na parze biała ryba. Mogą też jeść kocie herbatniki, nie dużo, tyle żeby oczyścić zęby. Kei posieje im kocią trawkę.

Rachaela roześmiała się. Kotkowi widać się to spodobało, bo pocałował ją w usta. Kotka przytuliła się do boku Rachaeli i zasnęła.

— Jak one się nazywają?

— To już zależy od ciebie.

Rachaela położyła się z powrotem, a kotek podszedł i wsunął się w jej włosy.

— Teraz, skoro już tu są, nie sposób odmówić ich przyjęcia.

— To dobrze. My musimy wyjechać dziś wieczorem. — Althene wstała.

— Tak, rozumiem.

— Chcę zabrać ze sobą rzeczy, muszę iść je spakować. Malach nie może czekać.

— Tak, oczywiście. Dziękuję ci.

— One są bratem i siostrą. Kiedy dorosną, sparzą się.

— Ale wtedy... wszędzie będzie pełno kociąt.

— Cudownie. Będę ich doglądać — stwierdziła Althene.

— Och, kiedy ty wrócisz...

— Cheta przyniesie na górę tacę z piaskiem. Muszą przez parę dni zostać w domu. — Althene podeszła do drzwi.

— Tak, będę ostrożna.

Althene wyszła.

Rachaela ukryła twarz w kocim futerku.

Czy można ciągle płakać?

Przed laty czytała książkę, której bohater miał na imię Jacob. Nosił czarną maskę. Samiec powinien mieć na imię Jacob. A ta poważna panienka z białą twarzyczką? Zachowywała się jak młoda aktorka grająca szekspirowską Julię.

Jacob i Julia znów zaczęły mruzczyć, jakby świadome aktu nadania im imion. Łóżko drgało łagodną wibracją kociego mruczenia. Była dopiero ósma, okna szarzały. Przy kociej kołysance Rachaela odpłynęła w sen.

* * *

Piętro wyżej, w jasnym pokoju na poddaszu, Ruth stanęła przy oknie. Nie iskrzyło się żadnymi kolorami. Białe, opalizujące szkło zdobił jedynie zawity wzór z wijących się paproci i czegoś, co mogło być głowami aniołów.

Światło padło na Ruth.

Była naga. Teraz sypiała nago, w jednym łóżku z Malachem. Jej ciało stało się jeszcze piękniejsze, smukłe, z dumnie rozkwitającymi piersiami. Krucze pióra przy pachwinach rozkwitały w błękitną mgiełkę pod jej płaskim brzuchem. Nie miała żadnych włosów na rękach ani nogach, nie rosły tam, a pod pachami miała wygoloną białość. Włosy spadały z głowy kaskadą jak płaszcz, okrywając ją aż po biodra.

Na stole leżały jej skarby, jej trofea: jej kolekcja.

Przywiozła je ze sobą: jabłko, kaczka, złota brzytwa. Skóra pantery zniknęła, oddana komuś. To nie było świadectwo życia, lecz jego kradzież.

Uniosła swą prawą dłoń i spojrzała na nią. W poprzek wnętrza biegła ciemna blizna. Niektóre z nerwów były martwe albo czasowo osłabione, palce sztywne i niezgrabne. Malach pokazywał jej ćwiczenia. Pisać mogła lewą ręką.

Oparzyła sobie prawą rękę, trzymając ją na bryle lodu. Malach czasami brał tę dłoń i trzymał przy sobie, przy swej twarzy lub piersi, jak gdyby karmiąc ją impulsami swego życia.

Teraz spał. Spał jak martwy. Tak cicho, że mogło się wydawać, iż nie oddycha. Czasami mruczał przez sen jakieś słowa. Słowa z innych języków i krain, może z innych czasów.

Ruth wróciła do łóżka i przysiadła na brzegu, obserwując go.

Leżał na fali białych włosów, z głową na pół obróconą. Wokół ust i na czole tworzyły się lekkie zarysy przyszłych zmarszczek, jak u mężczyzn przed czterdziestką. Jego skóra była napięta, jasnobrązowa, na pamiątkę jakiegoś utraconego lata, które zostawiło na niej swój ślad.

Ruth miała ochotę go dotknąć, ale nie chciała obudzić.

Pragnęła dotykać go bez przerwy. Była aż obolała od pragnienia, od wiecznej tęsknoty. Rozkoszowała się bogactwem swego bólu.

Wtedy on otworzył oczy.

Ich błękit zawsze robił na niej wrażenie. Nigdy nie będzie żadnych innych niebieskich oczu na świecie.

— Nie śpisz już. Jesteś całkiem rozbudzona — powiedział.

— Tak.

— Podobna do nich.

— Czy oni tam będą mnie nienawidzić? Tak jak ci tutaj? — spytała i były to pytania dziecka wypowiedziane jednym tchem.

— Oni osądzą cię za to, kim jesteś.

— A kim ja jestem?

— Tym, kim ja cię uczynię.

— Tak. Scarabeidem — powiedziała.

Pochyliła się do przodu i jej czarne włosy ukryły ich w swym wnętrzu. Pocałowała go w szyję. Położył dłonie na jej żebrach. Od razu poczuła się oszołomiona i słaba, tęsknota rozkwitła kolcami i różami pożądania.

— Żałuję, że nie byłam z tobą zawsze.

— Byłaś zawsze.

— Nie kłam.

— Byłaś ze mną w miejscach ciemnych i jasnych.

— A teraz gdzie jesteśmy?

— Między dwoma diabłami.

Stwardniał przy niej. Powiedziała:

— Proszę.

Malach podniósł ją, pociągnął w dół i złożył na swoim ciele. Czuł ją, trzymał nieubłaganie, poruszając jej bezradnym ciałem w kierunku przepaści.

Patrzyła na niego, chcąc dla niego umrzeć. Pragnęła śmierci z jego rąk. Śmierci, która by spopieliała.

Otoczyła się sama jego ramionami, podała naprzód szyję, wygięła plecy w łuk, stając się białą ikoną na tle czarnych włosów. Krzyknęła cicho i przez moment jej ciało zaczerwieniło się, jakby ogarnęły je płomienie.

Coś było nie tak. Wszystko było nie tak. Jeszcze ten cholerny hałas, który go obudził. Nobbi próbował usiąść prosto, ale okazało się, że już siedzi prosto. Znajdował się w zimnym jaguarze i spojrzenie, które wtargnęło do środka, było zimne. Ciemna postać waliła w okno.

To była kobieta kierująca ruchem, ubrana w irytująco pasiasty mundur jak osa. Kobieta ze smutną, cierpiącą twarzą. Nobbi opuścił okno.

— Obawiam się, że nie może pan tu parkować.

— Nie mogę?

— Nie.

— Strefa zarezerwowana? Nie widziałem napisu.

— Przykro mi.

Coś wewnątrz ostrzegło go, żeby się nie kłócić, więc nie zadawał dalszych pytań.

— Jestem zmęczony, muszę odpocząć.

— Tak, ale proszę stąd odjechać.

— Dobrze — odparł Nobbi. Uśmiechnął się do niej. — Męczący dzień?

— Tak — odpowiedziała.

Cofnęła się. Przyjęła wojskową postawę. Stała pod dużym drzewem o zwieszających się gałęziach, podczas gdy on Uruchamiał zimne, niechętne auto i odjeżdżał w dół ruchliwego wzgórza.

Strasznie zdrętwiał, śpiąc w samochodzie. Było już pół do dziewiątej, a on nie zadzwonił do Star, tak jak obiecał. Nie wiadomo, co ona sobie pomyśli. Musi zadzwonić do niej wieczorem, do biblioteki. Nigdy nie mógł zapamiętać numeru. Być może znajdzie jakąś książkę telefoniczną i będzie mógł sprawdzić.

Wśród sklepów u podnóża wzniesienia była elegancka kawiarnia.

Nobbi wszedł i zjadł jajecznicę ze świeżą zieleniną, do tego zawijane ciastko francuskie. Filizanka kawy składała się niemal z samej piany.

Jaguara zostawił w bocznej uliczce wśród samochodów zaparkowanych prawdopodobnie na cały dzień.

Wrócił do niego i wsiadł.

Nie miał nic do roboty.

Musiał spojrzeć prawdzie w oczy, był nieco przerażony. Po pierwsze postąpił wbrew zaleceniom pana Glassa. Tak więc musiał być bardzo ostrożny, nie wszczynać kłótni i nie nastawiać ich do siebie wrogo. Po drugie, jeżeli oni byli taką sprytną paczką, to tym bardziej musiał stamtąd wydobyć Tray.

Siedział w jaguarze z szybami opuszczonymi do połowy i palił jedno ze swoich cuchnących cygar. Nadjechał furgon z lodami i zagrał mu „Srokę złodziejkę”, hymn jego wojny.

Znieruchomiał, zamarł z tłącym się cygarem.

Sporo czasu upłynęło, zanim samochód zatoczył koło, mimo że w taki chłodny dzień nikt nie kupował lodów. Gdy melodia ucichła, Nobbi wyrzucił niedopałek przez okno.

Były jeszcze te psy, brytany o białej sierści. Mogły spokojnie odgryźć rękę albo przegryźć gardło. Wielkie jak cielaki.

Nobbi siedział, nasłuchując, czy znów nie usłyszy „Sroki złodziejki”, ale furgonetka albo była zbyt daleko, albo już nie grała.

Powoli otworzył drzwiczki samochodu. Wysiadł i zamknął jaguara. Żałował, że jeszcze raz nie zadzwonił do Star. Teraz wydawało mu się trochę za późno.

Droga pod górę obok małego centrum handlowego sprawiła, że Nobbi dostał lekkiej zadyszki. Zanim dotarł do otwartych przestrzeni i zagajników, zaczął pokasływać.

Czekał poniżej domu, aż kaszel się uspokoi.

Co za góra, jak ze starego filmu grozy Hamera.

Wchodził na zbocze, chwilami odpoczywając.

Przed nim były drzewa i ścieżka. Powyżej zarośla tworzyły grubą zasłonę, nasiąkniętą starymi deszczami.

Kiedy był już całkiem blisko, zatrzymał się i spojrział jeszcze raz.

Witajcie w motelu „Bates”. Mógł sobie prawie wyobrazić jakąś zmumifikowaną mamuszkę wypatrującą zza firanki, z okna na piętrze, jakiegoś faceta z siekierą czy nożem, ale przecież to byli muzycy rockowi, którzy po prostu lubili takie wymyślne domy. Prawdopodobnie dzięki heroinie buzującej im pod kopułą.

Nobbi wołał o tym nie myśleć.

Wtaszczył się w końcu na górę i zapukał do wejścia.

Zdenerwował się, bo nikt nie otwierał i to go rozgrzało. Zapukał ponownie, ale już gwałtowniej.

Drzwi otworzyły się. Stał w nich starszawy przyk w ubraniu wyglądającym na zakurzone i co najmniej dwudziestoletnie. Miał bardzo czarne oczy.

Portier? Tak, mogli mieć kogoś takiego.

— Czym mogę służyć? — Głos był stonowany i kulturalny.

— Tak, może mi pan służyć. Jestem pan Ives. Moja córka tutaj przebywa. Tracy Ives. Chciałbym się z nią zobaczyć. Wystarczy to panu? — powiedział Nobbi.

Starszawy facet wpatrywał się w niego jakby przez pajęczyny czasu. Nie powiedział nic. Nie był wysoki ani mocno zbudowany.

— W takim razie wejdę, jeśli można? — zapytał Nobbi.

Mężczyzna odsunął się na bok.

Mięśnie napięte, oczy dookoła głowy. Nobbi wkroczył dumnie do motelu „Bates”.

Connor mył głowę gąbką. Viv towarzyszyła mu, siedząc tuż obok i otrząsając się, gdy krople wody padały na nią.

Poniżej, obok namiotów, Tina cerowała Pigowi skarpetki w tygrysie paski. Whisper, Rose i Cardiff zajęci byli grą w „trupiego pokera”. Red siedziała w swoim namiocie.

Ognisko wytwarzało pogodny nastrój. Wokół leżało mnóstwo połamanych gałęzi, żeby mieli czym podtrzymać ogień. Nie było żadnej policji, która zabraniałaby palić ogniska.

Wyżej, ze zdławionego deszczem poranka, wynurzał się dom.

Starszy mężczyzna dostarczył im śniadanie: szynkę i jajka. Właśnie piekły się na grillu. Potem z domu wyszedł inny facet, żeby poćwiczyć dwa fantastyczne, olbrzymie wilczarze. Viv aż zapiszczała, ale Connor powstrzymał ją na wszelki wypadek. Mężczyzna z psami powiedział, że wszystko będzie w porządku, i Connor puścił suczkę. Dwa olbrzymy bawiły się z nią naprawdę sympatycznie, a potem odbiegły w dół zbocza między dęby.

Connor zastanawiał się, czy zobaczy znowu Mirandę, ale widocznie wczoraj musiała wrócić jakąś inną drogą.

Camillo zszedł na dół przed południem.

Usiadł na skrzynce między Connorem a ogniskiem. Viv podeszła przywitać się. Pogłaskał ją leniwie. Wyglądał staro i słabo. Podobnie jak tego dnia na plaży, kiedy Connor zobaczył go po raz pierwszy.

Lepiej zostawić Camilla samemu sobie.

Tak zrobiła Viv i oni wszyscy.

Pojawiła się dziewczyna, która przyszła za Camillem. Prawdopodobnie miała na imię Lou. Usiadła u jego stóp na kawałku płótna. Kusa spódniczka, mnóstwo włosów, zero rozumu.

Connor pucował motor. Zajmował się miejscem przy przednim kole, wymagającym szczególnej uwagi. Kiedy uznał pracę za wykonaną, cofnął się i rzucił okiem. Dobrze, teraz woda. Podniósł wiaderko. Szef służby domowej, chyba Michael, pokazał mu kran na zewnątrz domu.

Connor splukał stovelheada. Motocykl błyszczał.

— Moja piękności! — powiedział Connor czule. Viv zamerdała ogonem. — Ty też, wietrznico!

Lou nawet nie spojrzała na Viv. Zignorowała suczkę. Była głupia.
Red wynurzyła się ze swego namiotu.

Jezu.

Ubrała się w czarną gumę, legginsy ukazujące ją bardzo dokładnie od pasa w dół aż do krótkich czarnych botków. Pod kurtką przylegający stanik. Wszystko co miała, a miała wszystko na miejscu, było do obejrzenia pod czarną, obcisłą ciemnością. Rozpuszczone rude włosy założyła za jedno ucho, w którym tkwił kolczyk w kształcie węża. Odwróciła się i zobaczyła Camilla.

— Jak tam twój rumak! — zawołała. Wydawało się, że jest lekka jak piórko.

Camillo spojrzał na nią.

— On gryzie.

— Wszystkie to robią. Sztuczka polega na tym, żeby na początek dać mu jabłko — odparła Red.

— A źmija w twoim uchu? — rzucił Camillo. Od razu wyglądał lepiej.

— Potrafi ugryźć konia.

Camillo zachichotał. Red uniosła swe długie rude brwi. To był ich naturalny kolor, a rzęsy miała jak wiórki miedzi. Viv zaszczekała i Red posłała jej całusa.

— Ach, moja stara miłość — powiedziała. Na stoku ktoś charknął. Mrozący dźwięk. Wszyscy spojrzeli w górę.

To był Białas–Malach. Ten, którego Miranda pomyliła z kimś innym podczas spotkania pod domem. Syn Camilla? Powiedziała, że ojciec. Malach był piękny. Jak kapłan–wojownik z innego czasu. Nosił się na czarno, a jego dusza miała barwę starego czerwonego wina, tak ciemną, że aż prawie czarną.

— Witaj, imperatorze! — powiedziała Red.

Malach spojrzał na nią i odwrócił wzrok. Patrzył na Camilla. Potem Malach powiedział coś w obcym języku. Brzmiało germańsko, ale może to nie był niemiecki.

Red wydała lekkie westchnienie, a potem odeszła.

Camillo spojrzał w górę.

— Mów po angielsku. Taka jest zasada. Rozmowa zgodna z czasem i miejscem — powiedział.

— Chcesz, żeby słyszeli? Twoi żołnierze? — spytał Malach.

Connor odłożył gąbkę.

— Zejdź z niego — powiedział do Malacha.

Wtedy Malach spojrział na Connora.

Connor poczuł, jak śniadanie ścina mu się w żołądku. Jezu, Jezu, spraw, żeby przestał! To było jedyne, co był w stanie pomyśleć. Podniósł do góry obie ręce pojednawczym gestem.

— To sprawa między wami — powiedział. Cofnął się o parę kroków. Było mu przykro ze względu na Camilla, ale nie było żadnego sposobu, by przeciwstawić się tej mocy. Po prostu nie było sposobu.

Camillo uparcie siedział w obozie. Lou odsunęła się od niego.

— Powiedz, czego chcesz, nie zważaj na sytuację — podpuszczał Malacha.

— To ty nie zważasz. Złośliwy jak zawsze, prawda?

— Jestem za stary — powiedział Camillo.

— Ekskrement — rzucił Malach pogardliwie.

— Pamiętam śnieg i pędzącego konia. Miasteczko w ogniu. Pamiętam moją matkę w saniach — zaczął Camillo.

— Posłuchaj mnie. Masz tutaj swój batalion, ale nie idź za mną i nie idź za Ruth — powiedział spokojnie Malach.

— Podstępna macocha — syknął Camillo.

— Ona powraca w czasy przed twoim urodzeniem, znów powraca w ciemność.

Camillo spojrział wilkiem jak niegrzeczny chłopczyk, który czeka, aby rzucić brzydkim słowem, ale nie robi tego. Malach fuknął i to wystarczyło.

— Przeszłość to dobra rzecz — powiedział Camillo.

— Przeszłość jest łańcuchem. Zerwij go. Weź swoją historyczną kurewkę z krwawymi włosami i poderżnij jej gardło w którąś noc godów. Pozbądź się jej. Pozbądź się śmierci — powiedział Malach.

Oczy Red rozszerzyły się. Naciągnęła kurtkę na ledwie osłonięte piersi i przytrzymała oburącz. Cardiff wstał.

— Uważaj co mówisz, człowieku.

Malach odwrócił się błyskawicznie. Poruszał się jak żywe srebro. Na tle ogniska coś zamigotało jak podwójne światło. Cardiff leżał na plecach.

Lou krzyknęła.

Camillo chwycił Malacha za ramię. Malach odwrócił się i uderzył go w twarz. Lewą dłonią, na której nosił zmatowiałe pierścienie. Purpurowa rana zakwitła na policzku Camilla, na jego starej skórze. Potrząsnął głową. Kropelka krwi oderwała się i odleciała jak łza.

Viv skryła się za Connorem. Starał się zrobić bardzo duży, żeby ją zasłonić.

Red powiedziała z mocą, choć jej głos drżał:

— Nie możecie z tym skończyć?

— Tak, on może. Ty, Camillo, zabieraj swoich żołdatów i zjeżdżaj. Albo zostań i trzymaj się z daleka od Ruth! — powiedział Malach.

— Biegliśmy przez śnieg. Ludzie, nie wilki — rzekł Camillo. Tina zrobiła minę, jakby miała zamiar się rozplakać, i Pig otoczył ją ramieniem. Cardiff leżał tam, gdzie upadł, spoglądając ponuro. Rose i Whisper siedzieli z kartami w ręku, pozornie skupieni. Lou nieznacznie przesuwiała się boczkiem w kierunku drzew.

Ogień trzaskał.

To mógłby być jakikolwiek stok na świecie, nasiąkający deszczem dawno temu i daleko stąd.

Connor usłyszał stąpanie gigantów deptających ziemię.

* * *

W miejscu, gdzie schody dzieliły się na dwie części, lśnił witraż przedstawiający średniowieczną orkiestrę przygrywającą na dziwacznych instrumentach na tle różowego nieba. Inne okna przedstawiały różowowłose harfistki. Motywy muzyczne wprowadzały pewien sens.

Pod schodami wchodziło się do dużego salonu, białego, z wieloma złoceniami.

Nobbiemu wydawało się, że już tam kiedyś był.

Stał na środku holu, przyglądając się oknom, kolumnom i schodom. Starszy mężczyzna, który wpuścił go do domu, zostawił go tutaj i poszedł gdzieś. Zaufanie? A może każdy skrawek tego miejsca był obserwowany?

W pewnej chwili na dole, we wnętrzu domu, zaszczekał wielki pies. Niedobrze.

Słońce wyrzało i hol skapał się w różowawej poświacie, ale potem zniknęło, pozostawiając za sobą strefę cienia.

Gniew znów w nim narastał. Zostawiono go w taki sposób, jakby wcale się nie liczył. Jakby to, cokolwiek by zrobił, nie było istotne. Jakby był kompletnie bezradny.

Nobbi najeżył się, a jego ogorzała twarz poczerwieniała.

— Hej! Hej! — zawołał.

W tej chwili zauważył mężczyznę schodzącego po schodach. Był stary, starszy niż tamten, ubrany w garnitur ze starego filmu. Włosy miał szpakowate, na rękach sygnety.

— Kim pan właściwie jest? — zapytał głośno Nobbi.

— Jestem Erik, a pan, jak sędzę, przyszedł tutaj po swoją córkę.

— Święta racja, panie szanowny. Słusznie. Gdzie ona, do diabła, jest?! — Nobbi znów krzyczał. Jego donośny, podniesiony, pełen gniewu głos wypełniał hol.

— Michael właśnie jej szuka. Może jest z Mirandą.

— Z Mirandą, powiadasz? A gdzie on jest, ten typek, z którym tu przyszła? Wiem o tym.

— Camillo jest na zewnątrz.

— Camillo, paradne imiona tu sobie nadajecie. Dobrze, życzę sobie tutaj tego Camillo. Chciałbym z nim pogadać na stronie! — Nobbi zaśmiał się urągliwie. Pięści miał zaciśnięte.

Coś w Nobbim, co dziwnym trafem miało głos Star, próbowało mu powiedzieć, żeby się uspokoił. Jednak cała sprawa za długo się ciągnęła. Bał się. Bał się dwóch olbrzymich psów, którymi mogli go poszczuć. Bał się goryli, których mogli zawezwać. Bał się tego cholernego, starego dziwadła, które nie wiadomo kim było.

Bał się, co ujrzy, gdy pojawi się Tray.

W tym domu panowała przedziwna atmosfera. Nobbi czuł ją, choć nie wiedział, na czym to polega. Jakby czyjeś oczy spoglądały zza ścian, a za kolumnami czaiły się jakieś kształty. Cholernie szalone pomysły cisnęły mu się do głowy.

Zaraz potem z bocznego korytarza nadeszło jeszcze dwóch mężczyzn. Pierwszym z nich był wcześniej już znany Nobbemu szef służby. Drugi był wyższy, brunet. Stanęli z pięć metrów od niego.

— Takie jest moje polecenie, Kei — powiedział ten, który nazwał się Erikiem. — Ten człowiek chce zobaczyć swoją córkę.

— Tak, panie Eriku.

Nie jest źle. Dwóch z lewej i na schodach ten stary typ podobny do aktora. Żadnych psów.

Dwie kobiety zstępowały po lewych schodach.

Nobbi zauważył je. Były stare, blade jak papier, ubrane w ciemne jedwabne sukienki, czarne włosy spływały im na plecy. Dwie starsze kobiety, które były jednocześnie młode.

Uświadomił sobie, że jedna z nich, ta niższa, to była Tray.

Coś zakłuło Nobbiego w boku. Serce.

W przeszłości bywały różne kłopoty z powodu ludzi, z którymi się wiązała. Zawsze wracała do niego, czasami zraniona, może zbuntowana czy zapłakana, ale była to zawsze jego Tray. Promienna i śliczna. Niepodobna do tej kobiety na schodach.

Co oni jej zrobili? — pomyślał osłupiały Nobbi. Potem wrzasnął:

— Co oni ci zrobili, kochanie? Podejdź do mnie. Chodź tu szybko! Jestem tutaj. Co się stało, kochanie?

Błada jak wampir Tray, z włosami czarnymi jak węgiel, spuszczać oczy cofała się za drugą młodą–starą kobietę. Usłyszał, jak cicho wymawia najmiłsze imię, które on rezerwował wyłącznie dla swojej Staruszki:

— Nan–Nan?

— Ona mnie nie poznaje, prawda? — spytał Nobbi. Jego serce atakowało go potężnymi uderzeniami, biło jak młot. — Co jej zrobiliście? Co? Co zrobiliście mojej córce?

Ruszył w górę schodami w kierunku Tray.

Bez żadnego dźwięku dwaj czekający mężczyźni znaleźli się przy nim. Złapali go i unieruchomili. Chryste, ależ byli silni! Nobbi krzyknął.

* * *

Nizej, na zboczu, Malach odwrócił głowę w stronę domu.

Connor również coś usłyszał: odgłos silnika czy muzyki o narastającym natężeniu.

Camillo zachichotał.

Malach znów na niego spojrział.

* * *

Wysoko, na górze, Ruth również usłyszała.

Powoli obróciła się, włosy zafalowały.

Jej suknia była ciemnozielona jak las o zmierzchu.

Nasłuchiwała.

Cała była myślą o Malachu. Wciąż trwał w jej ciele i w jej mózgu. Był jej nauczycielem.

Teraz już wiedziała, co oznacza słowo „Scarabeidzi”.

Odwróciła się znów i przeszła dużymi krokami przez pokój, blada, delikatnie umalowana, wymodelowana przez niego.

Na ścianie wisiał kamienny nóż. Dotknęła go końcami palców.

Z niższych pięter domu dało się słyszeć coś w rodzaju dudnienia, jakby ziemia zatrzęsła się pod fundamentami. Potem męski głos jak ryk byka.

* * *

Nie wewnętrzny szept Star, ale zdrowy rozsądek sprawił, że Nobbi przestał walczyć. Zmusił się do bezruchu i rezygnacji w uścisku dwóch mężczyzn, starszego i młodszego, obu tak niesłychanie silnych i żywotnych.

— Już dobrze, w porządku.

— Możecie go puścić — powiedział mężczyzna na schodach.

Puścili go. Był wolny.

Nobbi trząsł się. Dom strachu...

Zrobił wszystko, czego nie powinien był zrobić.

Spojrzał znów w górę, na Tray. Teraz wyglądała na przestraszoną. Była bardziej podobna do tej, jaką pamiętał.

Oczywiście. To tylko sprawa włosów, makijażu, sukni.

Jeżeli doprowadzili do tego, że coś brała, załatwi się jej najlepsze leczenie. Wyjdzie z tego, będzie zdrowa.

Musi trzymać nerwy na wodzy.

— Przepraszam, byłem zdenerwowany. Nie miałem zamiaru tak się zachowywać.

— Ona jest pańską córką — powiedział Erik. Spojrzał za siebie i dodał:

— Mirando, ona musi zejść na dół.

Później drugimi schodami wkroczyła na scenę kolejna postać.

Coś... coś ciemnego.

Dziewczyna. Ta, którą widział już wcześniej. Dziewczyna jak gwiazda filmowa.

Stała nad nimi wszystkimi, patrząc w dół, na niego.

Miała na sobie zieloną sukienkę i zielony pasek wysadzany srebrem.

— Nie miałem zamiaru sprawić nikomu kłopotów — powiedział Nobbi, usiłując zrobić jak najlepsze wrażenie.

Wszystkie twarze były nieruchome, spokojne. Nawet twarz Tray, choć nawet nie drgnęła, teraz była bardziej ludzka w wyrazie.

Tylko tamta wysoko na górze wydawała się dziwna.

Dziewczyna bez wątpienia była na prochach. Oczy miała bez wyrazu, czarne jak trzęsawiska, kubły z farbą. Nie było w nich nic.

Zaczęła schodzić ze schodów.

— Przejechałem kawał drogi. Martwię się, musicie mnie zrozumieć — tłumaczył się Nobbi.

— Jest pan jej ojcem — powiedział Erik.

Nobbiego uderzyło, że Erik zgadzał się z nim, był po jego stronie.

— Racja — przyznał.

Poczuł, że spływa potem.

Dziewczyna w zieleni ciągle schodziła, a z drugiej strony szła Tray obok kobiety w czerni.

— Chodź, kochanie.

— Och, tatusiu — powiedziała Tray.

Poczuł, że odzyskuje oddech. To był jej zwykły ton. Pojękiwanie, protest i próby usprawiedliwiania się.

— Chodź, kochanie. Mama się martwi.

Dziewczyna w zieleni zesza ze schodów, pokonała już całą ich wysokość. Szła w kierunku Nobbiego z doskonałą gracją, paralizując go, zmuszając do śledzenia jej wzrokiem.

Boże, jej oczy.

— O co chodzi, panienko? — zapytał Nobbi zaniepokojony i zdezorientowany.

Zawsze bardzo lubił kobiety.

Lewa ręka Ruth wystrzeliła do przodu. Błysnęło, jakby słońce znów zajrzało przez okno.

Fontanna szkarłatu trysnęła w górę, zraszając kolumny. Obryzgała Ruth, jej włosy i bladą twarz. Gdy mrugała, z jej rzęs spadały koraliki krwi. Czerwone łzy.

— Och! — wykrzyknęła stara kobieta stojąca obok Tray. — Och! Och!

Nobbi czuł się zmieszany i zaskoczony. Spróbował rozejrzeć się wokół. Targnęła nim gwałtowna czkawka, poczuł straszliwy ból w głowie. Cofnął się, a potem hol obrócił się do góry nogami. Upadł.

Leżał na podłodze, krew biła z rozciętej tętnicy na jego szyi. Oczy nic już nie widziały.

— Michaelu — rozkazał Erik.

Michael podbiegł do Nobbiego i przyklęknął. Przycisnął do rany biały tampon. Biel natychmiast przesiąknęła czerwienią.

— Tatusiu — powiedziała Tray.

Ruth stała nad Nobbim. W jej palcach błyszczała złota brzytwa.

— Scarabeidzi — powiedziała.

Nobbi patrzył nie widzącym wzrokiem wprost w sufit. Poczul się głupio. Żałował, że to wszystko się wydarzyło. Zrobiło mu się żal dziewczyny z oczami jak kubły farby. Potem był w samochodzie i oddalał się od wzgórza. Całkiem przyjemne uczucie.

„Biedna Marylin”, pomyślał.

— Tatusiu! — krzyknęła Tray. — Ja chcę mojego tatusia! —zawyla.

Na podłodze holu leżało martwe już ciało Nobbiego, obok klęczał Michael. Nad nimi stała Ruth, zupełnie bez ruchu.

Wyżej Tray. Najpierw krzyczała dziko, a potem popędziła w dół. Padła na kolana w kałuży krwi.

— Tato! Tato!

Erik i Miranda zamarli jak posągi.

Tray uniosła głowę.

— Chcę mojego tatusia! — krzyczała.

Zaniosła się dzikim wyciem, jakiego ludzka istota nie potrafi z siebie wydać, chociaż niekiedy to robi.

* * *

Krzyk w domu zabrzmiał jak sygnał alarmowy. Malach poruszał się tak szybko, że Connor nie wierzył własnym oczom. Camillo skulił się i

przypadł do ziemi u stóp drzew. Ta idiotka, dziewczyna imieniem Lou, przycisnęła ręce do uszu ukrytych pod farbowanymi rudymi włosami.

Cardiff podniósł się z trudem, a Pig, Rose i Whisper próbowali ruszyć w stronę domu.

Connor ustawił się w poprzek stoku nad nimi, rozkładając szeroko ręce. Viv przycupnęła za nim, warcząc.

— Nie.

Cofnęli się, patrząc na siebie nawzajem.

— Ale... — powiedział Rose.

— Nie. Nie! Nie i jeszcze raz nie! — przerwał mu Connor.

Posłusznie usiedli na ziemi jedno obok drugiego.

Dziewczyna imieniem Lou puściła się pędem między dęby.

Krzyki zamilkły.

* * *

Malach podniósł Tray do góry i obrócił do siebie. Trzymał ją, mimo że się broniła. Dotknięcie jego rąk sprawiło, że poddała się i uspokoiła. Przez chwilę zawisała na nim w ciszy. Potem powiedziała:

— Chcę mojego lwa.

Miranda podeszła i zabrała Tray z ramion Malacha. Tray wyjaśniła:

— Mój lew. To mój przyjaciel.

Tray była pokryta krwią tak samo jak Ruth. Jednak krew różnie je splamiła. Była jakby własnością Tray, bo z niej pochodziła. Ruth nie miała żadnego prawa do tej krwi.

Miranda prowadziła Tray z powrotem schodami na górę, podtrzymując ją delikatnie. Malach spojrzał na Ruth.

— On im groził — powiedziała.

— Kto?

— Ten człowiek.

— Nie. Niczego się nie nauczyłaś — powiedział Malach.

— Tak. Scarabeidzi. Zabiłam dla nich.

— Jesteś plugawa jak plaga. Niczego cię nie nauczyłem. Ty niczego się nie nauczyłaś.

— Owszem. Malachu, on był wrogiem. — Jej oczy powoli wracały do życia i skupiły się na nim.

— Tylko głupcem. Ale ty ze swoim złotym szponem. Ty!

Rachaela wyszła na szczyt schodów, przywołana krzykami jak gdyby na jakiś starożytny rytuał. Spojrzała w dół. Zobaczyła Malacha, wojownika w zbroi, kapłana wykutego w kamieniu. I Ruth, dziecko, kulącą się w szacie z zieleni i krwi.

— On był... — zaczęła Ruth.

— Niczym — uciął Malach jak nożem.

— W takim razie byłam w błędzie. Pomyliłam się.

— To dla mnie bez znaczenia.

Rachaela pomyślała, że te słowa pochodzą z innego czasu, powtarzane wciąż od nowa.

— Malachu! — powiedziała Ruth.

— Nie wymawiaj mojego imienia — odparł. Zwrócił się do Erika. — Wsadźcie ją do jakiegoś pokoju czy piwnicy. Tam, gdzie zamknęliście ją wcześniej. Trzymajcie ją tam przez trzysta lat. Może w ten sposób nauczy się czegokolwiek.

— Malachu — powiedziała Ruth. — Malachu!

— Nie dla ciebie.

— Jestem twoja. Mam z tobą wyjechać.

— Nie jesteś moja. Idź do piekła. Zgiń, przepadnij!

— Mirando, czy mogę dostać cukierka? — spytała Tray.

— Tak, kochanie — powiedziała Miranda. — Mnóstwo, mnóstwo cukierków. Weź mnie za rękę.

Potem Erik widocznie skinął na Michaela i Kei, ponieważ podeszli i chwycili zakrwawioną Ruth.

Nieśli ją schodami na górę, jak na egzekucję.

Raz ją uwięzili, kiedy zabiła. Wtedy, w tamtym innym czasie, była cicho, milczała.

Teraz krzyczała. To były krzyki z najgłębszej głębi, na które odpowiadał każdy zakątek ciała. Lamenty złupionej Troi, ślepe wrzaski Hiroszimy.

Malach stał pod schodami i słuchał.

Rachaela widziała go wsłuchanego z twarzą jakby ściętą lodem.

Potem przenosili Ruth obok niej i Rachaela wyciągnęła rękę.

— Ruth.

— Malach! Malach! — krzyknęła Ruth.

Jej krzyki brzmiały dalej, jego imię powtarzało się coraz wyżej aż po ostatnie sklepienie domu.

— Dobry Boże — Rachaela przyłożyła rękę do warg. Czuła się rozdarta, jakby znów urodziła Ruth, jakby znów Ruth wydostała się z jej ciała. Ale Ruth teraz była jak martwa.

Hades.

Przez ciemność pełznął potwór, powoli zasysając pozbawiony wilgoci czarny osad mrocznych tuneli. To usuwano kurz azbestowy, który przylgnął do ścian i sklepienia. Tajemnica nocy, której nikomu nie wolno było poznać, prawda o podziemnej truciznie.

Metro nocą.

Teraz, kiedy potwór już przepelznął, nadszedł wolnym krokiem mężczyzna.

Malach poruszał się w labiryncie tuneli, nie wydając żadnego dźwięku. Wybrał inną drogę i głuchy ryk potwora zamilkł w oddali.

Mysie piski dochodziły z tego miasta dziur i ścieków.

Piekło pachniało jak stary komin kopciem i brudem. Miejscami płonęły światła, miejscami zalegała nierzeczywista ciemność. Czasami, jak wspomnienie o daleko przejeżdżającym pociągu, przeleciał powiew, ciepły wiatr o nieswieżym zapachu.

Twarz Malacha wyłaniała się z mroku, to znów niknęła. Niemożliwa do odczytania nawet wtedy, kiedy stłumione lecz potężne światło spłynęło nagle na niego z głębi ciemności.

Tory i urządzenia wokół postukiwały, jakby górnicy uwięzieni w pułapce tunelu wzywali pomocy.

Malach zanurzył się w mrok, a potem wyszedł na światło.

Grupa remontowa w jaskrawych roboczych kombinezonach, drążąca w ziemi, obróciła głowy w jego kierunku. Błada irlandzka twarz spojrzała smutnymi, wodnistymi oczami. Obok Murzyn; w ściągniętych rysach gniew, którego nigdy nie wypowie. Tkwili tu złapani w pułapkę w piwnicy życia. Patrzyli, kto nadchodzi.

— Cześć, kolego.

Stanęli z boku, żeby dać przejście.

— Lepiej nie idź dalej.

Malach przechodząc uniósł dłoń, a Murzyn „przybił piątkę”. Pozdrowienie rzadkie między białymi i czarnymi, lecz w tych okolicznościach dopuszczalne, a nawet nie wiadomo dlaczego naturalne.

Kiedy Malach poszedł dalej, Murzyn poczuł w swoich palcach banknot, wetknięty tam delikatnie jak skrzydło motyla.

— Mario, Matko Boża! — zdziwił się Irlandczyk. Stali, przyglądając się pieniądzom.

Na zewnątrz, na peronie, brygadzysta w pomarańczowym podkoszulku patrzył na niknącego w dole Malacha.

— Hej, ty!

Malach nie zareagował.

Mężczyzna pijący herbatę potrząsnął głową.

— Zostaw go, Eddie.

Za stacją rozciągała się kolejna ciemna przestrzeń. Dalej, gdzie było trochę więcej światła, pracowała grupa kobiet w kombinezonach, o twarzach przesłoniętych małymi srebrnymi maskami ułatwiającymi oddychanie. Jedna z nich śpiewała niskim, zachrypniętym głosem.

— *...za każdym razem, gdy mówimy sobie do widzenia...* Piosenka brzmiała kojąco. Kobiety, których zadaniem było sprzątanie, przyglądały się pracy ekipy remontowej. Były jak ćmy pod ziemią. Zamiataly i otrząsały czarny pył z wnętrzości miasta. Te kobiety i ci mężczyźni tworzyli przedziwny szczep, zagubiony i żyjący jak wampiry w trumnie metra.

— Kochasiu, dalej już nie idź — powiedziała jedna z kobiet do Malacha.

— Nie idź, mileńki. Tam jest martwa strefa — dodała inna.

— Ona ma na myśli, że następna stacja jest zamknięta — powiedziała pieśniarka głosem zniszczonym, a jednak słodkim jak gęsty syrop.

— Od pięćdziesiątego roku — dodała jakaś gruba kobieta.

— Dziś w nocy nie — stwierdził Malach.

Kobiety odsunęły się na bok.

— Ty nie jesteś z tamtych?

— Nie — powiedział.

— Szumowiny. Zrobiłabym coś z nimi, ale co można zrobić? — warknęła inna kobieta.

— Słysząc ich z daleka za każdym razem — dodała pieśniarka.

— Dzisiejszej nocy nadejdzie cisza — obiecał.

Spojrzały uważnie. Pieśniarka pokiwała głową i zaśpiewała:

— *Umieram po troszeczkę każdego dnia...*

Malach ujął jej dłoń. Przyciągnął ją do siebie i skłonił głowę, aż jego czoło spoczęło na jej zakurzonych włosach. Pachniała, jakby próbowała utrzymać czystość na przekór wszystkiemu. Nigdy nie zdarzył się w jej życiu mężczyzna, który dotykałby jej tak jak on teraz. Nigdy przedtem i nigdy potem nie było takiego mężczyzny.

Kiedy odszedł, ta, która nie śpiewała, zaśmiała się. Potem przestała się śmiać.

— Spójrzcie.

Popatrzyły w kierunku, który wskazywała.

— Żetony z wesołego miasteczka — powiedziała któraś z kobiet.

— Zapewne.

Ciemność połknęła Malacha. Zniknął za zakrętem w kierunku stacji-widma.

— Widzicie, co ja znalazłam? — spytała gruba kobieta. Podniosła w górę męską nogę. Była sztuczna.

— W czwartek znalazłam rękę — dodała inna.

Cofnęły się wzdłuż tunelu, gdzie czekała gorąca herbata.

* * *

Tutaj, na dole, zawsze znajdowano różności. Odkrywano piwnice z winem i groby z czasów zarazy. Szkielety. Kiedyś trafiono nawet na wielkiego dinozaura, potajemnie usuwanego kawalkami, żeby nie trzeba było wstrzymywać prac nad pogłębianiem tunelu. Czasami wyprawiano wielkie bankiety, żeby udowodnić bezpieczeństwo sklepień. Świece płonące w kandelabrach, brzęk cieniutkich kieliszków mieniących się szampanem.

A teraz słychać było brzęk szkła gdzieś dalej, dostrzegalny stał się blask nowych światel.

Czerwonawa poświata rozświetlała zamkniętą stację metra, odsłaniając niesamowite stare plakaty i afisze, z wiekiem nabierające patyny i szlachetnej przezroczywości. Hovis, Ovaltine, Mydło Gruszkowe, dziewczęta na rowerach i dziewczęta huśtające się na rożku księżycy. Teraz stanowiły tylko widma, zmuszone do przyglądania się mijającemu czasowi.

Znajdowała się tu arena otoczona pierścieniem ludzkich sylwetek.

Mężczyźni w ubraniach szytych przez drogie krawców. Marynarki indywidualnie dopasowane, włoskie buty. Było ich ośmiu. Jeden z włosami ściągniętymi do tyłu w kitkę przy pomocy spinki z kości słoniowej. Inny w futrze. Dyskretnie połyskiwały złote obwódki na ekskluzywnych papierosach. Butelki szampana stygły w próżniowych chłodziarkach, by napęlić płytkie kieliszki. Ozonowy zapach walczył o prymat z wonią bogatych samców: wodą kolońską, płynem po goleniu, olejkiem do włosów. Potem dołączył inny: pulsujący, cielesny, mięsny.

Dwa czarne psy, obłe, jakby odlane z formy, spojrzały na siebie groźnie. Potężne szczęki z zakrzywionymi kłami czekały na uwolnienie z kagańców, żeby wpijać się i szarpać. Mężczyźni śmiali się z ich gorliwości.

Gdy zostały spuszczone ze smyczy, facet w futrze dodatkowo wymierzył bliższemu psu solidnego kopniaka. Skoczyły na siebie.

Pierwsza krew ukazała się po trzech sekundach.

Jej odór uniósł się w powietrzu, dominując nad innymi zapachami.

Mężczyźni wrzeszczeli. Porobili ostre zakłady.

Psy wpiły się w siebie, z trudem udało się rozłączyć je ze zwarcia.

— Dalej!

Mężczyzna w butach o kolorze żabiej zieleni wkopał powolniejszego z psów na środek pola walki.

Znów wpadły na siebie, nożycowate szczęki usiłowały chwycić gardła i zacisnąć się skutecznie. Potoczyły się po ceramicznych płytkach. Krew splamiła plakat z Ovaltiną.

Mężczyzna w futrze wsunął rękę pod swe rozpięte okrycie, które rozchyliło się usłużnie. Miał wyraźną erekcję, wdychał pot gladiatorów, zapach krwi i panujące wokół podniecenie.

Jeden z widzów stał na końcu peronu, nie chcąc pobrudzić się krwią. Kołysał szampanem w płaskim kieliszku. Coś białego mignęło mu na torach. Odwrócił się. W dole stał, uśmiechając się, nowo przybyły.

— Spóźniłeś się. Potrafisz się wdrapać? — powiedział widz z góry, wyciągając rękę.

Mężczyzna z białymi włosami sięgającymi bioder ujął podaną dłoń i bez żadnego wysiłku znalazł się na peronie.

— Przejdź... — zaczął uprzejmy dżentelmen, teraz znacznie bardziej zainteresowany nowym widzem niż walką, która już zdążyła go znudzić. Przybysz spojrział mu z uśmiechem w twarz. Nikt nie

zwracał uwagi na nic poza dwoma walczącymi i krwawiącymi psami. Odgłosy bulgotania, warczenia, przekleństwa tworzyły hałas, który rozchodził się pod sklepieniem i powracał z wielokrotnością echem.

Malach wymierzył cios pięścią wprost w śledzionę. Pękła natychmiast. Uprzejmy dżentelmen zwał się na peron. Nikt tego nie widział.

Mężczyzna w futrze zauważył Malacha, gdy ten znalazł się tuż obok.

— Ładne futro — powiedział miło Malach.

— To specjalny gatunek kotów. Kosztują majątek — pochwalił się mężczyzna.

Dyszał lekko, manipulując przy swoich spodniach z oczyma wbitymi w masę czerni, zębów i krwi.

Kiedy dłoń Malacha zawędrowała pod futro, był może zaskoczony, lecz nie urażony. Roześmiał się na przydechu. Potem stało się coś niewiarygodnego, szarpnięcie i ból, ból!

Chlusnęła krew.

Pozostali czujnie odwrócili się w ich stronę.

Mężczyzna w kocim futrze cofnął się do tyłu, w jego boku ział wielki czerwony otwór. Improwizacja na temat metody wikingów, żebra wyszarpięte i odgięte.

Teraz stacja rozbrzmiewała innymi dźwiękami.

Tylko walczące psy ryły pazurami i wyciskały z siebie ostatnie soki. Nie zadały sobie trudu, żeby spojrzeć.

Powietrze nabrzmiało od krzyku i krwi.

Dwóch mężczyzn schwyciło Malacha. Uśmiechnął się. Upadł na plecy, pociągając ich za sobą. Gdy wylądowali na ziemi, podwójny trzask odbił się echem od ścian. Łokcie Malacha strzaskały ich żebra. Ktoś próbował go chwycić. Malach zmiażdżył mu twarz jak zgniły ogórek.

Każdy teraz chciał zwalić rozprawienie się z nim na kogo innego. Wreszcie jeden podszedł z nastawionym nożem typu Buck.

— Masz, to dla ciebie!

Malach zanurkował i walnął go od dołu głową w podbródek. Nóż ciął pionowo, a potem jeszcze poziomo. Ale to były tylko niekontrolowane ruchy. Mężczyzna leżał z głową nienaturalnie

skręconą, zaplątaną w stopy Malacha. Malach uwolnił nogi z przesadną pieczołowitością.

Psy zamilkły. Krew płynęła z ich ran. Malach także krwawił z rany w lewym boku.

Za nim, skradając się brzegiem peronu, pojawił się niski człowieczek, wymachujący bronią, którą udało mu się zdobyć. Był to młot kowalski.

Trafił Malacha z tyłu, ciosem, który powinien rozłupać czaszkę jak orzech.

Malach przychylił się, oddech wydostawał się z jego gardła z niskim, zwierzęcym pomrukiem, jak warczenie psów w ostatnim stadium walki.

Mały człowieczek upuścił młot, który był dla niego zbyt ciężki. Nabrał w płuca powietrza, żeby krzyknąć triumfalnie do dwóch pozostałych: mężczyzny z końskim ogonem spiętym kością słoniową i tego w butach w kolorze zielonej żabki.

Wtedy Malach znów stanął na nogach i obrócił się powoli wokół własnej osi. Oczy miał zupełnie zbiegłe. Wyciągnął rękę i grzmotnął pięścią małego człowieczka, który z wrzaskiem przeleciał w poprzek peronu i dalej przez szyny. Trafił w plakat z dziewczyną huśtającą się na księżycowym rogaliku. Na jej piersi ucichł i zsunął się na dół. Padł z rumorem na tory.

Mężczyzna ze spinką pokojowym gestem uniósł dłonie w górę. Ten drugi zaskamlał.

— Dobrze! Już w porządku!

— Niedobrze — odparł Malach. Jego twarz wyglądała na starszą niż czaszki, które kiedyś wykopano z masowego grobu z czasów zarazy. Jednak uśmiechał się, jakby przez grzeczność.

Dwa psy były wykończone, przynajmniej na to wyglądały. Jeden zacisnął szczęki na gardle drugiego. Zamknął oczy.

Ten w żabich butach ruszył przed siebie i potknął się o ciała psów. Upadł na nie. Umierający pies odwrócił okaleczony łeb i przegryzł mu gardło w ostatnim paroksyzmie życia. Zrobił to tak nagle, że człowiek nie miał szansy nawet krzyknąć.

— Jesteś wspaniały. Jesteś zadziwiający! — powiedział „Kościana spinka”.

— Tak — potwierdził Malach.

— Puść mnie. Masz już dosyć.

— Jeżeli chcesz, możesz przebiec kawałek. Trening zawsze dobrze robi — powiedział Malach.

— Zastanów się — kontynuował „Kościana spinka”. — Nawet jeżeli twój kręgosłup wytrzymał uderzenie młotem, to twoje kręgi są nadwężone.

— Naprawdę?

— Spójrz. Tu są pieniądze z zakładów. — Mężczyzna rzucił przed siebie brązową chmurę. — Sądzę, że nie czujesz się najlepiej.

— Nie — powiedział Malach.

— I o to chodzi — ciągnął „Kościana spinka”. — Masz pieniądze. Ten cholerny pies, w każdym razie, nie nadaje się już do niczego.

Poszedł wzdłuż peronu do wyjścia, które było odryglowane. Światło pobłyskujące przez otwarte drzwi nie było tak jaskrawe jak lampy ostrzegawcze na torach.

Malach spojrzał na psy.

Martwy kolos nadal miał szczęki zatopione w gardle mężczyzny. Drugi, na pół ślepy, spojrzał w górę na Malacha i warknął.

Malach odkaszlnął i wytarł krew, która wypłynęła mu z ust.

Potem cicho przesunął się w kierunku wyjścia w ślad za tamtym.

Ściany korytarza pokrywała biała glazura, jak w pierwszorzędnej ubikacji publicznej. Małe, mlecze lampy świeciły z sufitu. Mężczyzna z kitką szedł teraz szybko, oddalając się.

Nie słyszał Malacha, jedynie wyczuwał jego obecność. Obejrzał się. Potem pobiegł, ale nie dla treningu.

Malach jedynie kroczył.

Białe tunele niknęły w górze, prowadząc do holu. Tu było więcej plakatów, całe pomazane starymi napisami: „Pocałuj mnie zaraz”, „Odpierdol się”.

Olbrzymie jak smoczy grzbiecie ruchome schody zjechały z góry.

„Kościana spinka” podbiegł i wskoczył na jadącą taśmę. Stał, patrząc za siebie, gotów do biegu.

Malach dotarł do ruchomych schodów, ale wybrał nieczynne, zamarte jak dinozaur.

Biegł, pędził w górę po nieruchomej taśmie schodów. Kiedy dotarł na wysokość „Kościanej spinki”, wyprzedził go i bez trudu przeskoczył barierkę. Był tuż obok swojej ofiary na poruszającym się szlaku.

Mężczyzna próbował zejść w dół. Po chwili przewrócił się, upadł na kolana. Stopnie znów wyniosły go w górę na klęczkach.

Malach schodził bez żadnych trudności.

Aż dotarł do niego.

Stanął nad nim i przycisnął głowę z kitką do ruchomego podłoża. Pasma włosów dostało się między stopnie. Człowiek krzyczał, gdy jego ciało obracało się i było wleczone do góry. Trzymał się oburącz za szyję.

— Nie — wychrypiał.

Malach stał nad nim bez ruchu i powoli, nieuchronnie wznosili się razem na powierzchnię.

Kiedy już tam docierali, stopnie zaczęły powracać do poziomu, a Malach zmiążdżył mu głowę i to, co było twarzą mężczyzny, zostało wciągnięte pod płyty chodnika. Wtedy mechanizm schodów zaciął się, ale dla człowieka z końskim ogonem było już za późno. Echa jego męczarni milkły powoli, jakby staroświecka stacja nie chciała ich rozgłaszać na zewnątrz.

Kiedy Malach zszedł w dół, ranny pies, jedyna istota, która pozostała przy życiu, spojrział na niego i warknął. Krwawa ślina zapieniła mu się na pysku.

W świetle czerwonym jak blask hutniczego pieca ciała wyglądały równie abstrakcyjnie jak gruzy. Tylko martwy pies wyglądał na to, czym był naprawdę.

Malach wyciągnął ręce i żywy pies obnażył łopatowate kły, z których zwisały strzępy mięsa.

Dłoń Malacha, ta z pierścieniami, opuściła się na jego pokrwawiony łeb i zwierzę zamknęło pysk. W brzydkich, mądrych oczach pojawiło się zaskoczenie.

Malach przyklęknął i podniósł ciężkie, bezwładne cielsko. Przez chwilę przywracał rytm swemu oddechowi.

Potem trzymał psa blisko siebie, a ten spojrział na niego bez wyrazu.

— Ciebie — powiedział Malach — mogę zmienić.

Wyszedł, powrócił z piekła po zepsutych ruchomych schodach, przekraczając ostatnie ciało. Potem przez niewielkie ukryte drzwi ruszył w miasto, które było podobne do wszystkich miast. W czas, niosący jak zawsze agonię, nudę i plugastwo, którym nie było końca.

Stella czekała prawie trzy tygodnie. Potem myślała sobie, że zwleka tak długo, ponieważ wiedziała od początku. Pragnęła tylko jak najdłużej trzymać tę wiedzę z dala od siebie. Nic nią nie targnęło, nie miała poczucia nagłego osamotnienia. Jedynie kiedy nie zadzwonił do niej tamtego ranka, zaczęła mieć lekkie mdłości. Dolegliwość ta towarzyszyła jej przez wszystkie godziny czuwania, od momentu przebudzenia do chwili zaśnięcia. Tylko tyle, nic więcej.

Nobbi zawsze był niezawodny, takim go znała. Jeżeli nie mógł zobaczyć się z nią, co zdarzało się często, wtedy dzwonił raz albo dwa razy w ciągu tygodnia. To były smutne, krótkie rozmowy i pozwalały przez chwilę posłuchać jego głosu. Mimo wszystko była mu wdzięczna i za to.

Jeżeli powiedział, że zadzwoni, zawsze dzwonił.

Na początku tłumaczyła sobie, że odnalazł Tray i córka była w fatalnym stanie, jak to się zdarzało wcześniej. Nobbi, co zrozumiałe, zajmował się dziewczyną i po prostu zapomniał.

Kiedy minęły cztery dni i noce, Stella zaczęła podejrzewać coś złego. Myślała, że Tray jest chora, albo ktoś ją skrzywdził.

Nadal sądziła, że Nobbi zadzwoni do niej choćby po to, żeby powiedzieć kilka słów, dać jej znać.

Przez cały czas miała mdłości. Jak słyszała, tak samo działo się z niektórymi kobietami w odmiennym stanie. Jadła wyłącznie banany i popijała herbatą.

W drugim tygodniu zaczęło do niej docierać, że Nobbiemu coś się musiało stać. Stopniowo zżywała się z taką myślą, ale ciągle odpychała ją od siebie. Musiało przecież istnieć jakieś wytłumaczenie, wystarczy je znaleźć. Wtedy zrozumie, co się stało.

Chciała zadzwonić do niego do domu. Nic trudnego, znała numer, figurował w książce telefonicznej. Nazwisko i nazwa firmy.

Przede wszystkim bała się rozmowy z Marylin. Obawiała się, że jej telefon może spowodować jakieś problemy. Bo co mogłaby powiedzieć?

Jednak po dziewiętnastu dniach uświadomiła sobie, że istnieje bardzo prosta wymówka. Mogła podać się za klientkę, której Nobbi

obiecał, że wykona jakieś tynkowanie ścian. Jeszcze lepiej nie dla niej nawet, ale dla jej matki.

Wtedy postanowiła zatelefonować.

Sygnał zabrzmiał trzy i pół raza, zanim słuchawka została podniesiona.

Wyraźnie gadatliwy kobiecy głos podał numer.

Marylin? Z pewnością nie.

— Czy mówię z panią Ives?

— Nie, ja tu tylko sprzątam. Boję się, że pani Ives nie może podejść do telefonu. Przynajmniej tak mi się wydaje.

— W porządku. Tak naprawdę chodzi mi o pana Ives. Ja i moja matka umówiliśmy się z nim na drobny remont i nie mamy od niego żadnych wiadomości. — Stella starała się, żeby jej głos brzmiał energicznie i rzeczowo.

— Och, Boże — powiedziała gadatliwa sprzątaczką i zamilkła.

— Nie skontaktował się z nami — rzekła Stella.

— Nie, bo on już tego nie zrobi. Pan Ives nie żyje od trzech tygodni.

Stella zacisnęła dłoń na słuchawce. To była jedna z tych rzadkich chwil, ukazujących całą absurdalność rzeczy materialnych, ciała, zmysłów, przestrzeni, czasu. Wszystkiego.

Poczuła, jakby w jej głowie przesunął się ruchomy napis: „Pan Ives nie żyje”.

Kim był ten pan Ives? Nie Nobbim. Nobbi nie umarł. To tylko pan Ives.

Stella nie odezwała się.

— Jego żona jest ogromnie wstrząśnięta. Może sobie pani wyobrazić. Myślę, że ona zamknie interes, więc nie ma dużych szans, żeby ta praca była zrobiona. Powinna sobie pani znaleźć kogoś innego — trąkotała sprzątaczką.

— Tak, spróbuję. Dziękuję pani. Do widzenia — odpowiedziała Stella.

Potem odłożyła słuchawkę.

Ogarnął ją chaos szaleństwa. Potem zaczęła płakać gwałtownie i gorzko.

Pomyślała: „To nie może być Nobbi. Dlaczego ja płaczę?”

Dwa dni później Stella miała telefon z biblioteki. Chcieli wiedzieć, dlaczego nie przyszła do pracy.

Powiedziała, że zaraziła się czymś. Gardło miała chore, prawie straciła głos. Lekarz powiedział, że musi zostać w domu przynajmniej przez tydzień.

Powiedzieli, iż mają przez nią mnóstwo kłopotów. Nikt nie wyraził nadziei, że szybko dojdzie do siebie.

Było to zresztą logiczne, bo tak się nigdy nie stanie.

Nie mogła sobie nawet wyobrazić, że kiedykolwiek wróci do pracy, że cokolwiek w ogóle będzie robiła.

Kiedy zmarła jej matka, poczuła przerażający smutek, ale potrafiła stawić mu czoło. Żyła dalej. Coś w niej zawsze zabiłniało rany po matce i po kocie, ale nigdy nie dotarło do niej, że kochankowie także mogą umierać.

Nie śniła o nim. Kiedy przesypiała kilka porannych godzin, jej sen był czarny. To było jak śmierć, odpowiadało jej.

Wtedy zrozumiała, że mogłaby się zabić, lecz to też wydawało się zbyt dużym wysiłkiem.

Tak żyła i jakby umierała po trochu. Żywiła się tylko herbatą i wodą mineralną „Evian”. Przestała odczuwać mdłości.

Ból ogarniał ją całą. Nie do opisanania i nie do uniknięcia.

Czasami wyobrażała sobie, że ma atak serca, i zrywała się w panice.

Jednak z czasem strach przybladł.

Miała cały czas włączone radio, chociaż go nie słuchała. Ludzki głos był pociechą nie przynoszącą ulgi, jak bandaż na ranie, która nigdy się nie zagoi.

Czasami słyszała londyńską wymowę, która przypominała jej głos Nobbiego. Płakała wtedy, a ciepłe łzy sprawiały jej przyjemność.

W następnym tygodniu zatelefonował do niej z biblioteki pan Rollinson.

— To naprawdę jest już przesada, panno Atkins.

— Idź i pierdol się, jeżeli w ogóle to potrafisz.

Kiedy odłożyła słuchawkę, roześmiała się. Nobbi także by się roześmiał. Powiedział jej kiedyś: „Star, jeżeli chcesz zrezygnować z tej pracy, to ja dopilnuję, żeby ci niczego nie brakowało”. Mógłby ją

utrzymywać, tylko że ona nigdy by się na to nie zgodziła. Wysoko ceniła swoją niezależność.

I bardzo dobrze. Stało się. Nigdy więcej biblioteki.

Wzięła następną kąpiel. Tak jak herbata i woda „Evian”, było to jej jedyne lekarstwo. Dwie lub trzy kąpiele na dzień. Może coś w rodzaju duchowego zanurzania się w płynach.

Charlie, plastikowa kaczka bujała się w wodzie przy jej piersiach. Star myślała o Nobbim i onanizowała się w kąpeli. Szczytowała i płakała.

Pomyślała, że to się kiedyś musi skończyć.

Myślała o wszystkich wdowach, które знаła, wesołych w swojej czerni.

Nie, to nigdy się nie skończy.

* * *

Minął miesiąc od czasu, kiedy sprzątaczką powiedziała jej o śmierci Nobbiego. Pewnie już dawno został pochowany. Trudno jej było uwierzyć nawet w tak oczywiste rzeczy, jak ceremonie pogrzebowe. Pewnego dnia pod jej okno zajechał cukierkoworóżowy daimler.

Był to tak głupi i nieprawdopodobny widok, że zajął ją na jakieś pół chwili.

Już odwracała się od okna, kiedy z samochodu wysiadł młody mężczyzna i przeszedł przez trawnik w kierunku drzwi wejściowych.

Jego elegancki ubiór kontrastował z ponurą pogodą. Perłowy garnitur, koszula w najwykwintniejszym bladożółtym kolorze. Krawat o jeden odcień ciemniejszy.

Gdy zniknął we wnętrzu budynku, Stella wiedziała. Kiedy po krótkiej chwili zadzwonił dzwonek do drzwi, poszła otworzyć, czując jak ogarnia ją głucha wściekłość.

Nobbi prowadził interesy z ludźmi tego pokroju. Nigdy tak naprawdę nie powiedział jej o tym, ale też nigdy nie robił z tego żadnej tajemnicy.

Czego ten mógł chcieć? Ukatrupić ją? Zapraszamy serdecznie.

— Tak? — spytała Stella, stanowiąc żywy kontrast z wyglądem przybysza. Sprane dżinsy, sweter z plamą po herbacie, włosy nie umyte, twarz zastygła w maskę rozpacz.

I on. Opalony pomimo zimy. Ze srebrną obrączką.

— Pani mnie nie zna, panno Atkins. Mam na imię Luke. Byłem przyjacielem Normana, Nobbiego.

— Proszę wejść, jeśli to nie zniszczy pańskiego stroju — powiedziała.

Luke roześmiał się czarująco.

— Czy mogę, Stello?

Wszedł, odczekał, a kiedy nie podsunęła mu krzesła, sam usiadł. Skrzyżował piękne nogi, ukazując perłowe jedwabne skarpetki nad ręcznie szytyimi butami z perłowszarego zamszu.

— Do picia mogę panu zaproponować tylko wodę. To wszystko, co mam. Nie robiłam zakupów.

— Nie, proszę nie robić sobie kłopotów.

— To żaden kłopot. Płynie prosto z kranu.

Ledwie dostrzegalny wyraz dezaprobaty przemknął przez twarz Luke'a. Zawsze dostawał niewdzięczne zadania.

— Nie mam zamiaru owijać w bawełnę, Stello. Nobbi nie żyje. Takie było jego parszywe szczęście.

— Prawda?

— Będzie nam go brakowało. Muszę powiedzieć, że my wiemy, iż pani była przyjaciółką Nobbiego. Jego bliską przyjaciółką.

— Jego „bokiem” — powiedziała Stella.

— Wiemy, że troszczył się o panią. Obawiam się, że lubimy wiedzieć wszystko co można o... o naszych współpracownikach.

— Pan jest od tego bezpostaciowego pana Glassa.

— Od pana Glassa. Zgadza się.

— Musi być zmartwiony.

— Tak — Luke uśmiechnął się lekko. — Pewnie. To właśnie powód, dla którego tu jestem. On nie chciałby, żeby wokół tego było zbyt wiele zamieszania, rozumie pani. Nie trzeba denerwować biednej Marylin. Jestem pewien, że zgodzi się pani ze mną.

— Czyżby?

— Jest pani światową kobietą, Stello. Wykształconą. Biedna stara Marylin po prostu rozsypała się. To zbyt wiele dla niej.

Stella odwróciła się plecami od Luke'a z jego opalenizną, perłowymi szarościami i jedwabiami. Spojrzała przez okno na ulicę, gdzie stał

daimler. Może ktoś przyjdzie przejechać gwoździem po lakierze, albo chociaż przebić opony.

— Rzecz w tym, Stello, że Nobbi zostawił Marylin cały majątek, dom i dużo pieniędzy, ale również nie omieszkał zatroszczyć się o panią. Zrobiliśmy dla Nobbiego pewne korzystne inwestycje, rozumie pani. Nie będę zanudzał pani szczegółami, chociaż spodziewam się, że prawnik zechce to zrobić. Ma pani do dyspozycji dużą sumę pieniędzy, naprawdę dużą. Już nigdy więcej nie będzie się pani musiała martwić o środki do życia.

Ależ ze mnie szczęściara. Nobbi umarł i dostanę mnóstwo forsy, pomyślała.

— Ile? — zapytała. Nie wiedziała, dlaczego o to pyta. Może chciała poczuć całą marność tych pieniędzy.

Luke wymienił sumę.

Stella spojrzała na daimlera. Pies węszył wokół samochodu. Nie pojawił się nikt, żeby uszkodzić wóz.

— Tak, to bardzo dużo.

— Mam nadzieję, że jest pani usatysfakcjonowana, Stello. Wiem, że musi pani bardzo cierpieć, ale jest pani zabezpieczona.

— Tak?

— Tak. Teraz chciałbym omówić z panią termin, w którym pani pójdzie zobaczyć się z prawnikiem. — Luke otworzył swą wytworną teczkę, w której miał przenośny telefon, faks i dziwną, bezkształtną paczkę. — Jest jeszcze to. To troszeczkę idiotyczne.

— Co to jest?

— To było w jego rzeczach. Na szyi miało kartkę, na której było napisane „dla panny Atkins”. Na szczęście ja i jeden z chłopaków przejrzelśmy biuro Nobbiego. Zawsze tak robimy na wszelki wypadek. Dzięki temu Marylin nigdy tego nie zobaczyła.

— Pan mówi, że on mi coś zostawił?

— Już mówiłem, diablo dużo pani zostawił — powiedział Luke wyraźnie zirytowany.

Wyciągnął paczkę z teczki.

Stella wzięła ją i przytuliła do piersi. Paczka była miękka. Nie będzie jej otwierać, dopóki ten obrzydliwy, opalony, perłowy szczur jest tutaj.

Luke uzgodnił termin jej spotkania z adwokatem, którego wybrał pan Glass. Wszystko da się załatwić bez żadnego skandalu, nie kłopotząc i nie martwiąc Marylin. Cóż, to świetnie.

Kiedy termin spotkania — czy ona naprawdę tam się wybiera? — został ustalony, Luke zaczął się podnosić.

— Proszę jeszcze chwilę poczekać — powiedziała Star.

— Słucham panią, Stello? — Luke wciąż próbował wyglądać na uszczęśliwionego, że może pomóc.

— Proszę powiedzieć mi, co się stało.

— Co pani przez to rozumie?

— Co się stało Nobbimu.

— Ale przecież... Miał atak serca.

— Nie, na pewno nie — stwierdziła Stella. Poczuała się dziwnie, jakby oszołomiona alkoholem.

— Oczywiście, że to było serce. Biedny Nobbi. Za ciężko pracował, jak na mężczyznę w jego wieku.

— I przesadził? Nic mu nie dolegało. Był silny i w dobrej formie.

— Tak. Ma pani rację, Stello. Jednak miał nadwagę. Niezdrowo się odżywił. Sam brał się do roboty, którą powinien zostawić Sandy'emu i innym chłopakom. I jeszcze te jego cygara.

— On nie umarł na atak serca. Marylin może sobie myśleć, że tak było. Pewnie przywieźliście go w zamkniętej trumnie. Ale ja wiem. Wiem, dokąd się wybierał.

— Tak — powiedział Luke. Wyraźnie czekał.

— Po Tray — powiedziała Stella.

— Tak?

— Do jakiegoś domu, do dziwnej rodziny. To niebezpieczni ludzie.

Luke wbił wzrok w podłogę.

Stella przysunęła się do okna. Pies nie obsikał Daimlera, ale załatwił się obok, na chodniku.

— Rozumie pan, opowiedział mi wszystko.

— Co to znaczy wszystko, Stello?

— O tym domu i o tych ludziach. Gdzie to jest.

— Gdzie, Stello?

Powiedziała mu to, co usłyszała od Nobbiego. Nastala cisza, a kiedy Stella znów na niego spojrzala, Luke nie wyciągnął pistoletu ani noża. Wyglądał jedynie na zamyślonego.

— Pan Glass to człowiek bardzo spostrzegawczy. Wspomniał, że to prawdopodobne, iż Nobbi mógł ci powiedzieć. Byliście bardzo blisko — powiedział w końcu.

Spojrzała na niego.

— Muszę wiedzieć — powiedziała. On nie jest człowiekiem, pomyślała.

— Dobrze, Stello. Usiądź, to nie będzie miłe.

Stella usiadła, nie dlatego, że tego potrzebowała. Chciała się dowiedzieć.

— Może pani słyszała — zaczął Luke dziwnie chłodno i niedbale — że policja poszukiwała dziewczyny około siedemnastu lat. Dali jej przydomkiem Suka. Wchodziła do mieszkań, podrywała ludziom gardła, a potem podpałała ich domy. Słodziutka.

Stella nie słyszała, a jeśli nawet, to zdążyła zapomnieć, ale skinęła głową, bo chodziło jej o to, żeby mówił dalej.

— Ona jest córką rodziny, do której tak nieszczęśliwie wybrał się Nobbi. Prawdopodobnie nie spodobał się jej. Zabiła go, Stello.

— Ta dziewczyna... ona podcięła Nobbiemu... podcięła gardło.

— Rana szyi. Tętnicy szyjnej. Śmierć następuje bardzo szybko. Niewiele można zrobić, nawet jeżeli ktoś z nich próbował go ratować. Ta dziewczyna jest szalona. My... nie możemy nic zrobić, Stello. Zupełnie nic.

— Tak — powiedziała.

— Pan Glass ostrzegł Nobbiego. On powinien zostawić to swemu losowi.

Stella wstała, nie wypuszczając z objęć paczki, którą wręczył jej Luke. Podeszła do okna.

— Chciałabym, żeby pan już poszedł.

— Oczywiście, Stello. Tylko przyjdź na spotkanie z adwokatem, dobrze?

— Tak.

Wyszedł. Obserwowała go przez okno. Widziała, jak idzie wzdłuż trawnika, wyraźnie rozdrażniony rozmową z kretynką, która nie była w stanie docenić jego uroku. Gdy otworzył cukierkowatego daimlera, wsiadając wdepnął dokładnie w psie gównno.

— Dziękuję ci, Boże. Jesteś potworem, ale istniejesz — powiedziała głośno Stella.

Pomyślała o perłowszarych, ręcznie szytych zamszowych butach, pomimo wycierania śmierzących w różowym samochodzie.

Nie przyszło jej do głowy, że być może Glass poinstruował Luke'a, co może jej powiedzieć, jeżeli zostanie naciśnięty. Co może zdradzić osieroconej, zdenerwowanej kobiecie, zważywszy że istniały rzeczy, których korporacja nie mogła zrobić, a doprowadzona do hysterii, samotna kobieta była w stanie tego dokonać.

Stella, bynajmniej nie histerycznie, otworzyła paczkę.

Wyjęła pluszowego lwa i trzymała przed sobą. Potem znów go przytuliła.

— Och, mój kochany. Moja jedyna, jedyna miłości — szepnęła.

Dlaczego miałyby mieć nadzieję na szczęście? Przedtem, zanim to się wydarzyło, życie płynęło jak woda z przyływami i odpływami. Nie czuła się szczęśliwa, ale nie była też nieszczęśliwa. Obojętna.

Miała muzykę i książki.

Reszta stanowiła tylko niezbyt absorbujący dodatek.

Zastępcze życie.

Potem nadeszli Scarabeidzi: Anna, Stephan, Adamus, Miranda, Malach, Althene.

Koty siedziały, wpatrując się w nią w napięciu. Rachaela była kapłanką i wszystkie funkcje związane z ich kultem były zarezerwowane dla niej.

Jacob, czarno-biały, i wykwintnie go naśladująca biało-czarna Julia.

Koły jak balsam, lecz nie były rozwiązaniem.

Malach wrócił skądś. Althene, co nie do uwierzenia, miała jakieś medyczne umiejętności. Z wprawą zabandażowała mu połamane żebra i zszyla długą ranę. Wezwano także Keia, ponieważ przybyło zwierzę, czarny pies. Kei zaopiekował się nim, a Enki i Oskar nie okazywały żadnej zazdrości. Tylko lizały go uspokajająco. Althene opowiedziała o tym Rachaeli.

Nie wypytywała o szczegóły.

Gdzieś, w sobie tylko znany sposób, Malach wyładował swój żal i wściekłość.

Co do tego miała głupia Rachaela?

Córka uwięziona na poddaszu jak szalona pani Rochester w „Dziwnych losach Jane Eyre”, którą opuszcza kochanek.

O zachodzie słońca odjadą. Psy, Malach i Althene.

Dobrze, niech odjeżdża. Perwersyjna. Nieludzka. Nie, nie. Ona jest doskonała jak coś pochodzącego z nieba. Ona? On? Niech ją łychno! Do widzenia!

* * *

Rachaela zapukała do drzwi pokoju Erika.

Była zaskoczona, kiedy od razu zaprosił ją do środka, zwracając się do niej po imieniu przez drzwi. Może chciał zademonstrować, że nie spodziewa się nikogo oprócz niej?

Dzień był jasny, ale bardzo wietrzny. Okna Erika ociekały kolorem pomarańczy, zielenią i ostrym liliowym różem. Przedstawiały rycerzy jadących konno przez puszcę i damy zrywające kwiaty. Jaskrawe światło sprawiało, że kolory wewnątrz pokoju całkowicie zbladły.

Erik siedział przy małej szachownicy. Niewielkie figury wyczelowane w srebrze i brązie miały kształt zwierząt. Gońcami były czaple. Wiewiórki, myszy i gołębie pełniły rolę pionków. Królowa i król nie były, jak należało się spodziewać, lwami, lecz kotami noszącymi delikatne, misterne korony między uszami.

— Eriku, już kilka razy wspominałam, że muszę was opuścić. Teraz nadeszła pora.

Obserwowała, jak Erik przesunął srebrnego gołębia na pole różowe jak pelargonie.

— Nie, to złe rozwiązanie.

— Nie zgadzam się z tobą.

— Przepraszam, Rachaelo, chodziło mi o ruch, który właśnie wykonałem.

Rachaela roześmiała się głośno. To dziwne, ale kiedy wybuchała śmiechem przy Scarabeidach, sprawiało jej to niezwykłą przyjemność. Teraz, pomimo że przyszła z ważną dla siebie sprawą, zaintrygowana przyglądała się szachom. Po chwili powróciła do tematu.

— Muszę ci powiedzieć, że ten dom był moją fortecą. Jednak teraz... teraz to jest więzienie. Przebywa tu więzień — rzekła Rachaela.

— Ruth — uzupełnił.

— Tak. — Pomyślała, że poprzednim razem rozmawiała ze Stephanem, ale to jednak co innego. Stephan nie żyje. — Widzisz, teraz zrozumiałam. Nic nie mogę dla niej zrobić. Zgadzam się na to, co wy zamierzacie. Nie ma na świecie lekarza, który mógłby jej pomóc. Wydawało się, że Malach... ale potem... — przypomniała sobie Ruth wleczoną w górę schodów, wrzeszczącą, wzywającą Malacha. — Nie mogę nic zrobić. Nigdy nie mogłam. Zawsze jej nie lubiłam i teraz we mnie w środku jest tylko pustka opieczętowana jej imieniem. Tak samo jak imieniem Adamusa.

— Tak — powiedział Erik. Jego szczupła ręka leżała na małym gołębiu jak dłoń boga miniatur.

— W ten sposób zostawiam ją wam. To jedyna decyzja, jaką mogę podjąć. Wszystko, co zdołałam wymyślić. Może się mylę, może popełniam błąd. Prawdopodobnie tylko jeden Bóg to wie.

— Althene odjeżdża dziś wieczorem z Malachem.

— Myślę, że zostałam oszukana w tej sprawie. Zresztą, może to ja oszukiwałam samą siebie?

— Trudno jest pokładać wiarę w kochankach — powiedział Erik. — Oni biorą tak wiele z nas samych. Jesteś na ich łasce. Dlatego tak ciężko cokolwiek od nich przyjmować.

— Nie dostałam zbyt wiele.

— Żadne z nas nie dostało.

Rachaela poczuła nagłą chęć, żeby podejść do niego. Zamiast tego podeszła do szachownicy od drugiej strony. Przyjrzała się dokładnie miniaturowym zwierzątkom.

Wtedy sobie przypomniała. Czy Erik sam nie wyrzeźbił masek? Żartobliwy dar dla martwego Sylviana. To Erik zamówił szampana...

— Kiedy chcesz wyjechać? — zapytał.

— Tak szybko, jak będzie można. Muszę jednak najpierw to sobie dokładnie zaplanować.

— To nie jest konieczne. Dostarczymy ci wszystko, czego będziesz potrzebowała. Nie myśl, że chcemy cię od siebie uzależnić. Jedź, tak daleko, jak zechcesz. Zasoby naszej rodziny stoją przed tobą otworem. Jesteś jedną z nas.

— Muszę ci ustąpić. Dlatego zgadzam się. Podejrzewam, że bez względu na moje zdanie i tak zrobilibyście, co uważacie za słuszne.

Przypuszczam, że troszczyliście się o mnie już wcześniej, zanim dowiedziałam się o waszym istnieniu.

— Może — rzekł Erik, przesuając gołębia do przodu. — No i sam złapałem się we własną pułapkę.

Rachaela podniosła kocią królową, odstawioną poza szachownicę. Biedactwo, tak wcześniej wykluczona z gry.

— Czuję, że chciałabym zostać w Londynie. Nie chcę jechać nigdzie dalej. Londyn to miejsce, które znam.

— Jest duże, trzy poziomowe mieszkanie, z widokiem na rzekę. Mogłoby zostać urządzone na tyle, żeby w nim zamieszkać, w ciągu trzech, czterech dni.

— Dziękuję ci — powiedziała Rachaela.

— Gdybyś nas potrzebowała, zawsze nas tu znajdziesz — dodał Erik.

Rachaela spojrzała na niego. Ich oczy spotkały się. Pył wciąż pokrywał żywy blask czarnych źrenic Erika. Żadnych zmian — ani starszy, ani młodszy.

— Wiesz, wciąż jeszcze się boję — powiedziała Rachaela.

— Rozumiem. To minie.

— Naprawdę?

— Czas — powiedział.

— Och, czas. On nie leczy, tylko niszczy. Czy może zrobić cokolwiek dobrego?

— Nie ma wyboru. Można tylko trwać i przekonać się — powiedział.

— Adamus znalazł inną opcję. Powiesił się — zaoponowała..

— Ale ty przecież nie myślisz o samobójstwie — odparł Erik.

* * *

Rachaela wyprowadziła swoje koty do ogrodu. Badały gruntownie każdy krzew i łądygę, a Jacob bezczelnie obsikiwał je, oznaczając terytorium. Nie zdawał sobie sprawy, że wkrótce zamieszka gdzie indziej. Zapewne koło nowego mieszkania będzie jakiś ogród. Robiła plany zarówno dla kotów, jak i dla siebie. Co będą jeść, ile przestrzeni będą potrzebować. Pomagało jej to, nie była zupełnie sama, bo teraz nie pragnęła samotności. Nawet jej się trochę obawiała.

Wśród kołysanych wiatrem i poobwieszanych żołądziami dębów spotkała Mirandę, która spacerowała z Tray.

Miranda w swojej lekkiej sukience wyglądała na młodą kobietę, a Tray odziana w czerń na starszawą damę. Szły pod rękę, tak żeby Miranda mogła podtrzymywać Tray. Drugą ręką Tray przytulała do siebie jasnozłotego lwa, śliczne, aksamitne zwierzątko. Miało grzywę, ozdobny pompon na końcu ogona i oczy koloru sherry, w których błyszczały złote iskierki. Stara kobieta z lwem—zabawką.

— Tam jest Rachaela — powiedziała Miranda.

Tray uśmiechnęła się do Rachaeli niewinnie jak dziecko.

Widać było jak na dłoni, że całkiem oszalała, ale podobnie jak Ruth nie zostanie odesłana nigdzie na zewnątrz. Nawet swojej własnej matce, której zawieziono pewnej nocy ciało grubego, ogorzałego mężczyzny.

— Tray ma nowe imię. Właśnie je ćwiczymy — powiedziała Miranda. — No, powiedz Rachaeli.

— Terentia — powiedziała Tray, znów się uśmiechając. Wyglądała na zadowoloną. Podniosła lwa i pocałowała go, jakby ugryzła złoty owoc.

— To jest stare rzymskie imię — wyjaśniła Miranda. — Och, spójrz! — pochyliła się, żeby pogłaskać Julię. Wciąż trzymana za rękę Tray czy też Terentia również była zmuszona pochylić się. Wetknęła sobie zabawkę pod brodę i pogładziła Jacoba, który nie omieszkał zjawić się po swojej porcję pieśczoł.

Powiew wiatru przeszedł przez ogród, a drzewa zatrzeszczały jak maszty żaglowca.

Czas... Świat, statek na morzu wieków, przepłynął.

* * *

Althene nie przyszła pożegnać się po raz drugi. Rachaela na wszelki wypadek zamknęła drzwi na klucz. Usiadła między kotami. Słońce zachodziło, zimna czerwień pod kopułą alkoholowego fioletu.

Helikopter spadł z nieba.

Na zewnątrz, przez otwarte okno swego ciemnego pokoju Rachaela zobaczyła, jak w obozie motocyklistów podnoszono głowy, by mu się przyjrzeć. Dwóch mężczyzn wstało, krzycząc z podniecenia. Lou też tam była w jakichś wymiętych czarnych łachach. Camillo, doskonale widoczny dzięki białym poskręcany kosmykom, nie podniósł nawet głowy, żeby popatrzeć.

Helikopter oświetlił polanę, a z domu wyszli ci, którzy odjeżdżali. Ciemność ogarnęła zagajnik. Światła w domu jeszcze nie zostały zapalone. Widać było tylko cienie, które mogły być Keiem, Althene, Malachem. Malacha wyróżniał biały blask włosów. Poruszał się sztywno, postarzał się wyraźnie. Teraz był stary, zauważyła to, widząc go ostatni raz. Przed grupką cieni szły dwa duchy psów, niespokojnych

przed lotem. Kei niósł w ramionach zawiniątko, zapewne był to ów zagadkowy, zraniony czarny pies. Michael i Cheta szli z tyłu, niosąc torby podróżne.

Cień Althene podążał naprzód zdecydowanym krokiem. Z obozu motocyklistów rozległy się gwizdy. Jakiś pies zaszczekał i ktoś go uciszył.

Za chwilę odjadą.

Drzewa zagarnęły ich, a potem pewnie połknął ich helikopter, który wzniósł się jak ognisty rydwan.

Nic nie czuję, pomyślała Rachaela. Nie czuję nic.

Przypomniała sobie leżące w trumnie ciało swojej matki, które wyglądało jak wypchana lalka, jak coś sztucznego.

Julia zaczęła gorliwie myć Jacoba.

Jakie to dziwne, nie czuję nic, a oczy mam wilgotne.

W pachnącym pałacu z pagodami z roślin, pełnym różowego światła, Stella została odmieniona. Ponownie stworzono ją jako coś, czego Nobbi nigdy by nie rozpoznał. Coś obcego.

Pieniędzy było tak dużo, że aż trudno uwierzyć. Stella nie uwierzyła. Pozwoliła adwokatowi, następnie dyrektorowi banku, a potem doradcy finansowemu uporać się z nimi. Wyglądali na ucieszonych, twarze rozjaśniały im się chciwością. Ona tylko siedziała i patrzyła na nich z Doliny Cienia.

Kiedy już wszystko dobiegło końca, Stella przyszła tutaj. Do miejsca obiecującego rodzaj piękności, który wydawał jej się równie nierzeczywisty.

Miała ze sobą małą torbę ze wszystkim, czego potrzebowała na jeden dzień. Niewiele się w niej zmieściło, ale znalazło się miejsce dla lwa, którego zostawił jej Nobbi. Ta pluszowa zabawka stanowiła jej prawdziwe dziedzictwo.

Najpierw była sauna, potem kąpiel w wirówce wodnej. Następnie seans na łożku opalającym, masaż ciała i twarzy. Potem zajęto się jej włosami, twarzą, rękami. Uwijali się przy niej jak stadko ślicznych ptaszków przy robaku, żeby uderzeniami dziobków przerobić go w anioła. Do ich profesjonalnych umiejętności należał także takt. Próbowali wciągnąć ją w pogawędkę, jednak gdy przekonali się, że nie chce rozmawiać, stali się cisi i kojący jak pielęgniarki przy łożu śmierci.

Bo i było to łoże śmierci. Dawną Stellę zabito i na jej kośćcu tworzono nową.

Widząc jak fragment po fragmencie pojawia się nowe wcielenie, Stella zdziwiła się.

W końcu ściągnęli z niej coś w rodzaju pylistego całunu i spod niego ukazała się w nowej postaci.

Nie była piękna, ponieważ Stelli nie dało się zmienić w piękność, nawet tak sprytnym ptaszkom. Lecz nie była już robakiem z głębi ziemi, otrzymała skrzydła.

Włosy, które zawsze ścinała równo ze szczęką, skrócili i zaczesali do góry. Zniknęły pasma przedwczesnej siwizny, teraz lśniły czernią jak

skrzydło kruka. Twarz przypominała kameę: mlecznobiała, rozświetlona odrobiną różu. Olbrzymie oczy otaczał grafitowosrebrny cień. Wargi wydawały się pełniejsze, kolorowe jak cukierki, w które świat chciałby się wgryzać. Ciało było miękkie, naprężone, pachnące, wystawione na światło, lecz zamknięte przeciwko wszelkim atakom. Dłonie wyglądały jak rękawiczki. Nawet paznokcie, których, fakt zastanawiający, przez cały czas żałoby nie obgryzała, uformowali w regularne owale i pomalowali lakierem w odcieniu terakoty. O dwa tony ciemniejszym niż pomadka do ust.

Stella poszła do kabiny i włożyła białą jedwabną bieliznę, a potem sukienkę i płaszcz, które także dopiero co kupiła.

Uszyto je ze znakomitej wełny w odcieniu ciemnego fioleto wpadającego w czerń. Kolor rekinów, węży, nocnych mar.

Wciągnęła botki z ciemnej skóry.

W długim lustrze zobaczyła inną kobietę. Drugą Stellę, już nie Star.

Ubrana teraz od czubka głowy po palce u nóg. Przygotowaną, żeby zabić.

Samochód, prowadzony przez szofera, był jasnoszary, w kolorze dnia. Przesuwał się płynnie wąskimi ulicami i wielkomięskimi arteriami. Chodnikami ciągnęły tłumy, pomimo rzadkiego deszczu. Dziewczęta o kanarkowych włosach i chłopcy ubrani jak renesansowi minstrelle, żebracy o krzywych uśmiechach.

Minęła Buckingham Palace. Pomyślała, że jest tak brzydki, jakby go dopiero co wybudowano.

Parki były mokre i zielonkawe, drzewa ogołocone.

Kierowca nie odzywał się ani słowem.

Potem wjechali na boczne drogi. Jechali wzdłuż nie kończącego się szeregu sklepów z meblami, ubraniami, jedzeniem i picciem,

I aptek z lekami dla chorych i kwiaciarń, potrzebnych z okazji urodzin, ślubów i śmierci.

Stella widziała to wszystko jakby z wysokiej góry. Majestat i marność miasta.

Deszcz przestał padać.

Jechali drogą pod drzewami. Zagajniki, czy miejskie laski? Nagle zobaczyła od razu w całej okazałości ów szczególny dom, o którym opowiadał jej Nobbi.

To również było prawdziwe.

— Proszę wrócić na koniec tej drogi. Tam proszę zaczekać — poleciała.

Cóż to może mieć za znaczenie, pomyślała.

Wysiadła i poszła pod górę, do domu. Nie myślała, że on przeszedł tę samą drogę. W ogóle nie myślała.

Kiedy doszła do drzwi, dom spoglądał na nią ślepyimi, ciemnymi oknami. Obok, w błocie, zobaczyła mężczyznę przy dziwnym pojeździe. Było to coś w rodzaju motocykla z doczepionym tyłem, przypominającym powóz.

— Jestem tutaj — powiedział mężczyzna.

Wyglądał na pięćdziesiątkę, ale był szczupły i żyłasty. Kiedy się uśmiechnął, jego zęby nie wyglądały na sztuczne.

W białych włosach skręconych w sznurki według rastafariańskiej mody jak brylantowe mrówki błyszczały koraliki.

— Czy należy pan do rodziny? — spytała Stella.

Słowo „rodzina” nabrało dla niej samoistnego bytu, wryło jej się w pamięć. Podobnie jak inne słowo: „Suka”.

— Przyjechałam tutaj, żeby się z kimś zobaczyć.

— Naprawdę? — spytał mężczyzna. Nosił skórzane ubranie motocyklisty. Dotknął dłonią końskiej czaszki, umocowanej z przodu motoru. To skojarzyło się jej, nie wiedzieć czemu, z lwem.

— Chcę się zobaczyć z młodą dziewczyną.

— Którą?

Niewiele więcej umiała powiedzieć.

— Z tą z nożem.

— Ach! — wykrzyknął i aż podskoczył z emocji. Puk ze „Snu nocy letniej” albo diabeł z „Fausta”.

— Ty przybyłaś do Ruth, niegrzecznej Ruth, ale oni, moja pani, zamknęli ją na klucz — powiedział.

— Przebyłam długą drogę — rzekła Stella.

— Dlaczego?

— Dlaczego? — powtórzyła. — A jak się panu wydaje?

Camillo spojrział na Stellę.

— Koń na biegunach spłonął. Tak zawsze się z nimi dzieje. Z rzeczami, które kochamy. Umierają, płoną, rozsypują się w proch. On wie o tym. Dlaczego spróbował jeszcze raz? Złamać mu kark!

Czarnemu psu, ale nie czarnowłosej dziewczynie. — Camillo roześmiał się. — Pędziliśmy poprzez śnieg.

On jest szalony. Czy to może być w czymkolwiek pomocne?

— Przyrowadź mi ją — powiedziała Stella. — Ruth.

— Niegrzeczną — uzupełnił Camillo. — Zabierz ją stąd. Jest tam na górze, na poddaszu, na pewno będą z nią kłopoty.

— Zabrać ją stąd? — powtórzyła Stella. Tego nie brała pod uwagę.

— Tak, musisz koniecznie. To mój warunek. — Camillo podszedł do drzwi i pchnął je. Stały otworem, a za nimi były kolejne, również otwarte.

Dalej zobaczyła hol jak w wiejskich rezydencjach. Turyści kupują bilety, żeby je oglądać.

Stella nie zapłaciła i niewiele dostrzegła. Głównie schody przed sobą.

— Jest tam, na górze, ale musisz ją stąd zabrać — powiedział Camillo.

— Zgoda — potwierdziła Stella. Zamknęła oczy i znów je otworzyła. — Ten pomysł nawet mi się podoba.

— Dobrze. W takim razie masz tu klucz.

Wyciągnął w jej kierunku coś, co nazwał „kluczem” i zapewne nim było.

— Klucz od strychu?

— Ukradłem go.

— Aha.

— Zabierz ją stąd — powtórzył.

Wszedł do holu, a potem odwrócił się i złożył jej dworski ukłon. Stella znalazła się w przestrzeni otoczonej kolumnami.

— Tym razem — powiedział Camillo, wykonując dłonią gest rozcinania i krojenia.

Potem ruszył pędem schodami w górę.

Pomyślała, że ktoś nadejdzie.

Nikt się nie pokazał.

Nawet nie zauważyła, jak znaleźli się u góry schodów. Wszędzie były witraże w oknach, jak w kościele.

Korytarz. Kolejny korytarz. Zamknięte drzwi. Jeszcze więcej kolorowych szybek.

Zgubiłam się, pomyślała w panice.

Jednak wcale się nie zgubiła.

Za drzwiami była wąska klatka schodowa, już bez chodnika wyściełającego stopnie.

— Tam, na górze — powiedział stary mężczyzna. Teraz już widziała, że był stary, bliższy siedemdziesiątki niż pięćdziesiątki. — Po prostu włóż klucz do zamka.

— Nie zapamiętałam drogi, którą przeszliśmy.

— Trudno — powiedział Camillo niedbale jak młokos. Odwrócił się i odszedł. Stella spojrzała w górę wąskich schodów. Mogę to zrobić tutaj.

A może zabrać ją stąd? Czy zechce pójść? Tak, przecież także czekała. Tak jak to robią poczwarki. Nie miała przy sobie nikogo. Na imię jej Ruth.

Dokąd idziesz ty, pójdę ja.

Stella uśmiechnęła się.

Weszła po schodach.

* * *

Red rozczesywała włosy wśród dębów i sosen.

Lou siedziała z Cardiffem, posepna w czarnym stroju jak pomarszczony balon. Cardiff ani na chwilę nie przestawał podszczypywać jej piersi, co wyraźnie jej się nie podobało.

Rose i Pig drzemali, a Tina gotowała fasolkę z kiełbaskami nad ogniskiem. Pomimo cudownych smakołyków, które niezawodnie przybywały z góry, z domu.

Whisper polerował swój motocykl ze zmysłową czułością.

Connor przykucnął i rzucał Viv patyki. Viv aportowała pośpiesznie, usiłując zająć jego uwagę. Wyczuwała napięcie.

Camillo przybył nagle.

Boże, jak staro wyglądał.

Zszedł wprost ze szczytu wzgórza w swym skórzanym odzieniu.

— Już czas! — wykrzyknął. Roześmiał się, pewnie miała w tym być radość. Zabrzmiało jak skrzek bólu.

— Dalej! Wstawajcie, ćpuny!

— Tutaj! — zawył Whisper.

— Zbierać się! — krzyknął Connor. — Viv, torba! — Viv pogalopowała do shovelheada i wskoczyła do przytroczonej do siodełka torby, nie wypuszczając z zębów patyka.

— Jedziemy. Jedziemy! Red, ruda dziewczyno, Scarlet O'Hara, chodź tutaj i wsiadaj na mego konia.

— Już się robi, proszę pana.

Red pobiegła prosto pod dom, gdzie stał trójkołowiec. Pig, Rose i Tina zasypywali ognisko. Pig próbował przy tym pożreć gorące jedzenie z kociołka.

— Trzy minuty — powiedział Connor.

— Żadnych trzech minut. Natychmiast.

— Dobrze, Camillo. Na koń, dranie! — wrzasnął Connor.

Camillo odszedł za Red w stronę swego pojazdu, który stał w błocie przed domem.

— Con, wszystkie moje rzeczy są na górze — jęknęła Lou.

— Zostaw szmaty, głupia krowo. Czy jeszcze nie wiesz, że on się wszystkim zajmie? Mówi, że jedziemy, to jedziemy — rzucił Connor.

— Ale, Con...

— Możesz zostać tutaj. Tak, zostań!

Lou skierowała się w stronę motocykla Cardiffa. Podjechał i zakręcił przed nią tak niefortunnie, że ją potracił.

Inni już wsiadali. Ogień był wygaszony.

Pozostało po nich zniszczone, zdeptane pustkowie, jak po popasie armii, która pomaszerowała ku zwycięstwu lub klęsce.

Gdy rozgrzali silniki, usłyszeli, jak zbudził się trójkołowiec.

Red siedziała na śliwkowym aksamicie, przez okno powiewały jej krwawe włosy.

— Teraz jedziemy! Teraz pędzimy! Zawrót głowy! — krzyknął Camillo.

Odgłos silnika trójkołowca zmienił się, zabrzmiał jak rakietą.

— Chryste, on to zrobił. Metan? — powiedział Connor.

Usłyszeli, jak trójkołowiec rusza niby pocisk. Zniknął.

Connor nasunął Viv gogle. Shovelhead stanął dęba na tylnym kole. Skoczył naprzód, przed siebie, w ślad za Camillo, w górę stoku. Viv pisnęła.

Zabija motor, pomyślał Connor. Wtrysk paliwa, który daje trójkołowcowi dwieście kilometrów na godzinę, w dwie sekundy wypali wnętrzości maszyny. Znajdą ją martwą, gdzieś daleko stąd.

Shovelhead pomknął w dół i Connor rył ziemię w poprzek stoku, kierując się do drogi. Inni ruszyli za nim ławą, a czarne błoto fruwało dookoła.

* * *

Drzwi otworzyły się.

To nie było wymarzone poddasze z książeczki dla dzieci. W środku były tylko sofa, krzesło i łóżko. Po prostu pokój, z którego drugie drzwi zapewne prowadziły do łazienki. Papiery i książki leżały porozrzucane. Na wieszaku wisiły piękne, drogie ubrania.

W głębi było okno z nieprzezroczystego, białego szkła. Na jego tle stała dziewczyna piękna i zbyt kowna jak jej ubranie.

Morderczyni Nobbiego.

Suka. Czarna bestia. Śmierć.

— Chcę, żebyś poszła ze mną — powiedziała Stella.

Dziewczyna przesunęła się spod okna. Była blada, nie wyglądała na niebezpieczną czy szaloną. Oczy miała podkrążone. Usta białe i bardzo suche.

— Dobrze.

— Muszę cię ostrzec, że jeśli będziesz się opierać, zranię cię — ciągnęła Stella.

— Naprawdę? — spytała dziewczyna. Wyglądała na prawie zainteresowaną.

W oczach miała zdziwienie. Była w nich głęboka czerń.

— Niczego nie zabieraj — zastrzegła Stella.

— Dobrze.

Dziewczyna miała na sobie białą obcisłą suknię z falującą spódnicą i jasne zamszowe buty.

— Płaszcz zabierz — zaznaczyła Stella.

— Ten?

Dziewczyna podniosła czarny płaszcz z oparcia krzesła. Dotknęła go, jakby to było jakieś martwe zwierzę, które kiedyś za życia kochała.

— Znasz mnie? — spytała Stella.

Dziewczyna była taka spokojna i uległa. Pewnie pomyliła ją z kimś, na kogo czekała i kogo знаła.

— Och, tak.

— W takim razie chodź.

Wyszły z pokoju. Stella była gotowa w razie czego rzucić się na tę dziewczynę, Ruth. Połamałaby jej ręce, skrzyła kark. Czuła, że jest w stanie to zrobić.

Dziewczyna nie próbowała ucieczki. Stała spokojnie, czekając aż Stella poprowadzi ją na dół.

— Teraz zjedziemy po schodach i wyjdziemy na drogę. Na dole czeka samochód.

— Czy mam iść pierwsza? — spytała Ruth.

— Tylko nie zapominaj! Żadnych prób ucieczki!

— Och, nie będę.

Co ona sobie myśli? Że dokąd ją ją zabieram? W bezpieczne miejsce? A może uważa mnie za policjantkę?

Stella i Ruth schodziły w dół. Wokół panowała cisza. Wtem usłyszały warkot motocykli pędzących przez wzgórze. Po chwili wszystkie dźwięki umilkły.

— W porządku, Ruth.

Ruth szła przed nią. Jej włosy były jak jedwabny płaszcz. Czy to właśnie zobaczył, zanim...

Były teraz na eleganckich schodach prowadzących do holu. Stella bez kłopotów przypomniała sobie drogę.

Z holu prowadziły drzwi, potem jeszcze jedno. Droga w dół i samochód.

— Więc mnie znasz. Kim jestem? — spytała Stella.

— Masz zamiar mnie zabić — powiedziała Ruth.

— Tak, nie mylisz się. Nie próbuj uciekać. Wiesz, dlaczego?

— Nie. Nie obchodzi mnie dlaczego.

— Ty wykrętna kurewko! Pieprzona, mała dziwko!

Stały w holu.

Ruth odwróciła się i z uśmiechem spojrzała na Stellę. To był cudowny uśmiech, jak muzyka albo jutrzienka.

— Przestań. Masz niewiele więcej niż godzinę życia. Ten czas kurczy się. Postaraj się go dobrze wykorzystać — ofuknęła ją Stella.

Ruth przestała się uśmiechać i opuściła oczy.

Stella wyprowadziła ją na zewnątrz, pod szare niebo.

— Czy nie możesz... — niepewnie zaczęła Ruth. — Czy nie mogłabyś zrobić tego teraz?

Stella skrzywiła się.

— Będziesz musiała poczekać.

Ujęła Ruth za rękę i razem zeszły na dół w stronę ulicy i samochodu.

Okno wychodzące na południe było jasne. Tylko przy wierzchołku, pod samą framugą był wąski pasek z ozdobnych szkieleł. Działy jak pryzmat, przechodzące przez nie poranne promienie słońca tworzyły czarne pasma na podłodze salonu. Koty, które wyczuwały każdy, nawet najdrobniejszy ruch, czasami bawiły się nimi jak czymś żywym.

Mieszkanie urządzono całkiem nowocześnie. Największy pokój miał ściany w kolorze zielonych jabłuszek, a sufit o trzy tony jaśniejszy. Dywan był ciemnozielony, zasłony jasne, w kolorze kości słoniowej z roślinnymi wzorami w różnych odcieniach zieleni. Żaluzje też miały kolor kości słoniowej i złote obramowanie. Meble z białego drewna wyglądały niewiarygodnie, jak kora brzoź. Na stole stała olbrzymia szklana zielona misa, a w niej ułożono jabłka, gruszki i winogrona. I tylko jeden żółty grejpfrut dla żartu.

Sypialnia była tak samo obszerna i podobnie urządzona jak salon, ale w tonacji błękitnej. Żaluzje były jasnoniebieskie, a aksamit na zasłony komponował się z nimi kolorystycznie. Stało tu wielkie, podwójne łóże. W ściennej bieliźniarce leżały stopy prześcieradeł, poszewek na poduszki, nawet puchowe kołdry i poszwy na nie. Wszystko w kolorze kości słoniowej i błękitu.

Łazienka była biała, dywan barwy czerwonego wina ładnie ją ożywiał. W ściennej szafie piętrzyły się białe i purpurowe ręczniki. Kinkiety zawieszono wysoko na ścianach udawały wielkie, ciemne róże. Okno oszklono mlecznymi szybami z różowym wzorem.

W kuchni stały sosnowe meble, bardzo jasne, ze słonecznie żółtymi dodatkami. Wyposażono ją bardzo nowocześnie, we wszystkie możliwe urządzenia. Lodówka z zamrażarką, kuchenka, pralka, zmywarka do naczyń, ekspresy do kawy i herbaty. Oprócz tego Rachaela znalazła tu zapasy wszelkiego rodzaju żywności w koncentratkach oraz konserwy.

Nowoczesność w stylu Scarabeidów, choćby sądząc po dbałości o kolory.

Może oni sami, wszyscy razem, byli kiedyś pogrążeni w wielkiej ciemności i dlatego teraz dążyli do takiego bogactwa i harmonii barw? A jeśli tak, to czy tamta ciemność była jedynie ciemnością nocy?

Zwykle starała się o nich nie myśleć.

Wielkie południowe okno sięgające aż do podłogi prowadziło do cieplarni. Początkowo nie było w niej żadnych roślin, tylko podłoga wyłożona grafitowymi i szmaragdowymi kafelkami. Przeszklone ściany miały na górze paski kolorowego szkła. Za szklarnią rozciągał się taras otoczony ażurową barierką z cegieł. Obrastał go malowniczo bluszcz. Poniżej były jeszcze dwa piętra domu i zaniedbany ogród ze starymi śliwami i oczkiem wodnym, odwiedzanym przez żaby.

Dalej były błotniste nieużytki i rzeka. Oleiście połyskiwały nurty Tamizy, gdzie zręcznie pływały kaczki, tak niezgrabne, gdy wychodziły na brzeg. Raz po raz przepływała szybka łódź, pozostawiając za sobą obłok wodnej mgiełki.

Po obu stronach rzeki wznosiły się eleganckie budynki, nowe domy mieszkalne z elewacjami ozdobionymi rzymskimi kafelkami i elementami ze szkła. Nad okolicą górowały dwa kościoły, a w głębi jakieś przemysłowe kompleksy. Z jednego budynku, tego najdalszego, od czasu do czasu unosił się pióropusz dymu, by o zachodzie słońca zmienić się w różę rozkwitającą na niebie. Bez wątplenia było to niezdrowe sąsiedztwo, ale za to dostarczające wrażeń estetycznych.

Środkowe piętra domu wyglądały na nie zamieszkałe. Na parterze ulokowały się dwie pary małżeńskie. Rachaela widywała tych ludzi w holu uprzejmych i uśmiechniętych, ale nie zainteresowali jej. Nigdy nie słyszała żadnych odgłosów życia, poza rzadkimi dźwiękami wiolonczeli albo fragmentami koncertu Liszta czy symfonii Mahlera.

Wszystko było urządzone idealnie dla Rachaeli. Koty też wyglądały na zachwycone. Schodziły na dół po mocnej łodydze bluszczu aż na mur ogrodowy. Stamtąd wskakiwały do ogrodu i siedziały na gałęziach śliw jak dzikie szopy czy lemury. Ogony zwisały im w dół, drgając nerwowo, gdy dostrzegały kaczkę taplającą się w błocie za ogrodem.

Podłoga była usłana kocimi zabawkami: „myszą” z oberwanymi uszami i piłeczkami, które grzechotały i brzęczały toczone po podłodze o trzeciej nad ranem.

* * *

Przed końcem marca Rachaela kupiła rośliny do cieplarni. Dotychczas nie była w stanie niczego wyhodować, ale może teraz się uda? Dokupiła wieżę stereo i dwa przenośne odbiorniki radiowe. Do

łazienki wstawiła rośliny w doniczkach, a do tego jeszcze zielone mydła i ręczniki. Zamrażarkę napełniła egzotyczną żywnością, a lodówkę serami i sałatkami. Znalazła półmisek z pomarańczowego szkła i ułożyła na nim pomarańcze.

Na ścianie salonu były półki na książki i Rachaela powoli je zappełniła: Rebecca West, Jean Rhys, Lawrence Durrell, Proust, Szekspir, Czechow, Dickens, Jane Gaskell, Louise Cooper.

Jeżeli chodzi o książki, jej gust znacznie się rozszerzył. W przeciwieństwie do upodobań muzycznych, które skurczyły się jak uszkodzony owadzi czulek.

Potem wpadła na inny pomysł. Zaczęła malować, włączając sobie przy tym muzykę.

Farby olejne nie pociągały jej, zdecydowała się na akwarele i kremowy gwasz. Pracowała z lekką deską do rysowania opartą o kolana. Gdy pochylała się do przodu, włosy omiatały papier i musiała związywać je z tyłu.

Podejrzewała, że jej malarstwo nieźle rokuje, choć na razie jest nieco niezręczne. Ciężyła ku realizmowi raczej niż abstrakcji, chociaż stosowała przecierki, błyski i otwartość kompozycji.

Jej tematem były kobiety. Kobiety Scarabeidów. Blade i wspaniałe pod chmurami czarnych włosów. Odziane w amorficzne sukienki łączące style różnych epok, z poduszkami na ramionach i spódnicami opadającymi w fałdach. Na dłoniach miały pierścienie, oczy rozświetlone blaskiem. Stały przy oknach-witrażach lub spacerowały po wrzosowiskach. Jedna jak Ofelia znajdowała się w nurtach strumienia, lecz nie tonęła, unosiła się na wodzie.

Rachaela miała rachunek bankowy. Otwarto go dla niej na nazwisko Day i przysłano dokumenty następnego dnia po wprowadzeniu się.

Używała pieniędzy bez skrupułów i oczywiście w miarę jak ich ubywało, napływały znowu.

Bank wciąż zachęcał ją korespondencyjnie do inwestowania, do wejścia w takie czy inne przedsięwzięcie. Nie dawała się namówić.

Czasami spacerowała nad rzeką lub robiła zakupy w eleganckich sklepach swojej dzielnicy.

Dwa razy płakała rzęsiście i długo.

Chociaż, kiedy to się działo, jakaś część jej samej stała obok, obserwując.

Julia przyszła pocieszać ją, ale zawstydzony Jacob uciekł i zaszył się w jakimś kącie.

— Co mam tym razem zrobić? — spytała Rachaela białą kotkę.

Julia nie miała żadnych pomysłów. Dla niej to wszystko było całkiem proste. Jacob i ona okazywali już sobie nowy rodzaj zainteresowania. Przerywali zabawę, by otrzeć się o siebie czule, a potem myli się zapamiętali.

O tym, że jest brzemienna, Rachaela wiedziała, zanim Althene wsiadła do helikoptera. Właściwie nie była pewna, ale czy mogła mieć wątpliwości?

Nie winiła Althene. Tym razem wina była po jej stronie.

Nie czuła się gorzej pod żadnym względem. Żadnego zmęczenia, żadnych mdłości, jak za poprzednim razem. Czuła się świetnie i tryskała energią.

Zapewne powinna była pójść do lekarza. Klimat społeczny zmienił się, no i teraz była po czterdziestce. Prawdopodobnie raczej zalecane będzie przerwanie niż utrzymanie.

I to była odpowiedź.

Zajść w ciążę — wyzwolić się.

Nie, nawet jeśli teraz miała luksusowe warunki. Czy warto przejść długą drogę, żeby potem znosić ból i poniżenie? Gorsze niż wszystko. Nigdy więcej nie chce wydać dziecka na świat. Ponieważ ostatnim dzieckiem była Ruth. Ruth i Camillo.

Bezsensowna rzecz.

Tamtego popołudnia, kiedy spała, a inni zamknęli się w swojej ciszy, motocykliści odjechali, a Camillo z nimi. Wtedy Michael wszedł na górę, na więzienne poddasze. Drzwi stały szeroko otwarte. Ruth także zniknęła.

Rachaela pomyślała, że Camillo nienawidził Ruth. Może kiedy Malach ją znienawidził, Camillo zmienił swój stosunek do niej?

Dwoje wypuszczonych szaleńców. Wolała o tym nie myśleć.

Przede wszystkim dlatego, że widziała, co stało się z Ruth po morderstwie, kiedy Malach ją odepchnął. Ruth umarła. Była trupem.

— Dam sobie z tym spokój do kwietnia — oświadczyła Julii. Jacob wrócił hardy, gotów przetrzymać kobiecą histerię. — To będzie około trzech miesięcy. Nie mogę powiedzieć Erikowi. Oni protestowaliby i znaleźliby jakiś sposób przeszkodzenia mi.

Położyła dłonie na swoim brzuchu. Czy to żyło?

Miała w swym wnętrzu żywą rzecz, planując jej śmierć. Rachaela–zabójczyni, tak jak jej pierworodna córka?

* * *

Pierwszego kwietnia, w Prima Aprilis, w salonie rozdzwonił się zielony telefon.

Rachaela podbiegła. Stała skamieniała, nie wiedząc co robić.

— Nie bądź idiotką — mruknęła.

Gdy podniosła słuchawkę, najpierw była cisza, a potem ciągły sygnał.

— Pomyłka — powiedziała głośno.

Przypomniała sobie telefon w białym salonie: „Czy to ty, Gladys?”

Odwracała się, żeby wyjść z pokoju, gdy telefon zadzwonił ponownie. Porwała gwałtownie słuchawkę.

— Słucham?

— Mówi Althene.

Rachaela westchnęła, jakby wstrzymywała oddech od co najmniej pół godziny. Kolana jej drżały, usiadła. Jacob wskoczył na jej podolek.

— Jacob jest tutaj. Chce z tobą pogadać — powiedziała.

— Bardzo się cieszę, ale czy ty też chcesz?

— Oczywiście. Co u ciebie?

— W porządku. A u ciebie?

— Też. Och, bardzo dobrze.

— Rachaelo, nie gniewaj się. Jestem wystarczająco stara, żeby nienawidzić telefonów. Wracam. Wracam dzisiaj. Będę wieczorem.

— Ty...

— Jeżeli tylko chcesz, Rachaelo, możesz spotkać się ze mną. Zorganizuję wszystko. Samochód przyjedzie po ciebie o piątej. Zawiezie cię na lotnisko. Będzie czekał na ulicy przed domem aż do pół do szóstej. Jeżeli nie zjedziesz do tego czasu, odjedzie. To jest wszystko, co mam do powiedzenia. Do widzenia.

Rachaela siedziała trzymając słuchawkę, aż Jacob, chcąc widać pozostawić na niej swój zapach, potarł ją łebkiem tak gwałtownie, że wypadła z ręki.

* * *

Rachaela szykowała się na spotkanie z Althene.

Kiedy skończyła, nałożyła kotom gotowanego dorsza i uzupełniła zapas wody w miseczce, jak gdyby szykowała się do dłuższej nieobecności. Teraz pomyślała, że może Althene będzie chciała gdzieś ją zabrać, do jakiegoś hotelu, niewątpliwie bardzo wspaniałego. I to będzie wszystko. Spotkanie. Przyjemność.

Albo inna możliwość. Althene miała jakąś wiadomość do przekazania. Może od Malacha, albo od kogoś innego.

Rachaela schowała dwie butelki kalifornijskiego wina Colombard do lodówki. Miało smak jabłek.

Włożyła szarą spódnicę, szarą wciętą w talii marynarkę, szarą jedwabną bieliznę i szare pończochy wykończone wzorkiem w koty.

Niewykluczone, że to było głupie.

Nie myślała o sobie i Althene uprawiających miłość, ponieważ dawniej robiła to często i właśnie nie ciążyła, ale frustracja nie zaspokojonego pragnienia przyprawiała ją o mdłości.

Nie, najlepiej po prostu wziąć to, co los przyniesie.

Za kwadrans piąta zbiegła na dół.

Miły młody mężczyzna z jednego z parterowych mieszkań wyprowadzał młodego labradora na spacer.

Rachaela pogłaskała szczeniaka pośpiesznie, żeby nie zdążył wyczuć fascynującego zapachu kotów.

— Muszę lecieć...

Czekała na ulicy w chłodnym, aksamitnym powietrzu o zachodzie słońca. Zza muślinowego światła wyłoniła się długa sylwetka rollsa.

Wsiadła i po konwencjonalnym powitaniu z kierowcą pojechali.

* * *

Samoloty spływały w dół jak gigantyczne uskrzydłone wieloryby.

Nie podjechali pod poczekalnię przylotów, lecz gdzieś daleko, między drzewa, na mały, wydzielony pas, otoczony wysokim ogrodzeniem z drutu kolczastego.

Było ciemno i zimne światła przebijały pole widzenia ze wszystkich kierunków.

Jak w jakimś filmie, pomyślała Rachaela, gdy słynny szpieg przybywa z tajemniczą misją, żeby uratować świat.

Althene szpieg.

Niczego nie czuję.

Stała przed samochodem i po chwili zobaczyła, jak niewielki samolotik zsuwa się z nieba na mały pas.

Wylądował pięknie, jak gdyby ślizgał się po maśle.

Dziesięciomiejscowa maszyna przykołowała i wysadziła jedną osobę. Wysoką kobietę, odzianą w płaszcz, nie czarny jak jej włosy, lecz płomiennie czerwony.

Czerwień — kolor godów.

Rachaela poczuła mdłości, chciała uciec.

Althene nieubłaganie jak los zbliżała się w jej kierunku.

Była tak piękna, że przyćmiewała krwawe światła lotniska.

Podeszła prosto do Rachaeli i wzięła ją w ramiona.

— Puść mnie. — Althene usłuchała. — Zanim powiesz cokolwiek, dowiedz się, że jestem w ciąży.

— Ach — powiedziała Althene — tak to jest z rzymską metodą.

— Nie chcę przez to przechodzić — zaczęła Rachaela. — Jestem na to za stara. Pragnę, żebyś to zrozumiała.

— Jesteś Scarabeidem. Twoje ciało zrobi wszystko, co zechcesz. Nie możesz zaszkodzić ani sobie, ani dziecku.

— Dobrze, ale ja go nie chcę.

— To oczywiście różnica — stwierdziła Althene.

— W takim razie rozumiesz.

— Naturalnie. Czy teraz mogę cię pocałować?

Rachaela spojrzała na Althene.

— Chcę, żebyś to zrobiła, ale co potem?

— Trzeba odebrać moje bagaże, jest ich całkiem sporo. Jeszcze więcej rzeczy jest w drodze. Ty masz mieszkanie. Drugie piętro też jest do naszej dyspozycji i łączą je wewnętrzne schody.

— Rozumiem.

— To znaczy, że będę żyła z tobą. Mam nadzieję, że zdajesz sobie z tego sprawę i to był powód, dla którego przyszedłeś tutaj spotkać się ze mną. Oczywiście, jeżeli nie... — mówiła Althene.

Rachaela zaczęła płakać. Po raz trzeci. Łzy wypłynęły gwałtownie na zewnątrz i równie nagle się skończyły.

— Dochodzę do wniosku, że to będzie dla ciebie straszne.

— Kocham cię. Nie opuszczaj mnie — powiedziała Rachaela.

Po tym wszystkim nie pocałowały się, tylko objęły. Poza szoferem, bagażowymi zabierającymi walizki i załogą samolotu nie było nikogo, kto by je widział. A ci wzięli je za siostry.

Pod koniec lata Malcolm i Cherrylyn Lennox wybrali się na przejażdżkę rowerową na wzgórze Conever Woods. Tego dnia było bardzo gorąco, ale oni ostatnio opuścili się w treningach z powodu choroby ojca Malcolma. Na szczęście teraz senior Lennox był już zdrowy. Jak zauważyła Cherrylyn, wraz z uszkodzeniem warstwy ozonowej lata pewnie już na zawsze stały się upalne, a zimy pełne burz. Musieli się do tego przyzwyczać.

Wspinali się w górę stoków najeżonych korzeniami, a potem zjeżdżali w dół na luzie, śmiejąc się. Pożółkła zieleń i kruche liście przesłaniały najostrzejszy blask słońca. Ptaki były wszędzie. Zauważyli sójkę, nawet kanarka, który musiał komuś uciec.

— Zatrzymamy się w Dolinie Wiedźm, umieram z głodu — stwierdziła Cherrylyn, gdy przejeżdżali przez grzbiet wzgórza. Daleko w dole zobaczyli linię kolejową prowadzącą do Londynu, miasta bandziorów i smogu.

Jazda na rowerze nie była w stanie poprawić figury Cherrylyn, która była potężną dziewczyną. Mimo pochłanianych ilości pożywienia Malcolm pozostał chudy jak kurczak. Pod tym względem nie byli dobraną parą.

Zjechali w dół Doliny Wiedźm nazywanej tak od sabatów, które podobno kiedyś odbywały się w lasu. W cieniu gęstych drzew oparli o pień rowery i zaczęli rozpakowywać jedzenie. Wielkie kanapki z razowca z serem i piklami domowej roboty, ciasto orzechowe, banany i butelka soku jabłkowego z napisem, że nie zawiera konserwantów.

— Muszę tylko zrobić siusiu — powiedziała Cherrylyn i zachichotała. Naturalne funkcje organizmu oprócz jedzenia i seksu uważała za raczej zabawne.

Przyzwóicie weszła między wielkie paprocie.

— To orlice — powiedział Malcolm. — Nie ocieraj się o nie. Ostatnio słyszeli, że orlice są rakotwórcze.

— Ja tylko... — zaczęła Cherrylyn i przerwała.

Malcolm odczekał chwilę, a potem wzruszył ramionami i nadal rozkładał kanapki, ciasto i owoce na ceratowym obrusie.

Wkrótce paprocie zaszeleściły, chłopak spojrział i zobaczył swoją żonę wylaniającą się spomiędzy nich z zielonkawo bladą twarzą.

Pomimo że szczupły, był silny i zdołał ją złapać, zanim upadła.

Kiedy doszła do siebie, co nastąpiło stosunkowo szybko, jak zwykle okazała rozsądek, chociaż twarz miała ciągle białą jak płótno i trzęsła się jak w febrze.

— Tam w paprociach leżą zwłoki. Są w stanie rozkładu. Lepiej ich nie oglądaj.

— Muszę — odparł Malcolm.

— Dlaczego? Ja je widziałam. Jestem pewna, kochanie, że tak naprawdę wcale nie masz ochoty zobaczyć trupa.

— Racja. Dobrze, nie idę — powiedział Malcolm.

— Za minutę dojdę do siebie. Potem musimy zjechać na dół, do wioski, i wezwać policję.

— O, do diabła.

— Wiem, to nic miłego, ale nic innego nie można zrobić — powiedziała Cherrylyn współczująco.

— Fakt.

* * *

Po pięciu minutach Cherrylyn mogła już wstać. Jednak wolała nie ryzykować wsiadania na rower. Prowadzili rowery przez las.

Jedzenie zostawili porzucone w trawie, na papierowym obrusie. Ptaki przyfrunęły i zadowolone zjadły wszystko za nich.

Nie istniał żaden plan. Samochód zabrał je na olbrzymi betonowy dworzec. Kolorowe sklepiki w szklanych budkach oferowały czekoladę i książki, szaliki i róże. Stoliki wystawione w hali dworcowej miały kolorowe parasole, trochę irracjonalne, bo znajdowały się we wnętrzu.

Za szesnaście minut odjeżdżał pociąg na północ.

Stella i Ruth udały się do kasy. Stella kupiła dwa bilety pierwszej klasy.

Potem poszły na peron i wsiadły do pociągu. Miały ze sobą tylko małą torbę Stelli.

Pociąg ruszył. Odjechał z dworca pod szerokie niebo zasnutę deszczem.

Na początku za oknem były fabryki, maleńkie domki, cmentarze i wielkie parkingi pełne ciężarówek.

Stella i Ruth wyglądały przez okno, siedząc naprzeciwko siebie na nie brudzących się siedzeniach.

Potem kontury miasta rozplynęły się jak przeszłość i zostały z tyłu. Otworzyły się ciemne pola poliniowane bezlistnymi, żalobnymi drzewami.

* * *

Stella zmieniła pozycję i jej eleganckie buty zapiszczały.

— Napijemy się czegoś?

— Tak, byłoby miło. — Ruth odwróciła się do niej.

— Lepiej, żebyś od razu wiedziała, że mam bardzo mocną głowę. To niczego nie zmieni.

— Wiem o tym.

Zaraz potem przyszedł z bufetu kelner. Stella dała mu hojny napiwek i złożyła zamówienie.

Wrócił, przynosząc butelkę wódki, lód, szklaneczki i świeże limonki.

Kiedy odszedł, Stella przyrządziła drinki.

Popijały w milczeniu prawie przez godzinę.

Stella zauważyła, że Ruth tak samo jak ona nie była rozmowna przy alkoholu. Przez sekundę przypomniała sobie, jak popijały z matką odrobinę na Boże Narodzenie.

Za szybami przesuwał się krajobraz.

— Popatrz, tam są krowy — powiedziała nagle Ruth.

Jakby nigdy ich nie widziała. Może zresztą tak było.

— Później zamówimy coś do jedzenia. Jeszcze nie wiem, gdzie wysiądziemy.

— Możemy po prostu zauważyć jakieś miejsce i uznać je za odpowiednie — zaproponowała Ruth.

Zgoda jak w czasie miodowego miesiąca, pomyślała Stella. Może właśnie go przeżywamy.

Nadchodziła bezosobowa ciemność zimowej nocy.

— Chcę opowiedzieć ci o mężczyźnie, którego zabiłaś — zaczęła Stella.

Nie była pijana, widziała i działała z należytą precyzją. Ruchy rąk były skoordynowane, umysł jasny, ale drinki sprawiły, że chciała, by Ruth usłyszała wyznanie.

Ale Ruth powiedziała:

— Przykro mi, ale nie wiem, którego mężczyznę masz na myśli.

— Zaszlachtowałeś kilku, prawda? — Ruth skinęła głową. Żadnej dumy, żadnego zadowolenia, żadnej pychy i żadnego żalu. — Dlaczego to zrobiłaś?

— To jest to, co robię. — Ruth spuściła oczy. Rzęsy pod bladymi powiekami były długie, grube i czarne jak sploty jej wspaniałych włosów. — Nie rozumiałam cię, chodzi ci o mężczyznę, który przyszedł do domu? Tego ostatniego?

— Tak — odparła Stella. Głos miała jak zgrzyt, ranił jej gardło.

— Przykro mi, myślałam, że on im groził i że muszę go powstrzymać, ale tak nie było, pomyliłam się — powiedziała Ruth.

— To nie zmieni mojego postanowienia.

— Nie próbuję zmienić twoich decyzji odnoszących się do mnie.

— Nie licz na usprawiedliwienie się i błagania.

— Nie mam zamiaru usprawiedliwiać się — powiedziała Ruth. — Chcę, żebyś to zrobiła.

— Dlaczego? — spytała Stella.

Ruth nie odpowiedziała.

Stella ponownie napełniła szklaneczki, dorzucając lód i zmieniając stare plasterki limonek na nowe. Zużyły dwie trzecie butelki.

Kiedy Ruth brała swojego drinka, Stella po raz pierwszy zauważyła, że dziewczyna jest leworęczna.

— Mężczyzna, którego zabiłaś, miał przydomek Nobbi. Głupie, prawda? Jak z jakiegoś świńskiego dowcipu. Był cudownym kochankiem. Poza tym kochałam go.

— Tak. Opowiedz mi — poprosiła Ruth, podnosząc wzrok.

— Rozumiesz, straciłam moją matkę. Co za straszliwy eufemizm. Zmarła, i mój kot też zdechł pewnego dnia.

— Mój kot także zmarł. Był bardzo stary i nie obudził się któregoś ranka — powiedziała Ruth.

— Mój też, w ten sam sposób.

Stella wypila zawartość swej szklaneczki.

— Potem spotkałaś mężczyznę — powiedziała Ruth powoli.

— Tak. Spotkałam go i zakochałam się w nim. Spojrzałam na niego i już byłam zakochana.

— Tak — powiedziała Ruth.

— On był mężem innej kobiety, więc nie spędzaliśmy razem zbyt wiele czasu, ale to, co było między nami, było szalone. Zaczęłam myśleć, że on ją opuści. Może głupio. Może nie zrobiłby tego. Myślałam, że kiedyś będziemy razem, a ja będę miała koty i psy. I... po prostu będziemy ze sobą.

— Tak — powiedziała Ruth.

— Myślałam, że może nawet urodzę jego dziecko. Nie to, żebym miała silny instynkt macierzyński. Po prostu lubiłam myśleć, że pojawi się jego kopia. Wokół spotyka się tylu beznadziejnych ludzi, zupełnie zera. Zapewniają ziemię swoimi śmieciami, rozmnażają się, a ci najlepsi nie mają dzieci wcale albo bardzo mało.

Pociąg znów ruszył. Na zewnątrz była noc. Od czasu do czasu w deszczu żarzyło się drgające światelko. To mogło być cokolwiek. Fabryka, okno, latarnia na wzgórzu oznajmiająca o zbliżaniu się Armady.

— Teraz nie mam przyszłości. Nie mam nic — odezwała się Stella.

— To będzie bardzo łatwe. Ja również nie mam nic. I ty położysz temu kres — powiedziała Ruth.

— Przestań mi mówić, że cię to uszczęśliwi.

— Przepraszam. Przykro mi z powodu Nobbiego. Pamiętam go. Był niski. Miał donośny głos, ale potem był cichy — powiedziała znów Ruth.

— Uciszony na zawsze — rzekła Stella.

Przyszedł kelner.

— Czym mogę paniom służyć?

— Chciałybyśmy teraz coś do jedzenia. Nie żaden pełny posiłek, coś lekkiego. — Drink uczynił ją swobodną. — Coś atrakcyjnego.

— Zadbam o panie szczególnie.

Kiedy kelner odszedł, Ruth powiedziała:

— Myślę, że on mnie zmienił i teraz jestem w stanie cię zrozumieć.

Stella pomyślała, że Ruth chodzi o Nobbiego.

Znów siedziały w milczeniu, aż przyszedł kelner z tacą wyłożoną serwetą. Talerze były z dobrej porcelany. Liście sałaty sąsiadowały z kędzierzawą endywią, żółtymi pomidorami i zielonym awokado, serami

brze i camembert, i herbatnikami w kształcie sprężyn. W szklanej salaterce leżały winogrona bez pestek i kostki melona.

— Jakie to śliczne — powiedziała Stella.

— Cieszę się, że się pani podoba. Czy potrzeba paniom jeszcze czegoś?

— Nie, dziękuję.

Piły resztę wódki, zagryzając serami, owocami i sałatą.

Ruth i Stella były głodne. Powiedziały sobie o tym, mówiły też, jak im smakuje to, co przyniósł kelner. Śmiały się, a potem znów ucichły.

* * *

Pociąg zaczął zwalniać. Na zewnątrz zalegała ciemność wiejskiej okolicy.

Popatrzyły na siebie.

— Wysiadamy tutaj? — zapytała Ruth.

— Tak. To najlepsze miejsce — odpowiedziała Stella.

Wyszły na korytarz.

Pociąg zatrzymał się z długim i ponurym zgrzytaniem. Otworzyły drzwi i zeszyły na peron.

Świeciły elektryczne lampy, wiszące pod nimi koszyczki na kwiaty były puste.

Wokół oświetlonej stacji znajdowała się strefa ciemności.

Przy wyjściu z peronów nikt nie sprawdzał biletów, chociaż nad barierką paliła się lampa. Za nią nikał w mroku stok żwirówki, a obok był ogrodzony parking z napisem „szybkie samochody”.

— Co zrobisz potem, jak wrócisz? — spytała Ruth.

Ja mam zamiar ją zabić, a ona pyta, co zrobię, jak wrócę.

— To nie ma znaczenia. Nie martw się, Ruth. Może znajdę jakiś samochód. Mogę spać w lesie.

Ruth poważnie skinęła głową.

— Możesz wziąć mój płaszcz. Będzie ci w nim ciepło.

— Nie, nie. Zatrzymaj go sobie.

— Już nie będzie mi potrzebny — powiedziała Ruth.

We wnętrzu Stelli obrócił się sztylet bólu, ale nie miała zamiaru zbroczyć ze swojej drogi. To była jej droga.

Ruth zbliżyła się do Stelli.

— Weźmiesz mnie za rękę? To by mi się podobało.

— Czy muszę robić to, co ci się podoba?

— Tylko raz.

Stella wzięła Ruth za rękę.

Za dworcem droga stawała się błotnista. Weszły w bezdenną czerń nocy.

Padał deszcz.

Nie było gwiazd, ale niebo miało swój własny kolor, wolny od miejskich świateł. Było niebieskoczarne lub fioletowoczarne jak ubranie Stelli.

Ścieżka odchodziła w bok, więc skręciły w nią. Prowadziła na wzgórze, a las schodził im naprzeciw.

Wilgotne drzewa stały nieruchomo, słychać było tylko rytmiczne kapanie deszczu.

— Jak daleko do Babilonu — odezwała się Stella. — Boże, Ruth, czy pamiętasz może coś wesołego?

— Pamiętam sroki — odpowiedziała Ruth.

Sroki nie wydawały się Stelli szczególnie śmieszne, ale nie sprzeczała się, nawet nie zakwestionowała tego w myśli.

Na górze, w lesie, była głębia nocy. Nic oprócz nich się nie poruszało.

Ruth przystanąła.

— Czy zrobisz to tutaj?

— Czy jest coś... — Stella zająknęła się — co powinnaś jeszcze zrobić?

— Nic.

— Jesteś gotowa?

— Tak.

Stella rozpięła swoją torbę. Jej palce musnęły w ciemnościach lwa, zanim odnalazły kuchenny nóż, który specjalnie kupiła.

Teraz, gdy jej oczy przywykły do ciemności, mogła widzieć Ruth. Dziewczyna rozpięła płaszcz, spod którego błysnęła biała suknia.

Stella zrobiła krok i sprężyła się. Ruth stała uśmiechnięta. Przebłysk dnia zagubiony w wodzie nocy jak muzyczna nuta.

Stella uderzyła z całej siły... przez białą tkaninę, przez białą pierś, głęboko w dół aż do serca zbrodni.

Czarny nóż, splamiony krwią wokół ostrza, wymagał brutalnej siły, żeby wydostać go z powrotem.

Ruth upadła. Leżała w poszyciu leśnym, gdzie biegały owady, rojąc się wśród łodyg paproci.

Stella spojrzała.

Teraz Ruth była równie spokojna jak noc. Czerwona plama na sukni nie skaziła jej urody, tylko w kąciku ust błyszczał lśniący klejnot jak granat.

Deszcz umyje ją do czysta, znów będzie biała. Jutro może ogrzeje ją słońce. Teraz jest cała w cieniach i w wodzie.

Stella wsunęła nóż do plastikowej torebki, którą także specjalnie kupiła. Potem włożyła ją do dużej torby, uważnie, żeby nie zabrudzić lwa.

Odwróciła się i zostawiła Ruth tam, pod drzewami.

Martwą dziewczynę na deszczu.